

G R E G K R U P A



PRZEKŁĘTA RZEŻBA Z BOLONII

Najstarsze uniwersyteckie miasto ujawnia swoje sekrety i ukryte symbole,
stając się tłem akcji mrocznego thrillera

LETRA

G R E G K R U P A

PRZEKŁĘTA RZEŹBA
Z BOLONII

LETRA

Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

1. Mgła

2. Wystawa

3. Dom

4. Aurora

5. Szadź

6. Głowa

7. Kres

8. Noc cudów

9. Bolonia

10. Księgarz

11. Zesłana

12. Wizyta

13. Motyl

14. Triumwirat

15. Zamieć

16. Dzieci cienia

17. Rozdroża

18. Miasto wież

19. Woda i krew

20. Pościg

21. Przynęta

22. Rodzina

23. Tunel
24. Ekspонат
25. San Luca
26. Terra incognita
27. Urwane ślady
28. Więzienie
29. Frida
30. Zjawą
31. Aelia
32. Ucieczka
33. Szpital
34. Karnawał
35. Goliard
36. Kelipot
37. Tajemnica Neptuna
38. Święty Łukasz
39. Teczka
40. Szturm
41. Willa
42. Wyścig z czasem
43. Anioł śmierci
44. Pożegnanie
45. Roxy Bar
46. W stronę słońca

W książce wykorzystano fragmenty tekstów piosenek *Buongiorno a te* (tekst Michele Centonze) oraz *Vita spericolata* (tekst Vasco Rossi). Oba fragmenty w tłumaczeniu autora.

Text copyright © 2023 Grzegorz Krupa

Copyright for this edition © 2023 Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o., Warszawa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania, nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i nieudostępnianie treści książki w sieci.

Redakcja: Agata Żabowska
Korekta: Aleksandra Więk-Rutkowska
Projekt okładki: 3oko Krzysztof Kielbasiński
Skład i łamanie: Sylwia Szur

ISBN 978-83-213-5254-1

CIP Biblioteka Narodowa
Krupa, Greg
Przekłeta rzeźba z Bolonii / Greg Krupa . -
Warszawa : LeTra, 2023

Wydanie I, 2023. Symbol 5323/R

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa
tel. 22 444 86 50/51

e-mail: info@arkady.eu, www.arkady.eu

Facebook: [@WydawnictwoArkady](https://www.facebook.com/WydawnictwoArkady), Instagram: [@wydawnictwo.arkady](https://www.instagram.com/wydawnictwo.arkady)

Facebook: [@WydawnictwoLetra](https://www.facebook.com/WydawnictwoLetra), Instagram: [@wydawnictwo_letra](https://www.instagram.com/wydawnictwo_letra)

księgarnia firmowa tel. 22 444 86 61

e-mail: ksiegarnia@arkady.eu

księgarnia wysyłkowa tel. 22 444 86 97

www.arkady.info

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

I

Mgła

Stary człowiek w podniszczonej marynarce stał na grobli i bezradnie omiatał przestrzeń wokół siebie pustym i nieobecnym wzrokiem. Nie było zresztą na co patrzeć. Wzdłuż wałów usypanych na obu brzegach rzeki Reno powoli sunęły ciężkie kłęby porannej mgły. Szarobura mokra wata szczelnie otulała rzekę i rosnące nad brzegami drzewa. Wilgotny listopadowy wiatr wciskał się w każdą nieosłoniętą ubraniami szczelinę ciała.

Massimo podniósł kołnierz płaszcza i walcząc z grząskim terenem, z trudem wspiął się na górę, aby zbliżyć się do starca, którego obserwował od dłuższej chwili. Mimo swoich czterdziestu pięciu lat, nie stracił jeszcze młodzieńczej ciekawości świata, a do niesienia pomocy innym nie zniechęciły go nawet traumatyczne przeżycia z przeszłości

Odwrócony w stronę niewidocznego koryta rzeki mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi. Massimo mógł mu się wreszcie lepiej przyjrzeć. Nędzę bijącą z portarganej i pobrudzonej rdzawymi plamami marynarki potęgował widok zabłoconych spodni i niegdyś eleganckich półbutów, z których jeden zgubił obcas, a drugi, pozbawiony sznurówki, cudem trzymał się jeszcze na stopie drżącego z zimna staruszka. Powiewy lodowatego wiatru targały jego zaniedbanymi siwymi włosami i powodowały szelest reklamówki, w której, jak domyślił się Massimo, mężczyzna trzymał cały swój żebraczy dobytek. Widoczna z profilu brudna i chuda twarz nosiła ślady długotrwałego niedożywienia.

Massimo wyjął z kieszeni płaszcza niewielką papierową torebkę. Odwinął z niej brzeg kanapki z mortadellą i podsunął starcowi pod nos.

– *Signore!* – powiedział, nie wywołując tym żadnej reakcji.

– Proszę pana! – powtórzył. – Pewnie pan jest głodny? Proszę, niech pan to weźmie, ja i tak nie mam apetytu – skłamał.

Mężczyzna obrócił się powoli, ale nie sięgnął po jedzenie. W jego nieobecnym dotąd spojrzeniu pojawił się przeblysłk świadomości. Podniósł ciężką rekla-

mówkę i wyciągając ją przed siebie, powiedział ochryplym głosem:

– Musisz ją ocalić, chłopcze!

Massimo opuścił powoli rękę, w której trzymał kanapkę. Jeszcze przed sekundą myślał, że zdoła nawiązać ze starcem jakiś dialog. Był ciekaw jego historii i szczerze chciał mu pomóc. Jego nadzieje ulotniły się po usłyszeniu absurdalnej prośby. Porzucił zamiar porozumienia się z najwyraźniej niepełnosprawnym umysłowo biedakiem. Wciąż jednak było mu go żal.

– Nie bardzo wiem, o czym pan mówi – odpowiedział najłagodniej, jak potrafił. – Ale może jest ktoś, kogo mógłbym zawiadomić w pana imieniu? – zapytał z nadzieją w głosie. – Jeśli nie jedzenie, to może chociaż pieniądze pan ode mnie przyjmie? – Zaczął grzebać w obszernych kieszeniach płaszcza w poszukiwaniu portfela.

Starzec nie dawał jednak za wygraną.

– Weź to i ją uratuj! Jeszcze nie jest za późno! – Koścista dłoń mężczyzny, w której trzymał reklamówkę, naparła na Massima jak włócznie hoplity.

– Ale kogo mam ratować? – Szamocąc się z płaszczem, próbował podtrzymać tę surrealistyczną konwersację. – Ktoś jest chory? Pana żona? Znajoma? Gdzie ona mieszka? – Nie ustawał w próbach dowiedzenia się czegokolwiek sensownego.

– Synu, musisz iść w górę tak długo, aż dojdiesz do Świętego Łukasza. Możesz ją jeszcze uratować! I Bóg jeden wie, kogo jeszcze! – Głos nędzarza robił się coraz bardziej natarczywy.

Massimo walczył z myślami. Nie potrafił ocenić, czy miał do czynienia z wariatem i czy powinien się przejąć jego dziwnymi słowami. Udało mu się jednak wydobyć portfel. Widząc, że starzec nie miał najmniejszego zamiaru przestać popychać go reklamówką, której ciężka zawartość obijała mu się boleśnie o kolana, postanowił zakończyć polubownie tę dziwną sytuację. Wyjął z portfela dwa banknoty. Zawahał się i opróżnił portfel całkowicie. Wcisnął wszystkie swoje pieniądze w naderwaną kieszeń marynarki nędzarza i odebrał mu siatkę. Zdziwił się, bo ważyła z dobrych pięć kilo. Skąd wycieńczony staruszek miał siłę, żeby to wszystko ze sobą taszczyć?

– Umówmy się, że kupuję to od pana, dobrze? – powiedział. – Albo nie – poprawił się – może pan będzie chciał odzyskać te rzeczy. Powiedzmy, że biorę je w zastaw. Razem z pieniędzmi zostawiłem panu wizytówkę z adresem, mieszkam niedaleko. Jakby pan czegoś potrzebował, to proszę się nie krępować. Nawet pomieszkać pan może u mnie przez chwilę. U nas – poprawił się znowu.

– Zrozumiał pan? – Bezskutecznie próbował dojrzeć w oczach mężczyzny coś na kształt potwierdzenia. – Biorę tę torbę, tak jak pan chciał! Proszę skorzystać z tej kasy. Coś do jedzenia niech pan sobie kupi. I jakieś palto albo czapkę, bo z tą pogodą będzie jeszcze gorzej! I niech pan przyjdzie po te rzeczy, zapraszam!

Naprawdę bardzo chciał pomóc, ale sytuacja go już przerastała. Przecież nie mógł uprowadzić mężczyzny siłą. O wezwaniu jakichkolwiek służb też mógł tylko pomarzyć. Zanim ktokolwiek dojechałby na to pustkowie, starzec umarłby z zimna i głodu.

Zaczął powoli schodzić z grobli. Nagle coś przyszło mu do głowy. Obrócił się w stronę mężczyzny i zawołał:

– *Signore!* Jak się pan nazywa? Proszę, niech mi pan powie!

Staruszek zamiast odpowiedzi machnął w jego kierunku ręką, jakby chciał po-
naglić jego odejście. Massimo wyjął telefon. Zanim przygarbiona postać zniknęła
we mgle, zdążył wykonać kilka zdjęć.

Zszedł ostrożnie z namokniętego deszczem i wilgocią wału i po chwili dotarł do ubłoconego po dach terenowego defendera. Auto miało prawie tyle samo lat co on sam, ale żadne inne nie dowiozłoby go tak daleko po grząskich polnych drogach. Otworzył skrzypiące drzwi i rzucił reklamówkę na tylne siedzenie. Usiadł i spojrzął na zdjęcia, które przed chwilą zrobił. Tylko jedno było ostre i do czegokolwiek się nadawało. Otworzył aplikację ze swoim blogiem i wpisał treść nowego postu:

Zjawa na grobli. Takie rzeczy tylko między Bolonią a Ferrarą. Ktokolwiek widział/zna człowieka, pisać na priv.

Pod postem dodał kilka hashtagów: #grobla #mgła #reno #bolonia #dziwnytyp #poszukiwany i zakończył nazwą bloga #prometheusdark. Dodał zdjęcie, naciśnął „opublikuj” i usłyszał dźwięk potwierdzający pojawienie się postu w sieci. Nagle przypomniał sobie o siatce.

Odwrócił się i zamarł.

Z głębi przewróconej na bok reklamówki patrzyło na niego pozbawione źrenicy, wyrzeźbione w kamieniu oko.

Wystawa

Jedenaście miesięcy wcześniej wysoki młodzieniec, próbując przejść przez główną ulicę Ferrary, walczył z grawitacją.

Leżące między Bolonią a Padwą miasteczko nie było aż tak biedne, żeby nie móc załatać dziur w chodnikach, ani tak duże, aby przejście wzdłuż głównej ulicy musiało zająć młodej osobie więcej niż pół godziny. Jednak tego dnia zdarzył się nieoczekiwany i dawno niewidziany w tym miejscu kataklizm. Tego grudniowego popołudnia na Ferrarę spadł śnieg.

Używający wielosezonowych opon kierowcy, sięgając szczytów kaskaderskiej ekwilibrystyki, rozpaczliwie próbowali utrzymać się na środku jezdni. Kilkoro pechowców usiłowało wyciągnąć swoje pojazdy z zasp, które w ciągu zaledwie kilku godzin urosły po obu stronach nieodśnieżonej jezdni. Tu i tam dało się słyszeć podniesione głosy osób próbujących ustalić winowajców nieuniknionych w tych warunkach stłuczek. Chaos potęgowali piesi, których eleganckie i niedostosowane do pogody buty przegrywały sromotnie z gołoledzią. W najgorszej sytuacji byli liczni w tym mieście i zaskoczeni sytuacją, jaką zastali po wyjściu z pracy, rowerzyści. Prowadzenie rozjeżdżającego się po chodniku dwukołowca graniczyło z absurdem, a każda próba użycia tego pojazdu kończyła się widowiskową wywrotką.

Młodzieniec pomógł starszej pani wstać z ziemi, troskliwie otrzepał jej płaszcz ze śniegu i odprowadził ją do najbliższej kawiarni, gdzie mogła zaczekać na wnuczkę. Sam miał kłopoty z utrzymaniem równowagi, ale opierając się jedną ręką o ściany kamienic, konsekwentnie zbliżał się do miejsca będącego celem jego nieporadnego marszu. Miał tylko nadzieję, że dłuższe niż zwykle spóźnienie nie wywoła złości u jego przyjaciółki Sary, która pełniła zaszczytną funkcję organizatorki rozpoczynającej się tego dnia wystawy dzieł Amedeo Modiglianiego. On sam miał pojawić się na wystawie w oficjalnej roli. Od kilku miesięcy był właścicielem i naczelnym redaktorem lokalnego dziennika „Il Giornale Pomeri-

diano”. Wiele zawdzięczał Sarze i chciał spłacić swój dług, poświęcając jej inicjatywę główną stronę jutrzejszego wydania.

Gdy wreszcie dotarł do renesansowego pałacyku Marfisy d’Este, pot i roztopiający się śnieg ściekały mu z blond włosów za kołnierz oblepionej białym puchem kurtki. Otrzępując się, wszedł do recepcji i rozejrzał się wokół. Wśród zgromadzonych w pomieszczeniu i rozmawiających z ożywieniem osób nie dostrzegł wprawdzie swojej przyjaciółki, ale twarz jednej ze stojących przy kontuarze pań wydała mu się znajoma.

– Dobry wieczór! Davide Dobravski – przedstawił się z daleka, stukając butami o posadzkę w nieudanej próbie pozbycia się z nich śniegu. – Szukam Sary Rossi, byłem umówiony. Pewnie jest teraz bardzo zajęta, ale gdyby pani mogła...

Kobieta, do której się zwrócił, zamiast odpowiedzi zamachała nerwowo ręką w jego kierunku, jakby odpędzała się od natrętnej muchy. Poczul się nieco urażony. Jego polsko brzmiące nazwisko odziedziczone po nieżyjących już rodzicach było znane w całym mieście. Przyczyniły się do tego dramatyczne wydarzenia minionego lata, których był głównym bohaterem. Zdarzenia te postawiły go na świeczniku lokalnej społeczności i poskutkowały awansem na naczelnego redaktora najważniejszej gazety w mieście. Miał więc powody, aby spodziewać się miłszego potraktowania przez recepcjonistkę wystawy, o której zamierzał napisać.

Szykował właśnie cierpki komentarz, gdy dotarło do niego, że obrócona bokiem kobieta rozmawia z przejęciem przez telefon, dedykując równie nerwowe gesty swojemu rozmówcy. Gdy w końcu opuściła słuchawkę na staroświecki aparat stojący na blacie kontuaru, spojrzała na dziennikarza i bez zbędnych wstępów wypaliła:

– Panie Dobravski, mamy poważny problem. Sara zniknęła.

Przez chwilę patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem. W końcu zebrał myśli i odpowiedział:

– Jak to zniknęła? Proszę pani, czy pani wie, co tam się na zewnątrz dzieje? Pewnie nie może tu dotrzeć. A może złamała nogę albo miała jakiś gorszy wypadek! Na pogotowie dzwoniłście?

Wyraz twarzy kobiety ze zdenerwowanego zrobił się wściekły.

– Za kogo pan mnie bierze, redaktorze? – prychnęła. – Sary nie ma od wczorajszego wieczoru. Wczoraj miała podpisać resztę dokumentów, jej telefon nie odpowiada, mówię panu, że zniknęła!

Chłopak nie mógł się pogodzić z takim postawieniem sprawy. W ostatnim czasie stracił zbyt wielu przyjaciół. Bez słowa zarzucił na mokre włosy jeszcze

bardziej przemoczony kaptur i skierował się w stronę drzwi. Zatrzymał go zdenerwowany głos recepcjonistki.

– No i gdzie pan idzie?! – wrzasnęła.

– Do jej domu. A potem na pogotowie. Gdzieś musi być – odpowiedział zwięźle. Nie miał już ochoty na dyskusję z tą kobietą. Wyglądała na dużo starszą od niego i dziwił go jej brak opanowania.

– Dziecko. – Usłyszał za sobą jej głos, który stał się nagle zrezygnowany i płaczliwy. – Sara to moja siostrzenica. Myśmy już wszystko sprawdzili. Jej naprawdę nigdzie nie ma. A tutaj jadą już karabinierzy.

Ręka zastęła mu na klamce. Spojrzał przez przeszkłone drzwi. Na zewnątrz ciągle padał śnieg. Zmagający się z pogodą ludzie nie dostrzegali świecących nad ulicą bożonarodzeniowych dekoracji. Tylko dwaj mali chłopcy po drugiej stronie ulicy nic sobie nie robili z białej apokalipsy i pokrzykując radośnie, z zapalem lepił bałwana.

Dom

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu pełzająca wzdłuż przeciwpowodziowych wałów mgła omijała niewielkie, przylegające do grobli gospodarstwo.

Teoretycznie na terenach zalewowych nie można było uzyskać pozwolenia na budowę, ale wyrastające tu i tam wzdłuż rzeki Pad i jej mniejszej siostry Reno wiekowe domostwa pozostawiono swojemu losowi. Większość z nich i tak była opustoszała. Zanik rybołówstwa i transportu rzeczno-jezickiego już dawno wypędził mieszkańców do większych skupisk ludzkich. Tylko szukający spokoju i przepędzeni nostalgii za dawnym, pozbawionym pośpiechu stylem życia pasjonaci, tacy jak Massimo, wykazywali się wystarczającą odwagą lub brakiem rozsądku, aby zamieszkać w pobliżu groźnej powodzią rzeki na zupełnym odludziu. Miejsce to nie przypominało wprawdzie wielohektarowych pustkowi znanych z amerykańskich filmów, ale było wystarczająco odizolowane, by zapewnić komfort niespotykania innych przedstawicieli gatunku ludzkiego przez całe dni, a nawet tygodnie.

Massimo trzepnął drzwiczkami terenówki i rozejrzał się badawczo wokół siebie. W tym oddalonym od cywilizacji miejscu musiał się zawsze liczyć z możliwością napotkania dzikiego zwierzęcia albo nieproszonego intruza. To właśnie z tego powodu trzymał schowany pod siedzeniem samochodu masywny klucz do kół, osadzony na długim metalowym pręcie. Na szczęście jeszcze nigdy nie musiał go użyć przeciwko żadnemu stworzeniu. Najwyraźniej szczęśliwy los wciąż mu dopisywał, bo w pobliżu odbudowanej w rustykalnym stylu stodoły i małego, pomalowanego na czerwono domu nie zauważył niczego podejrzanego.

Dom był jego dumą i kuracją jednocześnie. Odkupił go za grosze od gminy i zaczął remontować po tym, jak rozstał się z żoną i zaliczył kilkuletni korkociąg alkoholizmu, który pozbawił go dobrze płatnej pracy informatyka i sprawił, że sięgnął życiowego dna. Na szczęście na samym dole ciemnej jak najciemniejsza

noc depresji spotkał na swojej drodze anioła, który złapał go za rękę i nadał sens jego istnieniu.

Anioł miał na imię Aurora i dziś miał przyjechać do jego nowej siedziby. Do ich nowej siedziby. Wciąż nie mógł uwierzyć w tę, będącą dla niego synonimem raj, liczbę mnogą. Emocje nie dawały mu chwili wytchnienia, odkąd tylko dowiedział się, że kobieta, która była dla niego wszystkim, zdecydowała się z nim zamieszkać. Jego poranny spacer po wałach był próbą uspokojenia niedającego mu spać po nocach, oszalałego z emocji serca.

Przypomnił sobie człowieka zjawę. Wrócił do auta i wygrzebał stamtąd siatkę. Zerknął do środka. Naturalnych rozmiarów kamienna głowa wyglądała, jakby była fragmentem jakiejś większej rzeźby lub pomnika. Nigdy jeszcze nie widział tak nieudolnie przedstawionej twarzy. Jak gdyby rzeźbiarzem było dziecko albo w najlepszym razie jakiś nieznający się na sztuce dzikus.

„Totem” – przeszło mu przez głowę.

Postanowił odłożyć rozwiązywanie zagadki rzeźby i jej tajemniczego właściciela na później.

Zarzucił ciężką reklamówkę na plecy i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę domu. Minął stojącą samotnie na słupku pustą skrzynkę pocztową i westchnął na widok umieszczonego na niej nazwiska. Nie utożsamiał się z nim i nie uznawał go za swoje. *Trovato* – „Znaleziony”, to słowo ciążyło nad jego losami, odkąd sięgał pamięcią.

Kiedy stanął przed drzwiami, dotknął otwartą dłonią ściany, jakby kolorowa farba, która pokrywała tynki, miała go napęlić siłą. Sam wybrał ten kolor. Ciemna karnacja skóry, ciemnobrązowe oczy i bujne, czarne, gęste włosy na głowie oraz krótko przystrzyżona broda nieomylnie wskazywały na jego południowe pochodzenie. Może i nie urodził się na północy Włoch, ale sercem i duszą był związany z tą ziemią leżącą na pograniczu prowincji Ferrary i Bolonii przy rzece Reno – głównym szlaku wodnym łączącym za pomocą kanału te dwa miasta. *Bolonia la rossa* – „czerwone miasto”, było tak nazywane nie tylko ze względu na lewicujące poglądy jej mieszkańców, ale też z powodu dominującego wśród kamienic koloru czerwieni przechodzącego w pomarańcz. Był to kolor piaskowca, cegły oraz wschodzącego słońca. A słońce było przewodnikiem *Masima* w równym stopniu, w jakim był nim jego Anioł.

Przekreślił mosiężną gałkę i przestąpił próg domu ze szczęśliwym poczuciem, że przekracza bramę do nowego świata.

Aurora

Małe kłębki mgły lizały szyby od zewnątrz, pozostawiając po sobie drobne kropelki wilgoci. W domu pachniało nowymi meblami. Rozpalony przed chwilą ogień buzował w kominku, dzięki któremu, za pomocą ukrytej pod podłogą instalacji, przyjemne ciepło rozchodziło się po całym pomieszczeniu. Domek był niewielki, więc kiedy Massimo rozpoczął remont, postanowił usunąć ściany działowe i stworzyć jedną dużą jasną przestrzeń. Wrażenie otwartości potęgowała przeszklona ściana wychodząca na niewielki taras i ogród. W założeniu miała nie tylko doświetlać wnętrze, ale i spełniać rolę naturalnego grzejnika. Niestety od miesiąca słońce nie wychodziło zza gęstych szarych chmur. Mimo tego wewnątrz było miło i przytulnie.

„Brakuje tylko świątecznych lampek” – pomyślał.

Siedział na szerokim łóżku i napawał się widokiem. To, na co patrzył, było efektem jego własnej ciężkiej pracy. A jeszcze nie tak dawno wszystko, co miał, ograniczało się do zaniedbanego mieszkania w Bolonii i bogatej kolekcji pustych butelek po whisky. Dwa lata temu nikt nie dałby za niego złamanego centa.

„No, może nie całkiem nikt” – poprawił się w myślach, spoglądając na ręcznie wykonany nieforemny gliniany pucharek stojący na półce nad łóżkiem. Otrzymał go od Aurory w dniu zakończenia terapii. Zdobiące go fantastyczne skrzydlate motyle, anioły i jednorożce miały go ochronić przed powrotem do nałogu. Dobrze zapamiętał słowa dziewczyny, gdy mu go wręczała: „To jest twoja nagroda. Oddzieliłam dla ciebie to, co skończone, od tego, co wieczne. Wewnątrz tego naczynia jest zamknięte wszystko to, co należy do przeszłości. To, co dla nas najważniejsze, na wieczność pozostanie we wszechświecie. Nigdy go nie otwieraj”.

Zatopiony we wspomnieniach wzdrygnął się nagle. Jego stopa zetknęła się z jakimś zimnym przedmiotem. Była to rzeźba, którą upchnął pod łóżkiem, nie wiedząc, co ma z nią zrobić. Przez chwilę walczył z pokusą, aby postawić ją na kominku, ale uznał, że oszpeciliby tylko otoczenie. Tknięty nagłą myślą podniósł

się z łóżka i podszedł do stojącego na niewysokiej antresoli biurka. Nawet w tym miejscu widoczne było jego zamiłowanie do porządku. Na świecącej fioletowymi LED-ami obudowie komputera nie było ani grama kurzu. Dwa sprzężone ze sobą pokaźne monitory wyglądały, jakby przed chwilą przyjechały ze sklepu. Codziennie rano, jeszcze przed porannym espresso, przecierał je specjalną szmatką. Nie znosił brudu, a komputer był jego źródłem utrzymania, a nawet bogactwa, które zdobył, co sam przed sobą przyznawał, w nie całkiem etyczny sposób.

Wystukał na klawiaturze hasło i wszedł na swojego bloga. Pod zdjęciem mężczyzny, które upublicznił rano, było już około dwustu polubień i cała masa różnorodnych komentarzy. Oprócz głosów przejętych internautów, którzy rozsądnie radzili, aby zgłosić się z tym zdjęciem na policję, tu i ówdzie pojawiały się prześmiewcze i nienawistne uwagi od internetowych trolli.

„Zepchnij go do rzeki, niech popływa! Takich pasożytów mamy dość!” – pisał ed89.

„Trawę palisz, w roślinę się zamienisz” – dzielił się mądrością mario665.

„Ja pier... co za ty, wygląda jak jakiś *serial killer*, lepiej stamtąd zwiewaj!” – rzuciła madonnadeimatti.

Massimo już dawno przestał się przejmować podobnymi komentarzami. Zdawał sobie jednak sprawę, że za każdym z nich krył się followers, a to z kolei przekładało się na wpływy z reklam. Nie odpowiadał też na żadne zaczepki. Ograniczał się do wstawiania serduszek pod losowo wybranymi komentarzami. Nie ważne jakimi, ważne, żeby obserwujący czuli się docenieni. Szczególnie kobiety, bo to one najczęściej śledziły jego profil. Przewijał ekran i automatycznym ruchem wstawiał lajki.

Nagle z głębi pomieszczenia dobiegł go delikatny gong dzwonka u drzwi.

W jednej sekundzie serce skoczyło mu do gardła. Zatopiony w myślach, zapomniał o najważniejszym wydarzeniu, jakie czekało go tego dnia. Pobiegł do drzwi i otworzył je pełnym wigoru ruchem.

Stojąca na ganku wysoka, szczupła, niemal chuda dziewczyna patrzyła na niego wielkimi zielonobrązowymi oczami.

Jej długie i kręcone, sięgające prawie do talii rude włosy były całkowicie przemoczone, podobnie jak długa parka w kolorze oliwki, którą miała na sobie. Zamiast przywitania pociągnęła nosem i kichnęła głośno, zasłaniając usta smukłą dłonią przyozdobioną srebrnymi pierścionkami. Przepłoszony kichnięciem szary motyl, który szukając schronienia przed deszczem, usiadł na wypchanym do granic możliwości plecaku dziewczyny, uniósł się do nieba, zataczając szerokie kręgi.

„Motyle to dusze zmarłych, które przychodzą nas odwiedzić” – przypomniał sobie nieoczekiwanie dawny ludowy przesąd.

– Wpuścisz mnie? – zapytała zakatarzonym głosem.

Bez słowa ściągnął jej z ramienia ciężki tobił i odsunął się od drzwi. Dziewczyna przekroczyła próg i przeszła przez pomieszczenie w kierunku kominka. Jej oblepione błotem martensy pozostawiły mokre ślady na jasnych kafelkach. Widząc to, Massimo skrzywił się boleśnie. Postawił plecak przy ścianie, podszedł do niej i stanął obok, czekając cierpliwie, aż zechce zwrócić na niego uwagę. Szczere mówiąc, liczył na bardziej entuzjastyczne przywitanie. To miał być ich wielki dzień. Dzień, w którym nareszcie zamieszkają razem.

– Cieszę się, że jesteś, Bambi – powiedział, próbując rozładować tę nieoczekiwane poważną atmosferę.

Na dźwięk przezwiska, którym na całym świecie nazywał ją tylko on, dziewczyna drgnęła i odwróciła się od kominka. Bez słowa padła mu w objęcia i oplótła go długimi ramionami. Była tak drobna, że nawet przez kurtkę czuł jej kościste żebra. Mimo tego ścisłała go mocno, jakby chciała wcisnąć go w siebie.

– Uduśisz mnie – zaprotestował z uśmiechem. Uścisk nie zelżał ani trochę. Nie widział jej twarzy, ale mógłby się założyć, że oprócz kropel deszczu po jej policzkach ściekały łzy.

– Myślałem, że się będziesz cieszyć. Tak długo na to czekaliśmy.

– No, właśnie nie wiem, czy nie za długo. – Usłyszał jej cichą odpowiedź.

Z trudem odkleił ją od siebie i spojrzał w jej załzawione sarnie oczy.

– Co ty mówisz, kochanie. Przecież jeszcze wczoraj przez telefon...

Przerwała mu, kładąc zimną dłoń na jego ustach. Poczul zapach jej ciała i zrobiło mu się miękko w kolanach. Tylko na nią reagował w ten sposób. On, grubokościasty facet z twardym tyłkiem, który niejedne cięgi już zebrał od życia. Miał tyle partnerek, że nie pamiętał nawet ich imion, tym bardziej że wiele z nich zaliczył po pijaku. Jednak gdy dwa lata temu pierwszy raz zobaczył Aurorę, jego ciało zareagowało dokładnie w ten sam sposób. Usiadła koło niego na sesji terapeutycznej w ośrodku leczenia uzależnień. Kiedy poczul jej zapach będący mieszanką perfum i młodego kobiecego ciała, ogarnęła go ta sama co teraz fala palącego podniecenia. Tak jak wtedy, nie potrafił powstrzymać narastającej erekcji. Chwycił ją wokół talii, podniósł do góry jakby była zabawką dla dzieci i zaczął nieść w stronę łóżka. Pragnął jej tak bardzo, że oczy zaszczyły mu mgłą.

– Poczekaj! – krzyknęła, studząc jego emocje.

Postawił ją posłusznie na ziemi.

– Poczekaj – powiedziała już łagodniej. – Na wszystko przyjdzie pora, Grubasie – nazwała go jego ulubionym przezwiskiem i po raz pierwszy promiennie się uśmiechnęła.

– Nareszcie – powiedział z ulgą. Podniecenie przeszło w rozczulenie. – Już myślałem, że żałujesz, że tu przyjechałaś.

– Żałować to ty jeszcze będziesz, jak się tu rozpanoszę – powiedziała już zupełnie pogodnym głosem i zaczęła zdejmować z siebie przemoczoną kurtkę. Rzuciła ją wprost na podłogę i usiadła na kuchennym krześle, aby rozsznurować buty. Massimo posłusznie podniósł parkę i odniósł ją na wieszak przy drzwiach. Wiedział, na co się pisał. Był gotów podnosić z ziemi jej ubrania, sprzątać po niej, gotować dla niej i prać jej brudne skarpetki. Był gotów na wszystko w zamian za jej bliskość.

Kiedy kilka godzin później położyli się spać upojeni czerwonym winem, znów nie pozwoliła mu się zbliżyć. Odżalał się i pocieszył się wtuleniem czoła między jej wystające łopatki. Jej zapach obezwładnił go i zasnął jak małe dziecko.

Obudziła go w środku nocy, całując go po całym ciele z gwałtownością dziękowego zwierzęcia.

Siłą obróciła go na plecy i wskoczyła na niego, wsuwając w siebie jego narzmiąłą męskość. Trzymał ręce na jej niewielkich, ale kształtnych piersiach. Rozkosz rozsadzała mu lędźwie. Aurora omiatała jego twarz burzą rozpuszczonych włosów. Czuł na sobie jej gorący oddech. Podskakiwała na nim coraz gwałtowniej, zbliżając się do spazmatycznego orgazmu. Miękkie materac falował pod nimi jak wzburzone morze.

Dokładnie w momencie, w którym szczytował, poczuł, jak jego plecy uderzają o coś twardego. Przypomniał sobie martwe oczy spoczywającej pod łóżkiem rzeźby i w jego szczęście wdarło się nagłe uczucie niepokoju.

Szadź

Dalsza rozmowa z recepcjonistką nie miała żadnego sensu. I tak powiedziała już wszystko, co wiedziała na temat zaginięcia Sary.

Davide wyszedł przed pałac Marfisy d'Este. Dmuchał w zmarznięte dłonie, podziwiał czerwono-niebieskie światła, które zbliżając się w jego kierunku, rozświetlały ceglane fasady renesansowych kamienic stojących po obu stronach zaśnieżonej ulicy. Po chwili ozdobiony czerwonymi pasami ciemnoniebieski jeep z białym dachem i napisem CARABINIERI na bokach dojechał na miejsce i zatrzymał się tuż przed dziennikarzem. Młody i dobrze zbudowany funkcjonariusz, który z niego wysiadł, nie nosił munduru. Jego ubiór nie tylko nie licował z powagą władzy, którą reprezentował, ale był też zupełnie niedopasowany do panującej w mieście aury. Pod rozpiętą ciemnogramatową wiatrówką mężczyzna miał na sobie jedynie lekko pognieciony T-shirt, spod którego wystawała końcówka czarnej kabury na pistolet. Funkcjonariusz pstryknął palcami, odrzucając niedopalony papieros w stronę pryzmy śniegu usypanej na skraju ulicy. Przejechał dłonią po gęstej czuprynie i kiwnął głową w stronę Davida.

– Siemano, bohaterze! Jak leci?

Dziennikarz nienawidził słowa „bohater”. Od kilku miesięcy tytułowały go tak lokalne media, a jeszcze częściej prześmiewcze komentarze w internecie.

– Odwal się, Giacomo – odpowiedział ponurym tonem funkcjonariuszowi. Znali się dobrze. Może nawet aż za dobrze, mając na uwadze fakt, że Giacomo był obecnym partnerem dawnej dziewczyny Davida, Diany.

– Co to za dąsy, młody? Okres masz czy rajtuzy cię uwierają? – Karabinier nie był typem wrażliwca.

– Nie mam dziś ochoty na żarciki – powiedział poważnie dziennikarz. Wieść o zaginięciu Sary pozbawiła go resztek poczucia humoru.

– Gdzie Diana? – zapytał krótko.

Tęsknił za dawno nie widzianą eks, z którą wciąż łączyła go przyjaźń. Nie mówiąc już o tym, że dziewczyna nosiła stopień kapitana i była bezpośrednią przełożoną Giacomą. W sprawie zaginięcia Sary mogła działać znacznie więcej niż ktokolwiek inny.

– Jak to, gdzie Diana? Nie mów, że nic nie wiesz! – Giacomo nie ukrywał zdziwienia. – W zeszłym tygodniu przyszedł rozkaz z ministerstwa. Odwołali ją i przenieśli do Bolonii, do TPC. To ci od kradzieży dzieł sztuki i takich tam – doprecyzował.

Davidę kompletnie zaskoczyła ta wiadomość. Diana dopiero co została komendantem karabinierów w całej prowincji Ferrary.

– Ale jak to ją przenieśli? Dostała nowy awans?!

Giacomo prychnął zniesmaczony.

– Awans?! Potraktowali ją jak śmiecia! To wstyd dla całej służby. Jakiemuś dupkowi u władzy nie spodobało się, że kobieta rządzi facetami. Jakbym znalazł tego polityka, to bym mu w podziękowaniu przybił piąteczkę. Prosto w tępy ryj!

Dziennikarz widział już Giacomę w akcji i wiedział, że nie są to tylko męskie przechwałki.

– No, ale... może jej się tam chociaż spodoba? W tej Bolonii? – zapytał ostrożnie.

– Podoba?! Człowieku, oni ją wsadzili do archiwum! Do pieprzonej biblioteki! Jak jakąś... nutrie! – wysapał czerwony ze złości karabinier.

Davidę spuścił głowę. Nie chciał pokazać smutku, który miał wypisany na twarzy.

Nie umknęło to uwadze doświadczonego śledczego.

– Dobra, wiem, co czujesz – powiedział już spokojnym głosem. – I że jesteś zawiedziony, bo o niczym ci nie powiedziała. Ale uwierz mi, że ona to mocno przeżywa. Wynajęła sobie apartament w Bolonii i nawet do mnie się nie odzywa.

– Zerwaliście? – wyrwało się dziennikarzowi.

Giacomo zignorował to pytanie.

– Posłuchaj – powiedział z namysłem, chwytając Davidę za ramię. – Lubię cię, chłopaku, i wbrew temu, co myślisz, szanuję za to, co zrobiłeś. – Odniósł się do wydarzeń z przeszłości. – I doskonale wiem, że ta cała Sara Rossi była ci... jest ci bliska. Zrobię, co mogę, żeby ją znaleźć, przysięgam. Więc teraz wejdź ze mną grzecznie do środka, pomóż mi pozadawać właściwe pytania, bo znasz dziewczynę lepiej ode mnie, i jak skończymy, to odwiozę cię do domu, bo jeszcze

w tym całym śniegu zgrabne nóżki sobie połamiesz, a potem Diana wyrwie mi moje. – Uśmiechnął się kącikiem ust.

Davide zrezygnowany kiwnął głową i wszedł za karabinierem do ciepłego wnętrza recepcji.

* * *

Trzy godziny później w niewielkiej i pustej o tej porze redakcji „Il Giornale Pomeridiano” Davide siedział przy biurku naczelnego redaktora i z trudem utrzymywał w pionie senną i pijaną głowę.

Giacomo dołał mu do szklanki bursztynowego płynu.

– Pij, chłopcze. Czasem trzeba się trochę znieczulić – powiedział filozoficznie. – A ty masz całkiem sporo powodów i wcale ci nie zazdroszczę. – Upił łyk ze swojej szklanki.

– Niby odziedziczyłeś ten cały biznes, ale straciłeś wszystkich bliskich... Rodziców, a potem tego starego mądrałę Montanarię, dzięki któremu masz tę redakcję. Swoją drogą to naprawdę dziwne. – Pokręcił głową. – Chłop wyszedł i nie wrócił. Tak jak teraz ta cała Sara Rossi. Mam nadzieję, że przynajmniej po niej jakiś trop pozostał, bo stary to przepadł jak kamfora. A jak tam twoja piękna Olivia? – Postanowił zmienić temat. Niezbyt fortunnie, bo narzeczona Davida była kolejną osobą, która zniknęła z jego życia. Karabinier był jednak zbyt gruboskórny, aby brać pod uwagę takie niuanse.

– Słyszałem, że pisze do ciebie listy? – zagadnął, brnąc coraz dalej w nieprzyjemne dla dziennikarza tematy.

Olivia uciekła po tym, jak przywłaszczyła sobie pewien niezwykle cenny klejnot, do którego prawa rościł sobie państwowy nadzór nad dziedzictwem kulturowym. Władz ani trochę nie obchodziło, że kosztowność należała się jej w spadku, ani to, że zamierzała przeznaczyć ją na charytatywne cele. Od miesięcy kontaktowała się z Davidem, nie zdradzając miejsca swojego pobytu. Początkowo rzeczywiście pisali listy, które przekazywali sobie poprzez łańcuszek zaufanych osób, ale od kiedy odkryli szyfrowane komunikatory, zaczęli korzystać z bardziej nowoczesnych metod. Ostatnio jednak dziewczyna odzywała się coraz rzadziej, a w tym, co pisała, brak było dawnej czułości. Pogłębiało to podły nastrój dziennikarza.

– Jakie znowu listy? Nic o niej nie wiem, odkąd uciekła – skłamał Davide słabym głosem. Nie miał ochoty o tym rozmawiać, a poza tym nie zapomniał, że każdy tajniak jest gliną także po służbie.

Zrobiło mu się niedobrze. Schował głowę między opartymi o biurko ramionami i zamknął oczy. Przed oczami wirowały mu półprzeźroczyste kręgi. Wolał skupić się na nich, niż myśleć o Olivii.

– Jaaaasne. – Karabinier wykrzywił twarz w ironicznym uśmiechu. – Nic do niej nie mam, młody, ale numer odwinęła niezły. Ta zajumana błyskotka jest ponoć warta grubego majątek. Twoja słodka blondyneczka wykantowała cię, tak jak wszystkich innych. Ech, te baby... – W myślach mignęła mu twarz Diany. Wzdrygnął się.

– A, co tam! Napijmy się! – Wzniósł toast butelką i spojrzał na nieruchomą sylwetkę dziennikarza.

– Porządny z ciebie chłopak – dodał znacznie ciszej, jakby mówił bardziej do siebie niż do Davida. – Niegłupi jesteś i potrafisz kąsać, kiedy trzeba. Jakbyś nie był taki wrażliwiec, to byś nawet gliną mógł zostać. Ale zrobię jeszcze z ciebie mężczyźnę, zobaczysz. Nie odpuszczę, dopóki nie nauczysz się łać w mordę, strzelać i chłać. A baby są nam niepotrzebne. Tylko kłopoty przynoszą.

Podniósł się z miękkiego skózanego fotela, który należał do poprzedniego właściciela gazety, Enrica Montanariego, i podszedł do śpiącego dziennikarza. Wyjął z jego bezwładnej dłoni szklanekę z resztką grappy i zarzucił mu na ramię zimową kurtkę.

Upił ostatni łyk z butelki, którą trzymał w dłoni, i podszedł do okna. Z natury nie był skłonny do refleksji. Prowadził proste żołnierskie życie. Może pod wpływem wypitego alkoholu widok, który zobaczył, przykuł jednak jego uwagę.

Ścięta nagłym spadkiem temperatury, panująca przez cały rok w tym regionie wilgoć zmaterializowała się w postaci kryształków lodu osadzających się na szymbach, parapetach, antenach i masztach. Nawet na fladze dzielnicy Santa Maria in Vado, którą wierny dawnym tradycjom i miejscu swojego wychowania Davide wywiesił za oknem redakcji. Wszystko pokrywała biała, błyszcząca w świetle ulicznych latarni szadź.

„Jak pieprzona rdza, która zeżre nas wszystkich” – sam nie wiedział, dlaczego przyszło mu to do głowy.

Odszedł od okna. Nawet po alkoholu dawał o sobie znać jego lęk wysokości, przez który dawno temu wyrzucono go z elitarnej wojskowej jednostki. Zrobiło mu się zimno. Odstawił pustą butelkę na biurko, zapiął szczelnie kurtkę i skierował się w stronę korytarza. Przed drzwiami zatrzymał się przy termostacie i podniósł temperaturę ogrzewania o kilka stopni. Zgasił światło i wyszedł.

Głowa

Szary jesienny poranek nie napawał optymizmem, ale Massimowi zupełnie to nie przeszkadzało. Widok na ociekające zimnym deszczem szyby zasłaniały mu dwie jędrne, spiczaste piersi unoszące się i opadające w takt spokojnego oddechu śpiącej obok niego Aurory. Długo czekał na ten moment, kiedy po pokonaniu wszystkich przeszkód będą mogli nareszcie być razem. To była jego nagroda, a właściwie jej przedsmak.

Przypomniawszy sobie słowa przyjaciela, z którym się wychował. Mieli wtedy po szesnaście lat i gdy jego kompan odbył swój pierwszy w życiu stosunek, zwierzył mu się, że właśnie w tym dniu chciałby umrzeć.

– Ale dlaczego!?! – Massimo nie mógł zrozumieć.

– Ponieważ nigdy już nie będę równie szczęśliwy – odparł przyjaciel.

Patrzącemu na delikatne, szczupłe i doskonale uformowane ciało ukochanej Massimowi daleko było do chęci umierania, ale nie mógł nie przyznać, że w słowach dawnego druha tkwiła jakaś trudna do odrzucenia mądrość.

Pokonując nieodpartą chęć przyłgnięcia ustami do falującego mu przed oczami sutka, zwałował się z łóżka, starając się robić jak najmniej hałasu. Mimo jego starań Aurora drgnęła, przeciągnęła się przez sen i mrużąc jak kotka, przewróciła się na brzuch, zastygając z wysuniętym w bok kolaniem.

„Chryste!” – pomyślał Massimo na widok jej drobnych pośladków i szeroko otwartych ud, między którymi dumnie i bezwstydnie otwierała się naga szczelina prowadząca wprost do jej wilgotnego wnętrza. Pochylił się i nie dotykając dziewczyny, zaciągnął się zapachem jej łona. Ukoiliło go uczucie spokoju i błogości.

„Teraz mamy na to wszystko wieczność” pomyślał.

Gdyby wiedział, jak tragicznie mylna była jego prognoza, z pewnością po załatwieniu porannych potrzeb wróciłby do ciepłego łóżka, objąłby swoją ukochaną,

obudził ją gorącymi pocałunkami i wdarł się do słodkiego raju, którego bramę obserwował przed chwilą z tak wielkim podziwem.

Zamiast tego, drapiąc się po kroczu, poczłapał na bosaka w stronę kuchni i wciąż uważając, by nie zakłócić snu dziewczyny, zaczął przygotowywać śniadanie.

Zrezygnował z uruchomienia głośnego ekspresu. Wyjął z szafki kawiarkę, którą nabił starannie mieloną kawą, napełnił wodą i postawił na płycie kuchenki. Wydobyte z otchłani zamrażalnika rogaliki cornetti rumieniły się w piekarniku, gdy Aurora, wyczuwając rozchodzący się po pomieszczeniu aromat kawy, przewróciła się na plecy i wyciągając za siebie ręce, otworzyła oczy.

– Dzień dobry, Sarenko – przywitał ją, z uśmiechem zasłaniając przyrodzenie papierowym ręcznikiem.

– Przecież wiesz, że nie lubię, jak tak na mnie mówisz – odparła. – I wyrzuć ten ręcznik, bo nie masz się czego wstydzić. Daj się napatrzeć – dodała, mrugając do niego okiem.

– Jak sobie życzysz, Bambi.

– Max! – Znów skarciła go wzrokiem.

– Och, już dobrze – powiedział, rzucając ręcznik do zlewu. – Już sam nie wiem, jak na ciebie mówić.

– Wystarczy Aurora – odparła.

– A może być Auri? – zapytał, używając zdrobnienia jej imienia. – Moja Auri... – poprawił się, akcentując słowo „moja”.

– Może. Ciągle „może”... – odparła, odwracając wzrok w stronę załzawionego deszczem okna.

Wyczuwając kolejne natarcie nadchodzącej melancholii, której powodów wciąż nie mógł zrozumieć, przybiegł szybko z tacą rogalików i dwoma dymiącymi filiżankami kawy. Usiadł ostrożnie na łóżku i pękając z dumy niczym grecki heros, oznajmił.

– Zobacz, jak dbam o moją Auri! Przy mnie się jeszcze roztyjesz! – Zaśmiał się, odsłaniając białe zęby.

– Ha, ha, bardzo śmieszne! – odparowała na zaczepkę dziewczyna. Rzuciła się jednak łapczywie na rogaliki. Odejmując filiżankę od ust, zerknęła z ukosa na Massima.

– Kocham Cię, Max – powiedziała pozornie obojętnym tonem, jakby prosiła o sól.

Zwilgotniały mu oczy. Ukrył to za pomocą błyskawicznej riposty.

– No i właśnie dlatego... To *cornetto* jest moje! – krzyknął, porywając z tacy ostatniego rogalika.

– On był móóóój! – zawołała dziewczyna z udawaną złością. – Oddawaj, Grubasie! – Rzuciła się na niego, wysypując na łóżko okruchy i przewracając puste już, na szczęście, filiżanki.

Zapatrzony w zbeczeszczoną w ten sposób pościel Massimo odruchowo wyciągnął nad siebie rękę, którą trzymał rogalik i uczepioną go dziewczynę. Ta, lekka jak piórko, pociągnięta z niemalą siłą, wypadła z łóżka i wyrznęła o podłogę z głośnym plaśnięciem. Przerażony mężczyzna spojrział na nią z wciąż uniesionym wysoko *cornetto*.

Aurora leżała na ziemi rozczapierzona jak żaba. Nie widział jej twarzy, którą zasłaniała ramą łóżka. Widząc, że dziewczyna się nie rusza, modlił się w duchu, aby nie wypłynęła stamtąd strużka krwi. Odrzucił rogalika, który wysokim łukiem poszybował w kierunku szafy. Wygrzebał się z pościeli i padł na kolana obok ukochanej.

– O Boże!! Co ci się stało?! Aurora!! – Zaczął wpadać w panikę.

– Nie wrzeszcz! – dobiegł go stłumiony głos dziewczyny. – Czy możesz mi wytłumaczyć, skąd to masz? – zapytała, nie zmieniając pozycji. – I co, do cholery, rzeźba Modiglianiego robi pod twoim łóżkiem?

* * *

Kilka chwil później ubrani w białe frotowe szlafroki siedzieli naprzeciw siebie przy kuchennym stole i spoglądali na stojącą między nimi głowę. Massimo robił to właściwie tylko dla towarzystwa. Z większą uwagą i zrozumieniem wpatrywały się w kawał parmezanu. Sztuka była dla niego pojęciem abstrakcyjnym. Z nich dwojga tylko Aurora miała o niej pojęcie. I to niemałe. Imiała się w życiu różnych zajęć. Malowała i sprzedawała swoje obrazy, wytwarzała biżuterię, którą wystawiała w butikach w Bolonii. Ale jej wyuczonym zawodem i największą pasją była konserwacja zabytków.

Pociągnęła w dół kuchenną lampę zwisającą z sufitu na długiej sprężynie. Było już prawie południe, ale szaruga za oknem skutecznie ograniczała dopływ dziennego światła. Obróciła kamienną głowę, która zazgrzytała, rysując marmurowy blat. Massimo skrzywił się boleśnie. Dziewczyna zbliżyła się, aby lepiej zobaczyć szczegóły.

– Cholera... – wyrwało jej się. – To prawie niemożliwe, ale wygląda jak oryginał...

– Tego, jak mu tam, Modiglianiego? – zapytał rzeczowo Massimo. – I dlaczego to takie niemożliwe?

– Bo to najczęściej fałszowany artysta w historii – odparła, nie odrywając wzroku od rzeźby. – Ale jeśli tę głowę zrobił jakiś fałszerz, to powiedziałabym, że musiał być bardzo utalentowany. Zobacz. – Wskazała palcem. – Te wielkie oczy w kształcie migdałów, które wydają się puste, bo nie mają źrenic. Długi, prosty, spłaszczony nos osadzony w nienaturalnie wydłużonej twarzy przypominającej posągi *moai* z Wyspy Wielkanocnej. Wszystko jak u Modiglianiego. Na samej górze rzeźby znalazłam taki mały starty stempelek. Jakby ktoś ją oznakował. Może to znak jakiejś galerii sztuki? Albo kolekcjonera? Niestety, nie widać tu już prawie nic. Ale to, co najciekawsze, znajduje się niżej.

Z niemałym trudem podniosła ciężką głowę i obróciła ją tak, aby jej partner mógł zobaczyć podstawę rzeźby. Szpiczasty podbródek kamiennej twarzy stykał się z niewielkim, płasko wyciosanym owalem, na którym, jak na kamiennej tabliczce, zostały wyryte jakieś nic niemówiące Massimowi symbole.

– Co to za kulfony? – zapytał.

– Te kulfony, proszę pana. – Głos Aurory przybrał nauczycielski ton. – To jest największy dowód na autentyczność tej głowy. To są symbole astrologiczne. I jakieś hebrajskie litery.

– To on był Żydem? I astronomem? Ten Modigliani? – Massimowi było to właściwie obojętne, ale powoli zaczynał mu się udzielać entuzjazm badacza, który emanował z oczu dziewczyny.

– Po pierwsze, nie astronomem, tylko astrologiem i nie, nie był nim, ale interesował się ezoteryką i astrologią. I owszem, był Żydem. Podobno nawet bardzo wtajemniczonym.

– W co wtajemniczonym?

– W kabałę. Najstarszą znaną nam naukę o... – Szukała właściwego słowa.

– O?

Postanowiła wytłumaczyć mu to jak najprościej.

– O magii.

Zapadła cisza.

Nagle Massimo parsknął niepohamowanym śmiechem.

– No co!... – Aurora chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ciężki kamień wysliznął jej się z dłoni i rzeźba z hukiem wylądowała na stole, wyrzynając w jasnym marmurze blatu brzydką rysę.

– *Porca...!* – krzyknął odruchowo mężczyzna i ugryzł się w język, aby zaraz po przekleństwie nie wykrzyknąć imienia któregoś ze świętych.

– *Maledizone!* – Dziewczyna w przeciwieństwie do niego się nie hamowała. – *Porco Giuda!* – klęła niczym kierowca ciężarówki z dwudziestoletnim stażem. Nie patrzyła jednak na rysę.

Minęła chwila, zanim Massimo uświadomił sobie, że upadek spowodował jeszcze jedną szkodę. Na stole leżał niewielki fragment kamienia, który odłupał się od rzeźby.

Wziął go do ręki. Lustrując uważnie powierzchnię kamiennej twarzy, próbował do niej dopasować oderwany kawałek.

– Tu nic nie odleciało – oznajmił.

– Może to tylko gdzieś z dołu?

W sparaliżowaną z obawy o potencjalnie cenne dzieło sztuki Aurorę wstąpiła nadzieja. Massimo delikatnie przewrócił kamienną głowę i spojrział na spodnią część podstawy. Od razu zauważył niewielką wyrwę w kamieniu. Nie musiał nawet przykładać do niej oderwanego fragmentu.

– Eee – powiedział uspokajająco. – Trochę kleju i...

– Pokaż mi to! – przerwała mu gwałtownie dziewczyna.

Posłusznie wyciągnął do niej rękę z ukruszonym kamieniem.

– Nie to! – zachnęła się. – Rzeźbę!

Nie zdążył wykonać tego stanowczego polecenia, bo dziewczyna zerwała się z krzesła, uklękła obok i opierając się podbródkiem o jego łokieć, zaczęła intensywnie wpatrywać się w kamienną podstawę.

– Tu jest jeszcze jakiś hebrajski znak. Jaśniejszy od poprzednich i taki jakiś pokrzywiony. Zupełnie jakby go ktoś inny wydrapał i to w dodatku paznokciem. A obok niego jeszcze jeden, chyba starszy, bo trochę zatarty – powiedziała przejęta. – „Aelia LC” – przeczytała z trudem. – To musi być po łacinie! – powiedziała sama do siebie. – To by znaczyło...

– Że? – ponaglił ją mężczyzna.

– Że to raczej fałszywka – westchnęła rozczarowana. – Modigliani nigdy nie pisał po łacinie. Po włosku tak. Po francusku, po hebrajsku i w jidysz. Ale nie słyszałam, żeby podpisywał się po łacinie. Ta cała Aelia to pewnie imię albo pseudonim fałszerza.

– Albo fałszerki – zauważył przytomnie Massimo.

– Tak. Może i fałszerki – przytaknęła.

– No a „LC”? Nazwisko? – zapytał, zastanawiając się jednocześnie, skąd wziąć klej na tyle mocny, żeby trwale i bez śladu zespolił ze sobą dwa kawałki kamienia.

– Tak, to mogą być inicjały prawdziwego imienia i nazwiska tej osoby. Albo... – Coś przyszło jej do głowy. – Mam! – Ucieszyła się. – Data!

– Aha. Też łacińska. – Domyślił się. – I co to za data?

Sam nigdy by tego nie odgadł. Znał się wprawdzie na programowaniu, ale rzymska numeracja była mu zupełnie obca.

– Dziewięćdziesiąt – odparła dziewczyna.

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt! – wyrecytowali razem.

Massimo już z dużo mniejszą dbałością postawił rzeźbę na podstawie. I tak była fałszywa. I uszkodzona. Tak jak stół. Westchnął smutno.

– Nie przejmuj się, kochanie – powiedział do Aurory. – Na sztuce się nie znam, ale gwarantuję ci, że i tak zarobimy na tym pieniądze. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Dziewczyna milczała. Pieniądze były jej ostatnim zmartwieniem. Ale było jeszcze za wcześnie na poważną rozmowę z Massimem. Nawet nie była pewna, czy jej chce i czy powinna ją odbyć. Odwróciła wzrok w stronę okna. Drewno w kominiku przygasało. Pogoda była niezmiennie szara, jakby czas zatrzymał się w miejscu, a słońce przestało wschodzić i zachodzić. Cała trójka – on, ona i rzeźba – wpatrywała się w mgłę, jakby przeczuwając, że stamtąd nadejdzie coś, co odmieni ich życie.

Kres

Tonące w półmroku pomieszczenie w niczym nie przypominało szpitalnej sali. Wykonane z ciemnego drewna rustykalne szafki i kredensy doskonale pasowały do wnętrza wiekowego wiejskiego domu. Nowoczesna aparatura medyczna stojąca przy masywnym łóżku z misternie rzeźbioną ramą wywołałaby ból zębów u każdego projektanta wnętrz, lecz najwyraźniej była niezbędna do podtrzymywania lub kontrolowania funkcji życiowych leżącej w łóżku młodej kobiety. Kobieta leżała nieruchomo, ale jej otwarte oczy przytomnie wpatrywały się w wiszący naprzeciw niej naścienny zegar.

Gdy drzwi pomieszczenia się otworzyły, spojrzała w ich kierunku. W jej oczach pojawił się nieukrywany lęk. Mężczyzna, który stanął w progu, trzymał w rękach srebrną tacę. Panująca w pokoju ciemność nie pozwalała dostrzec jego twarzy, ale kobieta wyraźnie usłyszała jego słowa.

– Już czas.

Podszedł do łóżka i postawił tacę na kredensie. Podniósł z niej coś i usiadł na łóżku. Przez chwilę patrzył w milczeniu na kobietę, po czym bez słowa zaczął przywiązywać jej nadgarstki do ramy łóżka.

Kobieta zaczęła wierzgać. Z jej gardła wydobywało się ciche rzęzenie. Szczelnie przylegająca do twarzy maska z tlenem nie pozwalała jej krzyczeć. Gdy mężczyzna przeszedł do krępowania nóg, jej opór zelżał. Mężczyzna dokończył swoją czynność i ponownie spojrzął w jej wypełnione łzami oczy.

– Przykro mi – powiedział, nie okazując emocji. – Wiedziałaś, że to się tak skończy. Zaraz będzie po wszystkim. Nic nie poczujesz – dodał na pocieszenie.

Drzwi pokoju znów się otworzyły. Stanęła w nich wysoka postać.

– Masz? – zapytał mężczyzna.

– Tak – potwierdził młody męski głos.

Nowoprzybyły przeszedł przez pokój i przypiął plastikową butelkę do stojącej po drugiej stronie łóżka kropłówki. Odkręcił do oporu plastikowy zaworek na wężyku. Przeźroczysty płyn popłynął do wenflonu tkwiącego w dłoni kobiety.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Zakłócał ją jedynie dźwięk jesiennej ulewy odbijającej się od dachówek nad ich głowami. Mężczyźni mimowolnie spojrzeli w kierunku krokwi podtrzymujących drewniany strop. Z zadumy wyrwał ich głośny dźwięk elektronicznego alarmu wydobywający się z aparatury medycznej.

Siedzący na łóżku ściągnął znieruchomiałej kobiecie klips z palca i alarm uciął. Odwrócił się w kierunku towarzysza i westchnął.

– Mam tego dość. Ona była do końca przytomna. Ta mieszanka jest za słaba. Trzeba ją wzmocnić albo wymyśleć jakiś inny sposób.

– Mówiłem przecież! – odparł energicznie wysoki młodzieniec. – Zastrzyk albo gaz. Ja bym stawiał na gaz. To bardziej praktyczne. Jakby się zrobiło odpowiednią instalację, to nie trzeba by tu nawet wchodzić. Jak chcesz, to...

– Nie teraz – uciął starszy. – Teraz musisz się spieszyć. Zaraz zaczniesz stygnąć. – Gestem podbródka wskazał wykrzywioną w pośmiertnym grymasie twarz kobiety. Spod maski tlenowej wyciekały kropelki gęstej śliny, które zaczynały plamić poduszkę. Zaczął ją odwiązywać.

– Zabierz ją do siebie – zwrócił się ponownie do towarzysza. – Przygotuj ją. Masz czas do jutra. Jutro wieczorem ją pogrzebiemy.

– Gdzie?

– Jak to gdzie? – Starszy mężczyzna wstał i zaczął składać aparaturę. – W lasku za szklarnią.

– Ale... tam już nie ma miejsca. – Młodzieniec się zawahał.

Mężczyzna zastygł w bezruchu. Miał tyle problemów na głowie. „Gówniarz mógłby mieć trochę więcej inicjatywy” – pomyślał. Przecież tyle już dla niego zrobił.

– Wymyślisz coś. – Klepnął go w ramię, wychodząc z tacą i kłębkami pasków zaciskowych w ręce.

Młodzieniec podszedł do kobiety. Bez maski i w bladym oświetleniu lampki nocnej wydawała się bardzo piękna. Poprawił jej kosmyk włosów opadający na wciąż otwarte, zastygłe w agonii oczy.

– Będiesz żyła wiecznie – powiedział z uśmiechem.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

Noc cudów

Stopy Massima zaplątały się w porozrzucane obok łóżka ubrania Aurory i gdyby nie stojąca obok nocna szafka, o którą się oparł, upadłby z hukiem na podłogę, budząc śpiącą dziewczynę. Stłumił soczyste przekleństwo i najciszej, jak potrafił, poszedł do toalety. Był środek nocy, ale nie musiał zapalać światła. Cudownym zrządzeniem natury nieprzeniknione kłęby mgły się rozrzedziły i okolicę rozświetlił błądy blask księżycy. Idąc w stronę toalety, Massimo zobaczył swój cień niewyraźnie rysujący się na białej ścianie. Zamknął za sobą drzwi łazienki, uważając, żeby nie trzasnęły. Był półprzytomny, ale posłusznie opuścił po sobie deskę. Groźna mina Aurory, która wołała go za każdym razem, gdy zostawiał ją podniesioną, straszyla go nawet teraz. Zrezygnował ze spuszczenia wody. Wyszedł z łazienki i po cichu zaczął przemykać w stronę łóżka.

Przechodząc przez kuchnię, spojrział na podłogę. Od strony okna przez całe pomieszczenie szła długa łuna księżycowej poświaty. Powiodł za nią wzrokiem i nagle jego serce się zatrzymało. Na środku kuchennego stołu, tam, gdzie zostawił ją poprzedniego dnia, stała rzeźba głowy. Stała i świeciła się trupio szarym blaskiem. Wyglądała jak zjawa z taniego horroru.

Senność minęła Massimowi w jednej chwili. Podeszedł do rzeźby i przyjrzał się jej z bliska. Początkowo pomyślał, że jakiś żartowniś pokrył kamień warstwą fosforu. Wziął ją do ręki i chciał podejść z nią do biurka, lecz emitowane przez nią światło nagle zgasło. Odstawił ją z powrotem na stół. Unosząca się wokół niej błada poświata wróciła.

– Księżyc... – wyszeptał sam do siebie.

Z jakiegoś niewytłumaczonego powodu kamień rzeźby reagował na białe światło wpadające do pomieszczenia.

Nalał sobie szklankę wody i podeszedł do okna. Krajobraz był niezwykle malowniczy. Strzępki mgły przelatowały nad wałami i snuły się po polach. Niewyraźny, zamglony księżyc świecił zza chmur, wydobywając z ciemności kontury zabudo-

wań i drzew. „Brakuje tylko nietoperzy” – pomyślał. Gdy idąc w stronę biurka, miał głowę, nie mógł oprzeć się irracjonalnemu uczuciu, że ma do czynienia z czymś żywym.

Zgarnął z podłogi apaszkę Aurory i zarzucił ją na lampkę przy biurku. Włączył ją i otworzył laptop. Ustawił się tak, żeby światło monitora nie padało na łóżko i śpiącą w nim dziewczynę, i zaczął otwierać strony przeglądarki. Odruchowo kliknął w czerwoną kropkę przy nazwie swojego bloga. Otworzyła się długa lista lajków i komentarzy. Nie chciało mu się nawet ich czytać. Tu i ówdzie postawił serduszko. Zatrzymał się przy zdjęciu ładnej blondynki. „Uwielbiam Twój profil i te creepy klimaty. Oddana fanka!”. Otworzył jej profil i przewinął zdjęcia. Dziewczyna bez dwóch zdań była warta grzechu, a na dodatek miała ponad dziesięć tysięcy obserwujących. Takie fanki powiększały mu publiczność skuteczniej niż płatne reklamy. Otworzył okienko komentarzy i odpisał jej: „Czarnym sercem z Tobą, Modelko! Twoje sensualne piękno jest ozdobą mojego profilu!”. Spojrzał na stojącą w kuchni głowę. Skasował „jest ozdobą mojego profilu” i napisał „rozświetla mój profil”. Dodał ikonki czarnego serca i ust złożonych do pocałunku. Zamknął bloga i przeszedł do wyszukiwarki. Wpisał słowa kluczowe „modigliani, rzeźby, fałszerstwo, światło, księżyc”.

Na ostatnie dwa zapytania wyszukiwarka nie pokazała żadnych wyników. Jednak tytuł pierwszego wyświetlonego artykułu od razu przyciągnął jego uwagę. Napis na ekranie głosił: „Kilkadziesiąt lat temu żart z fałszywymi głowami Modiglianiego wstrząsnął światem sztuki”. Kliknął na nagłówek. U góry strony pojawiło się czarno-białe zdjęcie przedstawiające trzech młodzieńców ubranych w pogniecione koszule i trzymających w dłoniach owalną rzeźbę. Prosty nos, podłużne oczy i wąskie usta widoczne na utrwalonej na zdjęciu rzeźbie były lustrzanym odbiciem rysów wykutych w kamieniu, który wciąż mienił się bladym światłem na kuchennym stole.

Dla Massima świat przestał istnieć. Zatopił się w lekturze. Gdy skończył czytać artykuł, klikał w kolejne linki prowadzące do kolejnych informacji. Nie zauważył nawet, że gęste chmury znów szczelnie zasłoniły księżyc i w pomieszczeniu zapadły egipskie ciemności. Dopiero gdy usłyszał za plecami ciche chrobotanie, oderwał wzrok od monitora. Dźwięk ucichł.

„Może to polna mysz szukająca schronienia?” – pomyślał. Mieszkając pośrodku niczego, miał już za sobą kilka spotkań z żyjącymi w okolicy zwierzętami. Obrócił się z powrotem do komputera i w tym momencie usłyszał szurnięcie i metaliczny dźwięk przypominający odgłos manipulowania kluczami przy zamku.

Błyskawicznym ruchem zrzucił chustę z lampy. Aurora mruknęła z pretensją i obróciła się do ściany. Massimo był już przy drzwiach. Rozpaczliwie szukał jakiegoś ciężkiego przedmiotu. Podniósł z ziemi martensa i uniósł go do góry, gotów poczęstować nieproszonego gościa wzmocnionym metalową wkładką butem. Serce waliło mu jak kowalski młot, gdy powoli przekręcał gałkę w drzwiach. Otworzył je gwałtownym ruchem i półnagi wyskoczył na zewnątrz.

– Kto tu?! – krzyknął. W duchu przeklinał się za to, że sam oślepił się światłem lampki. Gdyby tego nie zrobił, jego przyzwyczajone do mroku źrenice być może dostrzegłyby cokolwiek.

Nagle usłyszał oddalające się szybko w stronę drogi kroki. W słabym świetle księżycy zamajaczył cień wysokiej, szczupłej sylwetki. Nie widział dobrze, ale wydawało mu się, że ledwo widoczna postać miała długie włosy, co czyniło całą sytuację jeszcze dziwniejszą. Nie uważał za prawdopodobne, żeby jakaś kobieta odważyła się przyjść w środku nocy do tak odludnego miejsca. Nawet jeśli by tak było, w żaden sposób nie zmniejszało to jego złości.

– *Vaffanculo!!!* – krzyknął w stronę nieproszonego gościa. W ślad za przekleństwem wysłał martensa, który z głośnym pluskiem opadł na ziemię, zagrzebując się w błocie.

– Pieprz się! – Ogarniające go coraz bardziej zimno ani trochę nie wystudziło w nim wściekłości. – Wróć tu, a już stąd nie wyjdiesz, *maledetto!*

Kroki ucichły. Kimkolwiek był intruz, przyszedł pieszo albo użył roweru, lub jakiegoś zasilanego cichym elektrycznym silnikiem środka lokomocji. Massimo nie miał ochoty na urządzenie pościgu. Cały drżał na skutek wyziębienia i stresu. Wrócił do środka, skrupulatnie zamknął za sobą zamek i założył łańcuch. Przystanął, starając się powstrzymać narastające uczucie paniki i zebrać myśli, a właściwie zablokować coś, co próbowało wydobyć się z głębi jego podświadomości.

– Szary Cień...

Użył całej siły woli, aby zagłuszyć ten wewnętrzny głos. Tak jak uczyli go terapeuteci, uspokoił powoli oddech i skierował się w stronę łazienki. Chciał zmyć z siebie zimny pot i to okropne, ośliźle wspomnienie strachu.

Kiedy postawił pierwszy krok, poczuł, że coś przykleiło mu się do bosej stopy. Schylił się i podniósł z podłogi czarną kartkę przypominającą pocztówkę. Podszedł do lampki i przyjrzał się jej. Był całkowicie pewien, że ten kawałek papieru nie leżał wcześniej pod jego drzwiami. Na czarnym tle umieszczono kolorowy wzorek będący artystycznie wykonanym połączeniem czaszki, pejczy i chrześcijańskiego krzyża. Pod spodem umieszczono stylizowany na gotycki napis „Zaproszenie”. Przed tym wyrazem widniała rzymska cyfra jeden. Massimo odczytał

ją jako „pierwsze”, choć nie miał pewności, czy tak należy interpretować ten napis. „Pierwsze zaproszenie?” – zastanowił się. „To będzie i drugie? Czy to znaczy, że nieproszony gość wróci?”

Odwrocił kartkę. Po drugiej stronie tło było tak samo czarne i prawie całkiem puste. Widniało na niej tylko kilka linijek tekstu zapisanego równą i całkowicie klasyczną czcionką:

„Księgarnia Nanni. Via de' Musei 8, Bolonia. Rzadkie wydania i wyczerpane nakłady”.

„Księgarnia?!” – nie mógł wyjść ze zdumienia. Rysunek wskazywałby raczej na jakąś satanistyczną sektę, gotycki zespół rockowy albo salon tatuażu. W życiu nie połączyłby go z księgarnią. A poza tym, kto u licha roznosi po pustkowiu reklamy księgarni o trzeciej nad ranem?

Uznał, że ma już dość wrażeń. Świecąca głowa, kuriozalne fałszerstwa dzieł Modiglianiego i wizyta tajemniczego roznosiciela ulotek, to było stanowczo zbyt wiele dla jego niewyspanego umysłu. Zaczął się nawet zastanawiać, czy część tych wydarzeń mu się nie przyśniła.

Rzucił kartkę na biurko i zgasił światło.

Po cichu wśliznął się do łóżka. Aurora przeciągnęła się i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Zaczęło mu się robić błogo, gdy usłyszał jej niewyraźny głos.

– Wisisz mi nowe buty.

Bolonia

Jadącego w stronę centrum ubłoconego land rovera odprowadzały ironiczne spojrzenia mężczyzn zgromadzonych przed kawiarnią po drugiej stronie ulicy. Widok brudnej i poobijanej terenówki nie wzbudziłby niczyjego zdziwienia na rozległej, zajętej przez liczne gospodarstwa rolne prowincji. Tu jednak była Bolonia, stolica regionu Emilii-Romanii, miasto nazywane „tłustym” z powodu słynnej kuchni i „uczonym” ze względu na Alma Mater Studiorum – najstarszy na świecie uniwersytet, działający nieprzerwanie od dziesięciu wieków. Rolnicza kraina Niziny Padańskiej kończyła się w tym miejscu wraz z wznoszącymi się na południowych krańcach miasta wzgórzami, od których rozpoczynały się Apeniny. W Bolonii krzyżowały się wszystkie główne szlaki tranzytowe Włoch, a produkcja przemysłowa należała do najwyższych w kraju. Pod względem bogactwa *per capita* miasto ustępowało tylko Mediolanowi i choć jego mieszkańcy, w przeciwieństwie do wyrafinowanych mediolańczyków, byli raczej dobroduszni i jowialni, pojawienie się tu w brudnym i mało eleganckim samochodzie wywoływało politowanie. *Noblesse oblige*, to przecież właśnie w tym regionie powstały marki Ducati, Ferrari, Lamborghini i Maserati.

Prowadzący defendera Massimo nic sobie nie robił z dezaprobaty postronnych widzów. Nonszalanckim ruchem kierownicy wziął ostry zakręt i zjechał do podziemnego parkingu znajdującego się pod dworcem autobusowym. Zaparkował, poczekał, aż towarzysząca mu Aurora zabierze z tylnego siedzenia skórzaną torebkę i opatulą się szczelnie wełnianym szalikiem, po czym wysiadł z auta. Wspięli się razem po schodach i wyszli na zewnątrz głównymi drzwiami stacji, trafiając w sam środek chaosu ruchliwej włoskiej ulicy. Ulicy nie było jakiej. Znajdowali się bowiem na via Indipendenza – głównej miejskiej arterii łączącej w linii prostej stację kolejową i autobusową z Piazza Maggiore, czyli bolońskim rynkiem.

Okazałe trzypiętrowe kamienice ciągnące się równym rzędem po obu stronach ulicy były mozaiką różnych stylów architektonicznych – od gotyku po secesję, jednak przeprowadzona w dziewiętnastym wieku modernizacja nadała im jednolitą stylizację, uzyskaną między innymi poprzez użycie podobnych kolorów elewacji, wśród których przeważały odcienie ceglanej czerwieni, pastelowej żółci i bieli.

Przeszli kawałek od stacji w stronę marmurowego chodnika i rozpoczęli niespieszny marsz w kierunku centrum.

Minęli ruiny zamku Galliera, ostatniego śladu dominacji państwa papieskiego, twierdzy znienawidzonej do tego stopnia, że była wielokrotnie demolowana i niszczona przez mieszkańców miasta. Tuż za wyszczerbionymi murami resztek zamku, pomiędzy dwoma rzędami eleganckich schodów prowadzących do znajdującego się na wzniesieniu parku Montagnola, ich oczom ukazała się fantazyjnie zdobiona fontanna z białego marmuru. Aurora przystanąła obok niej. Brzęcząc bransoletkami, splótła ręce na karku zaskoczonego Massima i przylgnęła ciepłymi wargami do jego ust.

– Czym sobie na to zasłużyłem, moja piękna nimfo? – zażartował, robiąc aluzję do postaci, którą przedstawiała rzeźba nad fontanną.

– Tym, że jesteś. Jak ta skała, na której ona stoi – powiedziała, patrząc mu poważnie w oczy, i nie pozostawiając mu czasu na sformułowanie odpowiedzi, pociągnęła go w kierunku wejścia do podcieni biegnących stąd aż do samego rynku.

Wsparte na kolumnach i arkadach, ciągnące się wzdłuż głównych ulic starego miasta, były doskonałym przykładem pragmatycznego myślenia, jakie charakteryzowało mieszkańców Bolonii od samych początków jej istnienia. Łączna długość bolońskich podcieni, wliczając te poza centrum, wynosiła pięćdziesiąt trzy kilometry, czyniąc je najdłuższymi na świecie. Wzorowane na portykach starożytnego Rzymu powstały we wczesnym średniowieczu z potrzeby powiększenia powierzchni mieszkalnej podczas szybkiego rozwoju miasta spowodowanego powstaniem uniwersytetu i licznych manufaktur. Dzięki nim stojące przy drodze i rozbudowane nad portykami kamienice zyskiwały dodatkową przestrzeń, nie ograniczając jednocześnie miejsca kramarzom i przechodniom, którzy znajdowali pod nimi schronienie przed słońcem i deszczem.

Massimo zadarł głowę do góry, ale nie mógł przypomnieć sobie ustawowej wysokości portyków, które według trzynastowiecznego edyktu miały pomieścić przejeżdżającego pod nimi jeźdźca na koniu.

– Ile to miało być? Na tego rycerza na koniu? Pamiętasz? Dwa metry i yyyy... – dukał bezradnie, szukając pomocy u Aurory zajętej oglądaniem mijanych wystaw sklepowych.

– Że co? – Dziewczyna próbowała zrozumieć, o co mu chodziło. – Aaaa! – krzyknęła. – Minimum dwa sześćdziesiąt sześć. Ale tutaj jest dwa razy więcej, żeby się jeszcze pióropusz na hełmie zmieścił. – Roześmiała się. – Zobacz jakie boskie butyyyyy! – Podskoczyła z radości i przykleiła się do szklanej witryny.

Zrozumiał, że nie wznowią szybko marszu. Via Indipendenza była najdłuższą ulicą handlową miasta. Wzdłuż niej znajdowało się mnóstwo butików, hoteli, barów i restauracji. Aurora podchodziła już do następnej wystawy.

Nie mając nic innego do roboty, zaczął rozglądać się dookoła.

Staruszka Bolonia nie wyglądała na zmęczoną swoim wiekiem. Raczej tętniła życiem jak podeksycytowana nastolatka. Z okolicznych restauracji, pizzerii i lokali z jedzeniem na wynos dobiegał dźwięk naczyń i sztućców, zapach jedzenia, gwar rozmów i śmiechów klientów oraz sympatyczne pokrzykiwania sprzedawców. Pod portykami przepływała nieprzerwanym nurtem rzeka ludzi w różnym wieku, o różnym statusie, kolorze skóry, mówiąca językami całego świata. Rozbawieni i rozchełstani studenci mijali się z ubranymi w idealnie dopasowane płaszcze adwokatami i biznesmenami. Krzykliwa pakistańska rodzina niemal zderzyła się z grupą czarnoskórych młodzieńców nawołujących się w niezrozumiałym narzeczu. Przypominający ulicznego artystę karzeł w dziwacznej czapce z frędzelkami usiłował wyprzedzić dwie Rosjanki, które zablokowały mu drogę opasłymi walizkami na kółkach. Co jakiś czas ulicą przejeżdżały zsynchronizowane z ulicznymi światłami fale skuterów, ogłuszając przechodniów świdrującym brzękiem źle wytłumionych motorów. Hałas ulicy potęgowały odgłosy setek kroków, wśród których Massimo wychwycił rytmiczny stukot kobiecych szpilek uderzających o marmurową posadzkę. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy i po chwili, pozostawiwszy po sobie gęstą smugę perfum, tuż obok niego przeszła elegancko ubrana kobieta. Zaciągnął się obezwładniającym zapachem i jak za hipnotyzowany wbił wzrok w kiwające się w takt oddalających się kroków biodra opięte ściśle przylegającym do ciała krótkim płaszczkiem.

– Maaaax! – Usłyszał ostrzeżenie. Obrócił się w stronę Aurory, która skończyła oglądać wystawy i wpatrywała się w niego z groźną miną.

– Eee. Ten... – wystękał przywrócony do rzeczywistości. – Tam idziemy! – wskazał dłonią dość oczywisty kierunek.

Czule pocałował dziewczynę w czubek głowy i uznał, że grzechy, chwilowo, zostały mu odpuszczone. Objął ją i poprowadził w stronę rynku.

Mieli jednak inne plany niż zwiedzanie Piazza Maggiore. Mniej więcej w połowie długości via Indipendenza, po tym jak minęli odlany z brązu pomnik Giuseppe Garibaldiego, Massimo, uważając na przejeżdżające motocykle i taksówki, przeprowadził Aurorę na drugą stronę ulicy. Weszli w wąską, niemal wyludnioną boczną uliczkę. Po kilku krokach, tuż przed kolejnym zakrętem, zatrzymali się przed drzwiami z napisem „Antykwariat Galliera”. Massimo uprzejmym gestem przytrzymał Aurorze drzwi i wszedł za nią do środka.

W nozdrza uderzył ich zapach farb malarskich, konserwantów do drewna oraz ledwo wyczuwalny odór pleśni. Małe pomieszczenie było wypełnione po brzegi starymi meblami, na których stały różnego typu bibeloty, popiersia i rzeźby. Ze ścian patrzyli na nich namalowani grubymi warstwami olejnej farby damy i arystokraci w białych perukach. Na honorowym miejscu za szybą, otoczony wianuszkami czujników, wisiał narysowany ołówkiem szkic przedstawiający podłużną twarz z owalnymi oczami, która wykazywała niezwykle podobieństwo do posiadanej przez nich rzeźby.

Pod portretem, za zabytkowym biurkiem z ciemnego drewna, siedziała nie pierwszej już młodości kobieta, która wydawała się być częścią zabytkowego wystroju wnętrza. Ubrana w pozbawioną dekoltu długą czarną suknię z obcisłymi rękawami zakończonymi koronkową falbanką, wyglądała jak żywcem wyjęta z obrazu Toulouse’a-Lautreca. Jej uroda była równie niezwykła co ubiór. Szczupła, pociągła twarz, choć poorana zmarszczkami, emanowała pięknem, którego nie zakłócały nawet wystające kości policzkowe i nieproporcjonalnie długi nos. Massimo zapatrzył się w jej głębokie czarne oczy, którymi w milczeniu obserwowała przybyszów.

Aurora, zauważając, że jej partner znów zmieszał się na widok innej kobiety, westchnęła zrezygnowana i przejęła inicjatywę.

– Dzień dobry pani, przyszliśmy po to, żeby... – zaczęła, mocno trącając ramieniem Massima, który w końcu oprzytomniał.

– Yyyy... dzień dobry! – Podeszedł w stronę biurka. – Nazywam się Massimo – przedstawił się, celowo pomijając zniechęczone nazwisko. – Wygooglałem panią. To znaczy wszedłem na stronę pani antykwariatu i na zdjęciach zobaczyłem ten obraz. – Wskazał podbródkiem ramę nad głową kobiety. – Pani się zna na tym artyście, prawda? To znaczy na Modiglianem? – zapytał.

– Drogi panie. – Głos kobiety był chropowaty jak pumeks, a jednocześnie niezwykle sensualny.

– Żeby móc powiedzieć, że się na nim zna, to trzeba mieć doprawdy wielką odwagę. – Akcentując słowo „wielką”, potrząsnęła głową tak mocno, że kosmyki

długich kasztanowych włosów opadły jej na twarz. Zdmuchnęła je energicznym gestem i kontynuowała:

– Na Modiglianiam, proszę pana, to sobie już profesorowie i najlepsi znawcy sztuki zęby połamali. Nawet ja sama, mimo że znam historię tego szkicu, a nie obrazu, który pan „wygoogłał”, nie odważyłabym się powiedzieć, że to oryginalny Modi. – Użyła popularnego we Włoszech przezwiska, jakim tytułowano artystę. – Nie słyszał pan o wystawie w Genui, gdzie z wielką pompą zaprezentowano, jak się potem okazało, dwadzieścia fałszywych obrazów? Dwadzieścia na dwadzieścia jeden wystawionych! Nie mówiąc o trzech głowach wyłowionych z kanału w Livorno. Też były fałszywe. Tyle że zanim prawda wyszła na jaw, ludzie z ważnymi nazwiskami uznali te rzeźby za oryginały, ha, ha!! – Zaśmiała się jak z dobrego żartu.

– No właśnie. – Massimo się ucieszył. – Czytałem o tym. Bo widzi pani... My mamy w posiadaniu taką głowę. I dlatego tu przyszliśmy. – Postanowił od razu przejść do rzeczy.

Wyraz twarzy kobiety, który był reakcją na jego słowa, podpowiedział im, że dopiero teraz zasłużyli na jej pełną uwagę.

– Co pan powiedział? Co wy macie?!

– Rzeźbę głowy, która wykazuje charakterystyczne cechy upodabniające ją do dzieł Modiglianiego – wtrąciła się Aurora. Ze względu na swój zawód konserwatorki czuła się bardziej kompetentna do prowadzenia rozmowy z antykwariuszką.

– Mamy jednak powody, żeby przypuszczać, że to kolejny fałszyfikat. Dlatego przyszliśmy tutaj, żeby pomogła nam pani rozwiać wątpliwości. Ale na początek... Czy może pani opowiedzieć coś więcej o tych trzech fałszywych głowach, które wyłowiono z rzeki? Przyznaję, że nic o nich nie wiem. – Spojrzała z niemym wyrzutem na Massima.

Ten pokornie spuścił wzrok. Z powodu nocnej wizyty intruza zupełnie zapomniał podzielić się z dziewczyną informacjami, które znalazł w internecie.

Właścicielka antykwariatu wstała i okrążyła biurko, aby znaleźć się bliżej nich.

– Gdzie ją macie? Chcę ją zobaczyć! – Jej prośba zabrzmiała niemal jak żądanie.

– Nie mamy jej przy sobie – odparł Massimo. – Wie pani, ona jest dość ciężka i nieporęczna – usprawiedliwił się. – Ale mamy zdjęcia. Niech pani poczeka. – Wydobył z kieszeni telefon, odnalazł właściwe pliki i podsunął kobiecie telefon pod nos. Ta bezceremonialnie wyrwała mu go z ręki i zaczęła powiększać, obra-

cać i wertować fotografie, szepcząc do siebie jakieś bezgłośnie i niezrozumiałe słowa.

Massimo i Aurora wymienili zdziwione spojrzenia. Mężczyzna odczekał chwilę, po czym delikatnie zabrał telefon z rąk antykwariuszki.

– I co pani o tym sądzi?

Płonące z przejścia oczy kobiety nieco oprzytomniały. Usiadła ponownie za biurkiem.

– Drodzy państwo. – Z jej głosu zniknął przemądrzały ton, jakim ich przywitała. – Proszę sobie usiąść. – Wskazała stojące przy ścianie poślacane krzesła w stylu Ludwika XVI. – Przyznam, że nieczęsto przychodzi tu ktoś z czymś, co jest w stanie wzbudzić we mnie zainteresowanie – mówiła, podczas gdy Massimo szurał ludwikami po podłodze, usiłując przysunąć je jak najbliżej biurka.

– Widziałam już chyba zawartości piwnic i strychów wszystkich zabytkowych domów w Bolonii. Ale to, co mi pokazaliście, jest naprawdę niezwykle. Nazywam się Frida Mantovani. – Gdy usiedli, wyciągnęła do nich kościstą dłoń, którą po kolei uścisnęli.

– Jestem piątym pokoleniem właścicieli tego antykwariatu. Wcześniej sklep znajdował się przy placu Santo Stefano, obok najstarszej bazyliki w Bolonii, ale z powodu rasistowskich praw Mussoliniego moja rodzina musiała przed wojną wyemigrować – powiedziała, potwierdzając przeczucia Massima, który, będąc szczególnie wyczulony na brzmienie nazwisk, domyślił się już żydowskiego pochodzenia kobiety.

– Kiedy wrócili, lokal był już zajęty przez kogoś innego. Moi przodkowie zaczęli od zera. A szkic Modiglianego, który widzicie, został im подарowany na dobry początek przez córkę artysty, Jeanne. Czy wiecie, że Modigliani również pochodził z żydowskiej rodziny? – zapytała.

– Owszem, wiemy o tym – pospieszyła z odpowiedzią Aurora. – I to jest coś, co nas zaciekawiło, bo na naszej głowie zauważyliśmy...

– Hebrajskie symbole – przerwała jej Frida, uśmiechając się ze zrozumieniem. – Ja też zwróciłam na nie uwagę. Tym bardziej że nie są to byle jakie symbole – powiedziała tajemniczo. – To są znaki, których są w stanie używać ze zrozumieniem tylko nieliczni wtajemniczeni. A takim był bez wątpienia Amedeo Modigliani.

– Bo był astrologiem! – wypalił zadowolony z siebie Massimo, otrzymując za to od Aurory bolesnego kopniaka w kostkę.

Frida roześmiała się szczerze rozbawiona.

– Nie, proszę pana. Co to za pomysł? Nie był astrologiem! Interesował się nie tyle astrologią, co alchemią i kabałą – wyjaśniła już poważnie. – A symbole, które widnieją na waszej rzeźbie, są językiem kabały. I na pewno nie znalazły się tam przypadkiem.

W pomieszczeniu zapadło milczenie.

– A na tamtych trzech głowach, które wyłowiono w Livorno, też takie były? – przerwała ciszę Aurora.

– Nie. To były dość proste i niewyrafinowane falsyfikaty – odparła antykwariszka. – Aż dziw bierze, że nabrali się na nie znawcy sztuki. Zapewne dlatego, że ich pojawienie się było zapowiedziane i oczekiwane. Była pani ciekawa, więc opowiem pokrótce tę historię, która wydaje się nieprawdopodobna, mimo że wydarzyła się naprawdę.

Bez pytania postawiła przed nimi dwie filiżanki z angielskiej zastawy, sięgnęła po stojący na stolczku przy ścianie srebrny samowarek i wypełniła ich naczynia parującą herbatą. Usiadła wygodnie i zachęcając ich gestem do skosztowania gorącego naparu, kontynuowała opowieść.

– Modigliani tak naprawdę nie był rzeźbiarzem. Albo raczej był nim bardzo krótko. To było jego marzenie, ale nie mógł w pełni rozwinąć tego talentu ze względu na chorobę płuc. W tysiąc dziewięćset dziewiątym roku wrócił na chwilę z Paryża do rodzinnego Livorno, do swojej ukochanej matki Eugenii i wspólnoty sefardyjskich Żydów, wśród których się wychował. Sefardyjczycy pochodzili z Hiszpanii, gdzie przez wieki ulegali kulturowym wpływom Arabów, którzy, jak być może wiecie, byli bardzo oddani zachowaniu wiedzy starożytnego świata. W Livorno Modigliani, po latach studiów nad sztuką i filozofią, podjął próbę przełożenia swojej wiedzy i przemyśleń na język materii. Wyrzeźbił w kamieniu kilkanaście głów z pociągłymi twarzami wzorowanymi na sztukach afrykańskiej, etruskiej i greckiej przetworzonych przez metafizyczną wizję człowieka, jaka rozwijała się w umyśle artysty. Jednak prymitywizm tych rzeźb nie trafił do przekonania lokalnych znawców sztuki, a filozoficzny przekaz pozostał niezrozumiały. Legenda głosi, że doprowadzony do rozpaczki Modì przed powtórny wyjazdem do Paryża zdemolował swoją pracownię, a rzeźby wyrzucił do miejskiej fosy. I ta legenda trwała i nabierała rozgłosu przez lata, aż do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego, kiedy to dyrektorka Muzeum Sztuki Współczesnej, Vera Durbè, postanowiła sprawdzić, czy w opowieści tkwiło ziarno prawdy. Zdobyła pozwolenia, fundusze i rozpoczęła poszukiwania. Ku zdziwieniu wszystkich koparki wydobyły z rzeczno go mułu pierwszą głowę... a niedługo potem dwie kolejne.

– Wszystkie ot tak, prawie od razu?! – zapytała z przejęciem Aurora. Na jej twarzy pojawiły się czerwone rumieńce, po części spowodowane gorącym napojem, a po części tym samym zapalem, który wiele lat temu pchnął ją do trudnych studiów nad renowacją dzieł sztuki.

– Tak!!! – odpowiedziała równie rozentuzjasmowana Frida. – Zupełnie jakby je ktoś podłożył wprost pod tę koparkę. – I co najciekawsze, nie wzbudziło to żadnych podejrzeń! Ludzie dali się porwać radości. Wszyscy bardzo liczyli na to, że te głowy się znajdą. Wkrótce po odnalezieniu i pozytywnych ocenach znawców sztuki, którzy gremialnie uznali je za oryginały, głowy znalazły się na specjalnie poświęconej im wystawie. I wtedy wybuchła bomba! – Frida klasnęła w dłonie. – Nie w sensie dosłownym oczywiście – poprawiła się. – Otóż trzech młodych studentów udzieliło wywiadu lokalnej gazecie, przyznając się do wyrzeźbienia dla żartu i podrzucenia jednej z głów. Wyobraźcie sobie skandal, jaki wywołała ta wiadomość! – Antykwariuszka zakreśliła dłońmi koło. – Cały świat sztuki od Livorno po Nowy York oszalał!

– Jednej z głów? Ale były trzy – zareagowała przystannie Aurora. – Czyli dwie były jednak autentyczne?

– A gdzie tam! – odpowiedziała rozbawiona Frida. – Do sfalszowania pozostałych głów przyznał się lokalny artysta, który chciał dopiec nieprzychylnym mu krytykom sztuki. Wszystkie trzy głowy były więc fałszywe! – podkreśliła z emfazą. – A najzabawniejsze w tej historii jest to, że studenci i ten artysta wrzucili te głowy dokładnie w miejscu, gdzie ich później zaczęto szukać. I zrobili to zupełnie niezależnie od siebie! – Antykwariuszka nie potrafiła się już powstrzymać od śmiechu. – Teraz rozumiecie, jak trudno i niebezpiecznie jest wydawać sądy na temat dzieł Modiglianiego?

– Ale mówiła pani, że nasza rzeźba jest inna? – Aurora trzymała się nadziei. – Może jednak jest autentyczna?

– Moje drogie dziecko – zaczęła antykwariuszka.

Dziewczyna poczuła na sobie jej przenikliwy wzrok i od razu zrozumiała, dlaczego wcześniej Massimo zachowywał się, jakby został zahipnotyzowany. Czowała, jakby ciemne oczy Fridy wciągały ją do środka. Jednocześnie miała poczucie, że jakaś obca forma życia wdarła się jej w głąb umysłu. To nie były przyjemnie doznania. Ale nie potrafiła odwrócić wzroku. Na szczęście Frida zrobiła to pierwsza.

– Moje dziecko – powtórzyła miękko i niemal współczująco. – Chciałabym ci pomóc. Nie tylko w sprawie rzeźby. – Aurora znów przez chwilę poczuła, jakby kobieta wiedziała o niej wszystko. – Ale nie jestem w stanie wiele uczynić – wes-

tchnęła i zasłoniła twarz kościstymi dłońmi. Po chwili odsoniła ją i powiedziała pewniejszym głosem:

– Musicie wiedzieć, że zajmuję się nie tylko antykami. Od pokoleń w mojej rodzinie studiuje się kabałę, a tak właściwie to, jakby to ująć... – Zawahała się. – Jej ludową odmianę, czyli tarota. To są elementy tak starej wiedzy, że nikt nie pamięta jej początków. Przywędrowała do waszego świata dzięki nam, Żydom. Pewnie bylibyście zdziwieni, gdybym wam powiedziała, że pierwsze europejskie talie do tarota powstały właśnie tu, w Bolonii, gdzie przed wiekami osiedlili się moi przodkowie? W najważniejszym kościele w tym mieście, w bazylice San Petronio, znajduje się obraz, który zainspirował anonimowego twórcę do stworzenia wizerunku tarotowego Wisielca. I to nie jedyny element rysunków używanych w tarocie, którego pierwowzór odnajdziecie w San Petronio. I nie jedyny w Bolonii. Nawet na tej ulicy, nie dalej jak trzy kroki stąd, na szczycie kolumny przy pałacu Torfanini znajdziecie ciekawą postać. Idąc w stronę centrum, obejrzyjcie ją sobie dokładnie. – Mrugnęła do nich porozumiewawczo. – A wracając do waszej rzeźby, to dzięki mojej wiedzy, owszem, potrafię przeczytać pozostawione na niej znaki. Mówią mi one, że ta głowa jest czymś więcej niż żartem lub falsyfikatem stworzonym dla zarobku. Te symbole mają tak wielkie znaczenie w kabale, że są aż niepokojące... Tak bardzo, że, wybaczone mi to, ale nie odważę się ich interpretować.

Malujący się na twarzach Aurory i Massima zawód musiał być bardzo widoczny, bo kobieta szybko dodała:

– Ja sama ich wam nie wyjaśnię, ale nie powiedziałam, że wam nie pomogę. Odeślę was do kogoś mądrzejszego ode mnie.

Poszukała notesu i zapisała im coś na kartce inkrustowanym piórem.

– Profesor Samuele Mirandola – przeczytała na głos. – A właściwie *rebe*, czyli rabin Mirandola. Zadzwońcie do niego i powołajcie się na mnie. Wprawdzie mnie nie lubi, ale to jedyna droga, żeby w ogóle chciał z wami porozmawiać.

– A dlaczego pani nie lubi? – dociekał Massimo, ujawniając wrodzony brak taktu.

Antykwariuszka nie wydawała się jednak zakłopotana.

– Ponieważ jestem kobietą, która stawia tarota – wyjaśniła z uśmiechem. – Kobietom nie wolno studiować kabały, a tarot na dodatek jest uważany za jej zdegenerowaną i zabronioną formę. I mimo że się z tym nie zgadzam, muszę przyznać, że lepiej będzie, jeśli symbole na waszej rzeźbie wytłumaczy wam rabin.

– Mam tylko do was dwie prośby – dodała, przytrzymując drzwi, kiedy wychodzili.

– Oczywiście, proszę pani. – Massimo tym razem zachował się jak dżentelmen.
– Jesteśmy pani bardzo wdzięczni – zapewnił ją.

– Tylko nie „pani” – zachnęła się. – Mówcie mi Frida. A moje prośby są takie. Po pierwsze wróćcie tu z rzeźbą, zanim pójdziecie z nią do rabina, bo chcę sobie ją dobrze obejrzeć. A po drugie... – Znów wbiła w mężczyznę wzrok hipnotyzerki.
– Dbaj o swoją dziewczynę. Ona tego bardzo potrzebuje.

– Oczywiście – wyjąkał Massimo. Pożegnanie zrobiło się dziwne. Jeszcze bardziej niepokojące były następne słowa antykwariuszki.

– Jeśli więc chcesz o nią dbać, to lepiej tam nie idźcie...

– Ale dokąd? – Massimo był coraz bardziej zdziwiony.

– Tam, gdzie idziecie! – Usłyszeli za sobą stanowczy głos, któremu towarzyszył odgłos zamykanych drzwi.

Spojrzeli po sobie zdumieni.

– O co jej chodziło?

– A skąd ja mogę wiedzieć? – Aurora odwróciła wzrok i pomaszerowała szybko przed siebie.

Gdy ją dogonił, stała w podcieniach przed bramą, przy której widniała okrągła brązowa tabliczka z napisem „Palazzo Torfanini”, i patrzyła do góry. Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem i na kapitulu kolumny dostrzegł przedziwną płaskorzeźbę. Przedstawiała skrzydlatą postać z ciałem mężczyzny i kobiecymi narządami płciowymi. Z jej głowy wystawały długie, zakrzywione jak półksiężyc rogi.

Massimo z trudem powstrzymał się przed parsknięciem ze śmiechu.

– He, he, a to co za stwór?! – wykrzyknął, aż echo rozeszło się po pustej ulicy.

– Bafomet – odparła Aurora.

– Kto?!

– Ktoś, kogo byś nie chciał spotkać. Chodźmy stąd – poprosiła.

Wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę rynku. Wyraźnie wyczuwalne przez grube warstwy ich kurtek drżenie jej ciała wytłumaczył sobie chłodem, który wzmógł się wraz z zapadającym właśnie zmierzchem. Ścisnęła w kieszeni wizytówkę księgarni Nanni. Nie mógł się doczekać odpowiedzi na pytanie, dlaczego znalazła się w jego domu.

Księgarz

Jesienna mgła nie docierała do Bolonii chronionej przez mikroklimat pobliskich Apenin lub – jak wierzyła część mieszkańców – przez Czarną Madonnę czuwającą nad nimi z górującego nad miastem sanktuarium San Luca. Pomijając chłód i zroszone drobnym deszczem ulice, wieczór był przyjemny, a punktowo ustawione lampy, które wydobywały z półmroku znajdującą się w samym centrum starówki fontannę z Neptunem i otaczające ją zabytkowe budynki, tworzyły baśniową atmosferę.

„Raj dla instagramerów” – pomyślała Aurora i spojrzała na swojego partnera. Massimo jakby czytał jej w myślach. Podeszedł do schodów znajdującej się obok biblioteki publicznej Salaborsa i skierował obiektyw swojego telefonu w stronę odlanej z brązu masywnej statuy Neptuna, nazywanej przez bolończyków pieszczośliwie Gigantem.

„Głupek szuka penisa” – domyśliła się dziewczyna.

Urodziła się w Toskanii i tak jak Massimo była w tym mieście obca, ale lata studiów i realizowania swojej pasji, jaką była renowacja zabytków, sprawiły, że poznała wiele tajemnic Bolonii. Jedną z nich był kciuk Giganta, który oglądany pod pewnym kątem, wyglądał jak dorodny penis w erekcji. Podobno był to żart szesnastowiecznego artysty wymierzony w pruderyjne poglądy zleceniodawcy rzeźby, papieża Piusa IV.

Aurora tego wieczoru nie miała jednak nastroju do żartów ani ochoty na czekające ich odwiedziny w reklamującej się krzyżami i czaszkami księgarni. Choć penis Neptuna obchodził ją tyle, co zeszłoroczny śnieg, z ulgą przystanąła obok przybierającego coraz dziwniejsze pozy partnera.

– Za daleko stoisz – oznajmiła. – Tam musisz podejść.

W odpowiedzi na pytające spojrzenie Massima wskazała palcem na czarną płytę u podstawy schodów. Mężczyzna posłusznie przesunął się na wskazane miejsce i podniósł telefon na wysokość oczu.

– Skąd wiedziałaś...? – zapytał zaskoczony.

Pokiwała z dezaprobatą głową.

– Proszę Cię, Max... – westchnęła, jakby chciała powiedzieć „za kogo ty mnie masz”.

Znała swojego partnera jak zły szeląg. Odkąd zakradła się do jego komputera i przeczytała jego żalodne flirciki i komplementy, jakimi zasypywał swoje „followerki”, uważała, że wie już o nim nawet za dużo. Odwróciła twarz, aby nie zobaczył łez w jej oczach. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Chodź, pokażę ci coś lepszego niż kamienny fiut – powiedziała, starając się ukryć emocje.

Spojrzał na nią zdziwiony. To on miał być przewodnikiem dzisiejszej wycieczki. Bez szemrania zgodził się jednak pójść za nią. Nie uszli zresztą daleko. Zaraz za Neptunem Aurora skręciła w lewo i szybkim krokiem weszła do zwieńczonej wysokim łukiem bramy, nad którą wznosiła się około pięćdziesięciometrowa, ozdobiona blankami wieża. Nie musiała mu tłumaczyć, co to jest. Pałac del Podestà wraz z przylegającą do niego wieżą Arengo i przypominającym zamek Pałacem Króla Enzo były najstarszymi budynkami należącymi do władz miejskich Bolonii. Wychodzącą na cztery strony świata bramę pod wieżą nazywano Voltone del Podestà – Sklepieniem Władcy. Zbudowano ją na przecięciu dwóch rzymskich traktów: prowadzącego z południa na północ *cardo* i biegnącego z zachodu na wschód *decumano*. Czyniło to z niej centralny punkt starego miasta, w którym dawno temu odbywał się targ.

Usiłując sobie przypomnieć dawno zapomniane informacje, Massimo podążył za dziewczyną, która zniknęła pomiędzy grupką turystów podziwiających ozdobne freski pod sklepieniem bramy. Wypatrując rudych włosów swojej ukochanej, przystanął przy jednym z czterech podtrzymujących strop filarów. Nagle tuż za sobą usłyszał jej głos.

– Hu, hu!

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że za jego plecami stał jedynie ceglany filar.

– A kuku! Spójrz do góry! – Usłyszał znów dochodzący ze ściany głos Aurory.

Zdezorientowany podniósł wzrok, ale prócz fresków na sklepieniu i rzeźb świętych umieszczonych na filarach nie dostrzegł niczego nietypowego. A w każdym razie żadnego okienka, z którego mogłaby wołać dziewczyna.

– Nie tu! – powiedziała znowu. – W drugą stronę!

Przeniósł wzrok na sklepienie w korytarzyku prowadzącym pod wieżę od północy. Z sufitu wystawały jakieś podparte ukośnymi wspornikami drewniane

belki, ale nie było śladu po Aurorze.

– Bingo! – krzyknął mu do ucha głos dziewczyny. – Wiesz, co to jest?

– Ale co, te belki? Nie wiem! – odpowiedział głośno, ściągając na siebie zdziwione spojrzenia niemieckich turystów słuchających przewodnika. Poczul się głupio. Stał w kącie i gadał do siebie.

– To jest szubienica, na której wieszano zdrajców. – Drgnął, czując dotyk dziewczyny, która niespodziewanie wyrosła tuż przed nim i patrzyła na niego zimnym wzrokiem, trzymając go za przedramię.

Wbrew intencjom Aurory nie zwrócił w ogóle uwagi na silnie przez nią zaakcentowane słowo „zdrajców”. Zamiast tego wydukał, patrząc na nią baranym wzrokiem:

– Ale gdzie ty byłaś?!

– Tam, po drugiej stronie. – Wskazała na bliźniaczy filar, podtrzymujący przeciwny róg sklepienia.

– To dlaczego słyszałem cię obok?! – Nie mógł wyjść ze zdziwienia. – Jakbyś mówiła ze ściany!

– Bo to średniowieczny telefon! – Wybuchnęła śmiechem na widok jego głupkowatej miny. W jednej chwili zeszło z niej całe napięcie.

– Ty mój tępaczku. – Chwyciła go za podbródek. – Trzeba się było w szkole historii uczyć. – W szerokim uśmiechu pokazała mu swoje nieskazitelnie białe i równe uzębienie.

– Wiesz chociaż, co to był trąd?

– Choroba taka... – odpowiedział, nie zmieniając idiotycznego wyrazu twarzy.

– Brawo. A to... – Pokazała ręką na filary z rzeźbami świętych. – To jest dowód na to, że Bolonia była „uczonym miastem” już w trzynastym wieku. Wykorzystując wiedzę o akustyce i konstruując odpowiednio sklepienie, stworzono konfesjonały do zdalnego spowiadania trędowatych. Właśnie stoisz w jednym z nich. – Nie przestawała się uśmiechać.

Massimo automatycznym ruchem wyjął telefon i zaczął robić zdjęcia, ignorując dziewczynę. Uśmiech zastygł jej na twarzy.

– A jeśli chodzi o szubienicę, to naprawdę była przeznaczona dla zdrajców – powiedziała z chłodem w głosie. – A kiedy już zabrakło tu miejsca, to wywieszano ich z balkonu. Zbiorowo. Bo zdrady się nigdy nie opłacały, WIESZ? – Drgnął w końcu, słysząc napastliwy ton w jej głosie. Spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem. Był przyzwyczajony do jej chwiejnych nastrojów. Postanowił zakończyć tę dziwną rozmowę.

– Dobra, późno jest. Chodźmy, zanim zamkną. – Schował telefon, chwycił ją pod ramię i pociągnął delikatnie w stronę rozpościerającego się przed Pałacem del Podestà głównego rynku zwanego Piazza Maggiore.

Pomimo że plac był naprawdę obszerny, znajdująca się po przeciwnej stronie majestatyczna bryła bazyliki San Petronio i tak wydawała się nad nim dominować. Zgodnie z zamierzeniem mieszkańców miasta miała się stać największą świątynią chrześcijaństwa, ale pod koniec szesnastego wieku, dwieście lat od rozpoczęcia prac, zazdrosny o rosnącą sławę konkurencyjnej w stosunku do rzymskiej bazyliki papież Pius IV nakazał zakończyć jej budowę. Piękna fasada z dwukolorowego marmuru mogłaby z powodzeniem dorównać splendorem katedrom w Rzymie, Florencji i Mediolanie, lecz na skutek papieskiej zawiści dosięgała zaledwie do połowy wysokości świątyni. Wznoszący się powyżej tej linii surowy ceglany mur podziurawiony otworami, do których zamierzano przytwierdzić marmurowe płyty, był wiecznym policzkiem wymierzonym bolończykom przez papieską władzę.

Gdy zbliżyli się do schodów pnących się ku wejściu do kościoła, Massimo skręcił w lewo, w stronę wschodniej pierzei rynku ozdobionej najdłuższym i najpiękniejszym portykiem Bolonii. Przejście to, zwane Pavaglione, łączyło ze sobą trzy okazałe budynki: Pałac Bankierów, Muzeum Archeologiczne i schowany za bazyliką, niewidoczny od strony rynku gmach Archiginnasio.

W tym ostatnim Aurora spędziła wiele dni swojego życia. Najpierw jako studentka w znajdującej się tam bibliotece, a później jako specjalistka, konserwując rzeźby w sali Teatru Anatomicznego. Było to miejsce ponure i piękne jednocześnie. Dokonywano tam pierwszych sekcji zwłok. Czynność ta była wówczas zakazana pod groźbą ekskomuniki i tylko Uniwersytet Boloński, którego siedzibę w szesnastym wieku przeniesiono do Archiginnasio, miał pozwolenie na dokonywanie takich operacji. Strona kościelna również na tym korzystała. Aurora zapamiętała, że sekcje przeprowadzano publicznie w czasie karnawału, a wśród ubranej w karnawałowe maski gawiedzi ukrywali się inkwizytorzy uczący się anatomii, aby sprawniej torturować swoje ofiary. Ta historia zawsze przyprawiała ją o dreszcze, a dziś im bardziej zbliżali się do tego pięknego skądinąd budynku, tym mocniej czuła, jak jakaś tajemnicza siła ją od niego odpychała.

Jednak nie Archiginnasio było celem ich podróży. Po przejściu kilkudziesięciu metrów marmurowym chodnikiem Pavaglione dziewczyna zauważyła niewielką tabliczkę z nazwą ulicy przylegającej do bocznej ściany Muzeum Archeologicznego.

„Via de' Musei” – przeczytała i poczuła, że temperatura jej przemarzniętego ciała obniżyła się o kolejne kilka stopni.

Skręcili w lewo. Portyki przy via de' Musei były krótkie i szerokie. Pod sklepieniem wisiał olbrzymi szyld z napisem „Libreria A. Nanni”. Minęli stojący w przejściu i uginający się od książek rząd lad. Kilka metrów dalej, drżąc z zimna jak osika, Aurora przekroczyła w ślad za swoim partnerem próg księgarni Nanni.

Weszła i osłupiała na widok liczby woluminów, które zapełniały każdy zakamarek, od podłogi aż po sufit. Ich kolorowe grzbiety tworzyły coś na kształt gigantycznej mozaiki. U podnóża wysokiego regału, pochylony nad zagraconym książkami kontuarem stał starszy mężczyzna w pikowanej kamizelce. Szklą jego okularów błysnęły, odbijając światła lamp, kiedy odwrócił się w ich kierunku.

– Dobry wieczór – wycedził beznamiętnie i wrócił do zapisywania czegoś w swoim opasłym kajecie.

Widząc brak zainteresowania ze strony księgarza, Massimo podszedł do lady i rzucił na nią pognieciony bilecik.

– Przyszliśmy tutaj na pana zaproszenie, panie Nanni.

Starszy człowiek na widok wizytówki znieruchomiał. Po chwili zamknął zamaszystym ruchem zeszyt, ściągnął okulary i spojrzał na Massima przymrużonymi oczami krótkowidza.

– Nie należę do rodziny Nanni. Mam jedynie zaszczyt dzierżawić tę najstarszą księgarnię w Bolonii. Nazywam się Ubaldo Malaguti i na początek chciałbym wiedzieć, kto z państwa jest adresatem zaproszenia.

– Drogi panie... – zirytował się Massimo – to chyba pan powinien wiedzieć, do kogo wysłał pan te bileciki!

Malaguti pokiwał głową, jakby zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– W takim razie domyślał się, że ymmm... – Szukał właściwych słów. – Nasze pierwsze zaproszenie znalazło się w pańskich rękach w sposób incydentalny. – Kątem oka spojrzał w stronę stojącej w wejściu i bladej jak papier Aury.

– Zdaje się, że rozumiem kontekst zaistniałej sytuacji. – Księgarz przybrał usługłą pozę konsjerża w recepcji wytwornego hotelu. – Jest mi niewymownie przykro, że za sprawą niefortunnej pomyłki dotarła do państwa przesyłka przeznaczona jedynie dla wybranych osób. – Ponownie zerknął na dziewczynę, która wbiła wzrok w podłogę.

Massimo czuł się równie zdezorientowany, jak po pożegnaniu ze zwariowaną antykwariuszką.

– Proszę pana, wysłał pan ludzi na nasze zadupie, żeby w środku nocy zakradali się z tym czymś pod nasze drzwi, a teraz pan twierdzi, że to pomyłka?! I co to w ogóle znaczy „pierwsze zaproszenie”? Będziecie nas znowu nachodzić?

Ostrzegam pana... – zaczął podnosić głos, ale starszek przerwał mu, wyciągając przed siebie dłonie w uspokajającym geście.

– Szanowny panie, jeszcze raz przepraszam za pomyłkę naszego pracownika. Któryś z naszych promotorów najwyraźniej przesadnie przejął się swoją pracą albo zwyczajnie pomylił adres. To naprawdę niewybaczalne. Jeśli zaś chodzi o liczbę zaproszeń, to mogę tylko powiedzieć, że informacja ta jest niestety zarezerwowana wyłącznie dla adresatów... Czy słabo się panienka czuje? Może zechce pani usiąść? – przerwał i odwrócił się do Aurory, która słała się oparta o futrynę drzwi.

– Nic mi nie jest. To tylko zmęczenie – powiedziała słabym głosem, ale z ulgą wsparła się na ramieniu Massima, który znalazł się przy niej jednym susem.

– Proszę poczekać, przyniosę pani chociaż wody! – zawołał księgarz i skierował się na zaplecze.

– Naprawdę nie trzeba – zaprotestowała, ale sprzedawcy już nie było. Gdy wrócił, podszedł do niej i podał jej szklankę wypełnioną przezroczystym płynem, który wypięła duszkiem.

– Już mi lepiej – powiedziała z przekonaniem. – Naprawdę! – Spojrzała w przejęte oczy Massima. – Chyba możemy już iść... – zaproponowała.

– Oczywiście, kochanie – potwierdził z troską jej partner. – Widzi pan? – zwrócił się do księgarza. – Tyle drogi na nic! Liczę na to, że wyciągnie pan konsekwencje wobec swojego pracownika!

– Zapewniam pana, że osobiście zadbam o to, aby ta sytuacja się więcej nie powtórzyła. – Starszy mężczyzna kłaniał się przepaszająco. – To może nie jest dobry moment, ale w ramach rekompensaty chciałbym państwu zaoferować czterdziestoprocentową zniżkę na wydania młodsze niż trzydzieści lat – powiedział zachęcającym tonem.

– Nie potrzebujemy pana zniżek – warknął nieprzekonany Massimo. – Ale może nam pan przynajmniej powiedzieć, co oznaczają te satanistyczne wzorki na tej pana ulotce? Straszy pan ludzi niepotrzebnie i jeszcze robi jakieś tajemnice!

– Ależ to nie żadna tajemnica! – obruszył się księgarz. – Odpowiedź na pana pytanie w żaden sposób nie narusza prywatności naszych klientów, dlatego chętnie panu odpowiem. Symbolika naszego zaproszenia nie ma absolutnie nic wspólnego z satanizmem. To po prostu nawiązanie do historii tego lokalu. Rozumiem, że nie pochodzą państwo z Bolonii i nie wiedzą, co znajdowało się w tym miejscu?

Massimo zwrócił pytające spojrzenie na jedyną osobę, która mogła mu coś odpowiedzieć, ale wciąż blada Aurora nie wydawała się zainteresowana rozmową.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, księgarz kontynuował wypowiedź.

– Otóż w tym kwartale miasta istniał kiedyś dość osobliwy szpital. Nazywano go Szpitalem Śmierci, a opiekowała się nim organizacja zwana Bractwem Śmierci. Proszę jeszcze chwilę poczekać, a państwu coś przyszykuję!

Pobiegł za kontuar i pochylony zaczął czegoś szukać w jego dolnej części. Po chwili wrócił z zakurzonym woluminem. Zakłopotany przetarł go rękawem i wręczył Aurorze.

– Proszę to przyjąć w podarunku, z wyrazami najszczerzych przeprosin. Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się pani lepiej.

Dziewczyna chwyciła książkę i bez słowa pożegnania wyszła na zewnątrz, gdzie oparła się o mur i z ulgą zaczerpnęła powietrza. Po chwili dołączył do niej jej partner.

– Wszystko okej. Muszę się tylko przewietrzyć – powiedziała, widząc jego zmartwione spojrzenie.

Objął ją czule i znów poczuł, jak drży. Kątem oka zauważył opartego o kolumnę mężczyznę. Ubrany na czarno wysoki i chudy mężczyzna o długich, kręconych kruczoczarnych włosach wydawał się być zatrudniony do pilnowania książek rozłożonych przed księgarnią. Z jakiegoś powodu nie zwracał jednak uwagi na licznych klientów oglądających książki, lecz uważnie przypatrywał się obejmującej się parze. Poirytowany jego bezczelnością Massimo celowo skrzyżował z nim spojrzenie. Niezrażony tym mężczyzna uparcie nie spuszczał z nich wzroku. Massimo jeszcze szczerzej okrył ramieniem swoją dziewczynę, jakby chciał ją osłonić przed spojrzeniem natręta, i poprowadził ją w przeciwnym kierunku.

Poszli przed siebie podcieniami, aby okrążyć pałac. Aurora oddychała coraz spokojniej, choć wciąż była niezwykle blada. Obijając się o przechodniów, którzy zmierzali do słynnej z doskonałej kuchni hali Mercato di Mezzo, po krótkim spacerze wyszli z powrotem na wąską uliczkę graniczącą z boczną ścianą bazyliki. Wracający z okolicznych biur elegancko ubrani ludzie spieszyli się na zakupy lub *aperitivo*. Kończył się listopad i miasto zaczynało już żyć wyprzedażami oraz przedświąteczną gorączką.

Massimo, chcąc skierować Aurorę w kierunku via Indipendenza, pociągnął ją mocno za łokieć. Zrobił to zbyt gwałtownie i ze zgrabiących z zimna rąk dziewczyny wysunęła się książka, która wylądowała na mokrym chodniku.

Już miał się schylić, aby podnieść utyłany w kałuży wolumin, gdy jego wzrok padł na oświetlony latarnią róg bramy, z której właśnie wyszli.

– *Ma che cazzo...?* – wyrwało mu się niecenzuralne pytanie. Zapomniawszy o książce, podszedł kilka kroków bliżej i zadarł głowę do góry.

– Ten stary mówił serio! Zobacz tylko! – zawołał z daleka do Aurory i wskazał dłonią na tkwiący w murze herb, na którym widniał wyrastający z czaszki krzyż ze zwisającymi z ramion pejcami, do złudzenia przypominający rysunek z wizytówki.

Dziewczyna była jednak pochłonięta czymś innym. Wpatrywała się w niewielką czarną ulotkę, którą przed chwilą podniosła z ziemi wraz z przemoczoną książką. Najwyraźniej ktoś włożył ją między strony woluminu, skąd wypadła podczas upadku. Trzymając tak, aby ukryć ją przed wzrokiem Massima, szybko przeczytała jej treść. Stylizowany na gotyckie pismo napis głosił: „Zaproszenie II. Ważne tydzień po odpowiedzi na Zaproszenie I. Spotkanie za kolumną 666. Odpowiedź na wezwanie uznaje się za potwierdzenie umowy bez możliwości rezygnacji”.

Zasłaniając się książką, zręcznie włożyła kartkę do torebki.

Kiedy Massimo skończył studiować symbol na murze i wrócił do niej z zadowoloną miną, ani słowem nie skomentowała znaleziska. Zamiast tego spojrzała na niego wymownie.

– Zabierz mnie już do domu, Max – powiedziała błagalnym tonem.

Zesłana

Kapitan karabinierów Diana Leone stała przed włączonym monitorem komputera z telefonem przytkniętym do ucha. Od dłuższej chwili próbowała połączyć się ze swoim przyjacielem i dawnym narzeczonym Davidem Dobravskim, jednak ten jak zwykle nie odbierał.

„Beznadziejny zwyczaj jak na dziennikarza” – pomyślała i rzuciła telefon na lśniące czystością biurko. Równo poukładane według odcieni mazaki, perfekcyjnie zatemperowane ołówki i stojące w puszcze – obowiązkowo piszącą częścią w dół – długopisy nie były tylko świadectwem jej uporządkowanego charakteru, ale raczej dowodem na olbrzymią ilość wolnego czasu, którym dysponowała. Jeszcze do niedawna dowodziła największą komendą karabinierów w odległej o sześćdziesiąt kilometrów Ferrarze, ale na skutek braku politycznych powiązań i bezkompromisowej postawy wobec mniejszych i większych nadużyć kolegów została w nagłym trybie i bez słowa wyjaśnienia przeniesiona do wypełniania mało istotnych zajęć na lokalnym posterunku w Bolonii. Na dodatek, jak na ironię, by ukarać ją za wtrącanie się w kompetencje departamentu do spraw ochrony dziedzictwa kulturowego, przeniesiono ją na podrzędne i nieliczące z jej stopniem stanowisko właśnie w tym wydziale. Nie dość, że pozbawiono ją dowództwa, to jeszcze marnowano jej talent do rozwiązywania trudnych spraw kryminalnych, przydzielając jej bzdurne zadania w stylu katalogowania zakurzonych muzealnych okazów, ochrony wystaw czy skanowania internetu w celu wyśledzenia skradzionych dzieł sztuki.

Zgarnęła z powrotem telefon z biurka i podeszła z nim do okna. Nie miała w zwyczaju odpuszczać, więc ponownie wybrała numer Davida. Dziennikarz w dalszym ciągu nie odbierał. Westchnęła.

W odbiciu szyby zobaczyła swoją twarz. Choć trzydziestkę przekroczyła dobrych kilka lat temu, czuła się wciąż młoda. Jej piękna śniada twarz o ciemnych oczach otoczona burzą czarnych włosów była obiektem westchnień niezliczonej

rzeszy zabiegających o jej względy mężczyzn. Niemal współczuła kolegom z biura, wśród których musiała paradować w ściśle przylegającym do zgrabnej sylwetki czarnym mundurze. Dawniej jej wyeksponowane w ten sposób bujne krągłości były pretekstem do seksistowskich zaczepki ze strony starszych funkcjonariuszy, teraz jednak poprzedziła ją przywieziona z Ferrary sława twardej babki, której nie odważył się dorównać ani stanąć na drodze żaden mężczyzna. Czy właśnie dlatego była singielką? Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Nie umiał tego zrozumieć także jej były chłopak i kolega z Ferrary, porucznik Giacomo Massini, któremu kilka dni temu powiedziała o swoim odejściu. Było to zresztą tylko sformalizowanie rozpadu związku, który i tak nie funkcjonował, odkąd ją tu zesłano. Tak właśnie nazywała swoje nowe miejsce pracy – zesłaniem.

Rozmyślenia przerwała jej wibracja, którą poczuła w dłoni.

Podniosła telefon do ucha.

– Davide, ja ci kiedyś za to skopię tyłek. Wydzwaniam do ciebie od dwóch godzin. Tak, wiem, że też się bardzo długo nie odzywałam. Przepraszam, ale to nie jest dla mnie dobry czas. Jak się spotkamy, to wszystko ci wytłumaczę.

Męski głos w telefonie zapytał o coś krótko.

– Nie, nie zdegradowali mnie – zaprzeczyła. – To tylko czasowe przeniesienie. Tak, w Bolonii jestem. Spodobałby ci się mój wydział. Siedzę teraz w tym, co lubisz: obrazy, rzeźby i te sprawy. – Jej wzrok przypadkowo padł na biurko i stojący na nim równy rząd ołówków. Odwróciła się ze wstrętem i wyjrzała przez okno. Po drugiej stronie ulicy, w podcieniach sąsiadującego z posterunkiem pałacu Torfanini, rudowłosa dziewczyna stała z podniesioną głową i patrzyła do góry. Dianie wydawało się, że patrzy prosto na nią.

– Davide, ja ci wszystko opowiem, jak się spotkamy, dobrze? Teraz dzwonię w innej, dużo ważniejszej sprawie – przerwała lawinę pytań płynącą ze słuchawki telefonu. – Zajrzyj na swój Instagram, wysłałam ci przed chwilą link. Tak, wiem, że nie korzystasz, ale proszę cię, otwórz to! Dobrze, nie umiesz rozmawiać i sprawdzać jednocześnie, ale obiecaj, że za chwilę tam zajrzysz! – Zirykowała się.

– Co to jest? Nie jestem pewna... – powiedziała z wahaniem w głosie. – Nie chcę ci robić fałszywych nadziei, ale być może rozpoznasz na tym zdjęciu znajomą osobę. To byłaby absolutna bomba! – krzyknęła z przejęciem. – Dziś rano robiłam rutynową kontrolę postów z hasztagiem „sztuka”, wiesz, szukamy w ten sposób skradzionych dzieł. No więc zainteresowała mnie na koncie gościa, który ma ksywkę Prometheus Dark, fotka takiej dziwnej rzeźby. Głowy samej, bo to nie

jest nawet popiersie, no nieważne. Przyglądałam się tej głowie, ale jak zobaczyłam jego wcześniejszy post, to mało z krzesła nie spadłam. On spotkał prawdopodobnie kogoś, kogo szukamy od miesiący. Tak, dobrze się domyślasz. Okej, odzwoń.

Rozmówca się rozłączył. Diana wyjrzała ponownie przez okno. Do dziewczyny po drugiej stronie ulicy dołączył przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna. Rudowłosa pokazywała mu palcem jakiś szczegół na głowicy kolumny. Mężczyzna wybuchnął śmiechem, po czym wziął dziewczynę pod rękę i oboje poszli dalej. Obserwację pary przerwała jej wibracja telefonu. Odebrała przychodzącą rozmowę i od razu odsunęła urządzenie od ucha. Męski głos wykrzykiwał coś podenerwowanym tonem.

– Davide, Davide!!! Uspokój się. Proszę, daj mi mówić! Też myślę, że to twój zaginiony szef. Podobieństwo jest uderzające. Jeśli to faktycznie Montanari, to obiecuję ci, że go znajdziemy. Zaraz wrzucę temat chłopakom z policji pocztowej, oni się specjalizują w cyberprzestępczości. Muszą mi najpierw namierzyć tego Prometeusza, bo na blogu nie znalazłam nic, co ujawniałoby jego tożsamość. Wiem tylko, że jest zadufanym w sobie dupkiem. Tak bardzo, że nawet nie raczył przeczytać wiadomości, którą mu wysłałam. Odpisał tylko, że mam superciało i że nadawałabym się na modelkę. Czujesz to?! – Mimo że rozmówca nie mógł jej widzieć, temperament prawdziwej Włoszki nakazywał jej wyrazić dezaprobatę za pomocą zamaszystych gestów. – Ja się go pytam, gdzie spotkał tego starszego pana, a on mi, że mam ciało modelki!!! Ja pier... – Zdusiła przekleństwo. – Tak, wiem, że mam! Cazzo, Davide, nie podkrecaj mnie jeszcze ty! – wybuchła. – I nie, nie przyjeżdżaj jeszcze! Poczekaj, aż namierzą tego kolesia. Dam ci znać.

Głos w słuchawce nie chciał jeszcze skończyć rozmowy.

– Nie jestem wcale zdenerwowana – odpowiedziała znacznie spokojniejszym tonem, w którym dało się wyczuć źle ukrywane wzruszenie. – Ja ci po prostu mówię, że to nie jest dla mnie dobry czas – dodała. – I proszę cię, nie pytaj o Giacomo. Nie, nie chcę o tym rozmawiać. Guzik mnie obchodzi, że pije i nie przychodzi na służbę. Nie mój cyrk i nie moje mały – podsumowała stanowczo.

Męski głos odpowiedział krótko.

– Mnie ciebie też brakuje, Davide... – Rozłączyła rozmowę i otarła łzę delikatnym ruchem, aby nie rozmazać makijażu.

Za oknem zapadał wczesny jesienny zmierzch. Spojrzała na puste biuro, kolorowe mazaki i jarzące się w półmroku monitory.

„Może wreszcie się od tego uwolnię” – pomyślała i poczuła, że los znów rzuca ją na jakąś wysoką i niebezpieczną falę. W jej przytłoczonym szarą codziennością umyśle pojawił się promyk nadziei. Wysokie i niebezpieczne fale były żywiołem, z którym lubiła się mierzyć. Na dodatek tym razem miała świetny pomysł na to, jak rozegrać tę walkę.

Wizyta

Biegająca między Ferrarą a Bolonią droga numer cztery przecinała malutkie miasteczko w połowie niczym przebiegająca przez kanion rwąca rzeka, którą przemieszczał się nieprzerwany strumień ludzi i towarów. Pod koniec dnia ruch na drodze spowalniał, aż w końcu niemal całkiem zanikał, a cała aktywność miasteczka przenosiła się do stojącej przy szosie trattorii „Scarlet”.

Od kilku godzin było już ciemno. Ze stojącego w rogu telewizora dochodziły głośne dźwięki włoskiej piosenki w stylu country. Gdyby nie czerwona gwiazda na starym plakacie związków zawodowych wiszącym nad ladą, można by było odnieść wrażenie, że znalazło się w jednym z typowych amerykańskich barów rozsianych przy drodze gdzieś między Idaho a Wyoming.

Zmęczeni kierowcy zaparkowanych na szerokim podjeździe ciężarówek czekali w milczeniu na swoją porcję tortellini, tagliatelli z *ragù* i kotletów po bolońsku. W drugim końcu sali, pochyleni nad przykrytym kraciatą ceratą stołem, siedzieli ubrani w grube swetry i pikowane kamizelki miejscowi rolnicy. Pochłaniała ich gra w karty okraszana kolejkami grappy nalewanej z pękatej butelki stojącej pośrodku stołu. Wykrzykując do siebie rubaszne żarty i komentując postępy gry w bolońskim dialekcie, od czasu do czasu spoglądali nieufnie w kierunku obcych.

Oparty o ladę baru Massimo nie czuł się ani obcym, ani miejscowym.

Od zawsze miał problem z poczuciem przynależności. Wychował się w prowadzonym przez siostry zakonne sierocińcu w okolicach Bolonii. Ze względu na ciemną karnację zarówno przez rówieśników, jak i personel był traktowany jako *terrone* – przybysz z południa, „ten inny”. Nie potrafił znaleźć przyjaciół, a jego hardy charakter przysporzył mu kłopotów, które skończyły się kościelną komisją i odesłaniem go do piekła. Tylko takim słowem potrafił określić instytut dla opóźnionych i psychicznie chorych dzieci, do którego trafił. Nie czuł się ani chory, ani opóźniony, toteż pobyt w tym przerażającym miejscu był jego naj-

większą życiową traumą, na karb której zrzucił wszystkie swoje późniejsze niepowodzenia, z rozpadem małżeństwa i alkoholizmem włącznie.

Jednym haustem wychylił przypominający spritzę bezalkoholowy drink crodino. Pozostawiwszy na barze pięćeuroowy banknot, machnął w kierunku krzątającej się między gośćmi właścicielki lokalu i wyszedł na zewnątrz.

Na policzkach poczuł mroźny powiew wiatru. Była już prawie połowa grudnia i pogoda pokazywała swoje najsurowsze oblicze. Panująca w dolinie Padu wilgoć w nocy, gdy temperatura spadała poniżej zera, wchodziła w kości głęboko niczym dotyk kostuchy. Massimo powstrzymał dreszcz i pobiegł do zaparkowanego między tirami a pikapami rolników defendera. Z obawą o stan starego akumulatora przekręcił kluczyk i uśmiechnął się, słysząc dźwięk odpalającego motoru. Zjechał z podjazdu i ruszył przez wymarłe miasteczko. Kilometr za ostatnim domem, za którym rozciągały się już tylko pola, skręcił w dróżkę przylegającą do głębokiego kanału melioracyjnego.

Sięgnął w kierunku podsufitki i załączył rząd halogenowych reflektorów zamontowanych na dachu samochodu. Silny strumień światła przeciął ciemność. Bez dodatkowych lamp, poruszając się krętą drogą o szerokości niewiele większej niż rozstaw kół jego pojazdu, ryzykował stoczenie się do kanału i niechybną śmierć w lodowatej wodzie. Podobne wypadki zdarzały się w okolicy szczególnie często podczas mglistych lub deszczowych nocy.

Tego wieczoru widoczność była niezła i ku własnemu zaskoczeniu, dojeżdżając do swojego rozświetlonego jak Manhattan gospodarstwa, dostrzegł w lusterku błysk reflektorów. Dwa światła pojawiły się i zgasły, jakby ktoś, kto znajdował się w jadącym za nim samochodzie, wyłączył nagle silnik albo schował się za przydrożnymi krzakami. Massimo zatrzymał się, zaciągnął hamulec, otworzył drzwi i stanął na nadprożu. Chwycił jeden ze szperaczy i skierował go do tyłu. Długi, wąski strumień światła omiół drogę i zarośla, nie ujawniając niczego podejrzanego. Massimo wsunął się z powrotem do kabiny i ruszył dalej.

Tajemnicze światła nie dawały mu jednak spokoju i stojąc na podejździe pod domem, jeszcze długo i bezskutecznie wpatrywał się w ciemność, którą pozostawił za sobą. W końcu zrezygnowany otworzył bagażnik, wyjął z niego torby z zakupami i sapiąc z wysiłku, wkroczył do domu.

Tak jak się spodziewał, Aurora spała za parawanem rozstawionym między sypialnią a kuchenną częścią pomieszczenia. Działo się tak już od kilku tygodni. Dziewczyna wracała zmęczona z Bolonii, gdzie wykonywała jakieś nowe zlecenie przy renowacji portyków prowadzących do sanktuarium maryjnego San Luca,

i nie czekając na posiłek, prawie nie zamieniając z nim słowa, kładła się spać. Wstawała wcześniej rano, wyjeżdżała do pracy i scena się powtarzała.

Massimo był coraz bardziej zaniepokojony jej zachowaniem, którego nie mógł sobie wytłumaczyć. Na jego oczach przepelniona energią i optymizmem dziewczyna gasła i więdła. Kiedyś przyłapał ją grzebiącą w jego komputerze i nabierał coraz większej pewności, że jej zachowanie było następstwem przeczytania sztu-backich komplementów, których nie żałował swoim internetowym fankom. Jednak jakakolwiek próba rozmowy na ten temat kończyła się kolejnymi „cichymi dniami”. Zrezygnowany postanowił dać dziewczynie czas. Mimo swoich drobnych grzeszków i idiotycznych wirtualnych flircików, z którymi postanowił skończyć, uwielbiał Aurorę nad życie i wierzył, że pierwsze promienie wiosennego słońca rozświetlą prędzej czy później okolicę i wleją znów radość w serce jego ukochanej.

Umył się i przebrał. Rozpakowując zakupy, zauważył znajomy zeszyt w kuchennym koszu na śmieci. Wyjął go i otrzepał z przyklejonych do niego resztek jedzenia. Był to wolumin, który kilka tygodni temu podarował Aurorze dziwaczny sprzedawca z księgarni Nanni. Zamartwiając się o dziewczynę, Massimo zdążył już zapomnieć o tamtej wizycie.

Odgrzał sobie lazanie i usiadł z zeszytem przy stole. Na okładce widniał znajomy emblemat poprzedzony tytułem *Bractwo Życia, Bractwo Śmierci – towarzysze potępionych*. Massimo zagłębił się w lekturze.

Autor opracowania w suchy faktograficzny sposób opisywał powstanie między trzynastym a czternastym wiekiem dwóch bractw. Pierwsze, zwane Bractwem Życia, zajmowało się leczeniem najbiedniejszych mieszkańców Bolonii, których nie było stać na opłacenie medyka. Działalność ta przypominała współczesne organizacje charytatywne. Misja drugiego bractwa była znacznie bardziej ponura. Do tego stopnia, że w miarę czytania Massimo zaczął tracić apetyt.

Według autora broszury od zarania dziejów w mieście rokrocznie tracono setki skazańców, a ich liczba rosła wraz z rozbudową i rosącym znaczeniem miasta. Powstanie uniwersytetu oraz przebiegające przez Bolonię skrzyżowanie szlaków handlowych były przyczyną napływu olbrzymich mas ludzi z najdalejszych zakątków świata. Ludzi nie zawsze skłonnych do podporządkowania się surowym miejskim prawom. A wpaść w konflikt z prawem było niezwykle łatwo, szczególnie gdy wraz z nadejściem inkwizycji do skazania na śmierć wystarczyło zwykle pomówienie poparte wymuszonymi przez tortury zeznaniami oskarżonego.

Powołane w 1336 roku Bractwo Śmierci miało za cel udzielanie pocieszenia i doprowadzanie skazańców na miejsce kaźni, by zapewnić im tam *ars bene moriendi* – dobrą śmierć i godny pochówek. Ubrani w habity, z wymalowanym na twarzy białym krzyżem, członkowie Bractwa towarzyszyli ofierze, aż do końca nie przestając szeptać do jej ucha słów przynoszących choć trochę ulgi w tej najgorszej chwili. Często musieli jednak podnosić głos, aby zgromadzona z okazji egzekucji publika nie usłyszała inwektyw, jakie skazaniec wysyłał w kierunku oskarżycieli, rozpaczliwych błagań o życie lub tłumaczeń zrzucających winę na prawdziwego, pozostającego w cieniu i należącego do ważnego rodu winowajcy. Rodzaj śmierci odpowiadał stanowi, z jakiego pochodził skazaniec, i przewinieniu, jakiego się dopuścił. Pochodzących z plebsu złodziei, fałszerzy i porywaczy czekała szubienica, zachowana do dziś w przejściu pod Pałacem del Podestà na Piazza Maggiore. W piętnastym wieku wyroków śmierci było już tyle, że skazańców zwieszano z balustrady balkonu tegoż pałacu, ku ogromnej uciechu zgromadzonej na placu publiki. Nie była to jednak najgorsza śmierć. Gwałcicieli dzieci włożono końmi i ćwiartowano. Zdrajców zwieszano z mostów głową w dół, aby umarli na wylew. Heretyków palono na stosie. Ścięcie rycerskim mieczem zarezerwowane było dla dobrze urodzonych. Bractwo Śmierci opiekowało się szczątkami skazańców, grzebiąc ich poza centrum.

Massimo z rosnącym uczuciem dyskomfortu przeczytał, że ich masowy i nigdy nieekshumowany grób znajduje się dokładnie tam, gdzie ostatni raz pocałowała go Aurora – pod parkiem Montagnola. Fontanna Nimfy i otaczający ją mur zostały wzniesione z materiału budowlanego pochodzącego z cmentarnej kaplicy Bractwa Śmierci...

Usłyszał podejrzany szmer i przerwał lekturę. Wyczuł swoje przyspieszone tętno i uświadomił sobie, jakie wrażenie wywołała na nim treść opracowania. Zdawał sobie sprawę, że dotykała jego największych traum z dzieciństwa i śmierci niewinnej osoby, której był naocznym świadkiem podczas pobytu w zakładzie dla opóźnionych w rozwoju dzieci. Wziął głęboki oddech. Uznał, że szmery były wytworem jego pobudzonej wyobraźni.

Wyrzucił resztki zimnej lazanii do kosza i wrócił do czytania.

W szesnastym wieku Bractwo Śmierci połączyło się z Bractwem Życia – pisał dalej autor opracowania. Członkowie powiększonego w ten sposób arcybractwa stali się posiadaczami dużej liczby nieruchomości umiejscowionych przede wszystkim na tyłach pałacu Archiginnasio. Należały do nich kościół, budynek, w którym przygotowywano zioła, apteka, składnica lodu i szpital, w którym pomagano chorym i umierającym oraz dokonywano pierwszych sekcji zwłok. Zanim w przylegającym do szpitala Archiginnasio wybudowano uniwersytecki Te-

atr Anatomiczny, studenci przychodzili uczyć się anatomii właśnie do Szpitala Śmierci. Prowadził do niego Portyk Śmierci znajdujący się przy via de' Musei, a do budynku wchodziło się bramą, w której obecnie zlokalizowana jest księgarnia Nanni...

Massimo nie zdążył przetrwać tej informacji, gdyż od strony drzwi doszedł do niego, tym razem wyraźny, odgłos kroków.

Serce skoczyło mu do gardła. Poderwał się z krzesła. Przeszedł kilka kroków, wyjął ze stojaka przy drzwiach zakończony ostrym szpikulcem parasol i przyłożył ucho do drzwi. Trzy energiczne puknięcia, które nastąpiły w tej samej chwili, niemal go ogłuszyły. Cofnął się o krok, trzymając parasol jak wyciągniętą przed siebie szpadę.

– Kto tam? – wydusił z siebie.

– Komenda Karabinierów z Bolonii. Proszę się nie niepokoić, chciałbym tylko porozmawiać. – Męski głos za drzwiami był pozbawiony charakterystycznego bolońskiego akcentu.

– Proszę pokazać legitymację! – Massimo przypomniał sobie, jak powinno się zachować w podobnych sytuacjach.

– Chętnie – odpowiedział głos. – Ale nie widzę wizjera. To jak, otworzy pan?

Massimo splonął ze wstydu. Ze zdenerwowania zapomniał, że drzwi nie posiadały judasza.

„Muszę w końcu zainstalować kamery...” – przeszło mu przez myśl, gdy przekręcał gałkę.

W otwartych drzwiach stał wysoki, szczupły blondyn. Niedbale przystrzyżona broda nadawała mu wygląd twardziela. Mężczyzna był ubrany po cywilnemu. Spod jego krótkiej ortalionowej kurtki wystawała czarna kabura pistoletu. W lewej ręce trzymał otwartą legitymację, w poprzek której biegł duży niebieski napis CARABINIERI.

Przenikliwe błękitne oczy przybysza zmrużyły się w niemym uśmiechu na widok parasola, który Massimo wciąż trzymał w obronnym geście.

– Dach panu przecieka? – zapytał z ironią w głosie. – W sumie całkiem niezły pomysł. Zdarzyło mi się obezwładnić kogoś podobnym przedmiotem – dodał. – Nazywam się Davide Dobravski i chciałbym panu zadać kilka pytań.

Motyl

Żółty krąg światła wycinał z panującej w kuchni ciemności stół i dłonie siedzących przy nim mężczyzn. Massimo w żadnej innej sytuacji nie pozwoliłby nikomu zakłócać spokoju jego śpiącej ukochanej. Odczuwał jednak ulgę na myśl, że nie popadł w paranoję, a światła, które widział na drodze, należały do realnej osoby. Teraz chciał tylko dowiedzieć się, o co chodzi, i jak najszybciej pozbyć się nieproszonego gościa.

– No, to słucham. Czym takim podpadłem, że mnie karabinierzy śledzą po nocy? – zapytał zaczepnie przyciszonym głosem.

– Sprostujmy od razu dwie rzeczy. – Davide odruchowo strzepnął fragment lanzii z otwartej książki leżącej na stole. – Nie jestem karabinierem, tylko cywilnym współpracownikiem. I wcale cię nie śledziłem. Możemy przejść na ty, prawda? – zapytał, pilnując się, aby nie podnieść głosu, mimo że drżał z emocji wywołanych niecierpliwym oczekiwaniem na odpowiedzi, po które tu przyjechał.

Massimo prychnął pogardliwie. Nie znosił arogancji cechującej przedstawicieli każdej władzy. A ten roszczący sobie prawa intruz nie miał nawet munduru ani stopnia.

– Cywilny współpracownik! A cóż to w ogóle jest? I kto ci w ogóle dał tę legitymację? Nie mówiąc o pistolecie? A może powinienem zadzwonić do komendy, żeby przysłali po ciebie prawdziwych karabinierów, co? – Przechylił się przez stół w stronę Davida, wykonując jednocześnie gest sięgania po telefon.

Davide położył na stole mały bilecik z emblematem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Nie ma problemu. Tu jest numer do przełożonych, którzy wystawili mi ten dokument, i pozwolenie na broń – powiedział spokojnym głosem. – A wracając do twojego pytania, cywilny współpracownik jest specjalistą wynajętym do wykonania konkretnego zadania. Zupełnie jak zewnętrzny pracownik wynajęty przez

korporację. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, wszystko się prywatyzuje. – Pozwolił sobie na uśmiech, który pozostał niewidoczny z powodu gęstej brody. – Moją misję i uprawnienia możesz znaleźć na stronie ministerstwa. Dane cywilnych współpracowników nie podlegają ochronie. Czy teraz możemy przejść dalej? – W przeciwieństwie do uśmiechu jego podniesiona lewa brew była dobrze widoczna nawet w półmroku panującym w pomieszczeniu.

Massimo wziął do ręki wizytówkę. Postukał nią w zamyśleniu o blat stołu i skinał milcząco głową.

– Doskonale. – Davide się ucieszył. – Co do śledzenia, to wybacz, jeśli to tak wyglądało. Bałem się tu wjechać moją alfą. Niskie zawieszenie. A służbowego wozu mi dać nie chcieli. – Mrugnął porozumiewawczo. – Ostatni odcinek drogi przeszedłem pieszo. I szczerze mówiąc, o mało nie utonałem po drodze. Niezłą masz tu kryjówkę. Macie – poprawił się, przypominając sobie o śpiącej dziewczynie, o której zaraz na wstępie poinformował go gospodarz.

– Mógłbyś kierować mafią z tego pustkowie. – Tym razem biel zębów Davida niemal oświetliła kuchnię. – Bez obrazy. Oczywiście nie po to tu jestem.

– To powiesz mi wreszcie po co? – Cierpliwość Massima osiągnęła swój limit. Tylko ryzyko narobienia hałasu hamowało go przed wyrzuceniem żartownisia za drzwi.

Udawana wesołość Davida ulotniła się w jednej chwili.

– Bo spotkałeś bliskiego mi człowieka, którego bezskutecznie szukam od ponad roku.

Massimo zastęł ze zdziwieniem wypisanym na twarzy.

– Nie mam pojęcia, o kim mowa. – Pokręcił głową. – I kiedy go niby spotkałem? Dzisiaj? W barze?

– Nie. Jakiś miesiąc temu. Na wałach. Dał ci coś. Teraz sobie przypominasz?

Zapadło milczenie. Do gospodarza domu dochodziło właśnie, w jak wielkim stopniu jego zaangażowanie w prowadzenie bloga zagrażało jego skrzętnie pielęgnowanej izolacji. Jeśli znalazł go karabinier amator, mógł go znaleźć ktokolwiek. I to niekoniecznie w dobrych zamiarach.

– Tak... – potwierdził zrezygnowany. Pamiętam tamtego człowieka. Próbowałem mu pomóc, ale nie chciał. Poszedł sobie, nie mam pojęcia dokąd, bo więcej go nie spotkałem. I owszem, zostawił mi tę rzeźbę. Nie robiłem z tego tajemnicy. Wszystko to wiesz, skoro widziałeś zdjęcia. – Spojrzał Davidowi w oczy.

– Szkoda za to, że ty nie widziałeś komentarzy pod tymi zdjęciami.

Na twarzy Massima znów odmalowało się zdziwienie.

– Jakich komentarzy?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, sięgnął po telefon i zaczął przewijać ekran. Po chwili spojrział skruszony na siedzącego przed nim mężczyznę.

– Przykro mi... ja nie mam czasu na czytanie wszystkiego, co do mnie wypisują. Mam strasznie dużo fanów.

– I fanek. – Davide ugryźł się w język. Nie powinien zrażać do siebie człowieka, który jako jedyny mógł mu pomóc odnaleźć Montanarię.

– Zresztą nic nie szkodzi – dodał szybko. – Dlatego właśnie przyjechałem tu osobiście. I dlatego ja, a nie mundurowi. I chcę postawić sprawę jasno. Przyjechałem tu z osobistą prośbą. Jeśli nie będziesz mi chciał pomóc, to wrócę z niczym. Ale człowiek, którego spotkałeś, jest dla mnie bardzo ważny. Był dla mnie jak ojciec...

– Okej.

Davide, który szykował się na dłuższą tyradę, zawisł zdziwiony na wdechu.

– Okej?

Massimo pokiwał głową.

– Okej, pod warunkiem, że nie będziesz mi machał tamtym świstkiem i nigdy więcej nie wejdiesz z bronią do mojego domu.

Tym razem Davide potwierdził kiwnięciem głowy.

– Nawet nie jestem przyzwyczajony do jej noszenia. Namówili mnie do tego ludzie z komendy. Lepiej się chyba czułem w roli dziennikarza.

– Jesteś dziennikarzem? – Massimo nie ukrywał zdziwienia. – To po co ta cała przebieranka w karabinierów?

– A otworzyłybyś drzwi dziennikarzowi?

– I jest jeszcze coś... – dodał po chwili milczenia. – To też wchodzi w zakres mojej... ymmm... misji. Chodzi o tę rzeźbę. Czy mogę ją zobaczyć? – Mimo panującej ciemności zaczął się rozglądać dookoła.

– Nie ma jej tutaj. – Massimo powstrzymał jego starania. – Zawiozłem ją do Bolonii. Do jednego rabina. Miał nam pomóc odczytać jakieś żydowskie znaki czy litery. Nie odezwał się, a ja teraz mam inne zmartwienia. – Jego wzrok mimowolnie powędrował w stronę parawanu, za którym spała Aurora.

– Rozumiem – powiedział Davide. Tak naprawdę rzeźba nie była jego priorytetem. – Wrócimy do tego potem. A teraz opowiedz mi, proszę, jak dokładnie wyglądało tamto spotkanie na wałach.

Dwie godziny później Davide zniknął w ciemności oddzielającej zabudowania od drogi. Odmówił podwózki do pozostawionego na drodze samochodu. Było mu wystarczająco głupio, że uciekając się do autorytetu karabinierów, naruszył mir domowy człowieka, którego zdążył już nawet polubić.

Massimo miał podobne odczucia. Nigdy nie miał przyjaciół. Odkąd pamiętał, walczył samotnie z zimnym i nieprzyjaznym światem. Davide zrobił na nim tak pozytywne wrażenie, że był już prawie skłonny wpisać go na listę bliskich mu osób. Pod numerem drugim, bo pierwsze i jedyne miejsce było już na niej zajęte.

Umył się szybko i najciszej, jak potrafił, zakradł się do części sypialnej. Miał nadzieję, że długa rozmowa z Davidem nie obudziła Aurory.

Odsunął parawan i poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

Za parawanem nie było nikogo. Puste łóżko było zaścielone, ale rzeczy Aurory leżały, jak zawsze, porozrzucane wokół. Nie wyglądało na to, żeby dziewczyna bez słowa się od niego wyprowadziła. Raczej nie wróciła z pracy albo gdzieś wyszła wieczorem, choć nigdy dotąd jej się to nie zdarzyło.

Z mocno bijącym sercem przyłożył telefon do ucha. Sygnał, który usłyszał, świadczył o tym, że komórka dziewczyny była wyładowana lub wyłączona. Aurora nie była fanką mediów społecznościowych, ale na wszelki wypadek sprawdził jej konta. Nie logowała się od ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Massimo poczuł, jak ogarnia go pulsujące od skroni po czubki palców u stóp uczucie strachu i bezradności. Co mogło się stać? Był pewien, że w żadnym wypadku Aurora dobrowolnie nie postawiłaby go w takiej sytuacji.

Zaczął szybciej oddychać. W zakładzie dla opóźnionych dzieci nabawił się nerwicy, która sprawiała, że w chwilach stresu ulegał hiperwentylacji. Niemożliwy do opanowania, coraz szybszy i głębszy oddech doprowadzał do nadmiernego dotlenienia mózgu, a w końcu do nieuchronnego omdlenia. Wyraźnie czuł nadchodzący atak. Tracił nad sobą kontrolę, ale nie myślał o sobie. Każda komórka jego ciała krzyczała właśnie bez opamiętania tylko jedno imię.

Tak jak stał, bez butów i spodni, w rozpiętej koszuli wybiegł na dwór. Jak spłoszony koń wbiegł między zabudowania, raniąc sobie stopy o kamienie. Zatoczył koło wokół domu i pomknął w obłąkańczym pędzie w kierunku ciemności, pomiędzy łapczywymi haustami powietrza powtarzając rozpaczliwe wołanie:

– Aurora! Auroraaaaa!!!

Gdy jego krzyk zniknął w oddali, przez uchylone drzwi domu wleciał do środka duży biały motyl. Przeleciał przez pomieszczenie, odbił się od szyby okna wychodzącego na taras i ignorując zapaloną lampkę, powrócił w kierunku drzwi.

Zamiast ulecieć z powrotem w noc, skrzył, przysiadł na wyhaftowanym na parawanie kwiecie i znieruchomiał.

Triumwirat

Dwa tygodnie wcześniej krążąca po całej prowincji mgła wkroczyła w końcu do centrum Bolonii, zalewając jak powódź wąskie uliczki i ograniczając widoczność do zaledwie kilku metrów. Bezradni motocykliści nie odrywali dłoni od klaksonów, ostrzegając się nawzajem, aby uniknąć zderzenia. Przechodzący podcieniami ludzie wyłaniali się z mgły jak zjawy, spoglądając na siebie ze zdumieniem, bo takiej pogody nie widywano tu od lat.

Na nie mniej zaskoczonych własnym widokiem wyglądała trójka osób zebrana w małym pokoiku archiwum komendy karabinierów przy via Galliera. Porucznik Giacomo Massini wpatrywał się nieufnym wzrokiem w swoją byłą dziewczynę Dianę Leone i w jej poprzedniego partnera, a obecnie własnego najlepszego przyjaciela, Davida Dobravskiego.

Poprzedniego dnia obaj otrzymali od Diany wiadomość o tej samej treści: „Ekstremalnie ważne. Czekał jutro o 11.00. Wszystko zmienimy. Dołączam adres”.

Davide, który pozostawał w kontakcie z Dianą, spodziewał się od niej wprowadzić telefonu w sprawie zaginionego szefa, ale jego również zaskoczyła obecność przyjaciela.

Sama pomysłodawczyni spotkania wciąż nie mogła się nadziwić, że zdecydowała się na ten odważny krok i że za chwilę wypowie słowa, które zaważą na karierach i życiu wszystkich zebranych.

Podniosła się z wygodnego fotela za biurkiem, spojrzała na wpatrujących się w nią mężczyzn i odchrząknęła.

– No to chyba już pora powiedzieć, po co tu was ściągnęłam, no nie?

Toporna próba rozluźnienia atmosfery nie była zbyt udana, ale wzrastające zainteresowanie widoczne w oczach jej gości dodało jej odwagi.

– Wiecie, kim my jesteśmy? – Przeszła do zaplanowanego wcześniej wstępu. Zgodnie z przypuszczeniem w odpowiedzi na jej prowokacyjne pytanie pierwszy

zareagował Giacomo.

– No właśnie nie wiemy! – prychnął szyderczo. – Grupą wsparcia dla byłych kochanków? A może szykuje się jakieś zbiorowe bunga bunga? – Jego wisielcze pozucie humoru niejednokrotnie przekraczało granice dobrego smaku.

– Nie rozpędzaj się, kochany. – Zgasiła jego zapal. – Dobrze wiesz, że nie po to się tu zebraliśmy. Powtarzam, kim my jesteśmy?

– Och, Di, przyjaciółmi jesteśmy! Po co te pytania? – Davide również nie wydawał się porwany retoryką dziewczyny, choć widać było po nim, że nie mógł się doczekać wyjaśnień.

– Brawo, Davide, o to chodziło! – Uśmiechnęła się. – I przepraszam was za ten początek, ale on jest konieczny. Jesteśmy przyjaciółmi. Czy zdajecie sobie sprawę, że jedynymi?

Mężczyźni spojrzeli na siebie, a potem na nią. Diana obeszła biurko i oparła się o nie, aby być bliżej rozmówców.

– Tak naprawdę liczymy się tylko my. – Jej głos na chwilę zafalował ze wzruszenia. – I nie mamy nikogo poza sobą. Ani rodziców, ani rodzeństwa, ani nikogo. Davide stracił nawet swojego szefa. A może go i nie stracił, ale o tym potem. Faktem jest, że jesteśmy sami. My kontra nieprzychylny świat. Jak wiecie, jestem na tym posterunku, bo komuś nie spodobała się kobieta na stanowisku dowódcy. – Jej ton znów zabrzmiał twardo i stanowczo. – Giacomo także wypadł z łask po moim wyrzuceniu z komendy w Ferrarze...

Pochyliła się w jego kierunku i nieoczekiwanie ścisnęła jego dłoń.

– I ja sama również byłam dla ciebie niedobra. I przepraszam cię za to. Ale wciąż mogę na ciebie liczyć, prawda? A ty wiesz, że zawsze będziesz mógł polegać na mnie.

Porucznik Massini pokiwał w milczeniu głową. Przeszła mu nawet ochota na ironiczne komentarze. W pokoju zapanowało pełne powagi milczenie. Diana podszła do okna i wskazała ręką zalaną mgłą ulicę.

– Dokładnie taką mamy teraz sytuację. Nic nie widać. Tylko chaos, na który nic nie możemy poradzić. Tyle że ja wam mówię, że właśnie możemy. I poradzimy. Razem – dodała z przekonaniem.

– Co ty masz na myśli, Di? – odezwał się jak zwykle pragmatyczny Giacomo. – Powiesz nam w końcu?

– Tak. – Skrzyżowała ramiona na piersiach. – Triumwirat.

– Że co?!

– Taki układ, w którym rządzą trzej równoprawni władcy – wyrecytował z pamięci Davide.

– Tak, i zanim coś palniesz, Giacomo – powstrzymała mężczyznę, który nabierał już powietrza – przyznaję, że nazwa jest taka sobie. Pewnie jest efektem tego, że siedzę ostatnio zakopana w starych dokumentach. Ale mniejsza o to. Nazwijcie to, jak chcecie. Chodzi o pomysł. A pomysł jest taki, żeby w trójkę przeważyć szalę.

– Szalę czego? – Giacomo nie potrafił wyjść z roli zadającego konkretne pytania śledczego.

– Szalę zła.

Davide uniósł brwi w znajomym jej geście konsternacji. Bardziej od niego krewki porucznik zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju, burząc nerwowymi ruchami dłoni swoją wymuskaną fryzurę. Diana była pewna, że okrąży ze dwa razy pomieszczenie i wyjdzie, trzaskając drzwiami. Zbierała się już, żeby spróbować go zatrzymać, gdy nieoczekiwanie wrócił na swoje miejsce.

– Dobra. Gadaj, co mamy robić – rzucił krótko.

– Też jestem z tobą, Di. Zawsze i wszędzie – przytaknął mu Davide. – Wystarczy, że opowiesz nam wreszcie o konkretach.

Tego się nie spodziewała. Musiała się naprawdę mocno skupić, aby powstrzymać cisnące się jej do oczu łzy. Żeby zagłuszyć własne emocje, zaczęła szybko tłumaczyć.

– Stworzymy układ, pakt. Nazwijmy go taką... nieformalną organizacją. Użyjemy naszych możliwości, kontaktów i umiejętności, żeby walczyć ze złem, z którym państwo i generalnie system nie daje sobie rady. Albo z takim, którego nie chce nawet zauważać. Będziemy działać legalnie, półlegalnie albo całkowicie nielegalnie. Odkąd odebrano mi możliwość działania w świetle prawa, przestało to mieć dla mnie znaczenie. Liczy się coś innego. Żebyśmy byli skuteczni.

– Czyli wszystkie chwytów dozwolone? – zapytał Giacomo z szatańskim uśmiechem. – Mnie to pasuje!

Niepokorny charakter byłego spadochroniarza był jak dotąd niemal wyłącznie źródłem jego problemów. Diana dawała mu właśnie szansę na wykorzystanie go do czegoś dobrego.

– Jeśli dobrze rozumiem, chcesz żebyśmy się stali rodzajem bandy superbohaterów, tak? – Davide nie wydawał się wcale przekonany. – Nie sądzisz, że to trochę zbyt filmowe i dziecinnie naiwne? A ta cała „nielegalność” pachnie mi trochę kryminałem. Przemyślałaś to? Chcesz powiedzieć, że walcząc z szeroko pojętym złem, nie cofniesz się przed niczym? Nawet przed... zabójstwem?

– Serio?! – Giacomo obrócił się do niego gwałtownie. – Chłopie, czy ty sobie zdajesz sprawę, że pół roku temu uratowałeś życie mnie, Dianie i zapewne kilku innym osobom, zabijając oprycha kawałkiem pręta z pieprzoną flagą na końcu?! – Porucznik aż poczerwieniał na twarzy. – Davide, jak cię lubię, to nie rób nam tu wykładów o moralności, dobra? Poza tym według mnie wtedy nie było lepszej opcji, więc twoja moralność może spać spokojnie! I chyba o tym właśnie mówię Di, mam rację? – Przeniósł rozemocjonowane spojrzenie na stojącą między nimi karabinierkę.

– Spokojnie, panowie. – Wyciągnęła przed siebie otwarte dłonie i skierowała je do ziemi, jakby chciała zahamować nabierającą rozpędu sprzeczkę. – Davide, chciałam użyć nieco innych słów, ale Giacomo w zasadzie wyczerpał temat. I owszem, ma rację. Nie planuję używania przemocy, ale jeśli nie będzie innego wyjścia, to będziemy reagować bez wahania. Tak jak ty wtedy.

Davide w dalszym ciągu kręcił głową z wyrazem dezaprobaty wypisanym na twarzy.

– Nawet nie wiecie... nawet nie podejrzewacie – wycedził – ile kosztuje niesienie w sobie takiego makabrycznego wspomnienia. Więc jeśli chcecie założyć klub tajnych morderców, to na mnie nie liczcie.

– Ależ skąd! – podniosła głos Diana. – Co ty w ogóle mówisz! Powtarzam, nie brałam tego w ogóle pod uwagę. Davide, ja nikogo nie chce odstrzeliwać, przysięgam!

– To co chcesz robić? – Chłopak, choć nieprzekonany, ciągle dawał jej szansę.

– To, co robiłam! To, co robiliśmy z Giacometem i trochę też z tobą. Chcę łapać przestępców i wsadzać ich za kratki. A jeśli to nie będzie możliwe, to chcę choć krzyżować im plany! Podcinać im skrzydła. Uprzykrzać im ich nędzne życie. Mam zamiar zrobić to wszystko, na co mi nie pozwolono, zamykając mnie w tym cholernym archiwum!!!

Zapadła cisza przerywana przyspieszonymi oddechami Diany. Po osiągnięciu kulminacji emocje zgromadzonych wydawały się powoli uspokajać. Davide prze-rwał w końcu milczenie.

– Dobrze, załóżmy, że mnie przekonałaś. Ogarniam teraz trochę lepiej twoją koncepcję. Ale czy ty zdajesz sobie sprawę, że aby skutecznie podejmować takie działania, potrzebny jest ogrom środków, sprzętu, nie mówiąc o ludziach? A nas jest tylko troje, więc...

– No i tu muszę ci coś zdradzić, Davide. Tylko się znów nie zdenerwuj, dobrze? – dodała zapobiegawczo.

– Niby dlaczego miałbym...

– Już ci mówię. – Nie pozwoliła mu dojść do słowa. – Nie jesteśmy tak całkiem sami.

Brwi Davida znów powędrowały do góry.

– No tak – tłumaczyła dalej. – Po pierwsze, jak już wspomniałam, zamierzam użyć wszystkich dostępnych nam środków i sprzętów, a dopóki pracujemy tam, gdzie pracujemy – mamy ich całkiem sporo do dyspozycji. Natomiast mówiąc, że nie jesteśmy całkiem sami, miałam na myśli jeszcze jedną osobę, która została wtajemniczona w moje... w nasze plany. Ta pragnąca pozostać w cieniu osoba, która od niedawna dysponuje znacznym majątkiem, postanowiła zostać naszym yyy... – Szukała właściwego słowa. – Naszym sponsorem.

Oczy Davida robiły się coraz bardziej okrągłe. Gwałtownie zerwał się z krzesła i podobnie jak wcześniej Giacomo zaczął nerwowo biegać po pomieszczeniu, wymachując energicznie rękami.

– Nie no, nie wierzę! Nie! – wykrzykiwał, gestykułując – Niemożliwe! Chodzi o Olivię, tak?! – wymówił imię kobiety, która skradła mu serce oraz beczenny klejnot z rąk policji. – To ty cały czas wiedziałas, gdzie ona się ukrywa, tak?! Przyznaj się! No mów wreszcie!!! – Staął naprzeciw Diany i krzyczał jej prosto w twarz.

Diana poczuła, że jej misternie utkany plan nie był jednak zbyt dobrze prze-myślany. Nabierała pewności, że po tym, co musiała teraz powiedzieć, obaj mężczyźni wyjdą z pokoju i znikną z jej życia. Nie miała jednak innego wyjścia. Zbyt daleko zabrnęła i nie mogła się już wycofać.

– Davide, siadaj! – wydała komendę głosem przywykłym do posłuchu.

Zaskoczony dziennikarz zamilkł i posłusznie przycupnął na krześle.

– Jestem wam winna prawdę – powiedziała nieco łagodniejszym tonem. – I teraz ją usłyszycie, po czym raz na zawsze zdecydujecie, czy nasze drogi będą wspólne czy osobne.

Przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech.

– Pół roku temu w krypcie pod kościołem w Ferrarze Davide uratował nam życie. Będę... będziemy mu zawsze wdzięczni. Nie wiecie jednak, że i ja kogoś wtedy uratowałam. Korzystając z zamieszania i z tego, że obaj byliście przez chwilę nieprzytomni, postanowiłam ocalić przed więzieniem kobietę, w której dobre intencje uwierzyłam. Tak, to ja pomogłam uciec Olivii Cattanei. Podpowiedziałam jej, jak się skutecznie ukryć przed Interpolem, który błyskawicznie zaczął jej szukać. Zacierałam jej ślady. I to jeszcze nie koniec. To ja przekonałam ją, aby zabrała klejnot i użyła go w jakimś dobrym celu. Nie mogłam pozwolić, żeby tak młoda osoba gniła w więzieniu razem z prawdziwymi kryminalistami. Nie

chciałam, żeby kochający ją Davide postradał przez to zmysły. I nie godziłam się, żeby ten ogromny kawał bezcennego rubinu kurzył się w jakimś cholernym muzeum, skoro mógł posłużyć do czegoś znacznie lepszego! – zakończyła podniesionym głosem.

Poblady na twarzy Davide sapał, patrząc na nią z niedowierzaniem.

Giacomo zaczął się histerycznie śmiać.

– *Porca troia!* A ja myślałem, że ta niunia nas wszystkich okiwała! A to byłaś ty... Ha, ha, ha! Ja pier...! – Porucznik ukrył twarz w otwartych dłoniach.

– I przez cały czas wiedziałaś, gdzie ona była! – zawtórował mu Davide. – I pewnie to ty przekazywałaś między nami listy? I nic nie powiedziałaś, nawet gdy zaczął mi się z nią urywać kontakt? Widziałaś, jak cierpiałem, i mi nie pomogła?! – W jego głosie było więcej smutku niż wyrzutu.

– Zaraz, zaraz, momencik! – zaczęła się bronić karabinierka. – Ja się wam właśnie do wszystkiego przyznałam i biorę winę na siebie, ale nie jestem odpowiedzialna za decyzje Olivii dotyczące was dwojga. W żaden sposób na to nigdy nie wpływałam. I jeśli ona zdecydowała, żeby już do ciebie nie pisać... Cóż, o to musisz ją sam zapytać. I na pewno będzie ku temu okazja, skoro ona chce nam pomagać. Oczywiście... o ile jeszcze jesteśmy jacyś „my” – dodała z wahaniem.

Postanowiła wykorzystać ostatnią kartę, jaka pozostała jej do dyspozycji.

– Zanim stąd wyjdziecie śmiertelnie na mnie obrażeni, chcę wam powiedzieć, co moglibyśmy zrobić razem. Jak moglibyśmy przeważyć tę szalę na korzyść dobra. Na dodatek to dobro dotyczy osób, które znamy... – zawiesiła głos. – Davide, wiem już kto widział po raz ostatni twojego szefa – oznajmiła. – Namierzyłam tego blogera, mam jego nazwisko i adres. I mam też podejrzenia dotyczące zaginięcia twojej przyjaciółki Sary, choć to jeszcze nic konkretnego. Wiem, że ani jedną, ani drugą sprawą nikt z władz się na poważnie nie zajmie. Ruch jest więc wyłącznie po naszej stronie. A pierwszy po twojej, bo ja tam pojechać oficjalnie nie mogę. Można by wprawdzie posłać Giacoma, ale on się jakby nie za bardzo nadaje do rozmów z hipsterami... Od razu by go zastraszył i spłoszył. Więc jak, panowie? Rozwiążmy chociaż sprawy Montanariego i Sary. Potem możemy się rozejść i nigdy więcej nie spotykać, jeśli tak będziecie woleli. Co wy na to?

Davide spojrział na nią, jakby właśnie wrócił z podróży po Obłoku Magellana. Zamrugał oczami, które po dziesiątym mrugnieniu odzyskały w końcu trzeźwy wyraz.

– Di, ja ci to już na początku powiedziałem. Choćby nie wiem co, jestem z tobą.

Kąciki ust Diany podniosły się nieznacznie. Powstrzymała się przed rzucając się na dziennikarza, aby go wyściskać.

– Giacomo, a ty? Chcesz coś powiedzieć? Jestem ci winna przeprosiny jako partnerka... zawodowo i życiowo. Zaufasz mi jeszcze raz?

Giacomo podniósł głowę i pokazał jej rozbawioną twarz.

– Przestań, kobieto! Co mnie obchodzi tamta niunia i jej kamyczek... Sorki, Davide! – Zerknął na dziennikarza. – Ja tylko nie mogę wyjść ze zdumienia, że tak się dałem wkręcić! *Cazzo*, tyle lat pracy śledczego, a lyknałem to wszystko jak maselko! Chyba czas iść na emeryturę... Ale zanim na nią pójde... Tak! Zgoda! Skopmy komuś tyłki! A ty, Di, to naprawdę niezła jesteś. Zawsze to wiedziałem. Rozkazuj! – Przytknął dłoń do czoła w parodii wojskowego salutu.

Dziewczyna знаła go na tyle, żeby wiedzieć, że ta pozornie prześmiewcza reakcja oznaczała tylko jedno. Że poszedłby za nią w ogień.

– Nie żeby być ciągle etatowym malkontentem. – Przeciągly głos Davida przyhamował nieco jej entuzjazm. – Ale jak ja mam niby pójść do tego gościa, którego namierzyłaś? W charakterze kogo?

– No jak to kogo? Dziennikarza! – odparła nieco zdziwiona oczywistym pytaniem.

– Chyba sobie nie zdajesz sprawy z jednej rzeczy – zaoponował. – Po tamtej akcji z flagą w internecie rozszedł się na mnie niezły hejt. Patrzysz właśnie na „kiltera w rajtuzach”. Jestem chodzącym memem. Mój autorytet jako dziennikarza wśród ludzi posługujących się technologią jest zerowy. Jestem skończony w tym zawodzie. Jak myślisz, dlaczego oddałem redakcję „Il Giornale Pomeridiano” w ręce stażystów?

Diana westchnęła. Na wszystko miała przygotowaną odpowiedź, ale ten stan rzeczy zupełnie ją zaskoczył.

– Przecież to żaden problem! Zostaniesz karabinierem! – wtrącił się Giacomo, zakładając nonszalancko dłonie za głowę i opierając ubłocone adidasy o biurko.

Diana i Davide mało nie pogubili własnych szczęk.

– Jak??? – wykrzyknęli chórem.

– A tak! – Giacomo się uśmiechnął. – Przez pół roku uczyłem chłopaka strzelać i lać po mordzie. Pojętny jest, przynaję. Oczywiście tylko na sucho – na strzelnicy i siłce, ale i w życiu sobie na pewno poradzi. Już sobie poradził, i to lepiej od nas. Tak że wiesz, co robić, Di! Pamiętasz naszych cywilnych współpracowników z Ferrary? Fakt, że to byli głównie księgowi i informatycy, ale co stoi na przeszkodzie, żeby Davide dostał szybciutko zezwolenie na broń i jakiś tam papier z pieczątką z komendy? Masz jeszcze jakieś kontakty, nie mów, że nie! No to ciągnij za sznurki i zrób nam z Davida półglinę!

– Witamy w triumwiracie, kolego! – zaakcentował ostatnie słowo i obrócił się do dziennikarza z uśmiechem godnym aktora z reklamy pasty do zębów.

Zamieć

Mroźny wiatr niósł ze sobą małe drobinki lodu, które boleśnie smagały osłonięte ręce i twarze funkcjonariuszy przeczesujących szuwary przy rzece. Giacomo stał na wale opatulony służbową kurtką z napisem „Carabinieri” na plecach i obserwował zmagania przydzielonych mu ludzi. Na dźwięk dochodzących od tyłu kroków obrócił się, podnosząc do ust zsiniałą z zimna dłoń, w której trzymał wypalonego do połowy papierosa. Usypaną z rzecznych kamieni ścieżką prowadzącą od domu Massima wspinał się Davide. Ryzykując upadek i sturlanie się po błotnistym zboczu wału, ostrożnie pokonał ostatni metr wąskiej ścieżki i stanął obok porucznika, podając mu parujący styropianowy kubek wypełniony herbatą. Giacomo upił łyk gorącego napoju i spojrzał z uznaniem na swojego młodszego towarzysza.

– Whisky? – zapytał.

– Vecchia Romagna – odparł Davide, mając na myśli najsłynniejszą regionalną brandy.

– A po co herbata? – zdziwił się porucznik.

– Dużo im zostało? – odpowiedział pytaniem na pytanie Davide, wskazując pracujących przy rzece karabinierów.

Porucznik Massini zdołał przekonać swoich nowych przełożonych z Ferrary do zorganizowania zakrojonych na niewielką skalę poszukiwań zaginionego redaktora Enrica Montanariego. Nie pozwolono mu na zatrudnienie nurków, a dziesięciu funkcjonariuszy z komendy w Terre del Reno – obszernego powiatu obejmującego terytorium między Ferrarą a Bolonią – ze względu na zbliżające się święta zostało mu „wypożyczonych” zaledwie na jeden dzień.

– Kończą już – odparł, siorbiąc kolejny łyk z kubka. – Przeczesali dwa kilometry od miejsca, które wskazał bloger. Dłużej ich na tym wietrze trzymać nie mogą.

– I co? Nic? – bardziej stwierdził niż zapytał Davide.

– To zależy. Śmieci, butelki i zużyte prezerwatywy... Klasyka w takich wypadkach. Ale to już niekoniecznie. – Porucznik wyjął z kieszeni kurtki foliowy woreczek zawierający niewielki srebrny przedmiot i włożył go w zgrabiałą dłoń Davida.

Dziennikarz uniósł woreczek na wysokość oczu. Znajdujący się w środku srebrny medalion z urwanym łańcuszkiem pokryty był błotem i kawałkami liści.

– Mogę? – zapytał.

– Pewnie. – Giacomo wzruszył ramionami.

Davide wyjął medalik i zaczął go pobieżnie oczyszczać. Jego palce przesunęły się po wystającej z boku zapadce i połówki medalika odskoczyły szeroko, odsłaniając umieszczone w środku czarno-białe zdjęcie przedstawiające piękną kobietę w habicie zakonnicy.

Giacomo, który obejrzał już wcześniej medalion, spojrzął porozumiewawczo na kolegę.

– Jak jej tam... Anna, tak? – postawił retoryczne pytanie.

– Tak. Siostra Montanariego – potwierdził dziennikarz.

– No i git. Blogger dał dobry cynk. – Porucznik stracił zainteresowanie medalikiem i wrócił do obserwacji swoich ludzi.

– Dobra, panowie! – krzyknął w ich stronę. – Do tego krzaczka, a potem przejdziemy się jeszcze wokół gospodarstwa i jesteście wolni! – zakomenderował.

– I co dalej? – Davide się nie poddawał.

Giacomo odwrócił się i spojrzął mu w oczy.

– Oficjalnie to już nic. Nikt nie wyda rozkazu, żeby go dalej szukać. Brak śladów przestępstwa. To tylko kolejne zaginięcie staruszka z demencją. Ale wiesz, że ja nie odpuszczę, no nie? Triumwirat i tak dalej. – Uśmiechnął się kąciakiem ust i klepnął dziennikarza w ramię.

– Będzie dobrze, chłopaku. Medalion znalazłem sam, i to przypadkiem, kawałek drogi od miejsca, od którego zaczęliśmy szukać. To mi daje wskazówkę, dokąd poszedł albo skąd przyszedł twój szef. Niedaleko zaczyna się stary szlak, którym kiedyś przeprowadzano zwierzęta na pastwiska. To stary trakt kolejowy, na którym nie ma już nawet torów. Jak przestanie wiać, to się wybiorę na wybieżkę. Wracaj do Diany, wiesz, że ona nie jest zbyt delikatna przy przesłuchaniach. Tam się bardziej przydasz.

Davide rzucił jeszcze raz okiem na brodzących w szuwarach karabinierów i powoli zaczął schodzić w stronę domu Massima. W połowie drogi zatrzymał się i rzucił przez ramię:

– Dzięki, stary.

Karabinier nie odpowiedział. Stał nieporuszony na szczycie wału jak smagany wiatrem głaz na skalistym szczycie Apenin.

* * *

Massimo Trovato po raz kolejny odpowiadał na to samo pytanie, które uparcie zadawała mu Diana.

– Naprawdę nie przypominam sobie, że bym go widział tu w okolicy. Ani wcześniej, ani później.

Nienaturalnie spowolniony sposób, w jaki mówił, był efektem nadużywania tabletek uspokajających, a spuchnięte i zaczerwienione oczy świadczyły o problemach ze snem. Drgnął na dźwięk otwierających się drzwi, przez które wdarł się zimny wiatr.

Davide rozpiął kurtkę i ściągnął ubłocone buciorzy. Podeszedł bliżej, przysunął sobie krzesło i usiadł wraz z nimi przy kuchennym stole.

– Mamy już całkowitą pewność, że to był Enrico – oznajmił, chuchając w zmarznięte dłonie. – A ponieważ w tej chwili nic więcej nie wymyślimy, wróćmy lepiej do twojej dziewczyny.

Massimo spojrzał na niego z wyrazem wdzięczności.

– Przysięgam, że gdybym mógł, to bym wam pomógł. A wy pomożecie mnie? Możecie mi to obiecać?!

– Zapewniam cię, że lepiej trafić nie mogłeś – zwróciła się do niego Diana.

Davide przytaknął jej kiwnięciem głowy.

– Ale jak dotąd, poza historią o fałszywej głowie Modiglianiego i tą idiotyczną wizytówką, nie dałeś nam kompletnie niczego, czego moglibyśmy się uchwycić – podsumowała efekt kilkugodzinnego przesłuchania. – Nawet nie wiesz, kto zlecił twojej dziewczynie tę pracę w Bolonii.

– Prawie już nie rozmawialiśmy. Od naszej wycieczki do Bolonii Aurora była bardzo niedostępna – powiedział Massimo usprawiedliwiającym tonem. – Chciałem dać jej trochę przestrzeni, żeby nie czuła się przytłoczona. Gdybym wiedział, że coś jej się stanie... – zawiesił głos, z trudem powstrzymując łzy cisnące mu się do gardła.

– Spokojnie. Nie zakładajmy, że coś jej się stało. Skupmy się na tym, co już mamy, dobrze? – wtrącił się Davide. – A mamy tę rzeźbę, która łączy Montanarię z tobą i Aurorą. Jest jeszcze jedna osoba, która zaginęła. Sara Rossi. I tak się składa, że stało się to dokładnie w dniu otwarcia wystawy, przy której praco-

wała. Wystawy poświęconej Modiglianemu. Może to od tej rzeźby wszystko się zaczęło? A jeśli to jednak autentyczny Modi? Czy macie pojęcie, ile to mogłoby być warte? Mamy już doświadczenie z ludźmi, którzy dla cennego przedmiotu byli w stanie nawet zabić... – ugryzł się w język – ...zrobić wszystko – poprawił się szybko, spoglądając na Dianę, która wysyłała mu porozumiewawcze spojrzenia. – Jeśli więc jesteś w stanie się wziąć w garść, to jutro przejedziemy się do tego antykwariusza, któremu zostawiliście rzeźbę. Musimy ją odzyskać, a przy okazji może dowiemy się czegoś ciekawego. A ty mogłabyś pogadać z tym księgarzem od wizytówki? – zwrócił się do przyjaciółki. – Wygląda to na ślepy trop, ale wypadaloby się upewnić.

– Jasne – potwierdziła. Chciała jeszcze coś dodać, ale jej wzrok padł na Massima, który wpatrywał się w punkt za ich plecami.

– Nie ma jej... Zniknęła... – mamrotał cicho do siebie.

Diana westchnęła. Nie zdążyła się jeszcze podzielić z Davidem wątpliwościami dotyczącymi poczytalności Massima, jakich nabrała przypadkiem przy okazji wizyty w jego łazience. Wiedzioną instynktem, otworzyła szafkę nad umywalką i obok męskiej golarki znalazła pojemniki z lekami o długich i skomplikowanych nazwach. Ważyła właśnie decyzję, czy wprost o nie zapytać, gdy Massimo, nie zważając na bandaże, które okrywały jego poranione po niedawnym biegu po kamieniach stopy, zerwał się z krzesła i podbiegł do półki znajdującej się nad łóżkiem. Zaczął chaotycznie przesuwając stojące tam wazoniki i ramki ze zdjęciami.

– Zniknęła! – krzyknął wzburzony.

– Spokojnie. – Diana próbowała opanować sytuację. – Co takiego jeszcze zniknęło?

– Moja nagroda! Taki gliniany, ręcznie malowany przez Aurorę pucharek! Moja najcenniejsza pamiątka... – Stał zdezorientowany ze zdjęciem uśmiechniętej dziewczyny oprawionym w ciężką metalową ramkę.

Diana spojrzała na Davida i zobaczyła w jego oczach taki sam wyraz niedowierzania, jaki pojawił się w jej własnych. Zniknięcie mającego jedynie sentymentalną wartość przedmiotu mogło świadczyć tylko o tym, że zabrała go ze sobą umyślnie dziewczyna. Zatem teoria o jej zaginięciu lub porwaniu była...

Rozmyślenia przerwało jej gwałtowne wtargnięcie lodowatego wiatru. W otwartych na oścież drzwiach stanął poczerwieniały od mrozu Giacomo.

– No to robi się coraz ciekawiej – oznajmił. – Dom był pod obserwacją.

Na potwierdzenie swoich słów wyciągnął przed siebie woreczek wypełniony po brzegi niedopałkami papierosów.

– Te kiepy leżały w zaroślach koło wału, sto metrów od domu. Jest stamtąd idealny widok na to szerokie i niczym niezasłonięte okno – wyjaśnił.

– Może to gówniarze... – zaczął Davide.

– Gówniarze nie używają tego. – Zamknął za sobą kopniakiem drzwi i nie przejmując się błotem ściekającym mu z butów, przeczłapał przez całe pomieszczenie i rzucił na stół pomalowaną w maskujące kolory fotopułapkę.

– Kolego, to twoje? Mówiłeś, że nie zamontowałeś tu nigdzie kamer! A gdzie on...? – Obrócił się w stronę półki, przy której jeszcze przed sekundą zauważył Massima. Z głębi sypialnej części pokoju dobiegł ich dźwięk tłuczonego szkła.

Diana i Davide wstali gwałtownie z krzeseł i podbiegli w stronę łóżka. Massimo siedział skulony na podłodze pomiędzy łóżkiem a ścianą i wbijając palce w wyszczerbione szkło ramki ze zdjęciem Aurory, bujał się rytmicznie, powtarzając jak w transie:

– Szary Cień... Szaaaary Cień...

– O ja pier...! – wyrwało się Giacomowi. – Gościu ocipiał!

– Davide, biegnij do łazienki, widziałam tam apteczkę! Giaco, zabierz mu to szkło i dawaj mi go tutaj – komenderowała Diana, która jako jedyna nie straciła zimnej krwi. – A jak dojdzie do siebie, to będzie musiał nam to wyjaśnić. Rzuciła na łóżko mały plastikowy pojemnik z napisem „Olanzapina” na etykiecie.

– Co to jest? – zapytał Giacomo, szamocząc się z wijącym się na podłodze Mas-simem.

– Lek na schizofrenię.

Dzieci cienia

Po niespełna godzinie, jak w groteskowej wersji *Dnia Świstaka*, Massimo siedział znowu przy kuchennym stole. Sceneria zdążyła się jednak wzbogacić o bandażę na jego dłoniach, obecność rozchelstanego Giacoma bujającego się na krześle z butelką whisky i o stojący na środku stołu pojemnik z olanzapiną.

Po telefonicznej konsultacji z lekarzem Diana zdecydowała się zaaplikować mężczyźnie znaleziony w łazience bezpieczniejszy i łagodniejszy w działaniu prozac. Choć w opłakanym stanie, Massimo wydawał się być spokojny i całkowicie świadomy.

– To może od początku – powiedziała Diana, starając się nadać swojemu głosowi jak najłagodniejsze brzmienie. – Co do tego, że leki należą do ciebie, a nie do Aurory, nie mamy już teraz żadnych wątpliwości. Opowiesz nam, jak się to wszystko u ciebie zaczęło?

Mężczyzna ukrył twarz w poranionych dłoniach.

– Nie jestem wariatem – powiedział cicho.

– Wiemy. – Diana pogładziła go delikatnie po włosach.

Drgnął i opuścił dłoń.

– I nie potrzebuję waszej litości! – wykrzyknął. – Mam przerąbane od urodzenia i mam to już wszystko gdzieś. Powiem wam wszystko, co chcecie, ale obiecacie, że znajdziecie Aurorę. – Omiótł ich błagalnym spojrzeniem.

– Dajemy ci na to nasze słowo – odpowiedział za wszystkich Davide. – Ale po tym, co widzieliśmy, musimy poznać wszystkie fakty z twojego życia. One mogą się okazać ważne. I wybac, że to powiem. Musimy rozwiązać wątpliwości, że twoja choroba... nie przyczyniła się do zniknięcia twojej narzeczonej. – Dziennikarz z trudem dobierał jak najdelikatniejsze słowa.

– Przecież ja ją kocham!!! – Massimo trzasnął pięścią w stół. Pojemnik z lekiem przewrócił się i potoczył w kierunku krawędzi stołu, gdzie zręcznym ru-

chem uchwycił go Giacomo.

– Spoko, stary! Ja ci wierzę! – zapewnił z przekonaniem. – Po prostu powiedz nam o wszystkim. Często masz takie schizy? Ten twój „Cień” to jakiś duch? Czy wyimaginowany braciszek? – Porucznik poczuł pod stołem kopnięcie, którym przywołała go do porządku Diana.

Massimo wypuścił z siebie powietrze jak przekłuty balonik. Zgarbił się, a jego oczy zmatowiały, jakby nagle przeniósł się do innej rzeczywistości.

– Ja byłem przyzwyczajony – powiedział głucho. – Odkąd pamiętam, nie miałem nikogo. Ale pomyślcie o tych wszystkich dzieciach, które oderwano od rodzin i wrzucono do tego potwornego miejsca...

Jego ciągle nieobecne oczy wypełniły się łzami.

– O czym ty mówisz, skarbie? – Diana miała doświadczenie w przesłuchiowaniu nastolatków pochodzących z patologicznych rodzin. Intuicja podpowiadała jej, że aby dotrzeć do źródła problemów tego człowieka, powinna go tak właśnie potraktować – jak małe zranione dziecko.

– Kiedy miałem dziesięć lat, przeniesiono mnie z sierocińca, w którym się wychowałem. Do zakładu dla opóźnionych i trudnych dzieci. – Massimo zaczął się w końcu otwierać. Mówił powoli i monotonicznie, jakby chciał im opowiedzieć bajkę na dobranoc.

– To był taki piękny pałacyk, stojący wśród łąk i pól w okolicach Ferrary. – Ożywił się trochę, spoglądając na Davida. – Jesteś stamtąd, więc pewnie wiele razy przejeżdżałeś obok tego domu, nie mając pojęcia, czym był kiedyś. A był ziemską wersją najniższego kręgu piekieł. Okoliczni ludzie nazywali to miejsce pieśczołtliwie Przytułkiem Matki Boskiej Różanej. To od nazwy ulicy, przy której się znajdował – via delle Rose. Oni również nie zdawali sobie sprawy z tego, co działo się w środku. Przytułek był tak naprawdę, mówiąc wprost, domem wariatów. Tyle że nie wolno było o tym mówić w ten sposób. Na krótko przed tym jak moi nieznani mi rodzice, prawdopodobnie sezonowi pracownicy rolni, którzy przybyli tu z biednego południa, porzucili mnie w bolońskim sierocińcu, we Włoszech uchwalono prawo likwidujące zakłady psychiatryczne. To tak ładnie wyglądało w gazetach: w postępowym chrześcijańsko-demokratycznym państwie pozbyto się wstydliwego problemu unieruchomionych kaftanami i traktowanych elektrowstrząsami ludzi. Tylko, że w praktyce zmieniono jedynie szyldy. Co więcej, teraz już bez cienia wstydu psychiatrzy i psycholodzy masowo kierowali ludzi, a w szczególności dzieci, do instytutów „reedukacyjnych”. Od tych instytutów państwo zresztą też umywało ręce – to były czasy, kiedy prawie sto procent tego typu zakładów było prowadzonych przez Kościół katolicki. Słyszeliście

o skandalach dotyczących dzieci maltretowanych przez księży i zakonnice w Kanadzie czy w Irlandii? Myślicie, że Włoch ten problem nie dotyczył? Tutaj, w cieniu wpływowego Watykanu, ciesząc się ochroną podpisanego jeszcze przez Mussoliniego konkordatu, niektórzy ludzie Kościoła czuli się jeszcze bardziej bezkarni. Były miejsca, gdzie mieli władzę absolutną. Taką enklawą był właśnie Przytułek Matki Boskiej Różanej. Tylko część znajdujących się tam dzieciaków było sierotami, takimi jak ja. Większość to były dzieci nadpobudliwe, trudne, z którymi nie dawali sobie rady nauczyciele i rodzice. Państwowi psycholodzy wmówili tym ostatnim, że najlepiej będzie oddać ich pociechy na bezterminową resocjalizację. A kto by się sprzeciwił podwójnemu autorytetowi reprezentowanemu przez lekarzy i Kościół? I tak do Matki Boskiej Różanej trafiały niechciane przez nikogo sieroty, ale również zadbane i kochane przez rodziców dzieciaki z ADHD, z autyzmem czy ze zwykłymi problemami w szkole. Cała ta różnorodna zbieranina dzieci mieszała się ze starymi mieszkańcami zakładu, w tym z przybyłą tam jeszcze przed reformą, dorastającą już młodzieżą, która była naprawdę ciężko chora i wymagała leczenia psychiatrycznego. Leczenia, które jak odkryłem krótko po tym, jak się tam znalazłem, polegało głównie na zamykaniu w ciemnej piwnicy, na biciu pasami i modlitwie na klęczkach w zimnej kaplicy. O elektrowstrząsach też słyszałem, choć mnie akuratnie oszczędzono tej „kura-cji”.

Massimo, który mówił z coraz większym zaangażowaniem, przerwał na chwilę, aby odebrać z rąk Diany szklankę wody, którą wypił łączywie.

– Jak długo tam byłeś... w tym strasznym miejscu? – zapytała.

– Sześć lat. Aż do momentu, kiedy nagle zamknięto instytut.

– A dlaczego go zlikwidowano?

– Czasy się zmieniły i państwo powoli zmieniało stosunek do trudnych dzieci, zaczęto ulepszać metody wychowawcze. Szła też powoli systemowa przemiana związana z Unią Europejską. Ale zamknięcie przytułku było następstwem czegoś innego. Po prostu za dużo już dzieci zginęło...

– Że jak?! – Diana aż podskoczyła.

Wiedziony dziennikarskim instynktem i wyczulony na chwytliwe historie Davide także wyraźnie się ożywił. Tylko Giacomo beznamyślnie bujał się dalej na krześle.

– Kiedy tam przybyłem, od dawna krążyły historie o dzieciakach, które zabierano na dół do piwnic i które nigdy już nie wracały na górę – odparł Massimo. – Chodziły słuchy, że grzebano je w zbiorowej mogile, w jednym z rogów wielkiego ogrodu. Rzeczywiście, siostry zakonne, które na okrągło nas pilnowały, za-

braniały nam się tam bawić, tłumacząc to obecnością niewybuchów pozostałych po wojnie. Tyle że od wojny minęło już kilka dziesięcioleci. To było strasznie głupie tłumaczenie. Starsi chłopcy zakradali się w to miejsce w nocy, żeby palić papierosy i odprawiać „szatańskie msze”, jak to nazywali. To były zwykłe wygłupy, ale przynosili stamtąd czasem fragmenty jakichś pobrudzonych ziemią, przegniłych ubrań. Nie wiem, czy chcieli tylko nas, maluchy, nastraszyć czy też były to prawdziwe znaleziska. Wtedy jeszcze, poza torturami i złym traktowaniem, nic dziwnego w ośrodku się nie działo. Te strzępki starych ubrań tłumaczyłem sobie więc tym, że pewnie w tej części ogrodu zakopywano odpady. Wywóz śmieci zawsze był drogi, a Kościół, jeśli chodziło o coś innego niż budowa świątyń i biskupich pałaców, nie lubił trwonić majątku. Miałem na to najlepszy dowód, bo pamiętam, jakimi resztkami nas karmiono. Wylączano nam też prąd. Codziennie o osiemnastej, nawet zimą. Chodziliśmy wyziębieni i głodni. Litościwi ludzie ze wsi nas dokarmiali. Nazywali nas „cieniami od Matki Boskiej Różanej”, bo żyliśmy w ciemności i sami wyglądaliśmy jak cienie...

– Aaaa! To stąd ten twój „Szary Cień”. – Giacomo się ucieszył. – No i proszsz... Się wyjaśniło! – Z wrażenia aż przestał się kiwać na krześle.

– Nie. Nie stąd – odpowiedział Massimo ze źle ukrywaną złością. Davide wcale mu się nie dziwił. Legendarne już grubiaństwo porucznika nie przysparzało mu wielu przyjaciół.

– Mnie się kompletnie wtedy nic nie wyjaśniło – kontynuował przerwane opowiadanie Massimo. – Co więcej, wszystko stało się bardziej niepokojące, kiedy zaczęły znikać dzieci. Po wieczornej modlitwie przy świecach, zawsze o godzinie dwudziestej, kładliśmy się do łóżek w takich olbrzymich salach. Dziewczynki na pierwszym piętrze, chłopcy na drugim. Na parterze czuwały siostry, które z nami mieszkaly. Księża dojeżdżali z Ferrary tylko w weekendy, żeby spowiadać i odprawiać niedzielną mszę. Po jakichś czterech latach od mojego przybycia do ośrodka zacząłem zauważać te zniknięcia. Kładliśmy się do łóżek w trzydziestu chłopców, a kiedy się budziliśmy, było nas już tylko dwudziestu dziewięciu. To samo zdarzało się u dziewczynek.

– Co noc?! – Davide był już w swoim żywiole. W głowie robił sobie notatki i wymyślał już tytuły o maksymalnej klikalności.

– Nie, to się zdarzało raz na miesiąc, dwa.

– A co na to zakonnice? Ktoś się tymi zaginięciami zainteresował? Gdzieś zgłosił? – Najwyraźniej spośród wszystkich zebranych tylko Diana miała głęboko wpojone poczucie prawa i legalności.

– A skąd! – Massimo uśmiechnął się blade. – Siostry nam coś tam tłumaczyły, że te dzieci są odsyłane do miasta na badania. Ale wszyscy sobie zdawali sprawę, że one same nie wiedziały, co się z tymi dziećmi stało. Zapanowało między nimi coś w rodzaju popłochu. Po kolejnym zniknięciu zaczęli przyjeżdżać z wizytacją księży. Nie na mszę, ale do nas, w środku tygodnia. Jacyś nowi, nie znaliśmy ich. Brali każdego z nas do pokoiku na dole i kazali przysięgać na Biblię, a potem przepytawali nas, czy coś wiemy o tych zaginięciach. Pytali, czy nie zmówiliśmy się, żeby uciekać. Do dzisiaj nie wiem, czy się bardziej martwili o te dzieci, czy o to, że okrucieństwa, które się działy latami w ośrodku, wyjdą na jaw.

– A wy mieliście jakieś podejrzenia? – zapytała rzeczowo Diana.

– Każdy miał swoją teorię. Przez jakiś czas podejrzewaliśmy jednego księdza. On był taki trochę jakby za bardzo dla nas dobry...

– Pedofil! – Giacomo wypowiedział na głos myśl, która choć niechciana, pojawiła się w głowach całej trójki słuchaczy.

Massimo nawet nie próbował ukrywać pogardy w spojrzeniu, jakim go obdarzył.

– Czy każdy dobry ksiądz musi być zaraz pedofilem?! Tamten, Don Camillo, był po prostu dla nas dobry i tyle. Wszyscy mieliśmy cichą nadzieję, że nas stamtąd zabierze... Niestety po jakimś czasie został przez biskupa przeniesiony do innej pracy. A zaginięcia zdarzały się dalej.

– To może jednak te dzieci same uciekały? – wtrącił się Davide.

– No właśnie raczej by nie mogły same uciec – odpowiedział Massimo. – Kiedy zaginęło ósme dziecko, dziewczynka o imieniu Agata, byliśmy naprawdę zasmuceni. Ona była najmłodsza z nas wszystkich. Miała tylko pięć lat i stała się naszą ulubienicą. Niewidoma od urodzenia, miała wrażliwość, jakiej nie miał nikt inny, i niezwykły talent. Nie potrafiła oczywiście czytać ani pisać, ale była bardzo uzdolniona. Robiła z masy papierowej takie małe proste figurki – ludziki, zwierzątka, serduszka. Obdarowywała nas później tymi przedmiotami. Wszyscy ją lubili. I wszyscy wiedzieli, że bez czyjejś pomocy nie mogłaby dojść dalej niż do zamkniętej na wielką kłódkę furtki, która oddzielała nas od świata zewnętrznego.

– I co było dalej? Odnalazła się? – Davide nie krył emocji. Nawet Giacomo dał sobie spokój z szyderczymi docinkami i wpatrywał się z uwagą w Massima.

– Nie. Nigdy się nie odnalazła. Ale szukając jej, dokonaliśmy dwóch odkryć. Po pierwsze uświadomiliśmy sobie, że z ośmiorga dzieci, które zaginęły, każde było upośledzone – umysłowo albo przez jakieś kalectwo. Po drugie, po zaginięciu Agaty zaczęliśmy czuć. Było nas sześciu silnych chłopaków w podobnym

wieku, tworzyliśmy zgraną paczkę. Co noc jeden z nas trzymał rodzaj warty, co sprowadzało się do leżenia z otwartymi oczami i obserwowania sali. Uwierzcie mi, mieliśmy takiego stracha, że nikt nigdy nie zasnął podczas swojej zmiany. Pewnego ranka obudziłem się i mój przyjaciel Aldo stał nade mną, szepcząc zsiniałymi wargami – „To on, Szary Cień!”.

– Powiesz nam wreszcie, kto to jest ten Szary Cień? – Giacomo nie wytrzymał.

– Nazywaliśmy tak najstarszego na sali chłopaka. – Głos Massima znów stał się słaby i drżący. – Miał wtedy chyba z szesnaście lat i nigdy z nikim nie rozmawiał. Był najdłużej z nas w zakładzie. Oczywiście nie licząc tych najciężej chorych, którzy byli pozamykani w celach w piwnicy. Trzymał się raczej na uboczu. Naprawdę nazywał się Thomas Guarini. Panowała moda na amerykańsko brzmiące imiona, ale nie to było w nim najdziwniejsze. On już w tak młodym wieku był kompletnie siwy. Jak gołąbek. I kiedy poruszał się w ciemności, wyglądał jak cień, zupełnie jak my, tylko z tą różnicą, że jego gęsta biała fryzura nadawała mu dziwnego, trochę upiornego wyglądu. Tamtej nocy, kiedy wartę trzymał Aldo, zaginęła kolejna dziewczynka. Eliza miała zespół Downa i była z nami od zaledwie dwóch dni. Mieszkała z resztą dziewczynek piętro niżej, dlatego Aldo nie miał jak przyłapać sprawcy jej zaginięcia. Jednak podczas swojej warty zauważył podejrzany ruch w naszej pogrążonej w mroku sali. Wstał i zaczął podchodzić do każdego z nas, sprawdzając, czy śpimy bezpiecznie w naszych łóżkach. Kiedy podszedł do łóżka Thomasa, nie znalazł go tam. W pierwszej chwili pomyślał, że Szary Cień okaże się kolejnym zaginionym. Ale wtedy on wrócił. Odsunął Alda i bez słowa położył się spać. Rano okazało się, że zaginęła Eliza, a Aldo zarzekł się, że Thomas, kładąc się do łóżka, miał ręce czarne, jakby grzebał nimi w ziemi.

– I dojrzał to w tej ciemności? Poza tym może chłopak po prostu wracał z toalety? – Giacomo, prócz wrodzonego sceptycyzmu, posiadał spore doświadczenie jako śledczy i w pierwszej kolejności szukał zawsze najbardziej oczywistych wytłumaczeń.

– Tamtej nocy była pełnia. Aldo twierdził, że w świetle księżycy szare włosy Thomasa świeciły się jak neon. Widoczność była więc dostatecznie dobra, żeby dostrzec z bliska czarny brud na czyichś rękach. A toalety były zamykane na klucz. To była jedna z tortur, jakie stosowały wobec nas zakonnice. Nie życzyły sobie, żebyśmy w nocy włóczyli się po korytarzach. W nocy sikało się więc po kryjomu przez okno. Nie było po co wychodzić z pokoju.

– Zgłosiliście to komuś? – dopytywał Davide.

Giacomo prychnął z dezaprobatą. Domyślił się już, że w przytułku panowały porządki podobne do tych w więzieniu albo w koszarach, w których sam się wy-

chował. Donoszenie w pewnych środowiskach nie było dobrze widziane.

– Niby komu? – Reakcja Massima potwierdziła intuicję porucznika. – Zakonnice i księża nie byli naszymi przyjaciółmi. Prędzej byśmy ich podejrzewali o maczanie w tym wszystkim palców. Zaczęliśmy za to uważnie obserwować Thomasa. Po jakimś czasie się domyślił, że patrzymy mu na ręce. Napięcie między nami rosło. Baliśmy się konfrontacji z nim, bo był od nas starszy i silniejszy. Nas było za to więcej. W końcu pewnej nocy kolega, który trzymał wartę, postawił nas wszystkich na nogi. Przyłapał Szarego Cienia przy łóżku kolejnego nowoprzybyłego dziecka, które miało problemy ruchowe. Wstaliśmy, chwyciliśmy kije, które sobie wcześniej przygotowaliśmy z gałęzi drzew rosnących w ogrodzie, i zaczęliśmy otaczać Thomasa. Chcieliśmy mu spuścić porządne manto i zmusić go do wyjawienia nam, co zrobił z resztą dzieci. I wtedy on zrobił coś, czego się nie spodziewaliśmy...

– Co takiego? – jednym głosem zapytali Davide i Diana.

– Podeszedł do drzwi balkonu. Otworzył je i wyskoczył...

– Zabił się?!

Massimo nie odpowiedział. Jego przyspieszony oddech zdradzał emocje, jakie przeżywał. Davide doskonale wiedział, co musiał czuć. Sam zmagał się z traumą związaną z przyczynieniem się do czyjejś śmierci.

– Tak nam powiedziano. Zakonnice i księża wmówili nam, że go zabiliśmy. Spadły na nas wszystkie możliwe kary, jakie tylko były w repertuarze tego okropnego miejsca. Pamiętam nieprzerwany ciąg okładania pasami, leżenia w izolatce na gołej ziemi i głodówki... Każdy z naszej szóstki przez to musiał przejść. Mnie się im jednak nie udało złamać. Ja i tak wiedziałem swoje.

– To znaczy? – rzucił Giacomo.

– Że go nie zabiliśmy.

– A skąd ta pewność?

– Byłem jedynym, który po skoku Thomasa miał odwagę podejść do balkonu i spojrzeć w dół. Tam nikogo nie było. Nie było ciała, tego jestem pewien. Trochę mniej tego, co widziałem przy furtce. Wydawało mi się, że dostrzegłem dwie sylwetki. Kogoś, kto niósł na plecach inną osobę. Głowa tej niesionej osoby podskakiwała jak piłeczka. W świetle księżycy odbijały się jej jasne włosy. To był Szary Cień. Nie wiem, czy przeżył upadek. Ale ktoś go stamtąd wyniósł.

Zapanowało milczenie. Pierwsza przerwała je Diana.

– I wtedy zamknięto ośrodek?

– O nie! Nie wtedy. Nieco później. Wspomniałem już, że spotkała nas kara. To wszystko trwało ze dwa miesiące. Potem pozwolono nam wrócić do wspólnej sali. Moi koledzy byli kompletnie złamani. Nie odzywali się do mnie. Wyjątkiem był Aldo. Z nim trzymałem się najbliżej. Byliśmy już wtedy najstarsi w grupie i to my chodziliśmy palić do zamkniętej części ogrodu. Ktoś z nas przypadkiem kopnął w stary konar, który się przewrócił, unosząc sporą połąć ziemi. I wtedy je znaleźliśmy.

– Co takiego? – Davide i Diana znów odezwali się chórem.

– Te przedmioty. Wiecie, te ludziki Agaty. Serduszka, koniki... A potem rękaw jej różowego sweterka. A w rękawie... – Głos Massima się załamał. – Jej rączkę...

Tym razem Diana straciła nad sobą kontrolę.

– O Boże, ale chyba wtedy zawiadomiliście te zakonnice, tak? Wezwano w końcu policję?!

– Tak, wtedy je zawiadomiliśmy. I nie, nie było żadnej policji. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Przyjechały jakieś koparki, ciężarówki. Nie mam pojęcia, co się potem działo. Wtedy już zaczęliśmy opuszczać ośrodek. Mnie przeniesiono na krótko z powrotem do sierocińca w Bolonii. I potraktowano mnie jak jakiegoś króla. Niespodziewanie otrzymałem klucze od mieszkania w samym centrum, opłacono mi też studia, załatwiono dorywczą pracę w kurii. Wiedziałem, że w tej sytuacji nie ma sensu zadawać pytań. Cieszyłem się, że dostałem szansę, żeby wyjść na ludzi. I nie zmarnowałem jej, gdyby nie Szary Cień.

– Spotkałeś go? – Davide zdziwił się za wszystkich.

– Tak. W mojej głowie. Codziennie. Zmarnował mi życie. Zacząłem pić. Miałem różne zwidy. Straciłem żonę, pracę. Gdyby nie Aurora, pewnie już dawno byłbym tam, gdzie są Agata, Eliza i pozostała siódemka... Aurora jest jedynym powodem, dla którego żyję. Czy teraz wierzycie mi, że to nie ja stoję za jej zaginięciem? Czy teraz wreszcie pomożecie mi ją odnaleźć?

Davide przelknął ślinę. Było mu niemal wstyd, że zmusili mężczyznę do tak intymnych zwierzeń.

Podchwycił spojrzenie wpatrującej się w niego Diany. Oboje czuli tę samą potrzebę rozmowy. Podobnie jak Massimo musieli wreszcie wyrzucić z siebie to, co od dawna ich dręczyło.

Rozdroża

Po krótkim podsumowaniu i zaplanowaniu następnych posunięć, upewniwszy się, że stan psychiczny Massima się ustabilizował, Giacomo, Diana i Davide w milczeniu zatrzasnęli za sobą drzwi jego domu i skierowali się w stronę zaparkowanych na podjeździe samochodów. Ich nastroje nie były najlepsze. Mieli za sobą męczący dzień. Każde z nich na swój sposób przeżywało ponurą opowieść mężczyzny. Giacomo i Davide nie mieli już własnych rodziców i w pewnym stopniu utożsamiali się z sierocym losem Massima. Diana przygryzała wargi do krwi, przeżuując w sobie bezsilną złość, jaką odczuwała na myśl o bezdusznej i okrutnej postawie Kościoła i państwa – dwóch instytucji, które powinny być stać na straży bezbronnych dzieci, a w tym wypadku stały się ich oprawcami.

Był bezgwiazdny i mroźny grudniowy wieczór. Zdążyli przemarznąć, zanim dotarli do aut. Davide, mając w pamięci drogę dojazdową, która śmiało mogłaby konkurować z jakimś z trudniejszych odcinków rajdu Paryż–Dakar, pozostawił swoją wymuskaną alfę romeo pod posterunkiem w Bolonii i dotarł na miejsce, korzystając z podwózki zapewnionej mu przez Dianę.

Mocując się z przymarznąłą klamką jej służbowego tipo, kątem oka napotkał nieprzyjazne spojrzenie Giacomina.

Porucznik dopalał właśnie papierosa oparty plecami o pokrytą cienką warstwą lodu karoserię jeepa i tytał spod oka na Dianę i Davida. Niedawna decyzja dziewczyny o zakończeniu ich związku dotknęła go bardziej, niż to okazywał. Pokryte ochronną warstwą szyderczej ironii i złośliwego sarkazmu serce porucznika ścisnęło się boleśnie na widok szykującej się do odjazdu pary. Pstryknął palcami i niedopałek papierosa poszybował w ciemność okalającą zamarznąte pola.

– Baw się dobrze, młody – rzucił cicho w stronę Davida.

– Odmeldowuję się, pani kapitan! – krzyknął głośniejszym głosem i nie oglądając się za siebie, zniknął w kabinie jeepa.

Usta zajmującej miejsce za kierownicą się Diany zacisnęły się w wąską kreskę.

– Co go ugryzło? – zapytał Davide, siedząc już na miejscu pasażera i starannie zapinając pasy. Wiedział, że dziewczyna lubiła przesadzać z prędkością.

– A bo ja wiem? – prychnęła. – Wy, faceci, wszyscy jesteście tacy sami – dodała. – Wpierw zawalacie sprawę, a potem się jeszcze na nas złościcie.

Postanowił tego nie komentować. Wiele lat temu źle potraktował Dianę. Był wtedy niedojrzałym i pozbawionym refleksji chłopakiem. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak łatwo wyrządzić komuś emocjonalną krzywdę. Tak naprawdę dowiedział się o tym dopiero, gdy sam został skrzywdzony.

„Karma zawsze wraca” – pomyślał i westchnął po cichu, patrząc w pustkę za zaszronionym oknem.

Nieprzywoływane i niechciane myśli o Olivii wracały do niego w najmniej oczekiwanych momentach. Zgodnie z proroczymi słowami, jakie wypowiedział przed zaginięciem jego były szef, niebieskooka blond piękność o anielskiej twarzy i rogatym charakterze, Olivia Cattanei, stała się jego femme fatale. Błyskotliwie inteligentna i mądra, nie tylko zawładnęła jego żądzami, ale wciągnęła jego umysł w pułapkę fascynacji, z której nie potrafił się teraz wydostać.

Różniło ich niemal wszystko. Ona – uporządkowana, racjonalna i zadbana w każdym detalu. On – ciągle bujający w obłokach, roztrzepany, z wiecznie źle dobranymi częściami garderoby, czym już na studiach zaskarbił sobie przydomek *Ragazzo Malvestito*. A jednak, w jakiś nie do ogarnięcia umysłem sposób, odczuwał łączącą ich bliskość. W jego przekonaniu, wbrew widocznym gołym okiem różnicom, dziewczyna była jego drugą połówką, nierozdzieloną częścią jego duszy. Z tym większą trudnością znosił wymuszone przez sytuację rozstanie.

Musiał uczciwie przyznać, że Olivia nie była kobietą bez skazy. Popęłniła kilka niewybaczalnych błędów, z których ostatni – rabunek cennego klejnotu – skazał ją na banicję i być może dożywotnią konieczność ukrywania się. Kradzież był skłonny jej wybaczyć. Wiedział, że klejnot zabrała nie z próżności, a z powodu altruistycznej misji, jaką sobie wymyśliła. Nie godził się jednak z faktem, że mogło istnieć coś ważniejszego od ich wspólnego szczęścia, a już kompletnie nie pojmował, dlaczego, choć od momentu jej ucieczki utrudniony, to jednak częsty i naładowany uczuciami kontakt między nimi zaczął się urywać i zanikać. Odpowiedzi na niektóre pytania mogła mu udzielić Diana, jednak była to kolejna bolesna rana w jego sercu. Nie potrafił zaakceptować tego, że jego ukochana Olivia miała większe zaufanie do jego byłej dziewczyny Diany niż do niego samego i że to Diana wiedziała o ukrywającej się dziewczynie niemal wszystko, podczas gdy on cierpiał z powodu braku wiadomości.

Rozmyślenia przerwał mu ryk podrasowanego silnika fiata.

W uporządkowaną na co dzień Dianę wstępował diabeł, gdy tylko dotykała kierownicy. Davide też był niezgorszym kierowcą, ale to, co wyczyniała temperamentna karabinierka, wykraczało poza próg ryzyka, jakie był gotów podejmować. Zanim boleśnie stuknęła głową w boczną szybę, ryzykując rozbicie jednego albo drugiego, zdążył pomyśleć, że na styl jazdy Diany miał też niewątpliwie wpływ samochód, jakim się poruszali.

„Jakie jest najlepsze auto na świecie? Służbowe!” – przypomniał sobie stary żart, rozmasowując bolące czoło.

– Jak się trzymasz, chłopczyku?! – zawołała do niego wesoło Diana. Perlisty uśmiech rozświetlił jej twarz. Gdy przestawała się kontrolować, stawała się jeszcze piękniejsza.

Jej prawa dłoń zacisnęła się na ręcznym hamulcu. Widząc zbliżający się, porany koleinami ostry zakręt, zamiast zwolnić, gwałtownie przyspieszyła.

– Diana! *Cazzo!* Co ty robisz?! – wyrwało się dziennikarzowi, podczas gdy samochód w pełnym pędzie ślizgał się na wirażu. Sunące w kontrolowanym poślizgu tylne koła wyrwały z ziemi polne kamienie, które przebijając cienki lód, wpadały z pluskiem do przepływającego obok drogi kanału.

– To jest jedyna droga, załatwisz mu ją na amen! – Próbował dalej powstrzymać jej szarżę.

– Było się na zadupie nie wyprowadzać! – Zaśmiała się, biorąc następny zakręt.

Wychodzące na prostą auto zaczęło już stabilizować tor jazdy, gdy reflektory oświetliły olbrzymiego bażanta, który wypłoszony z krzaków, zastawił im drogę.

Nie zdążyli nawet krzyknąć. W ułamku sekundy prowadząca pojazd dziewczyna musiała podjąć decyzję, czy skierować go w stronę kanału, czy wjechać na pograżone w ciemności i kryjące niewidoczne przeszkody pole, czy też staranować ważącego kilkanaście kilogramów ptaka. Wybrała czwartą opcję. Z całej siły zaciągnęła hamulec i skręciła maksymalnie koła. Obracający się wokół własnej osi samochód jakimś cudem nie wywrócił się na bok. Zgodnie z nadzieją Diany tylne opony posłusznie wykonały kolejny – tym razem pozbawiony kontroli ślizg. Samochód wykonał półobrót i uderzając przednim błotnikiem w wystający z pobocza głaz, z głośnym hukiem zatrzymał się gwałtownie w poprzek drogi.

Po przerażonym bażancie nie było ani śladu. Silnik zgasł. W kabinie samochodu słychać było przyspieszone oddechy dwojga podróżujących nim osób.

– *Porca troia!!!* – zaklęła siarczyście dziewczyna. – Nic ci nie jest?! – Obróciła się z troską w stronę dziennikarza. Ten, oszołomiony, próbował rozpiąć pasy.

– Teraz nawet samochód mi odbiorą! *Merda!* – Diana wyżyła swoją złość na kierownicy i otworzyła kopniakiem drzwi, czemu towarzyszył metaliczny dźwięk ocierających się o siebie części zdeformowanej od uderzenia w głąz karoserii.

Zakopane w zamarzającej ziemi uszkodzone auto nie nadawało się do dalszej jazdy.

Giacomo ruszył przed nimi, a otumaniony lekami Massimo zapewne spał w najlepsze. Byli zdani tylko na siebie.

Davide, nie namyślając się długo, zaczął szukać numerów w telefonie. Miał Dianie za złe tę niepotrzebną woltyżerkę, ale chciał ją uchronić przed oficjalnym raportem i służbowymi konsekwencjami. Na szczęście miał sporo znajomości wśród fanów alfy i innych mechaników. Po odbyciu kilku rozmów otworzył drzwiczki i dołączył do stojącej na mrozie dziewczyny.

Diana kończyła palić papierosa. Podsunęła mu paczkę. Oboje byli niepalący i oboje mieli zawsze poukrywane w różnych schowkach papierosy, z których korzystali czasem, aby uwolnić się od stresu. Davide uświadomił sobie, że w ostatnich czasach oboje wypalili ich bardzo dużo.

Płomień zapalniczki na chwilę dostarczył jego dłoniom przyjemnego ciepła.

Zaciągnął się i spojrzał na Dianę.

– Nigdy nie będzie na to odpowiedniego momentu – zaczął. – Ale myślę, że zasługuję na kilka słów wyjaśnienia... Jak sądzisz? – zawiesił głos. Wiedział, że doskonale rozumiała, o co mu chodziło.

– Davide... – Spojrzała na niego czule. – Tutaj nie ma za bardzo o czym mówić. Chyba sam widzisz, że Olivia się od ciebie odsunęła.

– Ale... dlaczego?! – Nie mógł, a może nie chciał zrozumieć.

– Ona jest daleko. Przysięgam, że sama nie wiem gdzie, ale głowę dam sobie uciąć, że gdzieś na drugiej półkuli. Nie wiem. Brazylia? Argentyna? Rozmawiałam z nią kilka razy, w tle leciały jakieś latynoskie kawałki. Ona ma już inne życie, musisz się z tym pogodzić.

– Ale dlaczego dzwoniła do ciebie a nie do mnie? – Nie dawał za wygraną.

– Mówiłam już. To ja ją namówiłam na ucieczkę. Możesz mnie za to winić. Ale powiedz mi, czy bylibyście oboje szczęśliwi, gdyby siedziała teraz z długoletnim wyrokiem w więzieniu? Nie porzuciłbyś jej? – zadała mu pytanie.

– Oczywiście, że nie! – zaprotestował energicznie.

– No widzisz. Ona też by cię nie rzuciła, bo byłbyś jej jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Jedynym promykiem nadziei. I tak byście się męczyli

przez lata. A tak przynajmniej oboje możecie zacząć układać sobie życie z kimś innym. Ona to już rozumiała i doceniła tę szansę. Teraz pora na Ciebie...

– A kto Cię prosił, żebyś za nas decydowała? – zapytał z wyrzutem.

– Ona. Ona mnie prosiła. Kobiety się często nie znoszą, ale świetnie się nawzajem rozumieją. Ja po prostu wiedziałam, że ta dziewczyna zgniłaby w więzieniu. Ona by tam umarła, Davide, rozumiesz to? – Rzuciła papierosa na zmarzniętą ziemię i zbliżyła się do niego. Nawet w słabym oświetleniu działających wciąż reflektorów unieruchomionego auta było widać, że cała drżała.

Odruchowo otworzył ramiona i przytulił ją, aby ją ogrzać.

Przyłgnęła do niego całym ciałem. Poczł mieszankę perfum bulgari i papierosowego dymu. Jego dłonie mimowolnie spoczęły na jej zgrabnej talii. Wróciło dawno zapomniane wspomnienie jej ciała. Jego palce przypomniały sobie dotyk jej jedwabście gładkiej, pozbawionej jakiegokolwiek skazy skóry. Przed oczami zamajaczył mu widok nagiej śniadej sylwetki i otwierającej się przed nim słodczy jej miękkich i krągłych pośladków.

Nagle uderzenie krwi w jego żyłach spowodowało, że poczuł pomiędzy nogami palący ogień. Diana musiała wyczuć jego napięcie, bo przyłgnęła do niego jeszcze ściślej, wślizgując się między jego nogi swoim kształtnym udem. Poczł na swojej szyi jej gorący oddech, od którego zakręciło mu się w głowie. Oparł się plecami o samochód. Reflektory rozświetlały parę z ich coraz szybszych oddechów. Davide walczył ze sobą z całych sił. Pragnął jej jędrnego ciała, tak jak umierający z pragnienia człowiek łaknie wody. Zanurzył twarz w jej gęstych czarnych włosach.

Nie przywoływał tego ani nie chciał, ale nagle i bez żadnego powodu przypominał sobie, jak pięknie pachniały włosy Olivii.

– Nie... nie, Diano... nie, proszę.... – Odepchnął ją delikatnie.

Jej uścisk zelżał, oddech się uspokoił. Oparła głowę o jego klatkę piersiową. Po chwili uniosła wielkie brązowe oczy do góry i powiedziała cicho:

– Czasem ma się tylko chwilkę, żeby skrócić we właściwym kierunku. Może kiedyś zrozumiesz, czy ten, który wybrałeś, był dla Ciebie najlepszy.

W oddali zamigaly żółte światła nadjeżdżającej lawety. Drząc z zimna i emocji, unikając swojego wzroku, stanęli po przeciwnych krawędziach zamarznętej drogi.

Miasto wież

Szare niebo nie zapowiadało pięknego dnia. Davide zmrużył oczy. Jak większość Włochów był przyzwyczajony do spania w kompletnej ciemności. Poprzedniego wieczoru Diana, zanim zniknęła za drzwiami swojej sypialni, nie zadała sobie trudu, aby zamknąć okiennice w saloniku, gdzie przygotowała prowizoryczne posłanie dla Davida.

Dziennikarz wstał z niewygodnej kanapy, przeciągnął obolałe plecy i pomaszerował boso w stronę kuchni. Zimno bijące od starej, wykonanej z czarnego marmuru posadzki omal nie odmroziło mu stóp. Wynajmowany przez Dianę apartament znajdował się w samym centrum starego miasta, przy Strada Maggiore 14, i jak można było przeczytać na znajdującej się w korytarzu tabliczce, gościł kiedyś polskiego poetę Adama Mickiewicza.

„Może on się tu przynajmniej wyspał...” – pomyślał z przekąsem, czując ból w krzyżu, kiedy schylił się w poszukiwaniu patelni.

Jajecznica była już prawie gotowa, kiedy za jego plecami otwarły się wysokie dwuskrzydłowe drzwi i stanęła w nich zaspana Diana.

– Smażysz? O ósmej rano??? – Jej mina była mieszanką niedowierzania i dezaprobaty.

– Nie znalazłem nutelli. – Uśmiechnął się do niej szeroko. Zrobiłby wszystko, żeby tylko zatrzeć złe wspomnienie poprzedniego wieczoru. Zdjął grzanki z drzewce patelni i zaniósł gotowe porcje do stołu.

Diana usiadła przy nim, podpierając dłońmi rozczochraną głowę.

– Dwa dni to będę trawiła – jęknęła.

– Szybko to spalisz – odpowiedział. – Zaraz będziesz biegać. Za pół godziny mamy być u rabina na Santo Stefano. – Przypomniał jej o czekającym ich umówionym spotkaniu, które było jednocześnie powodem, dla którego zaproponowała mu u siebie nocleg.

Równo dwadzieścia minut później, podczas gdy Davide w bokserkach i podkoszulku walczył jeszcze ze swoją niesforną czupryną, ubrana, wypachniona i umalowana Diana stanęła w drzwiach łazienki.

„Jak one to robią?” – pomyślał i westchnął zrezygowany.

Diana uśmiechnęła się pobłaźliwie. Wiedziała, że nikt nie był w stanie zreformować tego szczerego w swojej chłopięcej niezdarności mężczyzny. Może to właśnie z powodu jego szczerości nie potrafiła przestać go kochać.

– Diana! Zwolnij! – Davide próbował przekrzyczeć hałas omijających go z lewej i z prawej strony skuterów i jednocześnie nie wpaść pod koła nadjeżdżającego trolejbusu. Dziewczyna szybkim krokiem przekraczała ruchliwe skrzyżowanie pod Dwoma Wieżami.

Wypili właśnie szybką kawę w znajdującym się po drugiej stronie jezdni barze Roxy i kierowali się w stronę zaczynającej się nieopodal via Santo Stefano. Mijając zagadującego turystów kelnera na malutkim placu della Mercanzia, Davide zerknął za siebie. Chociaż urodził się i wychował w pobliskiej Ferrarze, a od dialektu bolońskiego lepiej znał ojczysty język swoich rodziców, to jak każdy mieszkaniec regionu Emilia-Romania dość dobrze orientował się w historii wznoszących się za jego plecami Dwóch Wież. Te charakterystyczne budowle stanowiły wraz z Neptunem symbol architektury Bolonii. Ich wizerunek znajdował się na większości sprzedawanych tu widokówek.

Powstałe w średniowieczu, były reliktem równie wystawnej, co dziwacznej mody panującej wówczas wśród bogatych mieszczan. Zbudowane z cegieł na planie kwadratu wznosiły się wysoko ponad pałace i kościoły niczym średniowieczna wersja współczesnych wieżowców. Kiedyś stało ich tutaj około stu. Potocznie nazywano je „wieżami rycerskimi”, mimo że nie miały większego znaczenia militarnego. Zdarzało się wprawdzie, że były używane jako wieże obserwacyjne, jednak głównymi powodami ich powstania były prestiż i chęć pojmowanego dosłownie wywyższenia się ponad inne rody.

– To się zawsze sprawdzało. – Zaśmiał się do siebie Davide. – Im dłuższy, tym lepszy! No może niekoniecznie... – poprawił się, przypominając sobie, że choć wyższa z Dwóch Wież o dzwięczonej nazwie Asinelli miała aż dziewięćdziesiąt siedem metrów wysokości, to druga, Garisenda, musiała zostać skrócona o połowę, gdyż groziła zawaleniem. Zresztą obie wieże były wyraźnie odchylone od pionu, zostawiając pod tym względem w tyle nawet słynną Krzywą Wieżę w Pizie.

Dogonił Dianę dopiero pod koniec via Santo Stefano, dokładnie w miejscu, w którym wąska i zastawiona kawiarnianymi stolikami ulica poszerzała się jak odwrócony lejek i stopniowo przeobrażała się w wyłożony zaokrąglonymi kamieniami brukowymi plac.

Po obu stronach otwierającej się przed nimi przestrzeni stały okazałe pałace z portykami wspartymi na kolumnach ozdobionych kunsztownie rzeźbionymi kapitelami. Znajdujący się pośrodku plac opadał w dół, tworząc rodzaj doliny, w której najniższym punkcie wznosiła się niska, lecz rozbudowana wszerz bazylika Świętego Stefana zamykająca plac po przeciwległej stronie.

Aby ułatwić poruszanie się rowerami po wyboistych kamieniach, wybudowano wyłożone marmurowymi płytami wąskie ścieżki, które wychodziły z rogów placu i przecinały się dokładnie na jego środku.

Przystanąwszy na przecięciu dróg, Davide rozejrzał się wokół zdeorientowanym wzrokiem. Nie miał pojęcia, jak wyglądał rabin Samuele Mirandola, z którym umówili się telefonicznie, aby odebrać pozostawioną mu przez Massima i Aurorę domniemaną rzeźbę Modiglianiego.

Po zaginięciu swojej dziewczyny Massimo stracił zupełnie zainteresowanie tym tematem, natomiast Diana nabierała coraz silniejszego przekonania, że zniknięcie Aurory mogło mieć związek z cenną być może rzeźbą. Za wszelką cenę chciała ją odzyskać.

Podczas gdy Davide wciąż rozglądał się bezradnie po placu, jego towarzyszka sięgnęła po telefon. Rzuciła okiem na otrzymaną wiadomość i machnęła do dziennikarza, wskazując mu wejście do świątyni.

– Tam na nas czeka – powiedziała i ruszyła w stronę zwieńczonych romańskim łukiem drewnianych wrót.

Woda i krew

Panujące na zewnątrz zimno było delikatną pieszczotą w porównaniu z przenikliwym chłodem bijącym z kamiennych ścian i posadzek we wnętrzu bazyliki. Davide wyobraził sobie drżących z zimna średniowiecznych mnichów odzianych w liche habity.

„Nic dziwnego, że padali jak muchy” – przeszło mu przez myśl.

W kościele nie było jednak ani mnichów, ani w ogóle nikogo. Diana pociągnęła go za rękaw w kierunku drzwi znajdujących się po lewej stronie. Mieszkała w Bolonii od niedawna, ale zdążyła się już zaznajomić z najważniejszymi zabytkami w mieście. Wymagała tego od niej praca w nowym wydziale. Choć znalazła się w tym miejscu po raz pierwszy, słyszała już, że bazylika Świętego Stefana była bardzo nietypową budowlą. Potoczna nazwa, jaką nadali jej mieszkańcy miasta, brzmiała „Siedem Kościołów”. Rzeczywiście, spora powierzchnia i nieregularna zewnętrzna bryła bazyliki była efektem połączenia ze sobą siedmiu odrębnych budynków. Najstarszy z nich sięgał historią początków chrześcijaństwa i właśnie przekraczali jego próg.

Davide, pomimo że zanim stał się dziennikarzem, poświęcił historii sztuki kilka lat życia, studiował ją pobieżnie i nieuważnie. Niewiele wiedział o miejscu, w którym się znajdowali. Uczestnicząc od dziecka w organizowanych w Ferrarze tradycyjnych zawodach palio i niezliczonych rekonstrukcjach kostiumowych, był jednak niezwykle wrażliwości na piękno oraz szacunku do historii i ludzi, którzy ją tworzyli. Stojąc teraz w wejściu do kościoła Świętego Grobu, czuł, jak z przejęcia chodzą mu po plecach ciarki. Nigdy nie widział podobnej świątyni.

Pozbawione jakichkolwiek zdobień, surowe ceglane ściany tworzyły rodzaj zdeformowanego ośmiokąta. Tę nieregularną formę od góry przykrywała nieco staranniej wykończona kopuła wsparta na dwunastu kolumnach, z których jedne stały samotnie, a inne w parach. Część kolumn była wykonana z białego marmuru, reszta z cegieł. Jedna, zupełnie odstająca od reszty, była czarna. Kolumny

wspierały nie tylko kopułę, ale i znajdującą się tuż pod nią okrągłą loggię z romańskimi oknami. W centralnym punkcie świątyni, otoczony kolumnami, stał dwustopniowy kamienny monument ozdobiony potrójnym arabskim łukiem i płaskorzeźbami przedstawiającymi świętych, orła i gryfa. Dach tej kamiennej budowli wieńczył ogrodzony balustradą taras, do którego prowadziły dobudowane z boku schody. Nad wszystkim rozpościerał ramiona ogromny i posępny czarny krzyż.

Naprzeciw krzyża na małym składanym krzeselku siedział ubrany w czarny garnitur starszy mężczyzna. Wzorzysta jarmułka okrywająca jego łysiejącą siwą głowę nie pozostawiała wątpliwości, że był to rabin, którego szukali.

Podeszli do niego. Mężczyzna poprawił okulary w złożonych oprawkach. Nie trudząc się wstawaniem, spojrzął najpierw na Davida, a potem na Dianę.

– Pewnie się zastanawiacie, co stary Żyd robi w kościele? – zagadnął bez przywitania. Miał ładny młodzieńczy głos, w którym pobrzmiwały nutki humoru.

Nie wiedzieli, co odpowiedzieć, aby niczym go nie urazić. Rabin uśmiechnął się szeroko.

– To samo, co robi inny Żyd, co zawisł na tym drzewie. – Machnął ręką w stronę krzyża. – Siedzę tu i czekam, aż świat zmadrzeje – westchnął. – No i się doczekać nie mogę. Ale mi przynajmniej dobrze tu, w tej mojej Jerozolimie.

Zauważył ich zdziwione spojrzenia.

– Nie wiedzieliście? Aaa! Pewnie nie jesteście stąd? – Zadawał pytania i sam sobie odpowiadał.

– Ten kościół jest zwany „małą Jerozolimą”, a ten domek na środku to replika grobu Jezusa. Replika wierniejsza od oryginału, bo grób w Jerozolimie, jaki możecie tam dzisiaj zobaczyć, był już wiele razy burzony i przebudowywany. Ale zdradzę wam sekret. – Ściszył teatralnie głos. – Tak naprawdę ta świątynia powstała dla kogoś zupełnie innego. Pewnie też nie wiecie dla kogo?

Davide postanowił zablęsnąć.

– Dla Świętego Stefana? – zaryzykował.

– Nie, mój chłopcze. Dla Matki Boskiej. Z tym, że nie dla matki Jezusa, tylko dla matki Horusa. Dla Izdydy.

Spojrzeli po sobie zdziwieni. Nietypowy, emanujący tajemniczą energią wygląd kościoła i rabin opowiadający im o Izydzie przy replice grobu Chrystusa – wszystko to zupełnie do siebie nie pasowało.

– Proszę pana... Panie rabinie... – zająknął się Davide.

– *Rebe* – poprawił go Mirandola.

– Tak, *rebe*. Z całym szacunkiem, ale to dość mało prawdopodobne, żeby chrześcijanie czcili Izydę.

– Faktycznie – zgodził się rabin. – Gdyby wiedzieli, kogo czczą, to pewnie by przestali. My, Żydzi, mamy pod tym względem prościej. – Mrugnął okiem na znak, że żartuje. – I w tym kościele oczywiście chrześcijanie nie wznosili modłów do Izydy. Robią to za to do dziś w innej bolońskiej świątyni. Ale o tym potem. Najpierw wam coś pokażę.

Z niemalym trudem podniósł się z krzeselka i podszedł w okolice schodków prowadzących na taras nad grobem.

– Zobaczcie, widzicie tę kratę? – Wskazał ręką wmurowaną w posadzkę kratownicę z kutego żelaza, przez którą prześwitywało światło ze znajdującej się poniżej niewielkiej, pustej komory.

– Tutaj było kiedyś źródło przepływającej pod Bolonią rzeki Apozy. To źródło było sercem tego miejsca i warunkiem koniecznym, aby można było zbudować świątynię Świętej Matki Izydy. Bijące źródło miało symbolizować święte wody Nilu – rzeki ważnej ze względu na mit, który wiązał Izydę z Ozyrysem. Siedem kolumn, które tu widzicie wykonano w starożytności, w greckim mieście Kariostos. – Dotknął jednej z marmurowych kolumn podpierających kopułę. – Zostały tu przewiezione, aby otoczyć święte źródło. W tym miejscu, w połowie października odbywał się rytuał *Inventio Osiridis*, który przypominał o śmierci, pogrzebie i zmartwychwstaniu Ozyrysa. Coś wam przypomina ta historia? – Rabin znów puścił do nich oko. – Potem nastąpiły czasy chrześcijaństwa. Kiedy w piątym wieku przybył tu obecny patron Bolonii, Święty Petroniusz, zbudował w tym miejscu pomniejszoną kopię grobu Jezusa. Wykorzystał stojące tu greckie kolumny, wody Nilu przemianował na wody Jordanu i uczynił z tej nowej świątyni miejsce pielgrzymek dla chrześcijan, którzy nie mieli możliwości dostać się do prawdziwej Jerozolimy. W późniejszych wiekach do Świętego Grobu dobudowano kolejne świątynie, które miały symbolizować inne święte miejsca związane z męką Chrystusa. Obok na przykład możecie podziwiać podwórze imitujące dziedzińiec Piłata.

– A co z tą świątynią, w której podobno czci się do dzisiaj Izydę? – zapytała Diana, dając dowód na to, że uważnie słuchała słów rabina.

– Och, to wcale nie jest tylko jedna świątynia. Na całym świecie chrześcijanie modlą się do Izydy, nawet o tym nie wiedząc. – Rabin uśmiechnął się tajemniczo. – Czy pamiętacie wizerunki Czarnej Madonny znajdujące się w różnych sanktuariach?

– San Luca... – wyrwało się Davidowi.

Rabin pokiwał głową z powagą.

– Tak. W bolońskim sanktuarium pod wezwaniem Świętego Łukasza znajduje się jedna z Czarnych Madonn. Ale na świecie jest ich znacznie więcej: od Rosji, Polski przez Włochy, Francję aż po Argentynę. A wszystkie te święte obrazy rozpowszechniły się w średniowieczu dzięki krucjatom, a w szczególności dzięki zakonowi templariuszy i ich patronowi, Świętemu Bernardowi z Clairvaux. Podczas swych podróży po Bliskim Wschodzie rycerze natknęli się na figurki i wizerunki bogini Izydy karmiącej małe dziecko, Horusa. Figurki i malowidła przedstawiały kobietę o ciemnym kolorze skóry, ponieważ Izyda symbolizowała nocne niebo, po którym, wraz z nastaniem rządów jej syna Horusa, miał nastąpić świt, czyli odrodzenie. Święty Bernard, który upodobał sobie wizerunki Izydy matki, dopisał im chrześcijańskie wytłumaczenie. W tym celu sięgnął do Starego Testamentu, gdzie kobieta o ciemnym kolorze skóry miała zapowiadać nadejście Matki Bożej. W ten oto sposób matka Horusa stała się matką Jezusa, a Czarne Madonny jej najbardziej czczonym wizerunkiem – zakończył swoje opowiadanie rabin.

Na twarzy starego mężczyzny odmalowało się zmęczenie. Zachwiał się na nogach i chwycił stojącego bliżej Davida za ramię. Widząc to, Diana podbiegła z drugiej strony i przytrzymała rabina za łokieć.

– Dobrze się *rebe* czuje? Może powinniśmy już stąd wyjść? – zapytała z troską.

– Zaraz wyjdziemy – powiedział, kiwając głową. – Ale póki tu jeszcze jesteśmy, chcę, żebyście powiedzieli mi, co was najbardziej zaciekawiło w historii, którą wam opowiedziałem?

Davide zmarszczył czoło. Nienawidził takich pytań. Gdy je słyszał, czuł się jak uczeń manipulowany przez nauczyciela. Doskonale wiedział, że retoryka rabina prowadziła do z góry wybranej tezy. Tym razem był jednak wyjątkowo ciekawy do jakiej.

– Najciekawsze, rabinie, jest to, czego nam rabin jeszcze nie powiedział – wypalił.

Mirandola obrócił się do niego i patrząc mu w oczy, uśmiechnął się i poklepał go po policzku.

– Jesteś pewien, że nie masz żydowskich korzeni? Twoja odpowiedź jest godna adepta jesziwy, talmudycznej szkoły. I masz rację, jednego wam nie powiedziałem. – Wyciągnął chudą dłoń w kierunku metalowej kraty w podłodze. – To źródło tam wciąż bije. Tylko go nie widać. Zbudowano na nim nową świątynię. Opatrzono ją nowymi symbolami. Ono wciąż tam jest, ale zostało zasłonięte. To bar-

dzo ważne, co wam mówię, bo ma wielki związek z kabałą i znakami widniejącymi na waszej rzeźbie.

Na dźwięk słowa „rzeźba” Diana i Davide nastawili uszu. Teraz rabin miał już całą ich uwagę.

– Już się na pewno domyśliliście, że nie sprowadziłem was tu przypadkowo. Ta świątynia, jak żadne inne miejsce w Bolonii, a może i na świecie, symbolizuje to, o czym mówi kabała. A mówi o oddalaniu się od źródła. – Pociągnął ich w stronę krzesła, na którym go wcześniej zastali, i przy ich pomocy usiadł na nim.

– My, Żydzi, z naszej świętej księgi Zohar, powstałej około dwóch tysięcy lat temu, dowiadujemy się, że nasz Stwórca jest źródłem światła, energii przenikającej wszystko. Jednak Jego światło jest tak silne i mocne, że aby obdarować nim nas i nasz materialny świat, Stwórca był zmuszony zmniejszyć jego intensywność. Ten proces nazywamy w kabale tzimtzum i oznacza on „ukrycie” lub „zasłonięcie”. Tzimtzum odbyło się w czterech etapach i spowodowało stworzenie czterech oddalających się od źródła światła światów. Pierwszym jest niedostępny dla nas i należący wyłącznie do Stwórcy świat emanacji, który można porównać do źródła lub słońca. W drugim żyją anioły. Trzeci to świat symboli i czwarty wreszcie – to nasza zbudowana z materii rzeczywistość. Innymi słowy, światło Kreatora, aby do nas dotrzeć, musi przejść drogę od wymiaru ezoterycznego, czyli od tego, co niedostrzegalne, aż do naszego materialnego świata. Nie trzeba chyba dodawać, że po drodze Jego światło traci na intensywności, żeby nie powiedzieć wręcz, że gaśnie. Świątynia, którą widzicie... – Zakreślił półokrąg końcówką swojej siwej brody. – ...jest najdoskonalszym zobrazowaniem kabalistycznego procesu tzimtzum. Pomyślcie... – Uniósł głowę w ich kierunku. – Kiedyś, w prehistorii, było tu źródło. Potem jakieś niewidzialne byty, może aniołowie, podpowiedzieli pierwszym ludziom, którzy się tu osiedlili, że to źródło ma szczególne znaczenie. Wzniesiono pierwsze kolumny, naniesiono jakieś symbole. Potem zmieniły się czasy, przyszli inni ludzie, symbole zostały zastąpione, a całość obudowano grubymi murami. I tak źródło stało się tylko nieistotną częścią materialnej budowli, aż w końcu przestaliśmy je w ogóle dostrzegać, choć ono gdzieś tam wciąż bije.

Rabin zamilkł. Do kościoła wpadła grupka roześmianych i hałaśliwych dzieci, które rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Mirandola wstał i skierował się powoli w stronę wyjścia.

– W tym najbardziej tajemniczym z kościołów w Bolonii mieliście okazję nacalnie się przekonać, że każdy mit, każda religia mają swojego poprzednika. Poprzednikiem Jezusa był Ozyrys, poprzednikiem Maryi – Izyda. Sama Izyda też miała swoją poprzedniczkę w starożytniej Babilonii. Nazywała się Isztar, a wiarę

w Isztar poprzedzał z kolei kult Wielkiej Matki. I pewnie dziwi was, że mówi to stary Żyd, którego wam przedstawiono jako uczonego od kabały. Ale to właśnie wiedza z niej pochodząca mówi mi, że nie ma jednej słusznej religii. Jest tylko jedno Źródło.

Gdy mówił te słowa, Davide przytrzymał mu drzwi, którymi wyszli w końcu z bazyliki na otwartą przestrzeń. Mżył drobnymi deszcz, ale z ulgą przyjęli zmianę temperatury na nieco przyjemniejszą.

– Nie martwcie się. Nie zamierzam przekonywać was do niczego. Mam jednak przeczucie, że moje słowa wraz ze światłem Stwórcy kiedyś się przedrą przez wasz tziimtzum. Tym bardziej że pewien symbol odnoszący się do źródła tego światła widnieje na waszej rzeźbie. Niestety po przeciwnej stronie znajduje się też inny, oznaczający jego przeciwieństwo. Dlatego właśnie bardzo chętnie pozbędę się tej głowy. Poczekajcie tu na mnie chwilę. Albo nieco dłużej niż chwilę, bo mnie staremu ciężko już na to drugie piętro się wdrapać.

Słuchając profesora, przeszli kilkadziesiąt metrów dzielących bazylikę od stojącej z boku placu pięknej średniowiecznej kamieniczki.

Zatrzymali się przed wejściem do bramy numer piętnaście, w której zniknął rabin. Pod portykiem, który chronił ich przed mżawką, stały metalowe krzeselka należące do znajdującej się obok kawiarni. Usiedli na nich. Pamiętając powolne ruchy staruszka, domyślali się, że przyjdzie im długo na niego czekać.

Panował tu spory ruch. Przy stolikach siedział przekrój bolońskiego społeczeństwa. Studenci, biznesmeni, emeryci. Kelner zdołał do nich podejść dopiero po kilku minutach. Zamówili po kawie i ciastku.

Ostatnie słowa rabina dotyczące symboli na rzeźbie wzbudziły w nich niezrozumiały niepokój.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – zagadnął Dianę Davide.

– Nie znam się na ezoteryce. – Diana wzruszyła ramionami. – Ale staruszek najwyraźniej wie, o czym mówi. Czy chcemy, czy nie, musimy uważnie wysłuchać jego tłumaczeń. A potem poddamy rzeźbę ekspertyzie fizycznej.

– Jakiej? – zdziwił się Davide, zanurzając usta w przyjemnie pachnącej, a co najważniejsze gorącej filiżance espresso.

– Zrobimy jej prześwietlenie i mały odwiercik, żeby zbadać materiał, z którego została zrobiona. Nie pracuję długo w tym wydziale, ale byłam już świadkiem podobnych badań. W ten sposób można określić z dużym prawdopodobieństwem, czy to fałszywka czy oryginał.

Davide pokiwał ze zrozumieniem głową i wsadził do ust słodką tartaletkę. Wyrzaz błogiej rozkoszy rozlał mu się po twarzy. Zamierzał właśnie zapytać Dianę,

czy kontaktowała się z Giacommem, który zgodnie z umową miał w tym czasie przesłuchać dyskretnie sprzedawcę z księgarni Nanni, gdy usłyszał dochodzący go z boku głośny i dziwny dźwięk. Nie potrafił go z niczym skojarzyć. Dopiero gdy usłyszał histeryczny krzyk ludzi siedzących przy stolikach obok, obrócił się gwałtownie. To, co zobaczył, sprawiło, że ciastko utknęło mu w gardle.

Nie dalej niż trzy metry od niego, po drugiej stronie portyków, leżał rabin Mirandola. Przez ułamek sekundy Davide nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób staruszek, którego przed chwilą odprowadzali do bramy, znalazł się znów na ulicy i dlaczego na niej leżał. Nienaturalnie wykręcona sylwetka rabina nie pozostawiała jednak cienia wątpliwości, że spadł przed chwilą z dużej wysokości.

Wśród klientów kawiarni wybuchła panika. Davide, wstając gwałtownie z krzesła, wylał sobie resztkę gorącej kawy na spodnie. Nawet tego nie poczuł. Jakiś człowiek podbiegał już do rabina. Młoda dziewczyna obok wrzeszczała do swojego chłopaka:

– Sto dwanaście! Dzwooooń, na co czekasz!!!

Przeraźliwie błydy student z ledwością utrzymywał telefon. Dziewczyna wyrywała mu go z ręki i zaczęła sama wystukiwać numer. Kelnerzy w białych koszulach wybiegli przed kawiarnię. Turyści zmierzający do bazyliki zatrzymali się, przypatrując się z niedowierzaniem całej scenie. Davide kątem oka zobaczył, że Diana wyrywa z kabury przy pasie pistolet i biegnie w stronę bramy numer piętnaście.

Niezdecydowany spojrzął w ślad za nią i z powrotem na leżącego na ziemi rabina. Z jego pękniętej czaszki sączyła się krew i powoli zaczynała spływać po marmurowej płycie w stronę znajdującej się u podnóża placu bazyliki i płynącego pod nią niewidzialnego źródła.

Rzucił pustą filiżankę na stolik i ruszył w ślad za Dianą.

Pościg

Trzymana w wyciągniętych do przodu rękach krótka lufa glocka 19 poprzedzała Dianę wspinającą się po stromych schodach kamienicy numer piętnaście. Stawiała stopy ostrożnie jak skradający się kot – dokładnie tak, jak ją nauczono na szkoleniu. Patrząc ponad idealnie zgranymi ze sobą przyrządami celowniczymi pistoletu, omiatała wzrokiem przestrzeń przed sobą. Była doskonałym strzelcem i ktokolwiek stanąłby na linii jej strzału, nie miałby najmniejszych szans na ucieczkę. Starła się iść jak najszybciej, mimo że pośpiech nie był konieczny. Ktoś, kto „pomógł” rabinowi Mirandoli w tragicznie zakończonym locie z drugiego piętra, musiał się wciąż znajdować w budynku.

Na pierwszym piętrze nie było nikogo. Zanim ruszyła dalej, uważnie obejrzała rozkład mieszkań, starając się określić pion apartamentu, którego otwarte okno wypatrzyła z dołu.

Kiedy była u szczytu schodów i szykowała się do energicznego wyjścia z za rogu dzielącego ją od korytarzyka, w którym znajdowały się wejścia do mieszkań, wydarzyły się jednocześnie dwie rzeczy. Za swoimi plecami, z dołu klatki schodowej, usłyszała nawoływanie Davida, który, choć z opóźnieniem, podążył w ślad za nią. Jednocześnie z za rogu wprost na lufę jej pistoletu wyszła starsza kobieta. Na widok Diany z bronią krzyknęła przerażona i upuściła siatkę, którą trzymała w dłoni.

Wysypujące się z reklamówki pomarańcze potoczyły się w dół schodów, odbijając się od stopni jak piłeczki. Diana odruchowo przyciągnęła pistolet do piersi, kierując jego lufę w stronę ziemi. Ten wyuczony gest zapewniający bezpieczeństwo osobom, które przypadkowo pojawiły się na linii strzału, tym razem mógł kosztować życie ją samą.

Zza pleców kobiety zniemacka wyskoczyła ubrana na czarno zakapturzona postać i rzuciła się w dół schodów, całym ciężarem ciała spychając z nich Dianę. Zaskoczona dziewczyna straciła równowagę i poleciała do tyłu, lądując z hukiem

plecami na drewnianych stopniach. Uderzenie było tak silne, że od razu straciła przytomność. Nie czuła już niczego, kiedy jej ciało, koziółkując, bezwładnie sta-
czało się dalej w dół schodów, lądując u stóp wchodzącego właśnie do góry Da-
vida.

Na widok poskręcane go ciała karabinierki oraz pędzącej na niego czarnej syl-
wetki Davide błyskawicznym ruchem sięgnął pod płaszcz. Jego dłoń nie znalazła
tam jednak niczego. Oblewając się zimnym potem, przypomniał sobie, że zosta-
wił naramienną kaburę wraz z zatkniętym w niej pistoletem na wieszaku
w apartamencie Diany.

Leżący wprost na niego przeciwnik nie zostawił mu więcej czasu na refleksję
nad własną głupotą. Wysoki, ale dość wąty napastnik najwyraźniej uznał, że po-
stawnego Davida nie da się zepchnąć ze schodów, i użył innej strategii. Wyćwi-
czony latami uprawiania sportowej żonglerki flagami – włoskiej dyscypliny się-
gającej tradycją średniowiecza – Davide bez większego trudu uchylił się przed
obutą w ubłoconego czarnego adidasa stopą, która nagle znalazła się tuż przed
jego twarzą. Rozluźnił mięśnie i przygotował się na następnego kopniaka, któ-
rego jednak nie otrzymał. Zamiast tego z góry na jego głowę spadło coś cięż-
kiego. Na schodach panował półmrok, ale mógłby przysiąc, że zanim całkiem
stracił przytomność, na podłodze, na którą upadł, zobaczył kamienną twarz wpa-
trującą się w niego wyrzeźbionymi oczami.

* * *

Między utratą przytomności a ocknięciem nie mogło minąć wiele czasu, bo ha-
łas, którego narobili podczas walki, nie zaalarmował jeszcze mieszkańców ani
stojących na zewnątrz budynku osób. Leżąca obok niego na podłodze Diana
miała zamknięte oczy, ale oddychała i wydawała z siebie niezrozumiałe dźwięki.
Potarł opuchnięte czoło i pobierał się z ziemi. Uklęknął obok dziewczyny i deli-
katnie położył jej głowę na pierwszym stopniu schodów. Spojrzała na niego pół-
przytomnie i jęknęła z bólu.

– Goń go... – powiedziała słabym głosem.

– Diano, trzeba wezwać... – zaczął, ale zobaczył, że dziewczyna trzymała już
w ręku telefon.

– Dam radę, goń go! – powtórzyła bardziej stanowczo.

Wstał i skierował się do wyjścia. Miał już wychodzić na zewnątrz, kiedy
o czymś sobie przypomniał. Zawrócił w stronę Diany i odszukał wzrokiem leżącą
obok niej pistolet. Już miał się po niego schylić, kiedy wyobraził sobie siebie ma-
chającego bronią pośród stłoczonych na ulicy ludzi.

– *Fanculo* – zaklął przez zęby i pozostawiając pistolet na podłodze, wybiegł z budynku.

* * *

W podcieniach przed kamienicą dalej panował chaos. Zwłoki rabina leżały ciągle na ziemi. Struga krwi wyciekająca z jego roztrzaskanej głowy była już w połowie drogi do drzwi bazyliki. Wokół tworzyło się coraz większe zbiorowisko krzyczących i dyskutujących z przejęciem osób. W oddali słychać było syrenę zbliżającej się karetki.

Davide przystanął, niezdecydowany. Zauważył, że ktoś mu się przygląda. Podniósł wzrok i spotkał bystre spojrzenie studentki, która kilka minut temu wy-rwała telefon swojemu chłopakowi, aby dzwonić po pomoc. Dziewczyna najwyraźniej domyślała się, kogo szukał.

– Tam uciek! – krzyknęła i wskazała ulicę, z której przyszli na plac.

Pomimo bólu, który pulsował mu pod czaszką, zebrał się w sobie i zmusił do biegu. Przebił się przez tłum zgromadzony wokół kamienicy i wpadł w *via Santo Stefano*, rozglądając się na boki. Przechodnie przyglądali mu się podejrzliwie. W rozchełstanym płaszczu i z wielkim guzem na głowie nie wyglądał na uprawiającego poranny jogging biegacza. Kiedy dobiegł do placu della Mercanzia i jezdni pod Dwoma Wieżami, pot lał się z niego strumieniami. Musiał się zatrzymać, aby nabrać oddechu. Chciał się już poddać, ale przyszło mu do głowy, że osoba, którą gonił, prawdopodobnie była tak samo zmęczona jak on. Przeszedł przez plac i podszedł do wyższej z wież. Miał stąd doskonały widok i mógł obserwować wszystkie uliczki, które promieniście rozchodziły się stąd w różnych kierunkach. Po namyśle uznał jednak, że sam rzuca się zbyttnio w oczy. Podszedł do niewysokiego kamiennego portyku osłaniającego wejście do wieży i schował się w jego cieniu. Oparty o kolumnę, uspokajał oddech, rozglądając się z uwagą dookoła. Mógł liczyć już tylko na cud.

Po kilku minutach bezskutecznego wyczekiwania, przepocona koszula zaczęła go chłodzić. Nabuzowany dotąd adrenaliną organizm powoli opuszczało napięcie. Poczul, jak drżą mu kolana. Ból głowy stał się nie do wytrzymania. Zaczął się już zbierać do odejścia, gdy usłyszał za sobą podniesione głosy. Obrócił się w stronę znajdujących się za nim otwartych drzwi prowadzących do wnętrza wieży.

– Płaci pan czy nie?! Nie może pan tak tu sterczeć. To nie poczekalnia. Albo kupuje pan bilet, albo do widzenia! – Czerwona ze złości bileterka machała rękami w stronę ubranego na czarno osobnika, który stał obrócony tyłem do Davida.

Dziennikarzowi serce podskoczyło do gardła. Wpadł do ciasnego korytarzyka. Kiedy znalazł się tuż za plecami mężczyzny, zauważył przewieszony przez jego ramię plecak wypchany jakimś dużym, obłym przedmiotem. Nie miał już wątpliwości. Chwycił go mocno za ramię. Zakapturzony mężczyzna obrócił się błyskawicznie. Wciąż miał na twarzy maseczkę, ale Davidowi udało się dostrzec duże brązowe oczy i kosmyk siwych włosów wystający spod kaptura. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Mężczyzna zrozumiał, że znalazł się w pułapce. Davide górował nad nim wzrostem, masą ciała i zagradzał mu drogę do wyjścia. W końcu podjął decyzję. Z całej siły odepchnął Davida, który przygotowany na podobny ruch, utrzymał się na nogach. Dzięki temu jednak napastnik zyskał czas potrzebny do tego, aby dopaść schodów prowadzących na szczyt wieży. Davide z niedowierzaniem patrzył na czarne buty znikające za zakrętem pnących się do góry stopni.

„Gdzie on chce uciec?!” – pomyślał i przypomniał sobie zasadę zasłyszaną w którymś z hollywoodzkich thrillerów: „nigdy nie uciekaj do góry”.

– Dziewięćdziesiąt siedem metrów, ja pier.... – westchnął i podszedł do schodów.

Kiedy zniknął za zakrętem, słyszał wciąż za sobą nieustającą litanie żalów padających z ust rozwścieczonej bileterki:

– Darmowe wycieczki sobie urządzają! Tu się płaci, barbarzyńcy!!! Dzwonię po policję!

„I bardzo dobrze” – pomyślał, wspinając się w górę.

Klatka schodowa była wydrążona w dziwnej szarawej i lekko pobłyskującej skale. Ta część budowli spełniała zapewne rolę masywnego fundamentu dla stojącego na nim kolosa. Rzeczywiście, kilka metrów wyżej kręte schody dochodziły do małego pokoiku z pamiątkami i rzeczami kasjerki. Dopiero stąd widoczny był ceglany mur wieży i tu też zaczynały się właściwe schody. Wykonane z drewna i przymocowane do ścian, naśladowały kwadratowy przekrój wieży, układając się w dochodzące od rogu do rogu krótkie rampy zakończone wąskim półpiętkiem, gdzie można było przystanąć. Kilka stopni, róg wieży, półpiętro, kolejnych kilka stopni, róg wieży, półpiętro – i tak dalej, aż do samego szczytu. Schody były wąskie, ale wewnątrz wieży przestronne, toteż patrząc do góry, można było zobaczyć całą konstrukcję schodów oraz światło wpadające do środka z wyjścia prowadzącego na taras widokowy. Dobre dwadzieścia metrów wyżej Davide zauważył przesuwającą się po drewnianej balustradzie dłoń.

Teoretycznie nie miał po co się spieszyć, ale na wspomnienie leżącej na ziemi Diany adrenalina znów uderzyła mu do żył. Przyspieszył kroku. Stukotowi bu-

tów uderzających o drewniane stopnie towarzyszył jego przyspieszający oddech. Kiedy po pokonaniu ponad połowy drogi minął wmurowaną w ścianę tabliczkę informującą, że dotarł na wysokość wierzchołka Krzywej Wieży w Pizie, pot zalewał mu oczy. Zadarł głowę do góry. Po uciekającym mężczyźnie nie było ani śladu. Zmusił się do ostatniego wysiłku.

Dzień był szary i pochmurny, co zapewne było przyczyną braku zwiedzających wieżę turystów, ale kiedy stanął wreszcie przed ostatnią częścią stromych schodów, światło padające z zewnątrz niemal go oślepiło. Przystanął na półpięterku i przygotował się do czekającego go starcia. Był pewien, że gdy tylko pojawi się w drzwiach wychodzących na taras, ponownie spotka się z kamienną rzeźbą wystrzeloną w jego twarz. Wspiął się na koniec schodów i jak żołnierz kryjący się przed snajperem przylgnął do ściany, starając się wyrzeć zza jednego z rogów. Nie dojrzał nikogo, więc zmienił stronę i wyrzwał za drugi róg. Pusto. Na wszelki wypadek wystawił przed siebie zgięte w łokciach ręce i zasłaniając nimi głowę, wyskoczył na taras. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Opuścił ręce i przystanął zdziwiony. Na miejscu mężczyzny zaatakowałby właśnie teraz, aby utworzyć sobie przejście do jedynej drogi ucieczki.

Znajdował się na typowej średniowiecznej wieży obserwacyjnej otoczonej zębami blanek. Mur klatki schodowej, z której właśnie wyszedł, ciągnął się jeszcze kilka metrów wyżej, tworząc podstawę pod stojącą pośrodku tarasu wąską wieżyczkę zwieńczoną niewielką kopułką z metalowym krzyżem na czubku. Pod kopułką widniało małe okienko. Wejście do tego najwyższego punktu obserwacyjnego było jednak zamurowane. Nie można było się do niego dostać, nawet wspinając się po murze. Cały otaczający tę małą wieżyczkę taras widokowy był bowiem kompletnie okratowany. Solidne metalowe pręty wmurowane w blanki oraz siatka znajdująca się nad głowami turystów były rozsądnym zabezpieczeniem przed nieostrożnymi lub pragnącymi skończyć swoje życie w widowiskowy sposób zwiedzającymi.

Widok z wieży zapierał dech w piersiach. Jednolity dywan czerwonych dachówek, którymi pokryte były wszystkie pałace i domy Bolonii, zajmował przestrzeń aż do zielonych wzgórz wznoszących się tuż za miastem. Davide nie był tu jednak dla widoków. Wyjątkowo mroźny na tej wysokości wiatr wiał z coraz większą siłą. Pokrywające niebo, gęstniejące czarne chmury nie wróżyły niczego dobrego. Nie chciałby tu być w czasie burzy.

Sprawa była prosta. Taras złożony był z czterech połączonych ze sobą balkonów otaczających stojącą na środku wieżyczkę z wejściem na schody. Znajdował się na jednym z nich. Nie pozostawało mu nic innego, jak sprawdzić pozostałe trzy. Podszedł do rogu i wychylił się ostrożnie. Taras z tej strony był pusty. Za-

wrócił i wychylił się za drugi róg. Tam również nie było nikogo. Mężczyzna musiał się ukrywać po przeciwległej stronie zasłoniętej przez mur wieżyczki.

Dziennikarzowi przypomniawszy się stara kreskówka, w której mysz uciekała wokół stołu przed goniącym ją kotem. Miał wrażenie, że wcielał się właśnie w rolę kota, a jego największą obawą było to, że gdy będzie szukał myszy po drugiej stronie, ta okrąży wieżyczkę i ucieknie na schody. To była jedyna opcja, jaka pozostawała człowiekowi, którego chciał schwytać.

„Którego zaraz schwytam” – poprawił się w myślach i puścił się biegiem na drugą stronę wieży. Na ostatnią rampę tarasu wpadł z takim impetem, że niemal zderzył się ramieniem z kratami zabezpieczającymi blanki. Gdyby ich tam nie było, poleciałby w przepaść. Najeżył się cały, gotów przyjąć każdy atak. Na tarasie nie było jednak żywej duszy.

– Co za...?! – wyrwało mu się.

Błyskawicznie zawrócił w stronę drzwi i wpadł na schody. Miał stąd widok do samego dołu. Na pierwszej rampie schodów zobaczył kasjerkę z telefonem przy uchu i kilku blokujących wąskie przejście gapiów. Ktoś, zapewne wysłany w celu skontrolowania sytuacji na tarasie, piął się szybko do góry. Uciekinier nie miał szans wydostać się niepostrzeżenie schodami. Wyglądało na to, że wyparował.

Davide nie potrafił pozbierać myśli. Osunął się plecami po murze i usiadł na zimnej posadzce.

Czuł się tak, jakby zamiast wdrapać się na wieżę, zleciał z niej prosto na głowę. Pomimo bólu i zmęczenia zachciało mu się histerycznie śmiać. Wylatujący z okien rabin i rozpływający się w powietrzu mężczyźni stanowili absurdalną mieszankę, której jego umysł nie był w stanie nadać żadnego sensu.

Nagle w wejściu na taras pojawiła się krępa postać. Na widok pistoletu Davide odruchowo napiął mięśnie. Rozluźnił się, gdy rozpoznał mężczyznę, który ciężko dysząc, przywarł plecami do kamiennej futryny. Giacomo był błydy jak trup. Drżały mu kolana. Dziennikarz dopiero po chwili zrozumiał, że nie był to efekt zmęczenia, a panicznego lęku przed wysokością.

– Gdzie ten kutas?! – Karabinier nawet w tym stanie nie tracił wojowniczości.

– Nie ma. Zniknęła...

Giacomo powolnym ruchem schował pistolet do kabury.

– Zajeście – stwierdził. – To teraz, młody, zniesiesz mnie na dół...

Przynęta

Godzinę wcześniej, w czasie kiedy Diana i Davide wychodzili z rabinem z bazyliki Santo Stefano, porucznik Giacomo Massini stał w wejściu do podcieni na via de' Musei i przyglądał się osobom kręcącym się wokół księgarni Nanni.

Nawet jego prosty i niewyrafinowany gust podpowiadał mu, że było to niezwykle miejsce. Roilo się tu od ludzi, którzy oglądali, wertowali, brali i odkładali książki, stojąc przy wielkich ladach zajmujących sporą część szerokiego portyku. Porucznik, poza książkami, z których zmuszony był się uczyć w szkołach i w akademii wojskowej, nigdy nie przeczytał z zainteresowaniem żadnej lektury. Literatura nie była jego pasją, ale jako zawodowy śledczy był świetnym obserwatorem. Przed żadną z księgarni nie widział takiego ruchu ani takiego przekroju społecznego. Mali chłopcy przeglądali legendarne włoskie komiksy z Diaboliem i Dylan Dogiem. Elegancko ubrane panie wertowały romanse. Siwa starszka nie mogła się zdecydować, którą ze świątecznych kartek wybrać dla swoich wnuków. Biznesmen z komórką przy uchu pakował do koszyka opracowanie na temat kryptowalut, podczas gdy w głębi podcieni dwóch emerytów z założonymi do tyłu rękami podziwiała stare plakaty z Sophią Loren. Pośród tej barwnej menażerii brakowało tylko podejrzanego bruneta, którego Massimo opisał karabinierowi. Kimkolwiek był, podczas wizyty Aurory i Massima z pewnością nie pilnował książek.

Porucznika nie interesowali wyłącznie klienci księgarni. Zaraz po przybyciu wypatrzył umieszczone w różnych punktach, dyskretnie ukryte kamery, które – co było zrozumiałe – wycelowano w ladę z książkami, ale także w kierunku wejścia do księgarni oraz w dwie przeciwległe strony portyku.

„Monitoring jak w szwajcarskim banku” – pomyślał Giacomo. Skończył palić. Zdusił peta nogą, zignorował miażdżące spojrzenie podstarzałej matrony trzymającej książkę z półnagim dwudziestolatkiem na okładce i wszedł do księgarni.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał głośno, ale za ladą, za którą spodziewał się zastać opisanego mu przez Massima sprzedawcę, nie było nikogo. Zniecierpliwiony rozejrzał się dookoła.

„Kto ma czas na czytanie tego wszystkiego?” – pomyślał.

W pomieszczeniu było tylko kilku klientów przeglądających z przejęciem jakieś zakurzone annały. Ich wygląd odpowiadał w jego mniemaniu określeniu „mole książkowe”.

– Jest tu kto? Halo!

Nikt nie odpowiedział na jego wołanie. Jedna z „moli” podniosła wzrok i wyszczała w jego kierunku teatralne „ciiiii”.

– Ej! Czy ktoś tu sprzedaje!? – powtórzył niezrażony.

Zza zalecza wyszedł niewysoki staruszek w okularach i z niedopiętym rozporkiem, z którego wystawał fragment białej koszuli.

– Przepraszam pana najmocniej. Pęcherz już nie ten – powiedział przepaszająco. – Czym mogę panu służyć?

Giacomo miał świadomość, że aby czegokolwiek się dowiedzieć, musiał dać z siebie wszystko. Na szczęście granie ról było jego mocną stroną, popartą bogatym doświadczeniem tajniaka.

Bez słowa wyjął z kieszeni czarny bilet z logiem w kształcie czaszki z pejcami i pokazał go księgarzowi. Ten spojrział na niego, jakby go pierwszy raz widział.

– Tak? – zapytał. – Co dokładnie mogę dla pana zrobić? – powtórzył pytanie.

Giacomo zaklął w myślach. Nie poszło tak łatwo, jak się spodziewał.

– No wie pan... eee... chciałem z tego skorzystać – wystękał.

Ubaldo Malaguti zmrużył oczy, którymi dokładnie zlustrował porucznika.

– Proszę wybaczyć, ale nie wygląda pan na potrzebującego pomocy – powiedział spokojnie.

W głowie karabiniera uruchomił się udoskonalany latami system analizy danych. Potrzebował tylko ułamka sekundy, aby wytypować najlepszą odpowiedź.

– No oczywiście. To nie dla mnie, to jasne. Robię to dla... eee... dla przyjaciela. Wie pan, on nie mógł przyjść... – zawiesił głos.

Sylwetka księgarza nieco się rozluźniła.

– Rozumiem, ale jeśli chodzi o osoby całkowicie niepełnosprawne, to nieco komplikuje sprawę. – Zatoczył ręką koło, wskazując coś bliżej nieokreślonego.

– Nie, nie! – Giacomo wszedł mu w słowo. – On nie jeździ na wózku ani nic z tych rzeczy. Po prostu nie mógł akurat przyjść... To znaczy, oczywiście on bar-

dzo potrzebuje pomocy, bo ma... eee... jakby to powiedzieć... ma inne problemy – dodał szybko, widząc nieufność, która zagościła z powrotem na twarzy księgarza.

Malaguti przez chwilę patrzył w milczeniu na Giacoma. Ten ostatni był już niemal pewien, że jego występ okazał się właśnie spektakularną klęską, lecz starszek schylił się, zapisał coś na małej karteczce i wcisnął ją porucznikowi do ręki.

– Proszę to przekazać przyjacielowi. Miłego dnia. – Odwrócił się i zupełnie stracił nim zainteresowanie.

Giacomo stał przez chwilę, zaskoczony tak szybkim obrotem spraw, po czym zerknął na karteczkę, włożył ją do kieszeni kurtki i wyszedł.

Pod portykami było ciągle tłoczno. Giacomo skręcił w stronę rynku. Potrzebował mocnej kawy. Wczorajszy wieczór spędził w towarzystwie butelki grappy, rozmyślając o Davidzie i Dianie. Skrzywił się z niesmakiem, gdy odbiło mu się destylowanymi winogronami. Skręcając w ustrojoną świątecznymi lampkami ulicę Archiginnasio, kątem oka zauważył idące za nim krok w krok dziecko ubrane w dziwną czapkę. Znacznie dziwniejsze od nietypowego nakrycia głowy było to, że dziecko paliło papierosa. Już miał się zatrzymać i przyjrzeć tej osobliwości, gdy w kieszeni dzinsów rozdzwonił mu się telefon. Odebrał i usłyszał jęk Diany. Włosy na głowie stanęły mu dęba.

– Co jest, Di?! Co się dzieje? Nic ci nie jest? Mów!!! – wrzasnął do słuchawki.

Diana, która leżała w tym czasie pod schodami w bramie numer piętnaście, łamiącym się od bólu głosem streściła mu całe zajście i poprosiła o odszukanie Davida.

– Nie martw się, zaraz go znajdę. I dopadnę tego *figlio di puttana*, co cię zepchnął! Zadzwoń do mnie ze szpitala, to przyjadę cię odebrać, okej? W porządku. Jak chcesz... – dodał w odpowiedzi na słowa dziewczyny. – Dobra, przyjedziemy razem... – zakończył, zagryzając wargi. Zaklął pod nosem i wcisnął komórkę do kieszeni.

Zawrócił biegiem w stronę Dwóch Wież, gdy nagle przypomniał sobie o dzieciaku. Obejrzał się za siebie, ale nie było już po nim śladu. Tknięty przeczuciem wrócił do miejsca, gdzie go zobaczył, kucnął i za pomocą jednorazowej chusteczki podniósł z ziemi tłący się wciąż niedopałek. Zgasił go o mur, owinął chusteczką i wsadził sobie do kieszeni.

Rodzina

Dwudziesty piąty grudnia zaskoczył mieszkańców Bolonii bajkowym krajobrazem. Miasto leżące na skraju Apenin było narażone na zachodzące nad nim zderzenie się frontów atmosferycznych, co skutkowało częstymi zmianami pogody. Tego dnia, jak na zamówienie, z nieba leciały grube płyty śniegu, przysparzając niemałej frajdy dzieciakom, które zmierzały wraz z rodzicami na świąteczne obiady.

Davide zaparkował lśniącą czarnym lakierem alfę na zamienionym w olbrzymi parking i wypełnionym po brzegi Piazza VIII Agosto. Wysiadł, okrążył samochód, otworzył drzwi po stronie pasażera i podał rękę Dianie. Ta chwyciła ją mocno i uważając na bolącą szyję oraz zawieszoną na temblaku lewą rękę, wygramoliła się ostrożnie z limuzyny.

Zajęty prowadzeniem, nie miał czasu się jej wcześniej dobrze przyjrzeć, dlatego zamiast zamknąć za nią samochód, stał i podziwiał w milczeniu widok, jaki miał przed sobą.

Uroda karabinierki po tylu latach zażyłej i przez jakiś czas intymnej znajomości nie powinna go już zaskakiwać, a jednak nieczęsto zdarzało mu się ją widzieć tak elegancko ubraną. Czerwony, przepasany w talii paskiem płaszczyk leżał na niej jak na modelce, a czarne skórzane kozaki na obcasie dodawały jej kilku centymetrów wzrostu i podkreślały kształt jej umięśnionych łydek. Zachłysnął się zapachem jej perfum i odruchowo zbliżył dłoni do jej gęstych włosów, aby ściągnąć z nich płatek śniegu.

– Nie dotykaj! – fuknęła i zaraz uśmiechnęła się szeroko. – Dwie godziny u fryzjera. Lepiej żebyś miał parasol, Panie Szaliczku.

Posłusznie otworzył bagażnik i rozłożył parasol nad drogocenną fryzurą swojej towarzyszki. „Panem Szaliczkiem” Diana ochrzciła go wiele lat temu na jednej z ich pierwszych randek. Lubił tę część męskiej garderoby, choć zupełnie nie rządził sobie z dobieraniem kolorów ani z wiązaniem eleganckich węzłów.

Dziewczyna litościwym gestem poprawiła mu kołnierz i ułożyła na nim równo szalik. Wsunęła zdrową rękę pod jego ramię i pociągnęła go w stronę znajdującej się za rogiem via Indipendenza.

Na głównej ulicy panowała odświętna atmosfera. Witryny pozamykanych sklepów rozświetlały podcienie kolorowymi lampkami. Zamiast donic z kwiatami, tu i ówdzie stały pachnące lasem choinki. Nad ulicą wisały świecące gwiazdy betlejemskie, które ozdabiały drogę aż do samego rynku. Nie szli jednak w tamtym kierunku. Diana, która zaplanowała i zorganizowała to świąteczne popołudnie, pchnęła Davida w lewo.

Klucząc uliczkami, zbliżali się do znajdującej się we wschodniej części starego miasta dzielnicy studenckiej, co zwiastowała coraz większa liczba pubów i niewielkich klimatycznych lokalików znajdujących się w podcieniach po obu stronach drogi. Na rogu Davide zerknął na nazwę ulicy. Nigdy nie był na via Piella. Kiedy byli już blisko gospody, nad którą wisił szyld przedstawiający czarnego kota, Diana zatrzymała się i powiedziała do niego tajemniczym głosem:

– Spójrz w prawo.

Posłusznie obrócił się we wskazanym kierunku. Nie było tam niczego poza murem i zasłoniętym oknem, jakich wiele minęli po drodze. Spojrzał pytająco na Dianę. Dziewczyna podeszła do okienka, przesunęła małą zasuwkę blokującą okiennicę i pociągnęła ją do siebie. Davide stanął jak wryty. Jego umysł nie do końca potrafił zaakceptować to, co zobaczyły oczy. Wydawało mu się, że ogląda hologram przedstawiający jeden z weneckich kanałów.

– Co to ma być?

Perlisty śmiech Diany przeciął ciszę panującą na uliczce.

– Do czegoś się moja nowa praca zaczyna przydawać. – Mrugnęła do niego wesoło. – Mieszkam tu już kilka miesięcy, a to miasto wciąż nie przestaje mnie zaakceptować. Ciebie jak widzę też.

– No, jakoś mi się Bolonia z kanałami nie kojarzy – potwierdził Davide.

– Bo je wszystkie zamknięto i zaasfaltowano już dawno temu. Poza tym właśnie. I nawet wiem, do czego służył. – Pochwaliła się. – Tutaj w średniowieczu stał młyn. Jeden z wielu. I wcale nie służył do robienia mąki. Wyobraź sobie, że tutaj tkano jedwab...

– Jak nie przestaniecie gruchać, gołąbeczki, to umrzemy z głodu! – dobiegł ich głos z głębi podcieni.

Pod szyldem z kotem i napisem „Dal Biassanot” stał ubrany w białą koszulę i czarną marynarkę Giacomo. Palił papierosa i przyglądał im się z kwaśną miną. Kiedy podeszli bliżej, zdusił papierosa pod butem i bez słowa otworzył im drzwi.

Chwilę później usiedli w czwórkę przy stole w zapelnionej do ostatniego miejsca restauracji. Massimo, którego Giacomo na prośbę Diany wyciągnął niemal siłą z jego wiejskiej kryjówki, był blady jak papier i omijał ich wzrokiem. Diana wzięła do ręki jeden z kieliszków, napełniła go prosecco i wzniosła do góry.

– Chłopaki – zaczęła i głos nieoczekiwanie jej zadrgał. – Mam nadzieję, że sprawiłam wam radość tym spotkaniem. I muszę wam zdradzić, że aby zarezerwować tu na dzisiaj miejsce, musiałam sięgnąć po autorytet władzy. – Gestem ręki pozdrowiła uwijającego się po drugiej stronie baru właściciela, który odmachnął jej w pośpiechu. – Myślę, że w tych stresujących czasach wszystkim nam dobrze zrobi trochę towarzystwa – zakończyła weselszym tonem i stuknęła w ich podniesione do góry kieliszki.

Nie była zbyt dobrym mówcą, ale i tak wszyscy obecni doskonale rozumieli, co miała na myśli. Pierwszy dzień świąt we Włoszech był dniem zarezerwowanym dla najbliższej rodziny, a świąteczny obiad był wydarzeniem znacznie ważniejszym od wigilijnej kolacji. Nikt z nich nie miał rodziny, z którą mógłby spędzić ten dzień.

Z zamyślenia wyrwał ich tubalny głos właściciela, który stanął przy stoliku z winem i olbrzymią deską zapelnioną pokrojonym cienko *prosciutto*, salami, mortadellą i wyborem serów.

– *Dottoressaaaaaaa!* – zawołał do Diany tak głośno, że aż zadrżały szyby w oknach.

Mimo tak hałaśliwego powitania żaden z klientów restauracji nie obrócił się ani nie przerwał jedzenia, aby zainteresować się siedzącą przy stoliku czwórką. Zarówno głośna jowialność, jak i tytułowanie klientów nie zawsze należnymi im tytułami było absolutną normą jak kraj długi i szeroki.

– *Ciao, Diego!* – Diana wstała i zdrowym ramieniem objęła sześćdziesięcioletniego właściciela z zaokrąglonym brzuchem i uśmiechniętą okrągłą twarzą przypominającą plaster mortadeli z deski, którą kładł właśnie na środku stołu.

– Jak się pan ma, *colonello?* – Diego kontynuował powitania, stawiając przed Giacomoem litrowy dzbanek czerwonego wina domowej roboty. – Zaraz doniosę wam *tigelle*. Moja żona kończy je właśnie robić. Jeśli macie jakieś pytania, to jestem do waszych usług – dodał.

– Ja mam! – zawołał energicznie Davide. – Ten kot z szyldu nazywał się Biassanot? W życiu nie słyszałem takiego imienia!

Diego spojrział na niego z wyrazem politowania.

– Bo to nie jest imię. A pan na pewno nie jest z Bolonii. – Uśmiechnął się. – To wyraz pochodzący z dialektu. Oznacza smakoszy, którzy przez całą noc chodzili

od gospody do gospody i obzerali się do białego rana. Niestety to już gatunek na wymarciu – westchnął.

– No to skąd ten kot? – Davide nie dawał za wygraną.

Właściciel wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Koty też łążą w nocy! – rzucił i drepzcząc krótkimi nóżkami, oddalił się szybko w stronę kuchni.

– On wam tego nie powie. Oni tu kiedyś jedli koty... – Usłyszeli głos Massima po raz pierwszy tego wieczoru.

– Że co?! – Diana zamarła z kawałkiem szynki w drodze do ust.

– Nie tylko tutaj – dodał Massimo. – W ogóle w całej Bolonii, a nawet dalej. Gdy brakowało mięsa, na przykład podczas wojny, restauratorzy zamawiali u hycli kocinę. Klienci doskonale wiedzieli, co jedzą, ale udawali, że to króliki. Ludziom nawet domowe koty z ogródków wykradano... – dodał z bladym uśmiechem.

Diana odłożyła *prosciutto* na talerz. Cieszyła się, że pogrążony w depresji Massimo na chwilę odzyskał dobre samopoczucie, ale jego rewelacje odebrały jej chwilowo apetyt. Giacomo nie wyglądał na zrażonego.

– Dawno i nieprawda. Zresztą mięso to mięso – skwitował, wciskając salami do przyniesionych właśnie przez kelnera małych, płaskich bułeczek.

Karabiniarka przemogła się dopiero przy pierwszym daniu. Na wszelki wypadek zrezygnowała ze słynnych bolońskich dań – lazanii z *ragù* i tortellini w rosole – na które rzucili się towarzyszący jej mężczyźni, i zamówiła *risotto* z owocami morza.

– Nie chcę wam psuć świąt – powiedziała, przeżuując krewetkę – ale w końcu musimy porozmawiać o wydarzeniach ostatnich dni i zastanowić się co dalej.

– Wiecie już coś o Aurorze? – zapytał Massimo. Chęć dowiedzenia się czegośkolwiek o ich śledztwie była jedynym powodem, dla którego zgodził się przyjechać na wspólny obiad.

– Mamy pewne podejrzenia – odpowiedziała Diana, którą na wspomnienie niedawnego lotu ze schodów nagle rozboleła szyja.

– Tak?! Jakie? Księgarz czy Frida? – Mężczyznę przestało interesować jedzenie. Wpatrywał się w nich dzikim wzrokiem, czekając na odpowiedź jak na zbawienie. Diana, Giacomo i Davide spojrzeli po sobie zaskoczeni. Zupełnie zapomnieli o żydowskiej antykwariuszce.

– Na razie odwiedziliśmy księgarza. – Porucznik jak zwykle nie dawał po sobie poznać emocji. – Obiecujący trop... – dodał, zerkając na Davida. Nie powiedział mu jeszcze, że będzie musiał wejść w rolę potrzebującego pomocy przyjaciela.

– Myślicie, że on ją porwał? Tylko dlaczego?! W jakim celu? Coś od niej chciał? Chodzi o tę rzeźbę, tak? – Massimo nakręcał się coraz bardziej. Diana położyła mu dłoń na ramieniu, aby go uspokoić.

– Jeszcze nie wiemy niczego pewnego – powiedziała. – Poza tym osobnik, który dokonał morderstwa, aby wykraść rzeźbę rabinowi, nie wyglądał mi na starego księgarza ani tym bardziej na słabowitą kobietę. Zginął człowiek, to się robi naprawdę niefajne... – westchnęła.

– Przede wszystkim ZAGINAŁ człowiek! – powiedział Massimo z emfazą.

– Spokojnie, przecież jej szukamy. – Giacomo spojrzał na niego surowo. – Ale musimy też wziąć pod uwagę inną hipotezę.

– Jaką?

– Że rzeźba nie ma nic wspólnego z jej zniknięciem, a Aurora po prostu od ciebie odeszła.

Ręce Massima zaczęły się zaciskać w pięści.

– Ona by mi tego w życiu nie zrobiła! Za bardzo mnie kocha!!! – krzyknął, wzbudzając tym razem zainteresowanie osób przy sąsiednich stolikach.

– Oj, *ragazzo*, nigdy nie możesz być pewien uczuć kobiety! – Giacomo parsknął sarkastycznym śmiechem, wpatrując się w Dianę.

Davide zrozumiał, że stolik, przy którym siedzieli, zaczynał zamieniać się w strefę wojny. Postanowił interweniować.

– Nie powiedziałeś nam jeszcze, jak dorobiłeś się majątku! – zwrócił się do Massima, wypowiadając pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl. Tym niespodziewanym pytaniem zaskoczył wszystkich, łącznie z sobą samym. Osiągnął jednak zamierzony efekt, bo uwaga obecnych skupiła się na Massimie.

– No przecież mówiłem. Pracowałem jako programista – mruknął niechętnie zapytany.

– Mówiłeś też, że byłeś alkoholikiem i że straciłeś wszystko przez nałóg – zauważył trzeźwo Giacomo.

– Nie chodzi o pracę w firmie, z której mnie wyrzucono – odpowiedział mężczyzna. – Podczas leczenia zacząłem programować dla siebie. Stworzyłem generator ruchu w sieci. Sprzedałem potem ten patent za niemałe pieniądze. Działał jeszcze przez kilka miesięcy, zanim go zablokowano, ale wiele firm zdążyło się dzięki mojej sztuczce wypromować.

– Massimo, to jest dla nas chińszczyzna. – Diana rzuciła mu błagalne spojrzenie.

– Dokładnie o nich chodziło! O Chińczyków! – Massimo poprawił się na krześle, a na jego bladej twarzy pojawiło się coś na kształt dumy. – Chińczycy byli najważniejszym elementem w moim pomysłu. Wszystko zaczęło się zupełnie przypadkowo. Zdenerwowałem się na jakiś tandetny produkt „made in China”, który połamał mi się w rękach, i napisałem długi i bardzo złośliwy post na blogu. Następnego dnia ze zdziwieniem odnotowałem olbrzymi ruch na mojej nic nie znaczącej stronie. Okazało się, że chiński rząd posiadał boty, które wyszukiwały sięć pod kątem krytyki Chin. No i te boty zaczęły wchodzić masowo na moją stronę, żeby pisać automatyczne komentarze. Komentarze zablokowałem, ale ruch nie ustał. Wręcz przeciwnie. Całe złośliwe oprogramowanie Chińczyków rzuciło się na mój blog jak rój wściekłych os. Dzięki sztucznej ruchowi, jaki został w ten sposób wygenerowany, w pewnym momencie moja strona osiągnęła w wyszukiwarkach lepszą pozycję od strony największego koncernu napojów gazowanych! Wpadłem na to, że mogę to wykorzystać. Napisałem skrypt, taki program, który w niewidzialny dla użytkownika sposób obrażał prezydenta Chin i zainstalowałem tę wtyczkę na moich kontaktach. W jedną dobę, dzięki poprawie widoczności moich profili w sieci, dostałem ponad tysiąc lajków. Po miesiącu mogłem już zarabiać na reklamach. Zacząłem tworzyć nowe profile i strony poświęcone najdroższemu produktom – markowej modzie, motoryzacji, biżuterii. Wszędzie instalowałem mój program i po osiągnięciu wyników oglądalności dostawałem pieniądze za publikowane na nich reklamy. Wiedziałem jednak, że eldorado nie będzie trwało wiecznie. Ruch, jaki generowały moje strony, musiał zostać w końcu zauważony. Przekonałem więc pewien koncern do kupienia mojego programu. Wiedzieli, że to działanie nieetyczne, więc nawet nie podpisaliśmy umowy. Przyjechali jacyś smutni informatycy z ochroniarzami i walizką pieniędzy, skopiowali skrypt, który im dałem, i odjechali w swoją stronę. Ponieważ nie wiązała mnie umowa, sprzedałem wtyczkę jeszcze kilku innym firmom za nieco mniejsze pieniądze. Po trzech czy czterech miesiącach największe przeglądarki zmieniły algorytm pozycjonujący strony i mój program stał się nic nie wartym śmieciem, ale ja byłem już bogaty.

Przy stoliku zapanowało milczenie. Pierwszy odezwał się Giacomo.

– A ja chciałem zostać pieprzonym spadochroniarzem...

Diana i Davide wybuchnęli śmiechem. Opowieść Massima rozluźniła atmosferę na tyle, że żartując i rozmawiając o błahych sprawach, dokończyli świąteczne dania i przeszli do deserów.

Dopiero kiedy Diego rozkładał przed nimi pucharki wypełnione tiramisem, Davide nie wytrzymał i spojrzął na Dianę z poważnym wyrazem twarzy.

– Pamiętasz, co mówił rabin? Że ta rzeźba jest jakaś dziwna. I żarty żartami, ale siedząc na tej wieży, wcale mi do śmiechu nie było. Naprawdę wiele w życiu widziałem, ale nie mogę zrozumieć, jak ten gnojek uciekł, nie używając schodów. To, że zabił rabina i nas pobił, to przykre, ale namacalne i całkowicie realne, ale tego zniknięcia z wieży niczym się nie da wytłumaczyć.

Mówiąc to, zauważył, że ręka podająca mu deser zawisła w powietrzu. Spojrzał do góry i zobaczył twarz właściciela lokalu, na której malowała się wewnętrzna walka.

– Ja przepraszam, że się wtrącam, nie chcę absolutnie wchodzić w państwa prywatne czy zawodowe sprawy, ale... – Wbrew jego zapewnieniom zrozumieli, że miał na to wielką ochotę.

– Co nam chcesz powiedzieć, Diego? – Diana go ośmieliła.

– To nie jest wcale takie trudne zejść z wieży Asinelli bez używania schodów i wiele osób już tego dokonało.

Davide aż podskoczył na krześle.

– Wiedziałem! Tam jest jakieś tajne przejście, tak?

– Żadne tam tajne! Ono jest najbardziej na widoku! – zachnął się, przechylając niebezpiecznie tiramisu w stronę koszuli Davida. Dziennikarz ostrożnie odebrał mu pucharek i postawił na stole.

– Tę naszą kochaną wieżę niejedno wojsko chciało już zniszczyć. Austriacy i papież. W czasie drugiej wojny to nawet amerykańscy lotnicy podobno zakładali sobie robili, kto w nią trafi bombą. Ale nikomu się nie udało. Tak naprawdę tylko jedna rzecz mało jej nie zamieniła w gruzy... – zawiesił głos. – Pioruny, które waliły w nią podczas każdej burzy.

– No i? – Z obecnych osób już tylko Giacomo nie domyślał się dalszej części opowieści.

– No i jakieś dwieście lat temu zamontowano tam piorunochrony. A że my, bolończycy, mamy sport we krwi... – Wskazał niebiesko-czerwony szalik bolońskiej drużyny piłkarskiej wiszący na ścianie. – To od razu znaleźli się śmiałkowie, którzy zaczęli wpierw schodzić z wieży po tej metalowej linie, a potem nawet wspinać się po niej i schodzić, i tak w kółko ku uciesze publiczności. I to wszystko bez zabezpieczeń. To się stało taką masową miejską modą. Podobno był nawet piewen strażak, który się wspinał, grając na trąbce! – Diego zaśmiał się z własnej opowieści.

– Ale przecież tam są teraz kraty! – zauważył trzeźwo Davide.

– Które na pewno da się uchylić, aby konserwować piorunochron i kopułę... – dokończyła Diana, wsypując cukier do kawy będącej ostatnią atrakcją obiadu.

Tunel

Dwustukonny silnik alfy romeo giulii zamruczał jak piękna kobieta przyjmująca pieszczoty od ukochanego mężczyzny. Auto wjeżdżało właśnie na autostradę A13 łączącą Bolonię z Ferrarą i błyskawicznie nabierało rozpędu na długiej prostej. Siedzącemu za kierownicą Davidowi powrotna jazda do domu zupełnie nie sprawiała przyjemności. Co z tego, że po latach wyrzeczeń i szczęśliwych zbiegów okoliczności udało mu się spełnić marzenie i stać się posiadaczem lśniącej nowości alfy, skoro podróżował nią sam jak palec.

Po świątecznym obiedzie nastroje towarzystwa zrobiły się dość smętne. Giacomo wyszedł z restauracji jako pierwszy, zapewne po to, żeby zaszyć się gdzieś z butelką whisky i zapijać swoje żale. Massimo, po tym jak wymęczył Giacoma pytaniami o szczegóły wizyty w księgarni Nanni, przygasł i znów zamknął się w sobie. Po wyjściu porucznika pożegnał się z Dianą i Davidem, wsiadł do swojej zdezelowanej terenówki i odjechał.

David, który dowiedział się o czekającej go wkrótce misji, dręczyły obawy i wątpliwości. Nie pałał ochotą do tego, aby w sylwestrową noc samotnie udawać się do oddalonego od miasta sanktuarium San Luca. Tak jednak nakazywała instrukcja zapisana na karteczce, którą Malaguti przekazał porucznikowi podczas jego wizyty w księgarni. Dziennikarz miał żal do Giacoma, że wkręcił go w tę sytuację, i pomimo zapewnień ze strony przyjaciół, że nie spuszcza go z oka, wciąż nie potrafił pozbyć się złych przeczuc. Ani na chwilę nie opuszczał go widok krwi wpływającej z roztrzaskanej głowy rabina Mirandoli.

Nie był już niedojrzałym chłopakiem, który bez zastanowienia rzucał się w wir przygody i niebezpieczeństwa. Wydarzenia ostatniego roku nauczyły go ostrożności oraz szacunku dla własnego zdrowia i życia najbliższych mu osób. Jedną z tych osób, ojca, stracił bezpowrotnie. Kolejne dwie, jego były szef Enrico Montanari oraz przyjaciółka Sara, zaginęły bez wieści.

Niewesołe myśli przerwały mu pierwsze takty piosenki Vasco Rossiego dobiegające z samochodowego radia. Ten pochodzący z Bolonii rockman był dla Włochów tym, kim Bruce Springsteen dla Amerykanów. Legendą i narodowym dobrem. Davide podkreślił głośność. Lusterko nad głową dziennikarza zadrzęło, gdy wibrujące do granic swoich możliwości głośniki wypływały z siebie kolejne słowa rockowej ballady: „w końcu odnajdziemy się jak rock stars, by napić się whisky w Roxy Bar”.

Wyobraził sobie, jak podnosi kieliszek, patrząc na swoich odnalezionych przyjaciół.

Rosnący na jego ustach uśmiech przygasł, gdy uświadomił sobie, że Roxy Bar znajdował się tuż obok wieży, z której uciekł mu przebiegły złodziej i morderca rabina. Piosenka nie pomogła. Zło czające się wokół Davida gęstniało jak narastające za szybami samochodu ciemność i mgła.

Intensywny blask świateł gęsto zaludnionej Bolonii już dawno zniknęła za horyzontem. Pokonując łagodne zakręty pustawej na szczęście autostrady, zbliżał się do leżącej w centrum doliny Padu Ferrary. Białe kłęby mgły coraz bardziej ograniczały widoczność i Davide był zmuszony wpierw zdjąć nogę z gazu, a po kilku kilometrach zdecydowanie zmniejszyć prędkość do marnych pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ledowe reflektory alfy oświetlały zaledwie kilka metrów drogi przed maską samochodu i dziennikarz poczuł jakby przemierzał ciasny nieskończenie długi tunel, który prowadził donikąd. Czas dłużył mu się niemiłosiernie, a poczucie nieustającego zagrożenia sprawiało, że zaczynało mu się robić duszno. Wystarczył moment nieuwagi i jadąca przed nim źle oświetlona ciężarówka, a nie ocalałyby go nawet najbardziej zaawansowane systemy bezpieczeństwa zainstalowane w jego kosztownym samochodzie. Żeby się otrzeźwić, obniżył temperaturę klimatyzacji. W kabinie zrobiło się mroźno.

„To tylko mgła” – pocieszył się w myślach.

Kiedy zobaczył znak zjazdu na Ferrarę, poczuł ulgę. Kilka minut później zaparkował w swoim garażu, wyłączył silnik i oparł zmęczoną głowę o skórzany zagłówek.

Kątem oka zobaczył na wycieracze pasażera coś białego. Schylił się i podniósł złożoną na pół kartkę papieru. Pedantycznie dbał o porządek w swoim samochodzie i był pewien, że gdy po skończonym obiedzie odwoził Dianę do jej mieszkania w Bolonii, żadnej kartki w tym miejscu na pewno nie było. Pomyślał, że musiała wypaść dziewczynie z torebki, kiedy się z nim zegnała, szukając jednocześnie kluczy w przepastnej torebce.

Z ciekawości rozłożył biały arkusz papieru i zrozumiał, że Diana zostawiła mu go specjalnie. Tylko ona miała bezpośredni kontakt z osobą, którą również zaliczył w poczet utraconych. Do tej pory wierzył, że nie na zawsze, lecz w miarę czytania kartki zapisanej drobnym i starannym pismem Olivii jego wiara gasła jak przygasający ogarek.

Davidzie, jak człowiek ma dużo czasu, to nie potrafi się za nic zabrać. Długo zastanawiałam się, kiedy napisać ci te słowa, ale zdaje się, że na to nigdy nie będzie dobrego momentu. Zapewne zauważyłeś, że kontakt między nami ostatnio coraz bardziej zanikał. Wiem, że chciałbyś go mieć jak najwięcej, ale będąc tak daleko, zrozumiałam, że to, co czułam do Ciebie, już wygasło i umarło. Chcę sobie ułożyć życie i poznać kogoś tu, gdzie jestem. Wiem, że to zrozumiesz, i wierzę, że będziemy dalej dobrymi przyjaciółmi, tym bardziej że postanowiłam pomóc w finansowaniu Waszego projektu.

Gdy skończył czytać, upuścił kartkę tam, gdzie ją znalazł.

– To tylko mgła. – Instynktownie zagłuszył tornado myśli, które zaczynało dewastować jego umysł i rozszarpywać na strzępy jego trzepoczące jak umierający ptak serce. – To tylko mgła – powtórzył jak mantrę i wysiadł z auta.

Ekspонат

W komendzie karabinierów na via Galliera było wyjątkowo pusto. W okresie między Bożym Narodzeniem a sylwestrem większość funkcjonariuszy wykorzystywała urlopy, więc w budynku obecni byli tylko ci, którzy pełnili niezbędne dyżury. Diana była zadowolona z tego stanu rzeczy. Nie zaprzyjaźniła się tu z nikim. Nawet pułkownika pełniącego funkcję komendanta widziała tylko raz. Nikt nie interesował się tym, co robi, a ona sama mogła w nieograniczony sposób korzystać ze wszystkich zasobów komendy. Wrodzone poczucie przyzwoitości nie pozwalało jej jednak na zaniedbywanie obowiązków. Mimo doznanych upokorzeń służba ciągle była dla niej święta, toteż dwudziestego siódmego grudnia, punktualnie o ósmej rano, pojawiła się w swoim wielkim i pustym biurze, aby uporać się z zaległymi dokumentami. Zamknęła za sobą drzwi i westchnęła na widok spiętrzonych na biurku papierzysk. Poczowała, że bez podwójnej dawki kofeiny nie da rady się zmierzyć z czekającą ją żmudną pracą.

Podchodząc do ekspresu, ze zdziwieniem dostrzegła wydruk leżący w podajniku poźółkłego ze starości faksu.

„Ktoś tego w ogóle jeszcze używa?” – pomyślała. Do tej pory tkwiła w przekonaniu, że urządzenie było nieczynnym i zapomnianym reliktem, którego uprzątnięcie komuś umknęło. Zaciekawiona zgarnęła wydruk i zaczęła go oglądać.

U góry strony widniała pieczęć z wpisaną w okrąg gwiazdą Dawida. Faks był wyjątkowo słabej jakości, więc przybliżyła kartkę do oczu i z wysiłkiem odczytała napis wokół pieczęci: „Muzeum Żydowskie w Ferrarze”.

Pod pieczęcią i serią standardowych informacji w rodzaju daty, miejsca i adresata widniał wytłuszczony nagłówek „Zgłoszenie kradzieży domniemanego dzieła sztuki”. Rozbawiło ją określenie „domniemanego dzieła sztuki”. Pomyślała, że nadawca musiał przez pomyłkę przestawić wyrazy, a prawidłowy tytuł powinien brzmieć „zgłoszenie domniemanej kradzieży”. Z tym większym zaciekawieniem zaczęła przebiegać oczami po zaplamionej tuszem kartce. Po krótkiej

chwili na jej śniadej twarzy pojawiły się wypieki. Podeszła do biurka, usiadła i włączyła lampkę. Przeczytała faks jeszcze raz.

„W związku z zakończoną w dniu dzisiejszym inwentaryzacją zawiadamiamy o wykazanym braku faktycznym obiektu numer RRG35/1945 w zbiorach Muzeum. Obiekt zdefiniowany jako RUDYMENTALNA RZEŻBA GŁOWY został sklasyfikowany jako przedmiot nieprzeznaczony do eksponowania ze względu na niemożliwe do potwierdzenia autorstwo przypisywane Modiglianemu Amedeo. Pomimo zalecenia Dyrektora Muzeum w/w obiekt został pobrany w grudniu ubiegłego roku przez dyrektorkę artystyczną pałacu Marfisy d'Este, Rossi Sarę, na potrzeby wystawy poświęconej artyście. Jako obiekt nieekspozycyjny nie podlegał inwentaryzacji bezpośrednio po zakończeniu wystawy, a niezgodność stanu faktycznego zbiorów naszego Muzeum z ewidencją katalogową została wykazana dopiero podczas corocznej inwentaryzacji przeprowadzonej zgodnie z obowiązującym zarządzeniem Ministerstwa Kultury. Informujemy również, że dyrektor Rossi Sara w okresie poprzedzającym otwarcie wystawy nie pojawiła się w pracy, co, pomimo nieokreślonej wartości w/w przedmiotu, skłania nas do sformułowania wniosku o zakwalifikowanie zaginięcia obiektu RRG35/1945 jako kradzieży. Dołączamy posiadaną specyfikację. Z poważaniem, kierownik Działu Gromadzenia Zbiorów Eduardo Cohen”.

Poniżej, jeszcze drobniejszym i mniej czytelnym drukiem, opisane były szczegółowo cechy rzeźby. Obok umieszczono odbitkę zdjęcia, na którym, pomimo słabej jakości wydruku, bez cienia wątpliwości rozpoznała głowę, którą widziała wcześniej na instagramowym profilu Massima Trovato.

Rzuciła faks na biurko i sięgnęła po komórkę. Wybrała numer i po chwili powiedziała do słuchawki:

– *Ciao*, Giacomo. Mamy problem. Mam coś nowego. Ale to się nie spodoba Davidowi. Nie, nic mu nie powiedziałam i na razie nie powiem. Niech się lepiej skoncentruje na tym, co go czeka za kilka dni. Dobra, przyjeźdź. Ja stąd nie wyjdę co najmniej do północy.

Odłożyła telefon i przypomniała sobie o kawie. W zasadzie już jej nie potrzebowała. Wrzuciła faks do szuflady pod blatem biurka i przysunęła do siebie ciężki plik czekających na nią dokumentów.

San Luca

– Mam nadzieję, że tym razem nie zapomniałeś żelaza, co? – przywitał Davida Giacomo.

Karabinier siedział okrakiem na służbowym motocyklu ducati multistrada i patrzył na dziennikarza z szyderczą miną. Trafił w czuły punkt.

Davide wciąż nie potrafił wybaczyć sobie własnej lekkomyślności, z jaką traktował dotąd niebezpieczeństwa, na które byli narażeni. Zwichnięta ręka Diany i resztki opuchlizny na jego własnej głowie w bolesny sposób przypominały mu o tym, jak niewiele brakowało, by doszło do prawdziwej tragedii.

Odchylił poły płaszcza i pokazał porucznikowi rękojeść umieszczonego w kaburze pod pachą glocka.

Giacomo zsiadł z motocykla, ustawił go na stopce i podszedł do Davida.

– Pokaż – powiedział rozkazującym tonem.

Davide posłusznie wyciągnął broń i podał mu ją. Giacomo wyjął magazynek, przeliczył znajdujące się w nim naboje, umieścił go z powrotem w rękojeści pistoletu i odciągnął do tyłu zamek uzbrajając broń.

– Teraz jesteś gotowy – stwierdził, patrząc Davidowi poważnie w oczy. – Tylko sobie, kurwa, nie odstrzel pachy, jak będziesz to wyciągał.

Dziennikarz uśmiechnął się blade. Od kilku miesięcy ćwiczył posługiwanie się bronią pod czujnym okiem porucznika. Ten ostatni nigdy by tego otwarcie nie przyznał, ale uczeń zaczynał powoli przerastać mistrza.

– Poflirtowaliście już sobie? – poddenerwowany głos Diany zabrzmiał wyraźnie w słuchawkach, jakie obaj mieli w uszach. – Chłopaki, już prawie dwunasta, Davide musi już iść, bo tamci znikną i niczego się nie dowiemy.

Jak na komendę odwrócili się w stronę starej białej pandy zaparkowanej na niewielkim parkingu po drugiej stronie ulicy. Diana pomachała im z „pożyczonego” z posterunku samochodu. Jej ręka wciąż nie była całkiem sprawna, więc jej

zadanie miało się ograniczyć do śledzenia pozycji Davida i prowadzenia nastuchu. Nad bezpieczeństwem dziennikarza miał czuwać Giacomo.

Davide zapiął płaszcz i ruszył przed siebie.

Znajdował się pod arkadami najdłuższego portyku na świecie. Nieprzerwany ciąg podcieni prowadził od obrzeży miasta do znajdującego się na szczycie wzgórza sanktuarium Maryi od Świętego Łukasza, zwanego po włosku San Luca.

Na szczęście wjechali samochodem niemal pod sam szczyt, nie musiał więc pokonywać pieszo całej czterokilometrowej trasy.

Spojrzał na tabliczkę wmurowaną pod łukiem, od którego zaczął swoją wędrówkę. Widniał na niej numer „499”. Arkady były ponumerowane, a tak wysoka liczba oznaczała, że do przejścia pozostało mu jedynie kilkaset metrów. Ten odcinek drogi musiał jednak pokonać sam. Jego przyjaciele obawiali się, że osoba lub osoby, które na niego czekały przy wejściu do bazyliki, mogły zrezygnować ze spotkania, widząc, że ktoś mu towarzyszy.

Jego oddech robił się coraz głębszy. Wyłożone chodnikiem i przykryte portykami podejście raz po raz było przerywane kilkoma stopniami schodów. Korytarz, którym szedł, wspinał się coraz ostrzej do góry. Po jego lewej ręce ciągnął się mur, który otwierał się co jakiś czas, by zrobić miejsce na bramy prowadzące do okolicznych willi albo na malutkie, wbudowane w portyki kapliczki. Prawa strona korytarza nie była zaślepiena murem. Ciągnął się tu szpaler identycznych kolumn, pomiędzy którymi widać było przylegającą do portyków jezdnię oraz prześwietlającą przez drzewa nocną panoramę Bolonii.

Wspinając się po schodkach, Davide zastanawiał się, w co się właśnie pakuje. Aby zagłuszyć obawy, myślał intensywnie o swoim zaginionym szefie.

Prócz zmarłego niedawno ojca nie znał w życiu osoby, którą darzyłby podobnym szacunkiem i zaufaniem. Był gotów do największych poświęceń, aby go odnaleźć albo przynajmniej dopaść osobę, która mogła mieć o nim jakieś informacje. Tak jak jego przyjaciele był pewien, że zniknięcie Aurory było związane z rzeźbą głowy, którą przyniósł Massimowi cierpiący prawdopodobnie na zanik pamięci Montanari.

Do tego, że za wszystkim mógł stać stary księgarz z Bolonii, przekonała Davida i jego przyjaciół mała karteczka, którą Malaguti wręczył porucznikowi. Księgarz najwyraźniej uwierzył, że Giacomo przyszedł do niego w imieniu Davida, i wyznaczył mu spotkanie w San Luce. Było to dokładnie to samo miejsce, do którego przed zaginięciem jeździła do pracy Aurora. Od dawna jednak nie prowadzono tam żadnych robót konserwatorskich. Diana skrupulatnie sprawdziła tę informację.

Wszystkie te zbiegi okoliczności nie mogły być przypadkowe. Montanari, cokolwiek działo się z nim w ciągu ostatniego roku, najwyraźniej wplątał się w jakąś kryminalną historię. Jako dziennikarz z olbrzymim doświadczeniem zawsze miał w zanadrzu jakiś trop oraz sieć informatorów. Możliwe, że próbował odzyskać rzeźbę, która była cenniejsza, niż się to wszystkim wydawało, lecz został powstrzymany, pobity i stracił pamięć. A może uległ wypadkowi, uciekając? Davide gubił się w domysłach. Nagle coś sobie przypomniał. Z wrażenia aż przystanął.

– Diano, słyszysz mnie?! – krzyknął w pustkę. Echo jego głosu odbiło się od oświetlonych żółtawym światłem portyków.

– Słyszę cię! – odezwał się głos w ukrytej w jego uchu słuchawce. – Co się dzieje, mów!

– Nie, nic się nie dzieje, jeszcze tam nie doszedłem. Mogliście mnie wyżej wysadzić. – Próbował uspokoić przyspieszony oddech. – Posłuchaj, pamiętasz, co powiedział Montanari, jak spotkał Massima na wałach?

W słuchawce zapanowała cisza.

– Ej! Jesteś tam? – Zaniepokojony popukał się w ucho, aby przywrócić słuchawkę do działania.

– Jestem, jestem. Hmm... No wciskał mu na siłę tę rzeźbę, no nie?

– Tak, ale potem mu coś jeszcze powiedział.

– No to jak wiesz, to mów! Przecież to ty go przesłuchiwałeś.

– Powiedział, że ma iść szukać... no gdzie? – Przybrał ton głosu prezentera prowadzącego quiz.

– Facet, nie mamy czasu na zgadywanki! – Dziewczyna się zniecierpliwiła. – Zaraz będzie północ. Ruchy! – ponagliła go.

– Kazał mu iść i szukać koło Świętego Łukasza. Czyli tam, gdzie właśnie idę! – odpowiedział na własne pytanie. – I dokładnie tam, gdzie podobno chodziła Aurora! Mieliśmy rację, za tym stoi ten pieprzony księgarz. Pewnie jakieś geszefciki tu sobie robi kradzionymi dziełami!

– Davide... – przerwała mu Diana.

– No co?

– Davide – powtórzyła dziewczyna. – On powiedział coś jeszcze...

– Tak? A co takiego? – Nic nie przychodziło mu do głowy.

Pamięć wróciła mu jednocześnie ze słowami, które usłyszał w słuchawce.

– Że ma się spieszyć, żeby ją uratować.

– No tak, też sobie właśnie przypomniałem. Tylko kogo? Przecież Aurora była wtedy jeszcze z Massimem, zgadza się?

Nagle serce skoczyło mu do gardła.

– O Boże... Sara!

Stawka w grze robiła się coraz większa. Zaczął biec.

Siedząca w pandzie Diana drżała z zimna i emocji. Z trudem powstrzymała się przed podzieleniem się z Davidem podejrzeniem, że Sara najprawdopodobniej współpracowała z przestępcami. To nie był dobry moment na tę rozmowę. Spojrzała na zegarek oraz na małą białą kropkę przemieszczającą się powoli po mapie wyświetlonej na ekranie tabletu, który trzymała na kolanach.

– Kochanie, błagam, tylko nie zrób sobie krzywdy – powiedziała cicho.

* * *

– Sześćset pięćdziesiąt pięć, sześćset pięćdziesiąt sześć... – Davide liczył arkady, aby skoncentrować umysł na czymś blahym i nie myśleć o przytłaczającym go coraz bardziej poczuciu odpowiedzialności. Wszystko wskazywało na to, że od powodzenia jego misji zależał nie tylko los Aurory, ale też Sary i jego byłego szefa.

Jego kroki rozbrzmiewały w ciszy, gdy pokonywał ostatnie metry dzielące go od stojącego na szczycie wzgórza sanktuarium. Świątynia, choć stanowiła miejsce kultu od prawie tysiąca lat, podobnie jak prowadzące do niej portyki została gruntownie przebudowana w osiemnastym wieku i stanowiła perłę architektury późnego baroku. Nie przestając liczyć arkad, Davide stawiał ostatnie kroki w portyku, który tuż przy samej bazylice zakręcał ostro w lewo w niewysokiej, przykrytej kopułą wieżyczce. Za wieżyczką portyk łączył się z ciągnącą się przez całą szerokość przedniej fasady świątyni loggią, w której znajdowało się główne wejście do kościoła. Mijając je i idąc dalej, można było dotrzeć do stojącej po drugiej stronie fasady identycznej wieżyczki, a z niej zejść schodami na tarasowy plac przed świątynią, gdzie znajdował się podjazd.

– Sześćset pięćdziesiąt siedem, sześćset pięćdziesiąt osiem... – Davide nie miał czasu na podziwianie pełnej zaokrąglonych kształtów barokowej architektury ani zapierającego dech w piersiach widoku na rozciągające się po horyzont świątla Bolonii.

– Sześćset sześćdziesiąt pięć, sześćset sześćdziesiąt sześć... – Skończył liczyć i zatrzymał się zdumiony przed wejściem do bazyliki.

– Sześćset sześćdziesiąt sześć... Czy to nie jest przypadkiem liczba szatana?

Nie zdążył się zastanowić nad tym dziwnym zbiegiem okoliczności czy raczej celowym zamierzeniem budowniczych portyku.

W jednej chwili niebo nad Bolonią rozbłysło dziesiątkami kolorowych eksplozji. Była dwunasta. Zaczynał się nowy rok. Czerwone łuny na niebie oświetliły pustą loggię i bezludny plac przed bazyliką. Davide strząsnął z siebie skojarzenia z zapamiętanymi z mediów obrazami ostrzeliwanych rakietami miast. Miał własną wojnę do wygrania. Wyglądało jednak na to, że poniósł klęskę w kolejnej bitwie.

Nikt na niego nie czekał.

Niezdecydowanym krokiem podszedł do drzwi bazyliki i pociągnął za klamkę. Drzwi były zamknięte.

Zbliżył się do balustrady i wychylił się w stronę placu.

Zza wieżyczki umożliwiającej zejście na plac błysnęły światła ukrytego za nią samochodu.

Serce zabiło mu mocniej.

– Diano, Giacomo, słyszycie mnie? Zauważyli mnie. Ktoś mi puszcza znaki z samochodu.

– Nie wiem, nie widzę dobrze – odpowiedział na zadane mu przez słuchawkę pytanie. – Jakaś czarna terenówka, widzę tylko kawałek przedniej maski. Idę tam. Giaco, podjedź jak najbliżej się da!

Szybkim krokiem doszedł do wieżyczki. Schodząc po schodach, rozpiął płaszcz i otworzył zatrzask kabury.

Zbliżali się do najważniejszej fazy operacji. Za chwilę miał ocenić, czy zdoła samodzielnie zatrzymać przebywającą w samochodzie osobę. W przypadku gdyby w aucie było więcej osób albo gdyby zobaczył broń, miał pozostawić resztę zadania swoim przyjacielom, którzy blokowali jedyną drogę wyjazdową.

Nie wiedzieć czemu, przypomniała mu się nagle uśmiechnięta buzia Olivii otoczona burzą jasnych włosów. Miał wrażenie, jakby to wspomnienie przedostało się do niego z innego, beztroskiego życia, od którego oddzielała go teraz wieczność.

Powstrzymując targające nim dreszcze, wyszedł śmiałym krokiem na środek placu.

Zza wieży, na zgaszonych światłach, powoli wytoczył się niewielki terenowy ford z przyciemnianymi szybami. Dziennikarz ostrożnie podszedł do pojazdu. Broń pod pachą ciążyła mu niemiłosiernie. Gdy stanął przy bocznych drzwiczkach, przyciemniana szyba opuściła się do połowy. Z panującego w kokpicie auta półmroku wynurzyła się twarz. Na jej widok zamarł.

– Wybacz mi, Davide, ale tak będzie lepiej... – Usłyszał znajomy głos.

Nabrał szybko powietrza, chcąc ostrzec swoich przyjaciół, gdy poraził go prąd z paralizatora, który ktoś przytknął mu do karku. Powietrze uleciało z jego płuc jak z przekłutego balonika. Mięśnie szczęk zacisnęły mu się tak gwałtownie, że odgryzł sobie końcówkę języka. Z ust zaczęła wydobywać mu się krew. Przez chwilę rozpaczliwie walczył o oddech, po czym runął na ziemię i stracił przytomność.

* * *

Porucznik Massini teatralnym szeptem krzychał do umieszczonego w kasku mikrofonu:

– Davide! Davide, odezwij się do cholery!

– *Porca di quella puttana!* – zaklął na głos i wskoczył na siodełko stojącego na poboczu jezdni motocykla.

– Diano, Davide nie odpowiada, coś jest nie tak! Interw...

Nie zdołał dokończyć zdania, bo toczący się na jałowym biegu z góry czarny pojazd z wyłączonymi światłami uderzył w tylne koło jego jednośladu. Giacomo wyleciał z siodełka i z impetem walnął kaskiem w asfalt. W ślad za nim poleciały kawałki szkła ze stłuczonego lusterka motocykla, który z hukiem przewrócił się na bok. W oddalającym się samochodzie załączył się silnik. Rozbłysły oślepiające smugi światel. Kierowca nacisnął na gaz i terenówka z piskiem opon zaczęła zjeżdżać w dół.

Giacomo błyskawicznie pozbierał się z jezdni i zaczął podnosić motocykl, drąc się jednocześnie do mikrofonu:

– Di! Jedzieeeee!!! Blokuj gooo!!!! Blokuj go cazzo!

Dwieście metrów niżej, w zaparkowanej na przylegającym do drogi parkingu pandzie Diana próbowała uruchomić silnik. Krzyżąc z bólu i nerwów, przekreślała kluczyk w stacyjce, używając do tego zwichniętej ręki. Wyeksploatowany rozrusznik odpowiadał jej metalicznymi zgrzytami świadczącymi o jego mechanicznej agonii. Rozpaczliwe wysiłki dziewczyny trwały do momentu, kiedy przed maską jej zdezelowanego fiata przejechał na pełnej prędkości czarny terenowy wóz. Chwilę potem ciemność rozświetliło pojedyncze światło reflektora i zza zakrętu wyłonił się Giacomo siedzący na rozpędzonym i wyjącem pełną mocą stu-sześćdziesięciokonnego silnika ducati.

Diana wyrwała kluczyki ze stacyjki i z wściekłością cisnęła nimi o szybę. Nic więcej nie mogła tu zrobić. Z siedzenia obok zgarnęła latarkę oraz krótkofalówkę

i nie fatygując się zamykaniem drzwiczek, zaczęła biec w stronę sanktuarium. Zbliżając się do celu, modliła się w duchu, by nie zastać tam zwłok Davida.

* * *

Wchodząc w zakręty, Giacomo pochylał się tak nisko, że niemal dotykał kolanem asfaltu. Droga prowadząca z sanktuarium do miasta była kręta i wąska. Uciekający przed nim ford najwyraźniej nie przejmował się faktem, że z przeciwka mógłby nadjechać jakiś pojazd, co nieuchronnie skończyłoby się katastrofalnym w skutkach czołowym zderzeniem. Karabinier z łatwością dopędził samochód, ale nie miał go jak wyprzedzić. Z jednej strony uniemożliwiało mu to pobocze z głębokim rowem, a z drugiej ciągnący się wzdłuż jezdni i oddzielony od niej niskim murkiem portyk. Nagle w świetle reflektorów zauważył wąską przerwę w murku. Wiedziony impulsem, skierował w jej kierunku swój pojazd i w ułamku sekundy znalazł się w korytarzu pod portykami. Szybko tego pożałował. Przerzywany schodkami, ograniczany tu i ówdzie betonowymi słupkami korytarz pod portykami był przeznaczony wyłącznie do ruchu pieszego i Giacomo musiał używać akrobatycznych umiejętności, nie tyle po to, aby wyprzedzić jadący równolegle samochód, ale żeby utrzymać się na siodełku i nie skończyć życia na jednej z kolumn. Preraźliwy huk potężnego silnika ducati odbijał się od ścian i sklepień korytarza i zagłuszał jakąkolwiek próbę komunikacji z Dianą. Pomimo ogromnego ryzyka jakie ponosił, dodał gazu i wyprzedził jadący obok jezdnią samochód. Wystarczyło teraz znaleźć kolejny przesmyk w dzielącym go od drogi murku i mógłby skutecznie zablokować mu drogę.

Zamiast tego zobaczył zbliżające się kłopoty.

Ścigając się, zjechali pędem ze wzgórze i zbliżali się szybko do rogatek miasta. W tym miejscu portyk zaczynał powoli wznosić się na usypanym pod nim wale, aż do osiągnięcia wysokości jednej kondygnacji. Podwyższony w ten sposób korytarz przechodził nad drogą po spełniającej rolę mostu bramie miejskiej, zwanej od nazwiska projektanta Bramą Meloncello. Nieco dalej, za bramą, portyk łączył się z miejskimi podcieniami, ale od tego momentu wiodąca z sanktuarium droga zaczynała krzyżować się z siecią innych ulic i Giacomo miał pewność, że kierowca czarnej terenówki skorzysta z możliwości skręcenia w jedną z nich i zgubienia za sobą śladu. Karabinier nie mógł sobie pozwolić na utknięcie w korytarzu. Musiał się z niego natychmiast wydostać.

Nieoczekiwanie pojawiła się na to szansa. Był nią wążutki przesmyk umożliwiający przejazd czemuś niewiele szerszemu od dziecięcego wózka. Nie był w stanie skręcić w tę wyrwę przy pełnej prędkości. Zdecydował się więc na gwał-

towne hamowanie. Po zaciśnięciu hamulców tylne koło wpadło w poślizg. Motocyklem zaczęło chybotać od lewej do prawej strony korytarza. Błyskawicznie stracił przewagę nad terenówką, ale udało mu się ustabilizować pojazd, zwolnić i ostrożnie przedostać się przez wąski przesmyk na jezdnię. W oddali zobaczył błysk świateł stopu. Uciekający ford zwolnił pod bramą i zgodnie z przypuszczeniami porucznika zaraz za nią zaczął skręcać w jedną z bocznych uliczek. Giacomo przekręcił do oporu manetkę gazu. Motocykl stanął na tylnym kole jak rasowy ogier ukluty ostrogami. Z wgniatającą w siodełko mocą startującego odrzutowca ducati karabiniera wystrzeliło w ślad za fordem. Sekundę później był już przy bramie. Pochylił motocykl i skręcił w ślad za uciekającym mu wozem.

Jeśli droga, którą zjechali ze wzgórza, wydawała mu się wąska, to uliczka, w którą wjechał, była jej mikroskopijną kopią. Mało uczęszczana alejka prowadziła z powrotem za miasto, w kierunku stojących na wzgórzach okazałych rezydencji. O jej szerokości najlepiej świadczył fakt, że uciekające przed nim auto rozpoznawał nie po czerwonych światłach pozycyjnych, lecz po iskrach sypiących się z jego karoserii, kiedy ta ocierała się o mur po jednej stronie drogi i o metalowe ogrodzenia po przeciwnej. Jadąc szybszym i zwinniejszym motocyklem, teoretycznie zyskiwał w tym wąskim miejscu przewagę, ale terenówka była wciąż daleko przed nim i właśnie zniknęła za ostrym zakrętem drogi, która pięła się coraz wyżej.

Promień światła bijący z reflektora jego jednoślada oświetlał coraz bardziej dziurawą i pokrytą rozsypującym się asfaltem pozamiejską drogę. Wystrzeliwane z pobliskich domostw race i sztuczne ognie tworzyły iluzje tańczących cieni i błysków, które oślepiały go, potęgując ryzyko najechania na jakąś przeszkodę. Zwolnił i wszedł łagodnie w zakręt. Ku własnemu zaskoczeniu dwieście metrów dalej zobaczył unieruchomionego forda. Przyszło mu do głowy, że uciekinierzy spowodowali wypadek i nie byli w stanie kontynuować niebezpiecznego rajdu.

Nadzieja rozwiała się, kiedy dojechał do stojącego auta. Zajrzał ostrożnie do środka przez otwarte pogięte i porysowane drzwiczki kierowcy i pasażera. W kabinie nie było nikogo. Nietrudno było się domyśleć, dlaczego nie pojechali dalej. W tym miejscu kończyły się płoty, zabudowania i prowadząca do nich droga, a zaczynała rachityczna, podmokła ścieżka niknąca w ciemności pomiędzy porastającymi wzgórze drzewami.

Nie dając za wygraną, dodał gazu i zaczął brnąć zarośniętą ścieżką w stronę lasu. Na przemian grzęznąć i podskakując na wybojach, przeklinał w myślach komendanta posterunku w Ferrarze, który zakupił kilka doskonale sprawdzających się na autostradzie motocykli ducati, ale żadnego w terenowej wersji en-

duro. Kiedy wyrzucając spod tylnego koła błoto i kamienie, dojechał do pierwszych drzew, wiedział już, że jego pościg dobiegł końca. Zsiadł z motocykla, wygrzebał latarkę i zagłębił się kilka metrów w las. Choć starał się nie przeoczyć niczego, nie zauważył żadnych śladów. Gęsto rosnące, pokryte cierniami krzaki zamykały szczelnie ścieżkę ze wszystkich stron. Wydawało się niemożliwością, aby ktokolwiek zdołał tamtędy przejść.

– Diano, słyszysz mnie? – powiedział do mikrofonu. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, zdjął kask i rzucił go na podmokłą ziemię. Odpiął kombinezon i wyjął telefon. Wykręcił numer do dziewczyny i przyłożył go do ucha. Odebrała natychmiast.

– Giaco, chwała Bogu, krótkofalówka mi wysiadła! Masz go?! Dopadłeś ich?

– Nie – powiedział krótko. – Uciekli mi. Zapadli się chyba pod ziemię.

– Tutaj ani śladu po Davidzie... Porwali go. – powiedziała łamiącym się głosem Diana. – Giacomo, co myśmy narobili?

Nie odpowiedział.

Wyłączył telefon, podniósł kask i podszedł do motocykla. Brodząc w błocie, z niemalym trudem zawrócił go i wskoczył na siodełko. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić, to spisać numer rejestracyjny forda i przesłuchać mieszkańców okolicznych willi.

Noworoczna noc zapowiadała się na długą, a nadchodzący rok, jak na potwierdzenie trwającej od kilku lat złej passy, zapowiadał się na jeszcze gorszy od poprzedniego.

Zupełnie go to nie obchodziło. Jego zawzięty charakter spinał go jak ciasna zbroja i wiedział już, że od tego momentu nie będzie spał ani jadł, dopóki nie odnajdzie chłopaka, którego sam wystawił na niebezpieczeństwo.

Terra incognita

Światło przedostające się przez lekko uchylone powieki Davida było tak intensywne, że kolory i kształty ścian oraz stojących wokół niego przedmiotów rozmazywały mu się i zlewały w nierealne formy. Czuł się, jakby przyleciał z trwającej wieki podróży z innej galaktyki i wylądował na nieznanym planecie. Ręce i nogi ciążyły mu jak ołów. Nie odważył się jeszcze poruszyć tętniącej bólem głowy. W ustach czuł metaliczny smak ołowiu, a zdrętwiały i spuchnięty język nie pozwalał mu nawet na wydobywanie głosu. Kiedy w końcu udało mu się otworzyć oczy i odzyskać względną ostrość widzenia, zrozumiał, że jego położenie nie było aż tak tragiczne, jak mógłby sądzić na podstawie fizycznego dyskomfortu.

Było mu ciepło. Leżał w wygodnym łóżku, przykryty grubą i miękką kołdrą. Miał na sobie czystą piżamę. Był jeszcze oszołomiony, więc dopiero po dłuższej chwili bezmyślnego wpatrywania się w jeden punkt zauważył wydrukowane na pościeli małe różowe serduszka.

Pokonując ból oraz słabość mięśni, uniósł się na łokciach i lustrując pomieszczenie, starał się sobie przypomnieć, jak się tu znalazł. Ostatnim, co pamiętał, było zaskoczenie wywołane obecnością znajomej osoby w samochodzie porywaczy oraz ból nie pozwalający mu oddychać. Z przebitkę pamięci spróbował odtworzyć to, co nastąpiło później: głośny rumor silnika i zapach wilgotnego lasu, mieszający się z fetorem pleśni. Niewyraźne, jakby wytłumione jakimś ciasnym pomieszczeniem męskie głosy i ręce, które delikatnie składały go na trzęsącym się łóżku, być może na noszach. Nie mógł przypomnieć sobie żadnych obrazów, z czego wynioskował, że przez całą drogę miał zasłonięte oczy.

Spojrzał na swoje nadgarstki. Nie był związany, co w połączeniu z miękką, pachnącą pościelą świadczyło, że porywaczom nie zależało na tym, żeby go torturować.

Zaryzykował i usiadł na łóżku. Momentalnie zebrało mu się na wymioty. Ktoś, kto umieścił go w tym pomieszczeniu, musiał przewidzieć reakcję jego organi-

zmu, bo tuż obok niego, na małym stoliczku, stała emaliowana miska. Chwycił ją w ostatnim momencie, zanim zawładnęły nim torsje. Kiedy skończył, był tak wyczerpany, że odechciało mu się wstawać. Odłożył wypełnioną miskę i otarł usta jedną z mokrych chusteczek, których pudełko ktoś równie zapobiegliwie pozostawił obok miski.

Oparł się plecami o ścianę i oddychając ciężko, przyjrzał się jeszcze raz pomieszczeniu.

Pokój był nieduży, ale za to komfortowo urządzone. Białe ściany przypominały nieco szpitalną salę, ale wystrój pomieszczenia kojarzył się raczej z hotelowym pokojem. Łóżko, stolik, niewielka szafa oraz stojące przy ścianie biurko lśniły nowością. Obok małej dwuosobowej skórzanej kanapy stał regał wypełniony książkami, za którym widać było uchylone drzwi do niewielkiej łazienki. Około metra dalej, dokładnie naprzeciw łóżka, znajdowały się stare, solidne i zapewne zamknięte na klucz drzwi wejściowe. Od nienoszących śladów zużycia drewnianych paneli podłogowych biło przyjemne ciepło. W wysokich ścianach nie było zwykłych okien, a jedynie małe lufciki zainstalowane tuż pod sufitem.

Nawet gdyby pokonał słabość organizmu i stanął na łóżku, nie byłby w stanie przez nie wyjrzeć, ale z miejsca, w którym siedział, widział chwiejące się na wietrze czubki świerków. W zdominowanej przez uprawne pola rolniczej krainie Emilii-Romanii rosło mało drzew i zazwyczaj były to drzewa liściaste. O ile więc otaczająca go flora nie stanowiła części czyjegoś prywatnego ogrodu, mógł podejrzewać, że znajdował się wciąż w okolicy, w której go porwano, czyli wśród zalesionych świerkami przedapenińskich wzgórz przylegających do południowych krańców Bolonii.

Ciągle nie miał siły ruszyć się z łóżka, skupił się więc na nasłuchiwanie odgłosów dochodzących z zewnątrz. Ściany i szyby w lufcikach musiały być bardzo cienkie, bo pomieszczenie zalewała kakofonia różnorodnych dźwięków. Pomimo zimowej aury słyszeć było ptaki, co potwierdzało jego podejrzenie, że otaczał go las. Do odgłosów przyrody dołączały się te wydawane przez ludzi. Uderzenia młotka lub siekiery wybijały jednostajny rytm. Odległy warkot samochodowego silnika zagłuszał hałas piły tarczowej, która cięła drewno. Przez wszystko przebił się szum męskich i kobiecych rozmów oraz nawoływań. Głosy dochodziły z różnych stron i dla Davida stawało się coraz bardziej jasne, że przetrzymywano go w jakimś dużym gospodarstwie albo wiosce. Nie wiadomo było jedynie, czy ludzie, których słyszał, byli świadomi tego, że się tu znajdował. Nawiązanie kontaktu z kimś z zewnątrz uznał za pierwszą czynność do wykonania, jak tylko odzyska nieco sił. Tymczasem skupił się na wyłowieniu z rozmów jakichś zrozumiałych słów.

Wsluchując się dobrze, usłyszał dialog dwóch kobiet, które plotkowały o pogodzie. Do ich wesołych głosów dołączył męski, który nie znoszącym sprzeciwu totem rozkazał im zabrać się za robotę.

– *Fôrza ragâz!* Dalej dziewczęta! – Mężczyzna zakończył swoją wypowiedź słowami wypowiedzianymi w bolońskim dialekcie.

Davide odetchnął z ulgą. To rozwiewało jego obawy, że został wywieziony w stronę Toskanii, gdzie w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, pośród niedostępnych lasów i leżących między Bolonią a Florencją skał Apenin, ukrywały się bandy porywające ludzi dla okupu. Ten lukratywny kryminalny proceder został z czasem powstrzymany, ale nie mógł mieć przecież pewności, czy nie stał się ofiarą odradzającej się na tych terenach przestępczości.

Oddalając się i wciąż radosne głosy kobiet nieco go uspokoiły. Opadł na miękką poduszkę. Postanowił się zdrzemnąć i nabrać sił.

Nagle gdzieś z niedaleka dobiegł go przeraźliwy, pełen bólu przeciągły krzyk kobiety.

Włosy na głowie stanęły mu dęba. Wstrzymał oddech. Krzyk się urwał. Nastawił uszu jak przestraszone zwierzę, ale zza okna nie dochodził już żaden dźwięk. Zatrzymała się piła, zamilkły głosy ludzi. Ptaki przestały śpiewać. Zapanowała martwa, drażniąca uszy cisza.

Urwane ślady

Diana wysiąkała nos i wyrzuciła zużytą chusteczkę na pokrytą cienką warstwą śniegu ziemię. Dawniej nigdy nie zrobiłaby czegoś tak niewłaściwego, ale jej życie właśnie rozpadło się na milion drobnych kawałeczków. Jeszcze kilka dni temu wierzyła, że w trójkę zdołają się przyczynić – choćby i w niewielkim stopniu – do powstrzymania panoszącego się na świecie zła. Dziś wyrzucała sobie swoją katastrofalną w skutkach naiwność i to, że pociągnęła za sobą dwóch najbliższych jej mężczyzn, z których jeden został uprowadzony, a drugi bezradnie dreptał właśnie wokół zamkniętego na cztery spusty domu Massima Trovato.

– Nikogo tam nie ma! – oznajmił Giacomo, zwracając się w jej stronę. – I chyba już od dłuższego czasu, bo nawiało sporo śniegu pod drzwi. – Wskazał na białą przyzmę usypaną przed wejściem.

– To jak, wjeżdżamy? – Przybrał wyczekującą postawę.

Karabinierka zamyśliła się głęboko. Od uprowadzenia Davida minęły trzy dni. Od tego czasu nie udało im się niczego znaleźć ani dowiedzieć.

Księgarnię Nanni zamknięto pod pretekstem ferii zimowych, a jej właściciele kategorycznie zaprzeczali, jakoby ktoś o nazwisku Malaguti kiedykolwiek tam pracował. Na przedstawionej przez nich umowie dzierżawnej figurowała zupełnie inna osoba – niejaki Marco Barbieri, lecz i to nazwisko prawdopodobnie było fałszywe lub w każdym razie nigdzie niezarejestrowane.

Porzucone auto porywaczy, jak można się było spodziewać, także okazało się kradzione.

Wisienką na zjełczałym torcie była utrata kontaktu z Massimem. Wydzwaniali do niego od dnia uprowadzenia Davida, nie tylko po to, aby go ostrzec, ale również dlatego, że nie mieli adresu ani nazwiska antykwariuszki z Bolonii. Ta zaś była obecnie ostatnią osobą posiadającą wiedzę na temat tajemniczej rzeźby, która w zagadkowy sposób łączyła ze sobą ofiary zaginięć i co najmniej jednego zabójstwa.

Ich najważniejsze tropy prowadziły donikąd. Choć Dianą ciągle targały wątpliwości, czy obrali słuszną drogę, wraz Giacomo postanowili na razie nie zgłaszać niczego swoim przełożonym. Na szczęście ich rajd po przedmieściach Bolonii pozostał niezauważony lub zignorowany przez okolicznych mieszkańców zajętych świętowaniem Nowego Roku.

Pomimo przejścia do defensywy mieli jeszcze szansę, aby odnaleźć Davida i złapać jego porywaczy. Mając w rękach złoczyńców, zwiększyliby też prawdopodobieństwo odnalezienia innych zaginionych i wyjaśnienia zagadki kamiennej głowy. Ujawnienie wszystkiego przełożonym przekreśliłoby te możliwości. I nie chodziło tylko o grożące im służbowe, a nawet prawne konsekwencje. Komendanci posterunków dysponowali o wiele większymi od ich własnych środkami i możliwościami, ale ich uruchomienie, o ile w ogóle by nastąpiło, zajęłoby zbyt dużo czasu. Diana wiedziała, że w przypadku porwań kluczowe są pierwsze godziny i dni.

– Wjeżdżamy – odpowiedziała porucznikowi pewnym głosem.

Giacomo nie miał zamiaru tracić czasu i energii na walkę z solidnymi drzwiami wejściowymi. Obszedł dom i znalazł niewielkie okno do łazienki. Jako jedyne nie było zasłonięte roletą. Ponadto szkody, jakich zamierzał dokonać, były w tym miejscu najmniej kosztowne.

Zamachnął się znalezionej na podwórku cegłą. Huk tłuczonego szkła rozniósł się po okolicy. Zupełnie się tym nie przejął. Na tym pustkowiu mógłby nawet strzelać z armaty bez zwracania na siebie uwagi. Przysunął dwie stojące przy ścianie palety, stanął na nich i ostrożnie wyjął z ramy okna resztki szkła. Podciągnął się na rękach i przekładając nad ramą nogi, wskoczył do pomieszczenia. Diana powtórzyła jego ruchy, ignorując wyciągniętą do pomocy rękę. Nie miała ochoty na kolejną wpadkę, więc pomimo że dom wydawał się pusty, wyjęła broń i ostrożnie wśliznęła się do salonu. Zasłonięte rolety uniemożliwiały zobaczenie czegokolwiek. Idący za dziewczyną porucznik wymacał na ścianie przycisk i włączył światło.

W pomieszczeniu nie było nikogo. Panował w nim idealny porządek. Na przykrywającej łóżko kapie nie było widać najmniejszej fałdki. Naczynia i kuchenne sprzęty były lśniąco czyste i równo poustawiane. Nie zauważyli śladu kurzu ani żadnego źle odłożonego przedmiotu. Dom wyglądał tak, jakby ktoś opuścił go celowo i bez żadnego pośpiechu.

– A może zwyczajnie pojechał na ferie? – zapytał niepewnie Giacomo.

Było to całkiem prawdopodobne. Przed domem brakowało zaparkowanej terenówki, a pierwszy tydzień stycznia był we Włoszech tradycyjnym okresem zimo-

wych wakacji.

– A ty byś sobie pojechał, jakby twoja dziewczyna zniknęła nie wiadomo gdzie?
– zapytała z przekąsem Diana.

– Jakbym miał dziewczynę, to bym ci powiedział. – Karabinier nie pozostał jej dłużny.

Diana zacisnęła usta i już szykowała się do równie złośliwej odpowiedzi, gdy za plecami usłyszała mechaniczny dźwięk. Odwrócenie się i skierowanie lufy pistoletu w stronę, z której dochodził odgłos, nie zajęło jej nawet sekundy. Tylko lata treningów powstrzymały ją przed odruchowym naciśnięciem spustu i wystrzeleniem w kierunku czarnego dysku sunącego po podłodze.

Giacomo parsknął śmiechem.

– No, no, niewiele brakowało, a zabiłabyś odkurzaczy!

Wypuściła powietrze z płuc i poczuła, jak schodzi z niej trzymające ją od kilku dni napięcie. Schowała pistolet w kaburze i usiadła na łóżku bezceremonialnie marszcząc starannie ułożoną kapę.

– Giaco, musisz mi pomóc – powiedziała łamiącym się głosem. – Jesteśmy w czarnej dupie. Jeśli z mojej winy coś się stanie Davidowi...

– Nic mu nie będzie – przerwał jej porucznik – ten chłopak tylko wygląda jak oferma. Bez urazy – dodał szybko. – Nie zapominaj, kto nas już raz uratował przed oprychami. On jest jak ten wąż, niby nieruchomy, ale jak go nadepniesz, to cię tak pokąsa, że zapamiętasz. Wytrzyma do czasu, aż go znajdziemy. – Wyciągnął dłoń do dziewczyny, aby pomóc jej się podnieść z łóżka.

– A bez Massima też sobie poradzimy – mówił dalej, kiedy Diana wstała i omijając płaczącą jej się pod nogami roombę, zaczęła chodzić po pomieszczeniu i rozglądać się dookoła.

– Tak że zabieramy dupy w troki i jedziemy do Bolonii. Nic tu po nas. Włamałiśmy się tutaj, to i do księgarni możemy. Może tam znajdziemy jakieś nazwiska czy adresy. Ten staruch wszystko na karteczkach zapisywał. Pisarz jeden.

Ruszył w stronę wybitego okna.

– Chyba oszalałeś. – Diana zatrzymała go w połowie drogi. – Sam mówiłeś, że tam pełno kamer. A ty się bardziej na taran nadajesz niż na Arsena Lupina. Poza tym nie wyjdę stąd z pustymi rękami!

Spojrzał na nią zdumiony.

– Chcesz stąd coś zająć? Ty?! No, ale tu raczej nie ma nic cennego...

Zaczął się rozglądać, starając się ocenić wartość sprzętów i przedmiotów. Miał w tym wprawę – pracując jako tajny agent, przez lata obcował z rabusiami i pase-

rami, udając ich kolegę.

Tym razem Diana wybuchnęła śmiechem.

– Giaco, tobie naprawdę ta praca mózg zlasowała. Ale w jednym masz rację. Bez Massima sobie poradzimy. Na razie wystarczy nam jego komputer. No już, nie będę go sama dźwigała! – ponagliła go, wskazując czarną skrzynkę stojącą na biurku.

Chwilę później podawała ją porucznikowi, który jako pierwszy wy dostał się na zewnątrz tą samą drogą, którą weszli do środka. Zgrabnie prześliznęła się przez ramę wybitego okna i zasłoniła je wielką poduszką, którą zgarnęła po drodze z sypialni.

„Lepsze to niż nic” – pomyślała. „Ale i tak Massimo się wścieknie, jak wróci. O ile wróci...” – poprawiła samą siebie.

Miała jak najgorsze przeczucia. Massimo był kolejną osobą, która miała styczność z rzeźbą, i następną, która zniknęła bez śladu.

Nie był to jedyny trop, który jej umykał.

Gdyby nie prószący wciąż drobny i sypki śnieg, który wciskał się w każde zagłębienie terenu, idąc w stronę samochodu, z łatwością zauważyłaby ślady drobnych stóp odcisnięte w zamarzającym powoli błocie.

Kiedy ciemnogranatowe tipo z emblematami karabinierów zniknęło za zakrętem polnej drogi, zza rachitycznych i pozbawionych liści krzaków, rosnących na wznoszącym się za domem wale, wysunęła się niewysoka, niemal dziecięca sylwetka. Mała postać stała przez chwilę w bezruchu, jakby upewniając się, czy nieoczekiwani przybysze oddalili się na dobre, po czym zeszła ze zbocza i ruszyła w stronę domu.

Więzienie

Davide opukał i obejrzał już wszystkie ściany i zakamarki swojej komfortowej celi. Największe zdziwienie wywołało w nim to, że nie znalazł żadnych urządzeń monitorujących. Mikrofony i kamery, których się tu spodziewał, były albo doskonale ukryte, albo zwyczajnie ich nie zainstalowano. Wszystko wskazywało na to, że oprócz wygody zagwarantowano mu też dyskrecję. Nie zmieniało to faktu, że nie znalazł się w tym miejscu z własnej woli i że nie mógł go opuścić.

Drugą niespodzianką były niepasujące do wystroju antyczne drzwi wejściowe, zamknięte za pomocą wielkiego mosiężnego zamka. Zarówno przez dziurkę od klucza, jak i przez szeroką szparę przy podłodze widział inne, wykafelkowane na biało pomieszczenie, spełniające zapewne rolę korytarza lub przedsionka.

Przez pierwsze dwa dni pobytu w tym miejscu był tak zmęczony, obolały i otumaniony, że przesypiał momenty, w których dostarczano mu jedzenie. Kiedy się budził, na szafce przy łóżku stała już taca z wysokokalorycznym posiłkiem. Musiał przyznać, że żywiono go lepiej, niż sam jadał na co dzień. Kimkolwiek był kucharz, który przygotowywał jego dania, na pewno znał się na rzeczy. Nawet kawę parzono tu lepiej niż w jego ulubionym barze San Romano w Ferrarze, gdzie spożywał zwykle śniadania. Do szczęścia brakowało mu tylko pączków z nutellą i osoby, która przyjąłaby jego zamówienie.

Trzeciego dnia obudził się jeszcze przed świtem, co rozwiało narastające w nim wątpliwości, czy apetyczne posiłki nie były metodą, za pomocą której faszcerowano go środkami usypiającymi.

Odzyskał siły i czuł się świetnie, co napawało go nadzieją, że zdoła zrealizować to, co zaczął planować od pierwszych chwili, w której się tu znalazł – ucieczkę.

Rozmyślenia przerwało mu światło, które pojawiło się w szparze między drzwiami wejściowymi a podłogą. Usłyszał w przedsionku dwa ciche głosy – męski i kobiecy. Rozległ się szcęk zamka i masywne drzwi otworzyły się na oścież. W wejściu stanęła ładna dziewczyna prowadząca metalowy wózek wypełniony

naczyniami i ręcznikami. Widok wpatrującego się w nią Davida wyraźnie ją zaskoczył. Zapewne spodziewała się, że o tak wczesnej porze będzie jeszcze spał. Szybko jednak odwróciła wzrok i popychając wózek, podeszła do stoliczka, aby zebrać naczynia i postawić w ich miejsce tacę ze śniadaniem.

Ubrana w pozbawiony oznaczeń i napisów biały kombinezon kobieta miała około trzydziestu lat. Była szczupła i bardzo blada. Patrząc na jej ogoloną głowę, Davide pomyślał, że zapewne była więźniem takim samym jak on. Jeśli się nie mylił, to zapewne i jego czekał wkrótce los niewolnika przymuszonego do pracy w tym dziwacznym miejscu.

– Dzień dobry – zagadnął uprzejmie.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Nazywam się Davide. A ty jak masz na imię?

Znów nic. Kobieta kończyła się krzątać i zbierała się powoli do wyjścia.

– Jedzenie generalnie super, ale makaron wczoraj był niedogotowany. Zróbcie coś z tym, bo wam wstawię złą opinię na Tripadvisorze. – Zaryzykował żart ostatniej szansy.

Kącik ust kobiety drgnął w niewyraźnym uśmiechu.

– Przekazałabym kucharzowi, ale go nie znam osobiście – odpowiedziała. Miała miękkie, niemal dziecinny głos.

– Tak? To może ja mu przekazę? Zaprowadzisz mnie? – mówiąc to, usiadł na łóżku.

Twarz kobiety znów zrobiła się nieprzenikniona.

– Nie powinnam nawet z panem rozmawiać. Takie są reguły. Ścieżka reguł wyznacza szlak, z którego nie wolno zbaczać – wyrecytowała ostatnie zdanie jak automat i skierowała się do wyjścia.

– Jakie znów reguły, dziewczyno, co ty mówisz? – Zerwał się na równe nogi i dogonił ją tuż przed drzwiami.

– Kto ustala te reguły?! – Rozemocjonowany podniósł głos i chwycił ją lekko za ramię. Wyrwała mu się od razu, ale nie dawał za wygraną.

– Poczekaj! Poczekaj momencik! Proszę cię! A widziałas tu może...

Był już jedną nogą w krótkim, wykafelkowanym na biało przedpokoju kończącym się metalowymi drzwiami, gdy drogę zastąpił mu krępy, potężnie umięśniony mężczyzna. Choć nie był uzbrojony, groźna mina i czarna taktyczna kamizelka wskazywały na to, że znajdował się tam tylko w jednym celu – aby upewnić się, że Davide nie opuści swojej celi.

– Okej, spokojnie... rozumiem. – Spojrzał miłośnikowi w oczy, podniósł ręce w pokojowym geście i się wycofał.

Ochroniarz zamknął mu przed nosem drzwi. Zazgrzytał przekręcany zamek.

„Przynajmniej wiem, kto mnie pilnuje” – pomyślał, wracając w stronę łóżka.

Mimo wszystko wstąpiła w niego nadzieja. Nie miał co liczyć na pobłażliwość strażnika, ale dziewczyna zdawała się być podatna na jego chłopięcy urok.

Spojrzał na ułożony w kostkę biały dres spoczywający na dolnej półce szafki, a następnie na piżamę, którą miał na sobie.

– Czas na Davida 2.0 – powiedział do siebie, zgarnął ubranie i energicznym krokiem poszedł w stronę łazienki, przyglądając swoją gęstą, zmierzwioną czuprynę.

Frida

Siedząca w przedziale dla aresztowanych elegancka kobieta o cygańskiej urodzie przyglądała się okazałym bolońskim kamienicom, które przesuwaly się za zakratowanym oknem samochodu karabinierów jadącego przez stare miasto.

– Tu w prawo proszę skręcić – odezwała się chropowatym altem do kierującej pojazdem Diany.

Dziewczyna posłusznie wykonała manewr.

Po jej niedawnym nerwowym załamaniu nie było już śladu. Odnalezienie nazwiska i adresu Fridy Mantovani w bazie danych komputera Massima okazało się dziecinną igraszką, gdyż mężczyzna nie wylogował się z mediów społecznościowych ani baz danych trzymany w chmurze. Karabinierka była osobą systematyczną i skrupulatną, a jedyną znaną jej receptą na odegnanie złych myśli było skupienie się na pracy. Ten drobny sukces w śledztwie pomógł jej nabrać przekonania, że od odnalezienia ludzi stojących za kradzieżą rzeźby i porwaniem Davida dzieliła ich już tylko chwila.

Siedzący obok niej Giacomo nie podzielał jej optymizmu, ale posłusznie wykonywał wszystkie polecenia i czekał tylko na okazję do uczynienia pożytku z ciężącego mu pod pachą nieregulaminowego pistoletu.

– No to co w końcu znaczą te symbole karmalistyczne? – zadał pytanie, obracając się do Fridy.

Antykwariuszka z głośnym westchnieniem opadła plecami na oparcie fotela i spojrzała podejrzliwie na Dianę.

– Czy państwo na pewno jesteście z wydziału ochrony dziedzictwa kulturowego? Proszę mi wybaczyć, ale ten pan to chyba tylko kulturę koszarową studiował.

– Ten pan jest nowy, ale szybko się uczy – odpowiedziała Diana pojednawczo, puszczając jednocześnie oko do porucznika. – Ja też chętnie posłucham, co pani

ma do powiedzenia o symbolach na rzeźbie. Wie pani, to są bardzo ważne informacje i to nie tylko ze względu na dziedzictwo kulturowe.

– Bardzo mi przykro z powodu tych młodych ludzi. – W głosie kobiety pojawiła się nuta współczucia. – Ale można się było tego spodziewać. Ich aura nie wróżyła im niczego dobrego...

– Aura. No pewnie. – Giacomo wyduł wargi. – Ale my byśmy chcieli coś o tych symbolach karma...

– Kabalistycznych – poprawiła go Frida ze złością. – I radziłabym się nie śmiać z aury. Szczególnie panu. – Obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem. – A jeśli chodzi o symbole, to chętnie opowiem, o ile tylko coś z tego zdołacie zrozumieć. Przecież wy pojęcia nie macie o Talmudzie. A kabała to jest najwyższy stopień wtajemniczenia w tę wiedzę. Co ja mówię, to jest profesuuuura! – powiedziała, przeciągając z emfazą głoski. – Tylko nasz nieodżałowany rabin Mirandola był kompetentny w tej materii. Ja jestem nikiem. Powiadam wam – nikiem!

Z torebki louis vuitton wyjęła jedwabną chusteczkę z koronkowym obrębem i uważając na makijaż, otarła łzy z kącików oczu. Walcząc ze wzruszeniem, wróciła do przerwanej rozmowy.

– Na początek mogę wam powiedzieć, że na rzeźbie znajdowały się trzy litery w języku hebrajskim. Jak już chyba słyszeliście, jest to również język używany w kabale. Gdzieś tu nawet mam zdjęcia tych znaków. – Zaczęła przesuwac palcem po ekranie swojego telefonu.

– Przednia część rzeźby, w okolicach postumentu, była oznaczona astrologicznym symbolem Wenus i napisem „kelipot”. Te znaki są najlepiej widoczne na rzeźbie.

Przysunęła komórkę do kraty oddzielającej ją od funkcjonariuszy.

– I co one według pani oznaczają? – zadała rzeczowe pytanie Diana. Nie mogła się obrócić, a poza tym byli już prawie na miejscu i nie miała ochoty na wysłuchiwanie przydługich wykładów.

– Co oznaczają? Och, całe niebo znaczeń! – Antykwariuszka przewróciła wielkimi ciemnymi oczami.

Karabiniarka zrozumiała, że wykład był jednak nieunikniony.

– Symbol Wenus w alchemii oznacza miedź, ale jest, jak wiadomo, powszechnie kojarzony z rodzajem żeńskim. O! Źle pani skręciła! – wtrąciła nagle Frida.

Dziewczyna zakłępa pod nosem i zwolniła, szukając w gąszczu jednokierunkowych uliczek przejazdu, który umożliwiłby jej zawrócenie.

– Natomiast „kelipot”, oooo, to jest, proszę państwa, bardzo ważne słowo i bardzo ambiwalentne. To, że znalazło się na rzeźbie, może mieć i dobre, i złe konsekwencje – kontynuowała Frida.

– Słowo literalnie oznacza skórkę owocu lub skorupę, ale znacznie ciekawszy jest jego sens symboliczny. Dla uczonych w Talmudzie kelipot oznacza naczynie zawierające małe iskierki światła pochodzące od Kreatora. Kabała mówi, że to naczynie na skutek zbyt intensywnego strumienia światła oraz słabości nieprzygotowanego na jego przyjęcie Adama stłukło się kiedyś na miliardy części. I teraz każda z nich zamyka małą cząstkę tego światła. Zamyka, a więc więzi. Naszym zadaniem jest zbierać te okruchy i za pomocą modlitw oraz rytuałów sprawić, by uwolniły to światło, a następnie odesłały je Creatorowi.

– Coś takiego nam rabin mówił w kościele Santo Stefano – przypomniała sobie Diana. – Opowiadał nam o silnym świetle Stwórcy i że człowiek nie byłby w stanie patrzeć wprost na jego źródło. O ile dobrze zapamiętałam.

– Dobrze pani zapamiętała. – Frida spojrzała na nią z uznaniem. – Rabin miał na pewno na myśli „tzimzum”. I wcale się nie dziwię, że opowiadał wam o tym w katolickim kościele. On był zwolennikiem teorii, że wszystkie religie, filozofia, wszystkie archetypy i symbole pochodzą z jednego źródła. Trochę się nawet z nim zgadzam. O naszym Adamie i potopie mówiły już przecież sumeryjskie mity, a wasza Matka Boska to nikt inny jak...

– Izyda? – Diana uśmiechnęła się do wstecznego lusterka.

– Właśnie. – Twarz Fridy rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Zaczynała czuć sympatię do bystrej funkcjonariuszki.

– No dobra, dobra. Izyda, światło i iskierki... – Giacomo się zniecierpliwił. – A dwa pozostałe symbole?

Antykwariuszka obrzuciła karabiniera zirytowanym spojrzeniem.

– Nie było łatwo je znaleźć... Na czubku rzeźby, powiedzmy – na ciemieniu kamiennej głowy, znalazłam ledwo widoczną hebrajską literę Keter, będącą symbolem pierwszej i najważniejszej z dziesięciu sefir. Sefiry to w kabale emanacje tego, co pochodzi spoza naszego materialnego świata. W najprostszych słowach można to ująć tak: Keter to jest punkt, przez który do naszego świata wpada światło Stwórcy i rozchodzi się po dziewięciu kolejnych sefirach, które my, zwykli ludzie, nazywamy miłością, mądrością, harmonią i jeszcze kilkoma innymi określeniami. Na rzeźbie ktoś narysował symbol źródła tego światła. I to nie wzbudza mojego niepokoju. Na dodatek zgadza się z filozofią i znakami pozostawianymi przez Modiglianiego na jego dziełach. Ale niestety jest coś jeszcze...

Omijając rzeszę przechodzących podcieniami i ulicą młodych ludzi, Diana parkowała właśnie w uliczce pomiędzy dwoma okazałymi pałacami. Zatrzymała w końcu samochód, zaciągnęła ręczny hamulec i odwróciła się do tyłu.

– Co jeszcze?

– I dlaczego: niestety? – uzupełnił jej pytanie Giacomo.

– Na spodzie rzeźby, obok rzymskiego podpisu „Aelia-coś-tam”, wyryty był symbol, którego nie spodziewałam się tam znaleźć. – Frida pokazała im znak na zdjęciu.

– To jest Thaumiel. Nie pochodzi z kabały, tylko z sitra achra – jej złej, zabronionej odmiany. Symbolizuje coś, co jest całkowitym przeciwieństwem Keter: źródło najciemniejszej ciemności. Dlatego jeśli te napisy naprawdę opisują to, czym jest ta rzeźba, to wołałabym nie mieć z nią już nigdy nic wspólnego.

Spojrzeli na nią zaskoczeni.

– Dlaczego? – spytała Diana.

– Bo jest pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że ten kelipot przechwytuje światło Kreatora. I drugie tyle, że kryje demona.

W samochodzie zapanowała cisza, zmacona dochodzącymi z zewnątrz odgłosami pokrzykiwań.

Znajdowali się na via Zamboni, w samym centrum tętniącej życiem studenckiej dzielnicy. Pojawienie się w tym miejscu samochodu z emblematami karabinierów nie uszło uwadze akademickiej młodzieży. Wysiadając z auta, Diana słyszała dochodzące od strony gromadzącego się wokół nich tłumku nieprzyjazne pomruki, gwizdy i okrzyki.

Długa na około kilometr via Zamboni zaczynała się przy Dwóch Wieżach i prowadziła do wyznaczającej granicę starego miasta Bramy San Donato. Do końca dziewiętnastego wieku była reprezentacyjną ulicą bogatych mieszczan, którzy zbudowali tu swoje okazałe rezydencje, wykupione później i przekazane na potrzeby rozrastającego się uniwersytetu. Wznoszący się przy rynku pałac Archiginnasio zachował swoją reprezentacyjną rolę zabytkowej siedziby uczelni, podczas gdy przeniesione na via Zamboni aule i laboratoria stały się niemyym świadkiem burzliwych wydarzeń dwudziestego wieku, z których najbardziej pamiętne były brutalnie stłumione przez siły porządkowe rewolty studenckie z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Tradycyjnie lewicowo nastawiona brać studencka wciąż alergicznie reagowała na widok reprezentujących państwo służb. Pojawienie się ich w tym miejscu mogło wręcz zostać uznane za prowokację.

Diana starała się nie drażnić tłumu. Nie patrząc w oczy ciskających w nią przekleństwa młodych ludzi, przeniosła wzrok na znajdujący się obok szesnastowieczny Pałac Poggi, który był celem ich wizyty. Ten niewyróżniający się na tle innych ciągnących się wzdłuż ulicy równie zabytkowych budynków pałac był siedzibą rektoratu oraz biblioteki i licznych sal muzealnych.

Obserwując kątem oka swojego partnera, który w przeciwieństwie do niej nie obawiał się konfrontacji ze studentami i szczerzył do nich zęby w pogardliwym uśmiechu, Diana wpadła na stojący w wejściu do podcieni Pałacu Poggi biały marmurowy słupek. Syknęła z bólu i poczerwieniała na twarzy, słysząc za plecami wybuch dzikiej radości studentów. Jej zażenowanie sięgnęło zenitu, kiedy uświadomiła sobie, że palik do złudzenia przypominał kształtem męski organ w erekcji, co z pewnością nie uszło uwadze pękającej z uciechy młodzieży. Przyspieszyła kroku i dopadła wejścia do pałacu, nie czekając na porucznika i towarzyszącą mu Fridę. Ochłonęła dopiero na widok przepięknie zdobionych krzyżowych sklepień znajdujących się w hallu oraz studentów, którzy mijali ją, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

„Jak to dobrze, że nie ubrałam munduru” – przemknęło jej przez głowę.

Poczuła na ramieniu delikatne klepnięcie.

– Na górę idziemy, tu w prawo. – Usłyszała za sobą zachrypnięty głos. – A pani co taka płochliwa? – Frida się zaśmiała. – Dzieci się pani boi?

– Czego my tu właściwie szukamy? – włączył się do rozmowy Giacomo, odwracając uwagę uszczypliwej antykwariuszki.

– Odpowiedzi – odparła tajemniczym tonem kobieta. – Chyba tak samo jak ja chcecie wiedzieć, czy rzeźba, której szukacie, to autentyk czy fałszywka? I dla czego ktoś jest gotowy dla niej zabijać i porywać ludzi – dodała, poważniejąc.

– A pani jak się wydaje? – zapytała Diana, pokonując ostatnie stopnie marmurowych schodów.

– Dla mnie jest oczywiste, że to falsyfikat – odpowiedziała Frida, otwierając szklane drzwi do niewielkiej i opuszczonej recepcji znajdującej się w ozdobionym pamiątkowymi tablicami korytarzu.

– Idziemy dalej – zarządziła. – Wstęp jest i tak darmowy – powiedziała, ciągnąc ich w stronę pierwszej sali.

– To pani już wie, że to fałszywka? To po cholere mamy tu łązić? – Giacomo nawet nie próbował ukryć swojej niechęci do muzeów.

– Nikt pana nie zmusza. – zachnęła się Frida. – A ja niczego nie wiem, tylko przypuszczam. Na ile znam dzieła Modiglianiego, to wiem, że pojawiały się tam hebrajskie napisy. Komplet szkiców przedstawiających portrety ozdobione sefi-

rami został odnaleziony po śmierci artysty na kartach należącego do niego śpiewnika Sarinia. Symbol Keter narysowano tam dokładnie w tym samym miejscu, co na naszej rzeźbie – na czubku głowy. Modì znał więc te symbole i się nimi posługiwał, szczególnie w okresie, kiedy przyjaźnił się z Maxem Jacobem – żydowskim poetą i znawcą kabały. Ale nigdy i nigdzie Modigliani nie pozostawił po sobie znaku pochodzącego od ciemnej okultystycznej wiedzy kojarzonej z satanizmem. I jestem pewna, że by tego nie zrobił, bo splamiłby tym gestem pamięć po swojej ukochanej i bardzo religijnej matce.

– No to jak to już wszystko wiemy, to czego jeszcze nie wiemy? – Giacomo z rękami założonymi za pasek od spodni ostentacyjnie bujał się nad gablotą wypełnioną skamielinami, od których ugiwały się półki w sali, gdzie przed chwilą weszli.

– Wasz zaginiony znajomy... – Antykwariuszka się zawahała.

– Massimo – podpowiedziała jej Diana.

– Tak, Massimo, powiedział mi, że ta rzeźba się w nocy świeciła.

– Jak to? – zdziwiła się karabiniarka.

Nawet jej partner, zaciekawiony, oderwał się od eksponatów i spojrzał zaintrygowany na Fridę.

– A tak to – odpowiedziała. – Podobno zauważył, że materiał, z którego była zrobiona, był... jakby to powiedzieć... odblaskowy. A to, proszę państwa... – Spojrzała na nich triumfalnie. – Nasunęło mi myśl, z powodu której tu przyszliśmy. Jeśli nie znajdziemy wyjaśnień w muzeum historii naturalnej najstarszego uniwersytetu na świecie, to doprawdy nie wiem, gdzie moglibyśmy ich szukać.

Antykwariuszka, nie czekając na ich reakcję, odwróciła się i przeszła do następnej salki. Posłusznie poszli za nią. Prócz skamielin koralowców, ryb i mamucich kłów na półkach leżało kilka minerałów. Frida obejrzała je pobieżnie i z wyrazem rozczarowania wypisanym na twarzy bez słowa wybiegła z pomieszczenia.

Musieli się mocno postarać, aby za nią nadążyć. Antykwariuszka zatrzymała się dopiero na widok przewodnika oprowadzającego wycieczkę po sali poświęconej historii anatomii. Podbiegła do niewielkiej grupki słuchających go osób i stanęła tam z miną uczennicy czekającej na możliwość zadania pytania.

Diana po wejściu do pomieszczenia straciła zainteresowanie Fridą, rzeźbą oraz przewodnikiem. Stała na środku, zaszokowana widokiem, jaki się przed nią roztaczał. Wokół niej, w pięknie podświetlonych gablotach stali ludzie. W większości pozbawieni skóry, a czasem też niektórych mięśni, z jednych stron pomieszczenia patrzyli na nią nieruchomym wzrokiem, a z innych świecili piz-

czelami i straszili pozbawionymi gałek ocznych czarnymi dziurami oczodołów. Pozy, jakie przybierały postaci, przypominały uczestników konkursu piękności. Choć w swojej zawodowej karierze widziała wiele zwłok, jej umysł nie mógł sobie poradzić z perwersyjnym połączeniem piękna i brzydoty, które wyzierało z każdego rogu muzealnej sali.

Dziewczynie przyszło do głowy, że eksponaty, na które patrzyła, mogły mieć coś wspólnego ze współczesnymi kontrowersyjnymi wystawami spreparowanych ludzkich zwłok, ale daty przy gablotach wskazywały na to, że stały tu już od kilkuset lat. Przesła na środek pomieszczenia i zmęczona wrażeniami, oparła się o marmurowy stół. Kiedy zrozumiała, że służył do wykonywania sekcji zwłok, cofnęła się jak oparzona. Obok zobaczyła kolejną salę, z której uśmiechały się do niej zdeformowane płody szczipionych ze sobą syjamskich bliźniaków. Uciekła wzrokiem w przeciwną stronę, gdzie przykryta lśniąca taflą szkła leżała piękna, najwyżej nastoletnia dziewczyna z otwartym płatem brzuszным, przez który widać były organy wewnętrzne i mały, zwinięty w kłębek płód.

Zakręciło jej się w głowie. Przestała słyszeć szmer głosów. Gdyby nie ręka, która ją podtrzymała, upadłaby na podłogę.

– Proszę pani! Dobrze się pani czuje? – Przewodnik potrząsał jej ramieniem. Giacomo troskliwie przytrzymał ją w pasie, a Frida, która najwyraźniej nie zdołała jeszcze porozmawiać z przewodnikiem, stała obok niego, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

– Oczywiście, nic mi nie jest... to pewnie dlatego, że nie ma tu wentylacji... – zaczęła się usprawiedliwiać Diana.

– Zapewniam panią, że pomieszczenia są odpowiednio wentylowane. – Mężczyzna się uśmiechnął. – I że nie jest pani pierwszą osobą, którą szokuje nasza wystawa anatomicznych figur woskowych.

– To oni są z wosku? – zapytała i poczuła, jak kamień spada jest z serca.

– Wprawdzie nie do końca, bo w większości przypadków do tych woskowych odlewów użyto prawdziwych kości, ale nie są to jednak spreparowane zwłoki.

– Odlewów? Na kościach? – Zrozumiała, że otaczające ją postacie były kopiami osób, które żyły kiedyś naprawdę, i znów zaczęło jej się robić nieprzyjemnie.

– Tak, i jest to unikat na skalę światową. Dzięki specjalnemu pozwoleniu od papieża, w naszym mieście odbywały się pierwsze sekcje zwłok na świecie: najpierw w szpitalu Bractwa Śmierci, a potem w Teatrze Anatomicznym w Archiginnasio. W osiemnastym wieku natomiast stworzono pierwsze odlewy i modele anatomiczne z wosku, doprowadzając tę praktykę do poziomu sztuki, z której Bolonia zasłynęła na cały naukowy świat. Jako ciekawostkę mogę państwu po-

wiedzieć, że jedną z osób, które wykonały te eksponaty, była kobieta, a jej autoportret znajduje się w sali...

– A można szanownego pana spytać o coś innego? – Frida w końcu nie wytrzymała.

Przewodnik spojrział na nią zaskoczony nie tyle tym, że weszła mu w słowo, co niemal męskim brzemieniem jej głosu.

– Oczywiście, jeśli tylko będę...

– Kamień, proszę pana – przerwała mu znów bezceremonialnie. – Pamiętam, że czytałam kiedyś o słynnym świecącym mineralu z Bolonii. Gdzie on jest?!

– Ma pani na myśli siarczan baru czy selenit? – zapytał mężczyzna rzeczowym tonem.

W jednej chwili z Fridy wyparowała towarzysząca jej dotąd niewzruszona pewność siebie.

– To jest ich więcej?! Tych minerałów?

– Tak, proszę pani. Pierwszy minerał, i o nim pani, jak podejrzewam, czytała, to słynny „boloński kamień filozoficzny”, do którego przyjeżdżali alchemicy z całej Europy, aby badać jego właściwości. Został odnaleziony około roku tysiąc sześćset drugiego. Nazywano go też „słoneczną gąbką”, ponieważ chłonięło światło słoneczne i oddawał je w nocy. Dziś wiemy już, że odpowiedzialny za ten efekt był proces wapnienia siarczanu baru, który zamieniając się w siarczek baru, nabywał właściwości fluorescencyjnych. Niestety ten eksponat wraz z innymi minerałami został przeniesiony do Muzeum Mineralogicznego, które znajduje się niedaleko stąd. Jeśli państwo sobie życzą, to mogę...

– A ten drugi? – Charakter Fridy znów dawał o sobie znać. – Ten drugi minerał! – powtórzyła, widząc zdezorientowaną minę przewodnika.

– A tak! Rzeczywiście. Wspomniałem też o selenicie. Ten minerał wydobywano masowo już w czasach rzymskich ze zboczy okolicznych wzgórz. Pierwsze mury otaczające miasto były wykonane właśnie z selenitu, który był nazywany „księżycowym kamieniem”, ponieważ, w przeciwieństwie do siarczku baru, nie oddawał zaabsorbowanego światła, a je jedynie odbijał. W księżycowe noce nad miastem podobno unosiła się biała luna, bo oprócz murów budowano z selenitu także budynki. Na przykład podstawa naszych Dwóch Wież wykonana jest właśnie z tego minerału. Fragmenty dawnych murów możecie natomiast zobaczyć w Muzeum Średniowiecza tam, gdzie znajduje się równie sławna bolońska „tablica filozoficzna” czyli Aelia Laelia Crispis.

Na dźwięk ostatnich słów wypowiedzianych przez mężczyznę oczy Fridy Mantovani zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Co pan powiedział?! – Prawie podskoczyła.

– Że znajduje się tam słynna bolońska...

– Jak się nazywa ta tablica?! – Frida wrzasnęła tak głośno, że w otaczających ich gablotach zadźwięczały szyby.

– Aelia Laelia Crispis... – powtórzył złękniony przewodnik.

– Muzeum Średniowiecza! Szybko! – krzyknęła w stronę Diany i Giacoma, ruszając jednocześnie do wyjścia.

Choć nie widzieli powodów do tak wielkiego pośpiechu, udzielił im się zapal antykwariuszki. Mało nie połamali nóg, zbiegając po schodach. Diana dopadła pierwsza do obrzuconego jankami radiowozu.

„Przekłęci studenci” – chciała już powiedzieć, otwierając w pośpiechu drzwiczki, gdy z kabiny samochodu doszedł do niej cuchnący odór zgnilizny. Pokonując odruch wymiotny, zajrzała do środka. Na siedzeniu kierowcy leżała olbrzymia zdechła ryba. W jej wyżartych oczodołach i na brzegach skrzelu kotłowały się małe białe robaki.

– No to chyba jednak pójdziemy pieszo – skwitował ze stoickim spokojem Giacomo.

Zjawa

Davide przesuwiał dłoń po nagich plecach siedzącej na nim okrakiem Olivii. Czuł swoją naprężoną męskość wnikającą w wilgotne ciepło miękkiego ciała dziewczyny. Jego dłoń przesunęła się po aksamitnej skórze jej ramienia i zatrzymała się na piersi. Ścisnął ją delikatnie. Olivia odchyliła do tyłu głowę, przytykając jasnobłękitne oczy. Gorąca fala rozkoszy promieniująca z jego lędźwi rozlała mu się po całym ciele. Przestał się hamować i poruszając rytmicznie biodrami, jęczał coraz głośniejsze. Chwycił delikatną łabędzią szyję dziewczyny, aby nie znoszącym sprzeciwu gestem przysunąć ją do siebie. Jej długie blond włosy opadły mu na twarz. Było ich dużo. O wiele więcej, niż mógł się spodziewać. Wpadały mu do nosa i ust, blokując oddech. Zakrztusił się, ale wciąż nie mógł nabrać oddechu. Oblał go zimny pot. Ogarnięte paniką serce zaczęło łomotać mu w piersi. Otworzył szeroko oczy.

W odległości kilku centymetrów od swojego nosa zobaczył brodatą twarz mężczyzny, który zatykał mu dłonią usta. Jego głos był przytłumiony, jakby dochodził z daleka.

– Ciii, cichutko, syneczku, śnią ci się koszmary!

Zanim doszło do niego znaczenie tych słów, rozpoznał pochylającą się nad nim twarz.

Odepchnął rękę, która zatykała mu usta, nabrał głębokiego oddechu i zaczął krzyczeć, bełkocząc nieskładnie:

– Monta, to ty? Ty tutaj?! Co ty tu robisz?

Enrico Montanari, zaginiony szef Davida, który niczym duch pojawił się w jego celi, rzeczywiście nie przypominał samego siebie. Nawet gdyby zobaczył go w innych okolicznościach, a szok po gwałtownym przebudzeniu nie wpływałby na jasność jego myśli, miałby trudności z rozpoznaniem starego przyjaciela. Zmierzwione i od dawna niestrzyżone siwe włosy opadały mu na ramiona. Zapadnięte policzki porastała długa i postrzępiona broda. Największa zmiana

zaszła jednak w jego wzroku. Bystre niegdyś oczy starego mężczyzny były wodniste i nieobecne. Patrzyły na Davida jak na powietrze, gdy jego usta wydobywały z siebie teatralny szept.

– Nie możesz tak krzyczeć, synku! Bo przyjdą i znów nas rozdziela!

– Kto, Monta? Kto przyjdzie? I co ty tu w ogóle robisz?

Przez prześcieradło, którym był okryty, Davide z zażenowaniem zobaczył swoją nie do końca jeszcze opadłą erekcję. Zarzucił koc na prześcieradło i usiadł.

Dopiero teraz zauważył otwarte drzwi wejściowe i pęk kluczy w dłoni swojego szefa. W drugiej ręce ścisnął zwiniętą w rulon gazetę. Davide znał tytuł tego dziennika. Był jego wydawcą, a Montanari jego założycielem.

Otwarte drzwi były niepowtarzalną okazją, na którą czekał. Przynurzył się w kierunku ubrań leżących na dolnej półce szafki, gdy przybysz rozwinął gazetę i wyciągnął ją przed siebie.

– Zobacz, synu. Ona tu znów jest. Mówiłem ci, że wróci – powiedział z zadowoleniem.

Davide zastygł, zaskoczony tytułem widniejącym pod czerwoną winiętą „Il Giornale Pomeridiano”.

Wielkie wytłuszczone czcionki obwieszczały:

Zuchwała kradzież. Opiekunka wystawy znika z dziełem sztuki.

Obok treści artykułu całą kolumnę zajmowały zdjęcie Sary Rossi oraz zbliżenie rzeźby, którą kilka tygodni wcześniej Montanari oddał Massimowi.

Davide, odkąd poświęcił się pomocy przyjaciołom, nie interesował się losami swojej gazety, powierzając jej wydawanie młodym dziennikarzom, których przyjął do pracy kilka miesięcy temu. Artykuł był dla niego takim samym zaskoczeniem, jak nieoczekiwana wizyta jego zaginionego szefa. Nie miał jednak teraz czasu na zastanawianie się nad jego treścią ani na bezproduktywną rozmowę ze starcem, który utracił kontakt z rzeczywistością. Było jasne, że nie wiedział nawet, z kim rozmawia, skoro przemawiał do niego jak do syna. Swoją drogą Davidowi nie było nic wiadomo o tym, żeby jego szef posiadał jakiegoś potomka. Musiał jednak odłożyć na później poszukiwanie odpowiedzi na mniej ważne pytania. Priorytetem była teraz wspólna ucieczka z tego miejsca.

Davide wstał i odsunął się od szefa, który zamilkł i znieruchomiał jak pozbawiona baterii zabawka. Rzucił się w stronę ubrań i zaczął je na siebie w popłochu zakładać. Dopiero po chwili dotarło do niego, że zabrano mu kurtkę i buty.

„Trudno” – pomyślał. „Coś się znajdzie po drodze”.

Nalóżył służące mu za kaptcie żółte espadryle i chwytając szefa za rękę, pociągnął go w stronę wyjścia. Byli już o metr od niego, gdy usłyszał dochodzące z drugiego końca przedsiönka skrzypnięcie drzwi oraz zbliżające się ciężkie kroki.

Zatrzymał się na widok ochroniarza, który stanął w drzwiach.

Spojrzał mu w oczy, czekając na jakąś brutalną reakcję, lecz zwalisty mężczyzna nie wykazał nawet cienia zainteresowania Davidem. Zwrócił się natomiast do jego szefa.

– No i gdzieś ty, stary, znów polazł, co?! Mówilem, że trzeba ci odebrać klucze i ciebie samego zamknąć w izolatce! Niestety jak zwykle nikt mnie tu nie słucha.

Przeszedł obok Davida, jakby ten był niewidzialny, i chwycił Montanarięgo za brzeg kurtki. Starzec spojrział na Davida, rzucił gazetę na łóżko, a kiedy ochroniarz wypychał go za drzwi, uśmiechnął się do niego i powiedział:

– Nie martw się, syneczku, przyprowadzę ci ją!

Gdy szerokie plecy ochroniarza zniknęły za zamykającym się drzwiami, Davide rozluźnił mięśnie i oklapł na łóżku jak gumowa lalka, z której spuszczone powietrze.

– Co tu się *cazzo* wyprawia?! – powiedział do siebie i wziął do ręki gazetę. Spojrzał na łagodny uśmiech uwiecznionej na zdjęciu Sary. Znał ją zbyt dobrze, żeby uwierzyć w to, że byłaby zdolna do popełnionej z jakichś niskich pobudek kradzieży.

Wygląda na to, że powoli odnajdywały się osoby, które uważał za stracone. Bardzo chciał wierzyć, że na wpół obłąkany Montanari naprawdę miał jakieś informacje o Sarze.

Do kompletu brakowało mu jeszcze spotkania z osobą, która go zdradziła. Nie zamierzał jej niczego wybaczać.

Aelia

Niewielka salka lapidarium w porównaniu z innymi salami bolońskiego Muzeum Średniowiecza przedstawiała się wyjątkowo skromnie. Na pomalowanych na biało ścianach wisiały kamienne tablice z reliefami i napisami. Kilka zniszczonych zębem czasu nagrobków stało opartych o ściany.

Diana i Giacomo zdążyli tylko pobieżnie zerknąć na wykonaną z selenitu rekonstrukcję miejskich murów, którą minęli po drodze. Napędzana entuzjazmem Frida nie pozwoliła im się zatrzymać aż do momentu, kiedy stanęli przed potężną wapienną tablicą wyeksponowaną w centralnym miejscu lapidarium.

Cała trójka miała w rękach telefony komórkowe. Antykwariuszka za pomocą elektronicznego tłumacza próbowała odczytać napis wyryty w kamieniu. Diana gorączkowo szukała dodatkowych informacji o eksponacie. Giacomo czytał najnowsze wiadomości sportowe.

Gdy uspokoiły im się nieco oddechy przyśpieszone po intensywnym marszu przez miasto, pierwsza odezwała się Frida. Odchrząknęła i zaczęła im czytać na głos tłumaczenie łacińskiego tekstu, który widzieli przed sobą.

Aelia Laelia Crispis
ani mężczyzna, ani kobieta, ani dwupłciowa
nie dziecko, nie młoda, nie stara
ani czysta, ani nierządnicą, ani skromna
ale to wszystko razem.
Nie zabita przez głód ani żelazo, ani truciznę
lecz przez to wszystko razem
Nie w niebie, nie w wodzie, nie w ziemi
lecz wszędzie spoczywa.
Lucio Agatho Priscius

*nie mąż, nie kochanek, nie krewny
ani smutny, ani szczęśliwy, ani płaczący
nie jest groblą, nie piramidą, nie grobem
lecz tym wszystkim naraz
wie i nie wie, komu dla kogo przeznaczonym.*

Głos Fridy nie zdążył jeszcze wybrzmieć, gdy w salce rozległo się głośnie parsknięcie. Giacomo, nie odrywając wzroku od telefonu, przemówił kpiarskim tonem:

– To po to urządziliśmy sobie miejski maraton? Co to w ogóle jest? Jakiś quiz wykopany z mumiami?

Przyzwyczajona do sarkazmu partnera Diana nawet na niego nie spojrzała. Nie omieszkła tego zrobić Frida, która spiorunowała porucznika pełnym oburzenia wzrokiem.

– No wie pan? Pana to bawi? To może być klucz do zrozumienia tego, czym jest rzeźba, której pan udaje, że szuka.

Giacomo odłożył telefon. Tego było już za wiele. Nabierał tchu, aby usadzić wreszcie na miejscu impertynencką podstarzałą damę, ale inicjatywę szybko przejęła czujna Diana.

– Chodzi o ten podpis na spodzie rzeźby, tak? – zapytała, choć znała już odpowiedź.

– Otóż to, droga pani! – Antykwariuszka ucieszyła się jak dziecko. – Przynajmniej pani nie jest wszystko jedno. – Spojrzała przelotnie na Giacomę, ale szybko odwróciła się do Diany.

– Ten łaciński podpis zupełnie nie pasował do reszty symboli. Teraz mamy już kilka dowodów na to, że rzeźba powstała tu w Bolonii. Wykonana ze świeżącego minerału wydobywanego w tej okolicy. – Wymieniała, licząc na palcach. – Podpisana tytułem tajemniczej tablicy z tutejszego muzeum... no właśnie, coś pani więcej o niej przeczytała?

Diana zerknęła na ekran telefonu.

– Hmm, tak, choć niewiele z tego wynika... Nieznane jest jej dokładne pochodzenie, choć wydaje się, że powstała w szesnastym wieku z inicjatywy mnichów... – Zawahała się. – ...z Zakonu Kawalerów Radosnych?! – Nie mogła uwierzyć w to, co przeczytała.

Po raz pierwszy, odkąd poznali Fridę, usłyszeli jej śmiech. Giacomo ze zdziwieniem zauważył, że brzmiał niezwykle seksownie. Strząsnął z siebie tę myśl

i wrócił do wertowania informacji, zerkając jednak kątem oka na czarną sukienkę oblekającą zaskakująco foremne kształty antykwariuszki.

– Wie pani, czasem nazwy nabierają znaczeń całkowicie różniących się od intencji, z jakimi je nadawano – odpowiedziała Dianie Frida. – Cavalieri Gaudenti – Kawalerzy Radośni, to jedna z moich ulubionych anegdot obrazujących tę tezę. W języku włoskim słowo *gaudente* ma kilka różnych znaczeń. Założycielom zakonu chodziło zapewne o radość ze służenia Najwyższemu. Ale dość szybko okazało się, że Gaudenti woleli oddawać się zupełnie innemu typowi radości. Nieprzypadkowo Dante umieścił dwóch założycieli tego zakonu w kręgu piekielnym wraz z hipokrytami w swojej *Boskiej komedii*. Nie wiedziałam jednak, że zakonnicy zabawiali się też konstruowaniem takich zagadkowych epigramów. Na dodatek coś mi ten wiersz przypomina... Wiecie może, co to jest *Szmaragdowa Tablica*?

Podniesiona brew Diany i puste spojrzenie Giacomu dobitnie świadczyły o tym, że żadne z nich nigdy nie słyszało o tablicy, o którą pytała Frida.

– To najstarszy i najważniejszy tekst ezoteryczny świata. – Antykwariuszka wróciła do roli cierplivej przewodniczki. – Jego autorstwo przypisuje się mitycznemu Hermesowi Trismegistosowi. Od jego nazwiska wziął się modny w renesansie hermetyzm. Także w Bolonii w szesnastym wieku istniała Akademia Hermathena związana z tym ruchem. Założył ją żydowski humanista Achille Bocchi. Jak więc widzicie, ezoteryczne języki hermetyzmu i żydowskiej kabały spotkały się w tym mieście na długo wcześniej, zanim pojawiły się na waszej rzeźbie. A wracając do *Szmaragdowej Tablicy*, to zawiera ponoć receptę na przemianę metali w złoto, dlatego interesowali się nią alchemicy. Pochodzą z niej słynne i tajemnicze wersy:

*To, co znajduje się niżej, jest takie jak to, co powyżej,
a to, co znajduje się wyżej, jest podobne do tego, co niżej.*

Coś wam przypominają te enigmy? – Uśmiechnęła się, wskazując na tablicę wiszącą przed nimi.

– To znaczy, że wiersz o Aelii został napisany przez wyznawców Hermesa? – zapytała Diana.

– A skoro na naszej rzeźbie są inicjały Aelii, to znaczy, że służy do tego, żeby robić jakieś alchemiczne czary-mary? – Giacomo włączył się w rozmowę w nadziei na rehabilitację w oczach antykwariuszki.

Frida zmarszczyła czoło.

– Bez dokładnego zbadania rzeźby trudno orzekać o tym, kto i po co ją stworzył. Do dziś nie wiadomo też do końca, czym lub kim była wspomniana na niej Aelia – powiedziała powoli. – Nikt tego nie wie, skoro nawet w muzeum nie ma żadnych objaśnień. No chyba, że coś tam pani jeszcze wyczytała? – zapytała Dianę, wskazując na jej telefon.

Karabiniarka przewinęła palcem wyświetlony na ekranie tekst.

– Nie... nic ciekawego. Tutaj jest napisane, że nawet Carl Gustaw Jung próbował bezskutecznie rozszyfrować wiersz o Aelii. I jeszcze... – Palec zawisł jej nad telefonem. – Proszę pani, okazuje się, że są jeszcze trzy dodatkowe wersy! – zawołała ucieszona odkryciem.

– Jak to dodatkowe? – zaskrzeczała Frida. – Przecież stoimy przed tą tablicą. Nie ma tu niczego więcej!

– W tym opracowaniu twierdzą... – Diana zagłębiła się w lekturę. – Ymmm... że to, co wisi w muzeum, to jest późniejsza kopia tablicy, która była już zatarta i zniszczona sto lat po tym, jak źródła historyczne wspomniały o niej po raz pierwszy. A ta oryginalna, pierwsza i już nieistniejąca, zawierała jeszcze trzy inne wersy.

– Zatarta? Więc ta oryginalna powstała być może znacznie wcześniej i wcale nie napisali jej nasi rozrywkowi zakonnicy? To by nawet miało sens, bo o taką umysłową głębię i uduchowanie bym ich raczej nie podejrzewała – wysnuła wniosek antykwariuszka. – I jakie to wersy?

Diana przewinęła tekst w komórce i przeczytała.

To jest pochówek, który nie zawiera ciała

To jest ciało, wokół którego nie ma pochówku

Lecz to jest ciało, które samo jest pochówkiem.

Diana odłożyła telefon. W lapidarium zrobiło się cicho.

Frida podeszła powoli do znajdującej się przed nimi tablicy i wskazała na poprzedzające wiersz litery „DM”, na które wcześniej nie zwrócili uwagi.

– Nie znam się zbyt dobrze na artefaktach pochodzących ze średniowiecza – powiedziała. – W moim zawodzie lepiej zarabia się na sztuce współczesnej i na antycznej. Ale właśnie przypomniałam sobie, co znaczą te rzymskie inicjały „D” i „M”. *Dii Manes*. To jest inwokacja do dusz zmarłych.

Obróciła się do nich z miną, która wyrażała mieszaninę radości i przerażenia.

– Kelipot, którego symbol także widnieje na głowie, oznacza naczynie. W wierszu o Aelii jest mowa o martwym ciełe i o pochówku. Całość poprzedzona jest

wezwaniami dusz zmarłych. Chyba już wiem, czym jest wasza rzeźba... – zawiesiła głos.

– Grobem – odezwał się niespodziewanie Giacomo.

Frida po raz pierwszy spojrzała na niego z uznaniem.

Ucieczka

Davide czuł nieznośne pieczenie oczu. W ciągu trzech dni, odkąd niespodziewanie odwiedził go Montanari, zdołał przespać zaledwie kilka godzin. Wbrew oczekiwaniom dziennikarza jego dawny szef nie pojawił się jednak więcej w jego celi. Porywacze, prawdopodobnie stosując jakąś przemyślaną strategię, za każdym razem przysyłali z posiłkami inną osobę, uniemożliwiając mu zaprzyjaźnienie się z kimkolwiek.

Dobry nastrój go jednak nie opuszczał. Sam fakt, że zobaczył starego przyjaciela całego i zdrowego przynajmniej na ciele, dodał mu sił i nadziei. Miał też absolutną pewność, że Diana i Giacomo, podobnie jak on, nie przesypiają nocy i nie ustają w próbach odnalezienia go i uwolnienia.

Postanowił się przygotować, najlepiej jak potrafił, do opuszczenia swojego więzienia. Pomimo że zwalisty strażnik, będący jedyną osobą, którą widywał codziennie, wydawał się całkowicie nieprzenikniony, zdołał wyprosić u niego możliwość wychodzenia na krótkie spacery. I choć pierwszy „spacer”, na który został wyprowadzony poprzedniego dnia, ograniczył się do dwóch szybkich okrążeń wokół jego baraku, Davide zyskał ogromną przewagę.

Po pierwsze, ze względu na panującą na zewnątrz zimową aurę dostarczono mu ciepłą kurtkę i buty. Szmaciane tenisówki, które poprzedniego poranka rzucił mu na podłogę milczący ochroniarz, trudno było nazwać zimowymi butami, ale w przeciwieństwie do posiadanych przez niego kapci, które rozpadłyby się po kilku krokach na podmokłym terenie, mógł się w nich przynajmniej w miarę komfortowo poruszać.

Drugą zaletą spacerów była możliwość obserwacji miejsca, w którym go przetrzymywano. Tak jak przypuszczał, jego cela znajdowała się w przystosowanym do celów mieszkalnych dawnym budynku gospodarczym. Zanim w nowoczesnym budownictwie pojawiły się tanie prefabrykаты, stodoły, stajnie i obory wznoszono z solidnych materiałów, dbając jednocześnie o ich estetyczny wygląd,

toteż w całych Włoszech, a w szczególności w słynącej z rolnictwa Emilii-Romagnii, nieużywane już zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem zabudowania przerabiano na wille i mieszkania.

Podczas szybkiego marszu ze strażnikiem depczącym mu po piętach mógł zaobserwować, że miejsce, w które go wywieziono, musiało być kiedyś bogatym wiejskim dworkiem. Otoczone lasami i pagórkami gospodarstwo, poza stojącą na szczycie wzgórza wielką kilkusetletnią willą z czerwonej cegły, obejmowało kilkanaście budynków zajmowanych niegdyś przez zwierzęta i feudalnych chłopów, a obecnie przerobionych na coś w rodzaju zamkniętego obozu pracy. Wysoki płot z gęstą siatką otaczał wielohektarowy teren, który roił się od krzątających się na nim ludzi. Choć styczeń nie sprzyjał pracom polowym, ubrani przeważnie w dreluchy mężczyźni przechodzili z taczkami, ciężkimi belkami i narzędziami. Kobiety w białych chustkach na głowach kursowały między budynkami, pchając wózki, na których piętrzyły się naczynia i stopy prześcieradeł. Z kominów nad domkami buchał szary dym. Nos dziennikarza uderzyła mieszanaka zapachów gotującego się *ragù* i opałowego drewna. Zanim strażnik, pomrukując nieprzyjaźnie, wepchnął go z powrotem do baraku, zauważył światło odbijające się od stojącej na skraju gospodarstwa olbrzymiej szklarni. Jego uwadze nie uszedł fakt, że dach szklarni niemal stykał się ze stojącym za nią płotem. Gdyby tylko mógł się tam dostać i miał pewność, że szkło utrzyma jego ciężar...

Było już późno. Położył się w ubraniach na łóżku. Dochodzące przez cały dzień zza okna dźwięki pracujących ludzi ucichły. Słyszać było tylko wycie wiatru, który wpadał przez dziurawe dachówki. Zrobiło mu się zimno. Opatulił się kocem i postanowił się przez chwilę zdrzemnąć.

Zapadał już w miękką otulinę snu, gdy nieoczekiwanie i niezgodnie z regularnym harmonogramem dnia usłyszał chrobot drzwi i kroki w korytarzu. Ktoś przekręcił zamek i do pokoju wjechał skrzypiący nienaoliwionymi kółkami wózek.

Davide otworzył szeroko oczy, choć i tak nie mógł niczego zobaczyć w otaczającej go ciemności. Światło gaszono z zewnątrz, a pora kolacji minęła już dawno temu. Nocna wizyta tajemniczego gościa była co najmniej dziwna i zupełnie nieoczekiwana.

– Kto tu? – rzucił z niepokojem w ciemność.

– Aaaaa! Tutaj jesteś, synku! – Usłyszał głos Montanariego. – Dziwne... nie mogę nigdzie znaleźć włącznika. Nie masz tu przypadkiem jakiegś świeczki?

– Enrico! – Davide z trudem powstrzymał się przed krzyknięciem z radości. – Jednak wróciłeś!

Wystrzelił z łóżka jak z procy i ostrożnie wymacał przykryty jakimś materiałem wózek i trzymające go przemarznięte ręce starego mężczyzny.

– Mówiłem, że ci ją przyprowadzę – powiedział dumny z siebie Enrico.

– Kogo? Sarę? – zdziwił się Davide. Przyszło mu do głowy, że pod prześcierałem znajdowało się sżytywne ciało dziewczyny, i oblał go zimny pot.

Dłoń Montanariego zacisnęła się na jego ręce. Prowadząc go jak ślepcą, Enrico zmusił go do zanurzenia ramienia pod materiał. Zamiast leżącego na wózku ciała wymacał jakiś masywny przedmiot. Dopiero po chwili zrozumiał, że na wózku stała kamienna rzeźba głowy. Enrico przykrył ją czymś zapewne po to, by przemycić ją stamtąd, skąd ją wykradł. Dziennikarz w ciemności nie był w stanie określić, czy była to ta sama rzeźba, z którą mieli już do czynienia, ale miał przecucie, że tak. W końcu do ilu kopii Modiglianiego mógł mieć dostęp Montanari?

– Czyli on też tu jest... – powiedział do siebie, myśląc o mężczyźnie, którego bezsukutecznie ścigali z Dianą kilka dni temu.

– Kto jest, syneczku? – zapytał łagodnie Enrico.

– Ten, któremu to zabrałeś – odpowiedział Davide. – Skąd właściwie wzięłeś tę rzeźbę? Z jakiego miejsca? Z tej wielkiej willi, tak? – Zaczął zasypywać starca pytaniami, uzmysławiając sobie jednocześnie, że było to równie sensowne, co pytanie ślepego o kolory.

Zrezygnował z dalszych pytań i zdjął ciężką głowę z wózka. Owinął ją materiałem, którym była przykryta, tworząc z niego rodzaj worka, i rzucił ją na łóżko. Padł na kolana i zaczął po omacku szukać butów. Brakowało jednego. Wcisnął się pod łóżko, klnąc na czym świat stoi, gdy nagle zrobiło się jasno. Za plecami usłyszał dochodzący od strony drzwi tubalny głos strażnika.

– Znowu żeś tu zawlókł swoją zwiędłą dupę?! To nie jest pora roznoszenia kolacji, ty stary durniu! Mam dosyć ganiaania za tobą, rozumiesz?! Do kaloryfera cię przywiążę i tam z głodu zdechniesz! A ty gdzieżeś się, kurwa, schował? – Zainteresował się Davidem.

Dziennikarz poczuł, jak silne ręce chwytają go w pasie i wyciągają spod łóżka. Ważył ponad osiemdziesiąt kilo, ale ochroniarz podniósł go za pas, jakby był lalką z gałganków, i rzucił nim na łóżko. W jednej sekundzie zobaczył wszystkie konstelacje z Obłoku Magellana. Ostry ból przeszył jego kolano. Spadając, wyrzucił nim z impetem w leżącą na łóżku rzeźbę. Na szczęście biały materiał, w który była zawinięta, skutecznie zamaskował ją przed wzrokiem strażnika. Davide przygryzł wargi, aby nie jęknąć z bólu. Strażnik stracił nim zainteresowanie i wyładował swoją złość, kopiąc w wózek, który przejechał przez cały pokój i zderzył się z drzwiami.

– Zabieraj ten złom i wypierdalaj! – krzyknął w stronę patrzącego na niego cielecym wzrokiem Enrica. Widząc, że starzec nie reaguje, ochroniarz wypchnął go za drzwi i nie przestając wyrzucać z siebie przekleństw, wyprowadził wózek z pokoju, trzasnął drzwiami i przekreślił klucz.

Kiedy zgasło światło, a gniewne pokrzykiwania strażnika zamilkły w oddali, Davide z głośnym jękiem wypuścił z siebie powietrze. Skulił się na łóżku i zaczął masować obolałe kolano. Dopiero po dłuższej chwili odważył się usiąść, opuścić stopy na ziemię i powoli wstać. Z ulgą poczuł, że jest w stanie ustać na nogach i przejść kilka kroków. Zaczął krążyć wokół pokoju, trzymając się ręką ściany. Powoli odzyskiwał sprawność. Kiedy doszedł do drzwi, coś go tknęło. Schylił się i zerknął do dziurki od klucza. Tak jak się spodziewał, dojrzał światło prześwitujące z korytarza. Zdenerwowany strażnik zapomniał go wyłączyć. Zapomniał czegoś jeszcze. W starym mosiężnym zamku wciąż tkwił klucz.

Serce Davida zabiło szybciej. Trzymając się ściany, okrążył pokój i wrócił do łóżka. Sięgnął pod materac i wyjął spod niego plastikowy nóż, który udało mu się zatrzymać i ukryć po ostatnim obiedzie. Spróbował włożyć go do dziurki. Niestety dziurka była za mała. Wrócił do łóżka na skrót i o mało się nie przewrócił, wpadając na szafkę. Usiadł i zasznurował porządnie buty. Uniósł nóżki szafki, podłożył pod nie plastikowy sztuciec i szarpnął. Plastik przełamał się mniej więcej tak, jak zaplanował, dzięki czemu uzyskał długi, ostry szpikuliec. Zgarnął z szafki „Il Giornale Pomeridiano”, który podczas poprzedniej wizyty przyniósł mu Montanari. Wrócił do drzwi i wsunął pod nie gazetę. Wystawiając język jak uczeń na zajęciach z plastyki, zaczął manipulować plastikowym szpikulcem w dziurce od klucza. Miał olbrzymie szczęście. Klucz znajdował się w pozycji, która umożliwiała jego wypchnięcie. Poprawił gazetę i ostrożnie wcisnął plastik do zamka. Klucz z głośnym brzękiem opadł na ziemię. Drżąc z przejęcia, powoli przysunął ku sobie gazetę. Wodząc dłonią po jej powierzchni, poczuł zimny dotyk metalu.

Między nim a wolnością pozostało już tylko kilkadziesiąt metrów terenu i wysokie ogrodzenie. Wrócił po kurtkę i zawiniętą w prześcieradło rzeźbę, którą przerzucił sobie przez ramię.

Otworzył od środka metalowe drzwi korytarzyka i stanął na progu baraku. Zimowy wiatr od razu wleciał mu za kołnierz. Zapiął kurtkę pod samą szyję i rozejrzał się dookoła. Gospodarstwo tonęło w ciemności. Jedynie w niektórych domkach z nieodkniętych okiennic sączyło się blade światło. Górująca nad terenem willa była tak ciemna, że wyglądała na opuszczoną. Davide wiedział, że były to pozory. Włoskim zwyczajem w domach na noc zaciągano rolety lub zamykano

okiennice. Niektórzy Włosi nie otwierali ich nawet w ciągu dnia, co jego niezujący już, urodzony w Polsce ojciec nazywał „bunkrowaniem się”.

Mimo chroniącej go ciemności musiał więc uważać na znajdujących się na terenie farmy ludzi. Nasłuchując odgłosów i patrząc uważnie pod nogi, krok za krokiem posuwał się w stronę szklarni, które widział dzięki słabemu odbłaskowi odbijającego się w szybach światła księżyca. Kiedy zbliżył się do drewnianej szopy stojącej przy ścieżce, we wznoszącym się pomiędzy nim a szklarniami dużym budynku otworzyły się drzwi. Zmrużył oczy i z przerażeniem zrozumiał, że znalazł się w strumieniu padającego z wnętrza budynku światła. O ile już nie było na to za późno, musiał się błyskawicznie schować. W panice cofnął się o krok i poczuł, że jego plecy oparły się o drzwi szopy, które delikatnie ustąpiły. Naparł na nie silniej i wśliznął się do środka. Poczuł zapach drewna i naftaliny. Przez szparę w drzwiach zobaczył wychodzącego z budynku naprzeciw starszego mężczyznę. Mężczyzna stanął niedecydowany w progu i odwrócił się z powrotem w stronę wejścia, jakby o czymś zapomniał.

– W ogóle nie powinniśmy się teraz pojawiać w mieście. Ani ja, ani ty! – krzyknął wyraźnie zdenerwowany w stronę niewidocznej osoby znajdującej się wewnątrz budynku.

– Ani mi się waż wracać do pracy. Ja robię ostatni kurs, pozbieram to, co jeszcze zostało z papierów, i będziemy tu siedzieć, aż minie zamieszanie. I nikogo nowego nie chcę już tutaj widzieć, rozumiano? Mówiłem ci, że ten chłopak sprowadzi na nas nieszczęście! Chyba pora żebyś sobie przypomniał, kto tu decyduje, mój drogi! Od tego momentu koniec z samowolkami! I z tym cyrkiem w szopie też! – Trzasnął wściekle drzwiami i przyświecając sobie latarką, skierował się w stronę majaczącej na tle szarego zimowego nieba czarnej sylwetki willi.

Aby do niej dojść, musiał przejść tuż obok Davida. Kiedy wąski snop światła latarki zaczął omiatać drzwi szopy, chłopak czmychnął w głąb pomieszczenia. Szukając po omacku kryjówki, stuknął ramieniem w jakiś mebel. Stojący na nim przedmiot przewrócił się z głośnym stukotem. Davide zamarł. Światło latarki także znieruchomiało. Po chwili zbliżyło się do drzwi, które zaczęły się uchylać. Kiedy siwa głowa zajrzała do środka, Davide siedział już wciśnięty, najgłębiej jak potrafił, w przerwę między regałem a drewnianą ścianą szopy i udawał, że nie istnieje. Pomimo lęku przed tym, że zostanie znaleziony, widok, który zobaczył w przeczesującym wnętrze świetle latarki, zachwyił go i przeraził jednocześnie.

Wzdłuż skleconych z desek ścian stały długie metalowe regały. Poustawiane na nich przedmioty nie należały do kategorii rzeczy, których obecności można by się spodziewać w wiejskiej szopie. W równych odstępach, uporządkowane jak muzealne eksponaty, na półkach stały wykonane ze srebra i złota posążki, rzeźby

i oprawione w grube ramy reliefy, malowane wazony, różnej wielkości połączane dzbanki i misternie zdobione puzderka. Naprzeciw Davida, wciśnięty jak on sam w róg pomieszczenia, stał ręcznie wykonany manekin do złudzenia przypominający żywego mężczyznę. Przesuwający się powoli wzdłuż regałów snop światła tworzył upiorny spektakl skracających się i wydłużających cieni. Oświetlane po kolei przedmioty zdawały się poruszać. Nerwy Davida były napięte do granic możliwości. Był już gotów rzucić się na właściciela latarki, gdy strumień światła nagle się urwał, a siwa głowa powiedziała zmęczonym głosem „cholerne szczyry!” i zniknęła za drzwiami.

W pomieszczeniu zapanowała kompletna ciemność. Dziennikarz dla pewności odczekał jeszcze kilka sekund, nasłuchując oddalających się kroków, po czym wstał i strzepał z siebie kurz i pajęczyny. Ostrożnie podniósł zawiniątko z rzeźbą. Wystawił przed siebie rękę i uważając, aby znów niczego nie przewrócić, skierował się do wyjścia. Jego palce nieoczekiwanie zetknęły się z zimną półką regału. Wymacał jakiś podłużny metalowy przedmiot. Instynktownie chwycił go i schował do kieszeni. Nie wiedział, co go czeka, a coś solidnego w garści było zawsze lepszą bronią niż gołe pięści.

Wyszedł z szopy i spojrzął za siebie. W oddali zobaczył światło latarki pnące się na szczyt pagórka. Droga do szklarni i płotu wydawała się wolna, ale musiał ją pokonać szybko. Wpadł na ścieżkę i zaczął biec truchtem. Ryzykował potknięcie i wywrotkę, ale wszystko było lepsze niż wpadnięcie na kogoś, kto znów mógłby wyjść z któregoś z zabudowań.

Gdy dopadł do szklarni, był już niemal u kresu sił. Wydarzenia ostatnich dni odcisnęły piętno na jego kondycji. Był obolały i niewyspany. Na szczęście płynąca w jego żyłach adrenalina dodawała mu sił. Rozejrzał się za czymś, co mogłoby mu pomóc w najbardziej niebezpiecznym zadaniu, jakie miał do wykonania. Szukając po omacku ryny lub kabli, po których mógłby wdrapać się na szklany dach, wpadł na metalową beczkę stojącą między szklarnią a płotem. Wypełniona wodą lub innym płynem, wytłumiła na szczęście cios, jaki zadał jej obolałym już wcześniej kolanem. Stłumił przekleństwo i oparł się o nią ciężko. Postawił na niej rzeźbę i podciągając się na rękach, wspiał się na górę. Kiedy stanął na beczce, obmacał przestrzeń przed sobą. To, co zamierzał zrobić, mogło się skończyć katastrofą, ale nie miał innego wyjścia. Zarzucił worek z rzeźbą na plecy i ostrożnie położył się na spadzistym dachu szklarni. Poczł pod sobą zimno i usłyszał niepokojący dźwięk naprężającej się szyby. Przez chwilę leżał sparaliżowany jak rozbitek na cienkiej i grożącej pęknięciem lodowej krze. Szyba wytrzymała. Wyciągnął ręce do góry i wymacał metalową konstrukcję, na której wspierała się szklarnia. Podciągnął się do samego szczytu i usiadł okrakiem na

dachu. Przesuwając się jak na grzbiecie konia, dotarł aż do jego krawędzi. Od wolności dzielił go już tylko kawałek płotu.

Podczas spacerów zauważył, że płot był zakończony spiralą kolczastego drutu. Ostatnia przeszkoda do pokonania była więc najbardziej niebezpieczna. Pomijając ryzyko schwytania, mógł się boleśnie poranić, a nawet wykrwawić.

Balansując niepewnie ciałem ze zwisającym z ramienia ciężarem, stanął ostrożnie na nogi. Starał się nie myśleć, że od zmarzniętej ziemi dzieliły go dobre trzy metry, a jego stopy opierały się na dwóch kruchych, śliskich i spadzistych taflach szkła. Lata uprawiania sportu pomagały mu wprawdzie utrzymać równowagę, ale nie był człowiekiem pająkiem. Podmuchił silnego wiatru spowodował, że zachwiał się niebezpiecznie. Chroniąc się przed upadkiem, chwycił się płotu. Siłą woli powstrzymał się przed krzyknięciem. Poczul ból rozrywanej na dłoniach skóry i ciepło krwi spływającej mu po nadgarstkach. Zgiął nogi w kolanach i wyszarpał zaplątane w drut kolczasty ręce. Ból się spotęgował, ale nie mógł się już wycofać. Nadludzkiem wysiłkiem, piekącymi z bólu dłońmi wypakował rzeźbę z prześcieradła i dokonując cudów ekwilibrystyki, włożył ją sobie pod pachę. Wolną ręką zarzucił prześcieradło na drut kolczasty. Był już prawie gotowy do ucieczki, ale musiał podjąć trudną decyzję.

Nie wiedział, czy za płotem czekały na niego ostre skały czy bagno, ale nie był w stanie przejść przez ostatnią przeszkodę obciążony dodatkowym ciężarem. Chwycił rzeźbę w obie dłonie i najdelikatniej, jak potrafił, przerzucił ją przez płot. Z ulgą odnotował głośnie plaśnięcie, kiedy kamienna głowa zetknęła się z gruntem. Teren za płotem był podmokły. Rzeźba miała szansę wyjść z tego bez szwanku. Gorzej przedstawiała się jego własna sytuacja.

Oparł się ponownie o płot. Cienkie prześcieradło było złudną ochroną. Znów poczuł bolesne uklucia. Zaciśnął zęby i tłumiąc jęk, wybił się mocno, podciągając się jednocześnie na rękach. Dociśnięta stopą szyba nie wytrzymała. Gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła, wisiał już na szczęście na szczycie płotu. Nieoczekiwanie poczuł dziwne łaskotanie na twarzy, jakby spłoszone hałasem stado nietoperzy przeleciało mu obok głowy. Stracił równowagę i wykonując efektowną wywrotkę przez szczyt ogrodzenia, runął na ziemię po drugiej stronie. Szczęśliwym trafem tym razem nie wylądował na rzeźbie. Sucha trawa i błoto zamortyzowały upadek na tyle skutecznie, że kulejąc i jęcząc, zdołał się szybko pozbiierać z ziemi. Odnalazł porzuconą kamienną głowę i rzucił się w kierunku lasu. Był wolny. Teraz musiał już tylko uniknąć pościgu i dotrzeć do miasta.

Szpital

Diana pokonała biegiem wąskie przeciwpożarowe schody prowadzące na pierwsze piętro bolońskiego szpitala Maggiore i gwałtownym ruchem otworzyła ciężkie metalowe drzwi. Spacerująca korytarzem para staruszków w chirurgicznych maseczkach spojrzała na nią ze strachem i pierzchnęła pod ścianę, ustępując jej miejsca.

Nie zwalniając tempa, rzuciła się w głąb korytarza. Za kolejnym zakrętem o mały włos nie przewróciła pielęgniarki, która wychodziła z ambulatorium z tacą pełną próbek.

– Dokąd leci? To nie stadion! Tu nie wolno biegać! – krzyknęła za Dianą z silnym wschodnim akcentem.

Ubrana po cywilnemu karabiniarka nawet nie zadała sobie trudu, żeby ją przeprosić. Zatrzymała się dopiero przy kolorowej tablicy informacyjnej umieszczonej na skrzyżowaniu skrzydeł budynku. Wybrała właściwą odnogę i wznowiła bieg. Po drodze, przewidując nieprzychylnie reakcje kolejnych członków personelu, wyjęła z kieszeni przyczepioną do skórzanego etui odznakę z napisem „Carabinieri” i zatknęła ją sobie za pasek.

Kiedy dotarła do oddziału pourazowego, zwolniła, wyciągnęła telefon i sprawdzwszy zapisaną w nim notatkę, zaczęła szukać właściwego pokoju. Chwilę później otworzyła drzwi salki numer 467 i z czerwoną po długim biegu twarzą stanęła na jej progu. Niewielkie pomieszczenie gościło tylko jednego pacjenta.

Oparty na twardych szpitalnych poduszkach Davide Dobravski pomachał do niej energicznie rękami zawiniętymi w bandażę.

Diana wystrzeliła w jego kierunku, opadła na łóżko i wtuliła się w niego z taką siłą, że aż jęknął.

– Aj, Di! Położyłaś mi się na kolanie!

– Na szczęście masz dwa, mój herosie. – Przesunęła się posłusznie, ale dalej tarmosiła jego bujne włosy i muskała ustami policzki.

Przycisnął ją do siebie, uważając, aby nie naruszyć opatrunków. Poczul gorąco jej rozgrzanego biegiem ciała i zapach, który wywołał w nim mieszankę radości, czułości i podniecenia. Znajdując się w wymuszonym odosobnieniu, myślał o wielu rzeczach, ale nie przyszło mu do głowy, że to, czego najbardziej mu brakowało, to była bliskość jedynej osoby, której bezgranicznie i bezwzględnie ufał.

Zabandażowanymi dłońmi przyciągnął twarz Diany w stronę swoich ust. Dotknął koniuszkiem języka jej wilgotnych warg i poczuł, jak się rozchylają. Wszedł głębiej w jej usta. Powolna uległość dziewczyny zamieniła się w łapczywość. Gwałtowna fala przyjemności wyparła z jego zmaltretowanego ciała cały ból i zmęczenie. Gdyby mógł swobodnie władać dłońmi, zrzuciłby z niej ubrania i całował oraz pieścił każdy centymetr jej ciała. Z trudem oderwał się od jej napiętych ust. Wielkie i nieprzytomne z rozkoszy ciemne oczy Diany patrzyły na niego z miłością.

– Diano, ja...

Usiadła na łóżku i położyła mu delikatnie palec na ustach.

– Porozmawiamy o tym później – powiedziała miękko. – Teraz musisz mi w końcu opowiedzieć, co tam widziałeś i jak ci się w ogóle udało uciec? I to w dodatku z tą rzeźbą. Oddałam ją już do analizy i...

Przerwała, słysząc za plecami czyjeś kroki. Odwróciła się. W drzwiach stanęła krępa postać w czarno-czerwonym motocyklowym uniformie.

– Davide! *Amico!* Jak się czujesz?! Nic ci nie jest?! – Podniesiony głos Giacoma drżał z nieukrywanego przejęcia.

Dziennikarz wlepił w niego zdziwiony wzrok. Przyzwyczał się już do mało wyszukanych żartów porucznika. Okazywanie emocji było ostatnią rzeczą, jakiej by się po nim spodziewał.

– Obiecali, że będę żył – odpowiedział i stęknął z bólu, kiedy silne ramiona kabiniera zamknęły go w niedźwiedzim uścisku. Miał wrażenie, że szorstki i zarosnięty policzek Giacoma, który otarł się o jego twarz, był wilgotny.

– Giaco! – wydobył z siebie. – Uduśisz mnie.

Uścisk zelżał. Porucznik wstał i skrywając twarz przed ich wzrokiem, podszedł do okna. Odchylił żaluzje. Przestrzeń za oknem była nieprzeniknioną, niekończącą się białością. Nie było sensu nawet udawać, że czegoś tam wypatruje. Puścił żaluzje, które wróciły na swoje miejsce, objając się o szybę.

– No i znowu jesteś bohaterem, młody! Podobno nawet nie straciłeś głowy! – Odwrócił się do dziennikarza z szyderczym uśmiechem.

Diana i Davide wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Żart był słaby, ale fakt, że Giacomo znów był sobą, sprawił im dziwną ulgę.

– Wiadomo już coś? – zapytała go Diana.

– O głowie? To twoja broszka, Di. Przecież wiesz, że twoi kumple z Bolonii niczego mi nie powiedzą. Ale mam coś innego. – Giacomo wyciągnął z kieszeni przeźroczysty plastikowy woreczek wypełniony niedopałkami papierosów.

– Pamiętacie te kiepy, które leżały w krzakach, koło chaty Massima?

Od tamtego czasu zbyt wiele się wydarzyło. Przytaknęli niepewnie.

– Właśnie przyszły wyniki. Znalazł się właściciel. To taki kurdupeł, co mnie śledził pod księgarnią w Bolonii. Wyglądał na dzieciaka, ale...

Urwał zdanie, bo do pokoju wszedł kolejny niezapowiedziany gość.

Powiewający nonszalancko rozpiętym kitem wysoki młody lekarz przystanął na środku salki i ze zdziwieniem spojrzął na zgromadzone w niewielkim pomieszczeniu osoby.

Gdyby nie charakterystyczne czerwone lampasy karabinierów na kombinezonie Giacomina oraz pobłyskująca w świetle jarzeniówki odznaka przy pasie Diany, zapewne dałby upust malującemu się na jego szczupłej twarzy niezadowoleniu i wyprosiłby ich na korytarz. Zamiast tego zagryzł wargi i podszedł do wiszącej przy łóżku kartoteki Davida. Uważnie ją przeczytał, dopisał coś na niej zamasytym pismem i odprowadzany czujnym spojrzeniem Giacomina, bez słowa wyszedł szybkim krokiem z salki.

Porucznik zamierzał powrócić do przerwane opowiadania, ale powstrzymał się, widząc zmieszane twarze Diany i Davida.

– Ej, co jest, *ragazzi*? – zapytał zdeorientowany, patrząc na przyjaciół.

Diana zignorowała jego pytanie i zwróciła się do Davida.

– Myślisz to, co ja...?

– Chciałem cię o to samo zapytać! Tobie też ten medyk wydał się znajomy? – Dziennikarz ucieszył się, że nie był osamotniony w swoim dziwnym wrażeniu.

– Tak jakby – odpowiedziała. – I on też nas chyba poznał. Widziałeś, jak na nas patrzył? Tylko skąd my go...

Davide zamarł.

– Wieża... – wyszeptał.

Diana sprężyła się jak tygrys szykujący się do skoku na ofiarę. Zerknęła na unieruchomionego w łóżku chłopaka i zmieniła zdanie.

– Giaco, łap go. Leć!

Karabinierowi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Zanim wybrzmiało echo jej głosu, biegł już w ślad za lekarzem.

Diana spojrzała badawczo na dziennikarza

– On tam był?! – zapytała pełnym emocji głosem.

– Kto?

– No ten typ! Ten niby-medyk.

– Nie, jego nie widziałem, ale musimy tam wrócić, bo tam jest Montanari i...

– Wiedziałam! – Diana mimo zdenerwowania podskoczyła z radości. – I? I kto jeszcze? Sara?

– Monta coś o niej wspominał, ale on... – urwał zdanie ze smutkiem w głosie. – W każdym razie nic o niej nie wiem. Ale wiem, kto mnie zdradził.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Mów!

– Massimo. Widziałem go w samochodzie, zanim mnie zgarnęli.

Przez chwilę trawiła w ciszy uzyskaną informację.

– On mi się od początku wydawał dziwny – wycedziła przez zęby. – Te jego schizy... A Aurora? Była tam?

– Nie. Nikogo więcej nie rozpoznałem. Rzucił mi się w oczy tylko jeden starszy facet, który wyglądał mi na szefa tego całego łagru...

– Łagru?

– Tak to wyglądało. Jak jakiś porypany obóz pracy. Nawet magazyn zarekwirowanych rzeczy osobistych mieli. Zwinąłem stamtąd coś...

– Wiem, tabliczkę z jakimś nazwiskiem – patrol, który cię znalazł, przywiózł mi to razem z rzeźbą. Dobrze, że podejrzewali, że to ma coś wspólnego ze sztuką, i od razu do mnie przyjechali. Inaczej w ogóle bym nie wiedziała, że się odnalazłeś.

– Ja też bym nie wiedział. – Zaśmiał się słabo. – Jak już dotarłem do miasta, to zasnąłem albo straciłem przytomność. Byłem kompletnie wykończony i miałem już zwidy.

– Jakie znowu zwidy?

– Zanim urwał mi się film, to wydawało mi się, że zobaczyłem tego starucha z obozu, jak sobie szedł ulicą.

– No i co w tym dziwnego, że szedł?

– To, że mnie w ogóle nikt nie gonił ani nie szukał, więc żeby nie wpaść po ciemku do rowu, schodziłem z góry środkiem drogi. Jedynej drogi i w dodatku wąskiej. Tego starszego gościa widziałem tuż przed ucieczką w obozie, więc nie

mógł mnie prześcignąć autem, bo bym je zauważył. A tymczasem był w mieście przede mną. No chyba, że mi się coś wydawało, albo...

Davide przerwał i wytrzymał słuch. Z korytarza dobiegł do nich odgłos szybko zbliżających się kroków. Diana zerwała się na równe nogi i stanęła w wyroku z ręką na kaburze schowanego pod kurtką pistoletu. Odetchnęła z ulgą na widok czerwonego na twarzy Giacomina.

Porucznik rzucił na nogi leżącego na łóżku Davida małą plastikową plakietkę ze spinką.

– Zwiął mi w tej cholernej mgle – wysapał, łapiąc z trudem oddech. – Ale na parkingu znalazłem to. Nie zauważył, że zgubił, albo bał się po to wrócić.

– No i? – Na Dianie znalezisko nie zrobiło wrażenia. – Pewnie to komuś zwiął.

– Nie zwiął. To jego. Na tym identyfikatorze jest jego morda. I nazwisko.

Diana podeszła do łóżka i podniosła identyfikator.

– „Lek. med. Marco Malaguti” – przeczytała na głos. – „Oddział Onkologii”.

– Z tego, co wiem, to nasz bohater ma poharatane gałązki, a nie raka. – Porucznikowi wracał dobry humor. – A nazwisko Malaguti jest nam już znane, no nie? – Mrugnął do Diany. – Tak że mamy ich. Rodzinny interes pieprzonych porwaczy i złodziei. – Wydał pogardliwie wargi. – Teraz trzeba znaleźć tylko ich norę, pewnie tam niejedno чудо znajdziemy.

Diana nie zwracała uwagi na popisy porucznika. Wpatrywała się uważnie w dziennikarza.

– Davide, jak wyglądał ten starzec, który wydawał ci się szefem tego obozu? – zapytała powoli.

– Ciemno było... – Próbował sobie przypomnieć. – Nie wiem. No stary był. Tak między sześćdziesiąt a siedemdziesiąt, skąd mam wiedzieć.

– Jak wyglądał, a nie ile miał lat!

– Był łysy... i miał okulary. Takie cienkie jak druciki.

Karabiniarka przeniosła wzrok na porucznika. Ten skinął głową.

– Księgarz – wycedził. – Malaguti senior, pewnie tatuś albo krewny tego doktora.

Diana spojrzała na Davida.

– Gdzie masz ubrania?

– Nie mam. To wszystko było tak zabłocone, że...

– Nieważne – powiedziała, zdejmując kurtkę. – Tym cię przykryję. Po tym co przeżyłeś, chyba się już nie przeziębisz w drodze do auta.

– Do auta? – zdziwił się. – Ale lekarze...

– No właśnie, lekarze – powiedziała, pomagając mu wstać z łóżka. – Chwilowo nie wiemy, komu tutaj możemy ufać. Jak widzisz, rodzina Malagutich ma macki nawet w szpitalu. Ciągłe nie wiemy, czego chcą od ciebie i tych wszystkich, których porwali. Ale na pewno niczego dobrego. Nie zostawię cię tutaj. Jedziemy do mnie.

Karnawał

Diana poprawiła bezużyteczne okulary słoneczne, które opadły jej z czubka głowy na czoło, i westchnęła ze smutkiem. Tak jak inni poubierani w wiosenne kurtki mieszkańcy Bolonii, którzy wylegli na ulice w ten niedzielny poranek, była spragniona słońca i wiosny. Połowa lutego nie przyniosła jednak żadnej pozytywnej zmiany w pogodzie.

Ciężkie szarobiałe niebo wisiało nad przechodzącym przez główne ulice miasta karnawałowym pochodem. Zamkniętych dla ruchu kołowego ulic i porządku wśród tłumnie zgromadzonych gapiów pilnowały zastępy miejskich strażników, policjantów i ubranych w czarno-czerwone mundury kolegów karabinierki. Dziewczyna już kilka tygodni temu otrzymała maila z przydziałem do służby pomocniczej, polegającej na obserwacji po cywilnemu trasy pochodu. Ucieszyła się, że strefa jej działania przebiegała niedaleko jej domu i ograniczała się do ulicy łączącej centralny plac Neptuna ze stojącymi kilkaset metrów dalej Dwoma Wieżami. Nie poprawiało jej to jednak humoru popsutego brakiem towarzystwa Davida, na którego obecność bardzo tego dnia liczyła.

Dziennikarz od kilku tygodni, które upłynęły, odkąd wywozła go ze szpitala, mieszkał wraz z nią w jej apartamencie, ale wbrew jej oczekiwaniom ich wspólne życie nie okazało się sielankowym powrotem do gorącego związku sprzed lat. Nie chodziło o to, że byli starsi i bogatsi o nowe, nie zawsze przyjemne, życiowe doświadczenia. Nie oddaliła ich od siebie nawet rozłąka i zaangażowanie w inne związki. Obecność Olivii w sercu Davida oraz Giacoma w życiu Diany nie zdołały osłabić ich bliskości, której przez te wszystkie lata nie przestali odczuwać nawet na chwilę. Diana nie mogła też narzekać na namiętność, której dowodów Davide dostarczał jej każdej nocy, kochając się z nią długo, intensywnie i czule. Co więcej, jakość ich seksualnych doświadczeń wyraźnie się polepszyła i dziewczyna nie mogła nie zauważyć, że jej partner stał się lepszym i bardziej świadomym jej ciała i potrzeb kochankiem. Z ich serc i umysłów zniknęło jednak poczucie bez-

troski i Diana po raz pierwszy w życiu zaczęła rozumieć prawdziwy sens powiedzenia mówiącego o tym, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Gdyby konieczność tego wymagała, bez namysłu oddaliby za siebie życie, ale nie było już między nimi tej nieuchwytniej i niewytłumaczalnej magii, która towarzyszy jedynie tym parom, które nigdy nie dały sobie powodu do rozczarowania.

Jakby tego było mało, Davide z dnia na dzień popadał w coraz większą obsesję związaną z brakiem postępów w śledztwie i tym, że mimo kilkukrotnie podejmowanych prób nie udało mu się odtworzyć drogi, jaką odbył, uciekając z obozu.

Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, kiedy ze szpitalnego laboratorium dotarła do nich informacja, że we krwi dziennikarza pobranej w dniu przyjęcia na oddział odnaleziono ślady leku o nazwie „teriak”. Wywołało to nawet niemalą sensację i stało się powodem zainteresowania ze strony uniwersyteckich badaczy, którzy oznajmili, że był to pierwszy przypadek wykrycia tej substancji we współczesnych czasach. Według tego, co przekazali im lekarze, teriak był antycznym panaceum, stworzonym na bazie ponad sześćdziesięciu naturalnych składników. Ostatnim znanym ośrodkiem, gdzie wytwarzano teriak, był uniwersytet w Bolonii i podlegające mu w czasach średniowiecza Szpitale Życia i Śmierci, jednak jak dotąd nikt nie był w stanie odtworzyć oryginalnego procesu produkcji tego leku. Związany z niespodziewanym odkryciem powrót do bycia w centrum zainteresowania był ostatnim marzeniem Davida, ale nie to w tej sytuacji było najgorsze. Według medyków teriak należał do substancji psychotropowych, co stawiało pod wielkim znakiem zapytania wiarygodność jego wspomnień obejmujących pobyt w obozie i ucieczkę z niego.

Diana, która знаła dziennikarza lepiej od innych, a przede wszystkim dysponowała wyniesionymi przez niego przedmiotami, była skłonna mu wierzyć, jednak fakt, że nie potrafił wskazać drogi do obozu, w niczym nie poprawiał sytuacji i nie posuwał śledztwa do przodu. Zdesperowany Davide, pomimo usilnych próśb z jej strony spakował tego poranka swój plecak i jak to robił od wielu dni, ruszył w góry.

Przeszywający ból, który poczuła w udzie, gwałtownie wyrwał ją z zamyślenia. Obróciła się i zobaczyła znikające pomiędzy stłoczonymi za nią ludźmi plecy jakiegos dziecka. Miała wielką ochotę, żeby odszukać i przywołać do porządku rodziców malca, ale dała za wygraną. Jej zadaniem była dyskretna obserwacja. Obróciła głowę w stronę via Indipendenza, z której za chwilę miał wynurzyć się zmierzający w stronę rynku pochód, i poczuła dochodzący z bliska odór nieprzetrawionego alkoholu.

Stojący obok niej Giacomo był kolejnym powodem, który wpływał na jej kiepski humor. Tego poranka wpadła na genialny, jak jej się wydawało, pomysł, aby

ożywić swoją przyjaźń z byłym partnerem i trochę na przekór Davidowi poprosiła go, aby potowarzyszył jej w nudnym dyżurze. Kiedy śmierzdzący nieprzespaną nocą, nieświeży i nieuczesany Giacomo chwiejnym krokiem stawił się na spotkanie, pożałowała swojej decyzji do tego stopnia, że niemal wyparła jego obecność. Nie była pozbawiona empatii i doskonale rozumiała jego zawód, tak jak rozumiała upór i decyzję powziętą przez Davida. Powoli zaczynała sobie jednak zadawać w głowie pytanie: „a dlaczego nikt nie chce zrozumieć mnie?”.

Przez hałas powodowany przez drące się jeden przez drugiego, rozemocjonowane dzieciaki nie dosłyszała, co mówił do niej nieogolony Giacomo.

– Co z tą rzeźbą?! – powtórzył głośniej. – Oryginał czy fałszywka? Jest już ekspertyza?

– Ekspertyza?! – Prawie zaśmiała mu się w nos. Przez wywołany pandemią i zbrojeniami kryzys sukcesywnie obcinano fundusze przeznaczone dla mniej strategicznych wydziałów. Czyli dla takich jak jej. Mogła jedynie pomarzyć o profesjonalnej ekspertyzie.

– Nie będzie żadnej ekspertyzy! – powiedziała ze złością. – Ale mam przynajmniej zdjęcie – dodała już spokojniej.

– Jakie zdjęcie? – Giacomo znów zionął w jej stronę alkoholem. Modliła się, żeby zachciało mu się palić albo odechciało rozmawiać.

– Rentgenowskie – odparła, chcąc zakończyć wątek.

– No i? – dociekał jednak porucznik.

– No i nic. Nic tam nie ma. Dosłownie. Rzeźba jest w środku pusta. Jak wydmuszka.

Przypomniała jej się chwila, kiedy doręczono jej kopertę z laboratorium. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wróciło do niej wspomnienie pokrytych woskowymi mięśniami szkieletów, które widzieli w Pałacu Poggi. Wyciągając klisze z koperty, drżała na myśl, że zobaczy na nich zarys ludzkiej czaszki.

– A ta blacha? – dopytywał dalej Giacomo.

– Jaka blacha?

– Ta, którą przytaszczył ze sobą młody. To znaczy Davide. – Giacomo skrzywił się, jakby wypowiedzenie tego imienia sprawiało mu trudność.

– A, to jest akurat ciekawe! – Diana szczerze się ucieszyła.

– Tak?

– Tak! To taki mosiężny stojak z nazwiskiem i jakimiś datami. Sprawdziłam to i okazało się, że to nazwisko poszukiwanego mężczyzny. Poszukiwanego nie dlatego, że coś przeszkrobał, tylko dlatego, że zaginął. Równy dwa lata temu. I to jest

druga z widocznych na tabliczce dat. A pierwsza to data jego urodzenia. Wygląda to więc na tabliczkę upamiętniającą...

Dalsze jej słowa zagłuszył hałas powodowany przez bębny i werble, do których dołączył przenikliwy dźwięk trąb.

Zza rogu via Indipendenza wynurzył się ubrany na czarno jeździec na koniu. Górną część twarzy zasłaniała mu czarna maska z długim szpiczastym nosem, a siwą perukę ozdobioną eleganckimi loczkami przykrywał czarny kapelusz z zawiniętym do góry szerokim rondem. Z jego pleców zwisała długa czarna peleryna. Jedynymi elementami jego ubioru, które wyróżniały się na tle dominującej czerni, były białe rajtuzy i gęsta biała kryza. Na widok przebierańca tłum zareagował brawami.

– *Dottor Balanzone!!!* – przekrzykiwały się cienkimi głosikami stojące w pierwszym rzędzie rozentuzjasmowane maluchy.

Diana przypomniała sobie tę postać występującą w tradycyjnej włoskiej komedii *dell'arte*. Balanzone parodiował w niej zadufanego w sobie bolońskiego prawnika. Dopiero teraz dowiedziała się, że był również najważniejszą postacią tutejszego karnawału.

Jeździec zdjął kapelusz i zamachał nim w stronę publiki, po czym ruszył dalej w kierunku stojącego nieopodal pomnika Neptuna. Za nim podążał towarzyszący mu hałaśliwy zespół ubranych w średniowieczne stroje muzyków i „zbandieratorów” rzucających w powietrze różnokolorowe flagi. Kiedy przypominający cyrkowców zonglerzy przenieśli się bliżej rynku, zza rogu wynurzyli się rycerze, którzy trzymali tarcze z namalowanymi na nich flagami Bolonii. Był to pierwszy symbol, z którym Diana zetknęła się po przyjeździe do miasta. Białe flagi z czerwonym krzyżem zwisały z okien wszystkich urzędów, a karabinierkę zaciekawił fakt, że symbol ten do złudzenia przypominał flagę Anglii. Napędzani poczuciem lokalnego patriotyzmu nowi koledzy wytłumaczyli jej, że angielscy marynarze kilka wieków temu „pożyczyli” sobie czerwony krzyż Świętego Jerzego od morskiej gildii handlowej z Genui, do której przez jakiś czas należeli. We Włoszech flaga ta reprezentowała gwelfów – stronników papieża w średniowiecznej wojnie między Kościołem a zwolennikami niemieckich cesarzy. Bolonia zaś była niekwestionowanym dominium papieskim.

Kiedy rycerze w rytm werbli oddalali się marszowym krokiem, entuzjazm tłumu sięgnął zenitu. Po historycznej części pochodu miało nastąpić to, na co czekały nie tylko dzieci, ale też ulegający coraz większym emocjom dorośli.

Strażnicy miejsy z pomocą gwizdków i groźnych okrzyków zaczęli odsuwać tłum napierający na środek skrzyżowania. Wykonująca swoją część pracy Diana

stała na palcach i zlustrowała stłoczonych ludzi profesjonalnym okiem. Nie zobaczyła niczego niepokojącego. Uśmiechnięte i niejednokrotnie pozaśniane kupionymi na targu maskami twarze w radosnym nastroju powitały pierwszy udekorowany kolorową bibułą wóz, który pojawił się u wylotu via Indipendenza. Dzieci wyrwały się z rąk rodziców i pobiegły w jego stronę, sprytnie omijając próbujących ich powstrzymać strażników. Z pojazdu wyposażonego w szeroką platformę, której centralną część zajmował kilkumetrowy, wykonany z kolorowej masy papierowej klaun, wystrzeliły serpentyny i kolorowe konfetti. Stojąca na rampach otaczających klauna, ubrana w pstrokate stroje ekipa wozu zaczęła wyrzucać w stronę publiczności cukierki, maskotki i kolorowe piłeczki. Podarunki nie zawsze trafiały jednak w małe rączki dzieci, które otoczyły pojazd ze wszystkich stron. Starsi nastolatki, a nawet dorośli z siwizną na skroniach, z obłędem w oczach walczyli o gadżety, dopóki były jeszcze w locie. Karnawał zaczął ukazywać swoje ludyczne i niepozabawione prymitywizmu oblicze.

Na szczęście wóz z klaunem był dopiero pierwszym z długiej kolumny kolorowych i ozdobionych papierowymi rzeźbami pojazdów, które miały tego dnia wjechać na rynek. Olbrzymia mortadela, która wyłoniła się zza klauna, nie pozostawiała wątpliwości, co będzie rozdawane i zrzucane z kolejnego wozu. Tuż za mortadelą czekał już następny pojazd, sponsorowany zapewne przez sklep Disneya, co można było wywnioskować po olbrzymich postaciach z filmu Toy Story. Widząc je, dzieci zdezerterowały spod mortadeli i pobiegły w stronę papierowego Buzza Astrala z nadzieją na deszcz figurek ze swojego ulubionego filmu.

Diana rozumiała już, na czym polegał boloński karnawał. Miał więcej wspólnego z reklamą lokalnych sklepów i z sięgającą korzeniami starożytnego Rzymu tradycją rozdawnictwa niż z pięknym widowiskiem pełnym masek i kostiumów. Zainteresowanie zdołał w niej wzbudzić dopiero wóz rozbrzmiewający muzyką pochodzącego z Bolonii włoskiego barda Lucia Dallego. Patrząc na przejeżdżającą przed nią starannie odtworzoną postać nieżyjącego już, ale wciąż uwielbianego przez bolończyków artysty, zaczęła nucić wraz z tłumem słowa słynnej piosenki *Caruso*.

Silne uderzenie w ramię przywróciło ją do rzeczywistości. Stojący obok niej Giacomo z wyrażającą osłupienie miną wskazywał palcem w stronę nieba i mówił do niej coś, czego nie mogła dosłyszeć poprzez głośno grającą muzykę.

Nagle dojrzała, co jej wskazywał. Nie była jednak do końca pewna, czy obraz przed jej oczami był fragmentem rzeczywistości czy osobliwej halucynacji.

Pośród wirujących w powietrzu kolorowych konfetti i strzępów serpentyn z zachmurzonego nieba opadała niezliczona liczba niewielkich pomarańczo-

wych spadochroników, pod którymi dyndały przypięte do nich linkami, pomalowane na pomarańczowo chomiki.

W pierwszej chwili zachciało jej się histerycznie śmiać. W następnym ułamku sekundy jej wyćwiczony latami intensywnych szkoleń umysł przejął kontrolę nad ciałem. Była przydzielona do służby pomocniczej, więc nie posiadała krótkofalówki. Nie miał jej też przebywający z nią prywatnie Giacomo. Wyjęła z kieszeni kurtki „blachę” i trzymając ją uniesioną wysoko nad głową, zaczęła się przepychać do przodu. Zaabsorbowani łapaniem gadżetów ludzie nie zwracali uwagi na nią ani na jej odznakę. Musiała użyć łokci, aby dostać się do strażnika miejskiego, który z nadludzkiem wysiłkiem odpychał ludzi niebezpiecznie zbliżających się do kół kolejnego przesuwanego się w stronę rynku pojazdu.

Diana podstawiła strażnikowi dokument przed oczy i przekrzykując hałas, zawołała:

– Radio!

– Co? – Mężczyzna nie potrafił się skupić na rozmowie i jednocześnie odsuwaniu malców wyciągających ręce w stronę poruszającej się platformy.

– Potrzebuję radia! – powtórzyła.

Strażnik, nie przerywając pracy, skinął głową. Sięgnęła mu do ramienia i wysunęła z zaczepu mikrofon połączony za pomocą spiralnego kabla z umieszczoną przy jego pasie krótkofalówką.

– Mówi kapitan Diana Leone z korpusu karabinierów z Bolonii. Zgłaszam zagrożenie antyterrorystyczne na skrzyżowaniu ulic Indipendenza i Ugo Bassi. Powtarzam, to nie są ćwiczenia! Zatrzymać pochód i ewakuować wszystkich znajdujących się na trasie! Zrozumiano?!

Krótkofalówka przez chwilę szumiała charakterystycznym dźwiękiem fal radiowych. Dopiero po upływie kilku sekund odezwał się z niej zdumiony męski głos.

– Proszę podać numer legitymacji służbowej.

– Kurwa, człowieku, zrozumiałeś, że jestem kapitanem?! – krzyknęła, tracąc cierpliwość.

Poprzez głośnie dźwięki muzyki dobiegającej z wozów przedarł się do jej uszu dochodzący z niedaleka przeraźliwy kobiecy wrzask. Domyśliła się, że pierwsze pomarańczowe chomiki zaczynały właśnie spadać ludziom na głowy. Pozostało jej się tylko modlić, aby nie miały na sobie ładunków wybuchowych.

– Twój człowiek potwierdzi moją tożsamość. To jest najwyższy stopień zagrożenia! Natychmiast wykonać mój rozkaz! – warknęła i puściła mikrofon, który zadyndał na piersi zdumionego strażnika.

Nie miała tu nic więcej do roboty. Używając łokci i siły mięśni, zaczęła się wycofywać. Rozbrzmiewająca z wozów muzyka płynęła nieprzerwanym strumieniem, ale tłum zaczynał już podejrzanie falować i napierać we wszystkich kierunkach. Kilkoro młodych ludzi filmowało telefonami kolejne spadające z nieba gryzonie. Na szczęście pękali przy tym ze śmiechu. Wybuch paniki wisiał jednak w powietrzu.

Kiedy udało jej się wrócić do Giacoma, ten stał z komórką przy uchu i z całkowicie trzeźwym wyrazem twarzy głośno z kimś rozmawiał. Kiedy skończył, przyciągnął ją do siebie i krzyknął jej do ucha:

– Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale już zaczęli działać! Zaraz będzie ogłoszony komunikat. Wymyślą coś o problemach technicznych i odwołają imprezę. Chociaż nie jestem pewien, czy było warto... To wygląda na jakiś górniarski żart!

Rozglądając się wokół siebie, dyskretnie uchylił połę skórzanej kurtki. W bocznej kieszeni, omotany linkami spadochroniku, wił się przerażony, pomazany farbą chomik.

– Oszalałeś?! – krzyknęła. – On może mieć wściekliznę!

Giacomo skrzywił się lekceważąco. Diana, trzymając go za kurtkę, sięgnęła po zwisającą z kieszeni zwiędłą czaszę spadochroniku. Na pomarańczowej folii dostrzegła napisany czarnym flamastrem tekst. Używając drugiej ręki, rozprostowała folię i przeczytała na głos:

*Na dole stoi, na górze leży,
wy w dolinie, ja na wieży.*

Treść wierszyka była tak samo bezsensowna, jak pomysł, żeby zrzucać przestraszone zwierzęta na głowy stłoczonych ludzi. Miała już wypowiedzieć tę złotą myśl, gdy olśnienie dotarło jednocześnie do niej i do porucznika. Jak na komendę odwrócili się w stronę Dwóch Wież.

Goliard

Giacomo bezceremonialnie rozpychał tłum, torując im drogę. W ciągu niespełna dwóch minut dotarli pod wyższą z wież, na którą nie tak dawno wspinał się za Davidem.

Na widok niepilnowanych i otwartych na oścież drewnianych drzwi prowadzących na górę Diana zakłęła pod nosem. Miała ochotę rozprawić się z funkcjonariuszem odpowiedzialnym za zabezpieczenie tego obiektu. Zamiast tego machnęła zapraszająco ręką w stronę porucznika.

– Idź pierwszy – rzuciła.

Z twarzy Giacomina odpłynęła cała krew. Spojrzał na nią błagalnym wzrokiem.

– Okej, spoko – powiedziała zrezygnowanym tonem. – Popilnujesz wejścia.

Porucznik chwycił ją za łokieć.

– Masz broń?

– Nie będzie mi potrzebna – odpowiedziała i zaczęła wspinać się po schodach do góry.

Rozkładając swoje siły i stawiając spokojnie kolejne kroki, myślała o tym, co właśnie powiedziała. Naprawdę wątpiła, aby groziło jej niebezpieczeństwo. Ktośkolwiek zwrócił na siebie ich uwagę, chciał, aby przyszli do niego na wieżę. Co najwyżej mogła stać się świadkiem spektakularnego samobójczego skoku. Pewności jednak nie miała. Kiedy była już niedaleko wejścia na znajdujący się na szczycie wieży taras, wyjęła z kieszeni kurtki swojego glocka. Najciszej, jak potrafiła, wprowadziła nabój do komory i schowała pistolet z powrotem do kieszeni. Przez dłuższy czas przebywała w półmroku. Aby ochronić oczy przed oślepieniem, zsunęła z włosów słoneczne okulary i zdecydowanym krokiem wyszła z klatki schodowej na zewnątrz.

Nie musiała się nawet wysilać, aby odszukać człowieka, który postawił właśnie na nogi wszystkie służby w Bolonii.

Naprzeciw wyjścia ze schodów, na zaśmieconej niedopalkami podłodze, siedział oparty plecami o mur osobnik tak niewielkiego wzrostu, że w pierwszej chwili wzięła go za dziecko. Wrażenie to potęgowała obrębiona złotymi frędzelkami podłużna czapka z niezliczoną liczbą przyczepionych do niej odznak oraz zielony kubraczek, w jaki był odziany. Zarówno osobliwe nakrycie głowy, jak i wyglądający na muzealny rekwizyt strój doskonale wpisywały się w karnawałową oprawę, jednak poorana zmarszczkami twarz oraz ubrudzone pomarańczową farbą dłonie nadawały wyglądowi niewysokiego mężczyzny groteskowy wyraz.

– Nareszcie, bo już zaczęło mi się tu nudzić, ekscelencjo – przywitał zaskoczoną Dianę.

Nie zadając sobie trudu, żeby wstać, zdjął z głowy szpiczastą czapkę i wykonał parodię ukłonu. Przyczepione do kapelusza odznaki zabrzęczały metalicznie, kiedy zawadził nimi o stojącą obok wielką pustą klatkę.

– Jestem Tonino Pierwszy, Consul Pristinus Kaczej Beki Świętego i Czcigodnego Zakonu Fittona Uniwersytetu w Bolonii – przedstawił się z dumą w głosie.

Diana była przygotowana na strzelaninę, ale nie na spotkanie z wariatem.

– Nie rozumiem, co do mnie wygadujesz – powiedziała, szukając komórki. Pochód na dole właśnie się rozchodził. Było za późno na odwoływanie alarmu, ale rozmowa z człowiekiem mówiącym od rzeczy przerastała jej umiejętności.

– Z tonu głosu waćpanny wnoszę, że nie słyszała nigdy o goliardach? – zapytał niezrażony jej słowami karzeł.

– Nie, nie słyszała – odparła, wystukując numer.

– Ale rybę pamięta?

Jej ręka zawisała nad ekranem telefonu. Na samo wspomnienie potwornego smrodu żołądek podszedł jej do gardła.

– Czyli pamięta! – Karzeł się ucieszył.

Powolnym ruchem włożyła telefon do kieszeni. Podeszła do siedzącego mężczyzny, kucnęła przed nim i wbiła w niego wzrok seryjnego mordercy.

– Posłuchaj, kurduplu – wycedziła przez zęby. – Jak już zwlokę twój malutki tyłek na dół, to zapewniam cię, że twoje aresztowanie odbędzie się według przyjaznego protokołu, z poszanowaniem „human rajtsów”, równości płci i z modlitwą do bozi. Mogę cię nawet przytulić, żeby prasa nie miała wątpliwości, jak bardzo wzrusza mnie twoja skrzywiona przeżyтыми traumami osobowość. Ale póki jesteśmy tu tylko ja i ty, chciałabym, żebyś wiedział, że mam głęboko gdzieś, że musisz się ubierać na dziecięcym, a twoja idiotyczna gadka robi na mnie tyle

wrażenia, co pchły na zadku psa sąsiada! – przerwała tyradę, żeby zaczerpnąć tchu.

Mężczyzna chwycił się za serce w teatralnym geście.

– Aua! – powiedział z krzywym uśmiechem.

Zaprawiona w przesłuchiowaniu morderców Diana nie zwracała uwagi na jego błazenadę.

– To, że zasmrodziłeś mi samochód, to nic. Przerwanego karnawału też mi nie żał. Ale męczenia tych biednych chomików to ci gnojku nie daruję! A teraz wstajesz na te krzywe nóżki i zaczniesz schodzić grzecznie na dół, a ja ci po drodze opowiem bajkę o kryminaliście, który uciekając, potknął się i zleciał ze schodów, wybijając sobie wszystkie zęby – mówiąc to, zręcznym ruchem założyła mu dźwignię i wykręciwszy rękę, zmusiła go do powstania.

Po raz pierwszy od początku tego dziwnego spotkania w oczach mężczyzny pojawiło się coś na kształt łęku.

– Nie robi tego! – Jęknął z bólu.

Zamiast odpowiedzi zaprezentowała mu dwa rzędy równych zębów wyszczerzonych w wilczym uśmiechu.

– Nie robi tego, bo o przekłętej głowie się nie dowie! – zawołał, patrząc jej prosto w oczy.

Jej uścisk zelżał.

– Coś ty powiedział?! – wysyczała.

– Myślałem, że księżna pani przybędzie tu wraz ze swoim błędnym rycerzem, ale trudno... *Absens carens*, oddam się w waćpanny ręce. A tak à propos rąk... – Zerknął znacząco za siebie.

Puściła go. Wyprostował się i rozmasował sobie obolały nadgarstek. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wsadził jednego do ust. Diana wyrwała mu go szybkim ruchem i rzuciła na ziemię.

– Śledziłeś nas od dawna, tak? Skąd wiedziałeś, że dzisiaj tu będziemy?

Na twarz mężczyzny wrócił pogardliwy uśmieszek.

– Goliardem, proszę pani, się jest przez całe życie. Nawet jak się zostaje informatykiem i dostarcza swoje usługi dla służb. Ach, te outsourcingi w państwowych firmach... A wy tam macie takie proste hasła do komputerów. „Davidekoi”? – Zaśmiał się złośliwie. – Nie można było chociaż jednego znaku specjalnego postawić?

Karabinierka poczerwieniała na twarzy. Nie mogła znieść bezczelności tego obleśnego przebierańca.

– Dobra. Zrobimy inaczej – powiedziała stanowczym tonem. – Wracasz tam, gdzie siedziałeś. I nie zejdziesz stąd, zanim się ze wszystkiego nie wytłumaczysz!

– Królowo złota! Ale mnie właśnie o to chodziło! – Zachichotał i usiadł na klatce. Był tak niski, że siedząc na niej, nie dotykał stopami podłogi. Majtał wesoło nóżkami, kiedy wykręcała numer.

Giacomo nie zaczekał na to, co miała mu do powiedzenia.

– Nic ci nie jest? Masz go? Wszystko w porządku?! – zasypał ją pytaniami, nie dając jej dojść do głosu.

– Tak. Mam go. I zdaje się, że on to wszystko dla nas zaaranżował – powiedziała, nie spuszczać z karła lodowatego spojrzenia. – Pamiętasz niedopałki, które zebrałeś?

– To ten dzieciak?! Wiedziałem, że to sprawka jakiegoś gówniarza. – Giacomo prychnął pogardliwie w słuchawkę. – Zabieraj go i się stąd zwijamy. Tylko trzeba prokuratora zawiadomić o nieletnim. Żeby potem nie było...

– To nie jest żaden dzieciak! – przerwała mu. – Stary facet! A na dodatek wie coś o rzeźbie. Więc nie chcę, żeby ktoś to przejął. Sama go przesłucham. Tutaj.

– Ymm... To mam jednak wejść na górę? – Z głosu porucznika zniknął entuzjazm.

– Nie musisz wchodzić. Nie rozłączaj się tylko.

– Ojej, rycerz wysokości się lęka! – wtrącił się karzeł.

– Morda! – warknęła Diana i przełączyła telefon na głośnomówiący. – A teraz po kolei. I streszczaj się, bo nie mam ochoty tu marznąć – zakomenderowała. – Zaczniemy od tych goliardów. I co wiesz o rzeźbie.

– Jaśnie pani... – Zacerpnął tchu.

– Jak jeszcze raz użyjesz tej gadki, to schodzimy. Ty przodem. Rozumiesz?

Uśmiezek na jego twarzy zastąpiła złość.

– I po co ta agresja? Ja chcę wam tylko pomóc...

– Torturując zwierzęta?! Ja cię chyba... – Zagryzła wargi. W jej długiej karierze jeszcze żadnemu zatrzymanemu nie udało się wytrącić jej z równowagi. Skarciła się w myślach i postanowiła odzyskać kontrolę.

– Nie mogłeś po prostu do mnie przyjść? Zostawić mi wiadomość na skrzynce? Przecież wszędzie się potrafisz włamać, cwaniaczku!

– Wie pani... To za bardzo wchodzi w krew... – odpowiedział jej głosem, w którym, jak jej się wydawało, zupełnie niespodziewanie zabrzmiała nutka żalu.

– Co wchodzi?

– Bycie goliardem... – odparł, zdejmując czapkę. Dopiero teraz dostrzegła plasek łysiny nad jego czołem.

– To zacznij wreszcie gadać! Co to takiego? Banda świrów, co ma w statucie kretyńskie żarty?!

– Tylko nie świrów, dobrze? – obruszył się. – Ale z resztą, to w zasadzie ma pani rację... – przyznał, opuszczając głowę. Zeskoczył z klatki i oparł się o wygodniejszy murek blanki.

– Być goliardem, to tak jak być skautem. Albo księdzem. To sposób na życie. A wszystko zaczyna się na studiach. Bo to jest organizacja studencka, prawie tak stara jak nasz uniwersytet. Wszyscy myślą, że anarchię wymyślili rewolucyjni studenci z lat sześćdziesiątych. A pierwszymi prawdziwymi anarchistami, non-konformistami i wyrzutkami uniwersyteckiej społeczności byliśmy my, goliardzi z *Alma Mater Studiorum!* – Wypiął dumnie wąty tors. – Nasz ruch powstał po to, żeby tępić pierwszoroczników i robić sobie żarty z nadętych autorytetów. Ale w ciągu wieków przeobraził się w olbrzymią organizację. Tak dużą, że dzieli się nawet na frakcje, zwane Bekami. Każda Beka posiada własne mundury, stopnie i osobne kompetencje. – Wskazał palcem czapkę. – Trzydzieści lat temu, jako młody student wydziału inżynierii lądowej, zostałem wybrany Konsulem Kaczej Beki, która jest zbrojnym ramieniem bolońskich goliardów.

– Zbrojnym ramieniem?! – Dianie przeszło przez myśl, że ogłoszenie zagrożenia terrorystycznego wcale nie było pozbawionym sensu posunięciem.

– Nie tak dosłownie! – Mężczyzna prawdopodobnie zrozumiał, co miała na myśli. – U goliardów wszystko jest żartem, nawet jeśli bezlitosnym. Brzydzymy się jednak bronią i polityką. Żadne z nas Czerwone Brygady! Chodzi raczej o to, że na uniwersytetach w innych miastach też powstały takie grupy jak u nas. No i goliardzi z innych miast z czasem zaczęli z nami konkurować. Dosyć brutalnie. Już nie wystarczało robienie sobie kpín ze studentów pierwszego roku lub z własnych profesorów. Psikusy rozlały się po całym kraju. No i się zaczęło – wesłchnął. – I tak dochodzimy do głowy...

– Do czego?! – niewyraźny głos Giacoma zaskrzeczał z trzymanego przez Dianę telefonu.

– Do rzeźby! – zawołała w stronę mikrofonu Diana. – Co o niej wiesz?! – Wróciła do karła.

– Że jest nasza, goliardów.

– Wasza? Ta rzeźba jest własnością Muzeum Żydowskiego. Widziałam dokumenty, śmieszku. Jeśli mnie próbujesz wkręcić w ten wasz „psikus”, to przysięgam...

– To później! Trafiała do muzeum później! – Wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał obronić się przed złością dziewczyny. – Przysięgam! Ona naprawdę była nasza. Chociaż jeszcze wcześniej należała do goliardów z Florencji. Ukradliśmy im ją, żeby się zemścić za Fittona.

– Za kogo? – odezwał się głos z telefonu.

– Ja zwiariuję – westchnęła karabinierka. – Ostatni raz. Albo mówisz jasno, albo... – Wskazała głową schody.

– Fittone to nasz święty symbol. Mamy go nawet w nazwie – wyjaśnił pospiesznie mężczyzna. – Widziała go waćpann... widziała go pani!

Zrobiła zdziwioną minę.

– Niedaleko miejsca, gdzie podrzuciłem wam rybę. Taka biała kolumna w przejściu pod rektorem. Myślałem, że będzie pani pamiętać. Bo ona przypomina...

– Wiem, co przypomina – przerwała mu, wspominając charakterystyczny marmurowy słupek, z którym się zderzyła w drodze do muzeum w Pałacu Poggi.

– No właśnie! – Karzeł klasnął w dłonie. – To jest właśnie nasz Fittone! A właściwie jego kopia... – dodał smutno. – Oryginał ukradli i połamali goliardzi z Florencji. – Splunął, omijając o centymetr but Diany, która odsunęła się ze wstrętem. – Ale nie puściliśmy im tego płazem. Ukradliśmy im ich relikwię – rzeźbę Modiglianiego. Bo on się urodził w Toskanii, jeśli pani...

– Czyli to jednak oryginał?! – przerwała mu podekscytowana.

– Co? Ta rzeźba? No pewnie! – potwierdził. – To znaczy to był oryginał. Dopóki nie zrobiliśmy tego, co oni zrobili z Fittonem. – Na jego twarzy odmalowała się satysfakcja.

– Zaraz... Zniszczyliście rzeźbę Modiglianiego?! – zawołała ze zgrozą.

– Och tak! – Z radości uderzył czapkę w udo. – Roztrzaskaliśmy, zmieliliśmy, zmieszaliśmy z gipsem z bolońskiego selenitu i stworzyliśmy jej idealną kopię. My, a dokładnie jakiś genialny artysta, który postanowił wykonać to zlecenie za darmo i zupełnie anonimowo, co zostało odnotowane w naszych annałach *ad futuram rei memoriam*. Kopia była perfekcyjna, jakby wyszła spod ręki samego Modiglianiego. Nasz anonimowy kopista zapewne pomógł sobie odlewem. A była pani w muzeum i widziała, jakie wielowiekowe doświadczenie mamy w robieniu odlewów. Nasze bolońskie kopie wyglądają jak żywe. Nawet gdy są martwe, ha, ha! – Zaśmiał się z własnego kiepskiego żartu.

– Jesteście... – Zabrakło jej słów. – Jesteście kompletnie nienormalni! Banda dorosłych debili udających rozwydrzone, nieodpowiedzialne dzieciaki. Zwykli cholerni wandal! A najgorsze jest to, że w ogóle tego nie rozumiecie. Dość tego.

– Sięgnęła za siebie, aby wyciągnąć kajdanki przyłączone do paska. – Zawijam cię. Za zniszczenie bezcennego dzieła sztuki też odpowiesz.

– Zaraz! Wolnego! Mnie?! – Zaczął się śmiać tak intensywnie, że lzy poleciały mu z oczu. – Kobieto! Proszę pani... – Zreflektował się. – To było ponad sto lat temu! Te wszystkie wydarzenia miały miejsce przed pierwszą wojną światową! Przecież potem ta kopia trafiła do muzeum! Ale to też nie od razu...

Diana znów przeklęła się w myślach. Po raz kolejny dała się ponieść emocjom.

– No właśnie. Więc jak tam trafiła?

– Normalnie. Chcieliśmy... to znaczy nasi poprzednicy chcieli ją oddać florentczykom, po tym jak tamci się z nami przeprosili i nawet sfinansowali nam rekonstrukcję Fittona. Taki warunek podobno postawił też rzeźbiarz, który wykonał kopię rzeźby. Że zrobi to za darmo, ale tylko jeśli się pogodzimy. Nawet obłożył ponoć tę rzeźbę kłatwą i zagroził, że będzie źródłem nieszczęść, jeśli nie wróci do Toskanii. Tyle że niedługo potem wybuchła pierwsza wojna światowa. Rzeźbiarz zniknął. Może go powołali, tak jak wielu goliardów. Po wojnie mieliśmy inne problemy. Wszyscy rzucili się do polityki. Nastąpiły czasy faszyzmu. Potem wybuchła druga wojna światowa. Kiedy obalono Mussoliniego, rządy przejęli Niemcy. Jakiś chciwy nazista wypatrzył rzeźbę w naszej siedzibie i ją sobie przywłaszczył. Tak jak wszyscy myślał, że to oryginał. I tak samo pomyśleli polscy żołnierze stacjonujący w okolicach Ferrary, kiedy pod koniec wojny zatrzymali tego hitlerowca z rzeźbą. Niemiec trafił do obozu jenieckiego, a polski oficer, który jakoś pokojarzył, że Modigliani był Żydem, oddał rzeźbę w opiekę pierwszemu Żydowi, jakiego spotkał. I w ten sposób na długie lata trafiła do muzeum. Nigdy jej jednak nie wystawiono. I to wcale nie z powodu wątpliwej autentyczności.

– Tak? Tylko czego?

– Podobno miejscowy rabin nakazał, aby nigdy nie ujrzała światła dziennego. Nikt nie wie, czego się obawiał. Może tych dziwnych symboli, które wiernie skopiowano z oryginału? Od goliardów z Ferrary wiem tylko tyle, że rzeźbę rzeczywiście zamknięto w najgłębszych podziemiach muzeum. I była tam tak długo, aż wasza znajoma ją sobie stamtąd pożyczyła. I to była nasza okazja...

– Nasza? – Na dźwięk tego słowa w karabinierce obudziła się profesjonalna czujność. – Masz coś wspólnego z bandytami, którzy uprowadzili Sarę? Zrobili to dla rzeźby, tak? Mówi ci coś nazwisko Trovato?! – Palce Diany zacisnęły się na kajdankach, które wciąż trzymała w dłoniach.

– Ależ ja nic nie wiem! I z nikim nie mam nic wspólnego! Nie jestem już nawet Konsulem. To tylko honorowy tytuł emeryta... Ale tak jak mówiłem, członkiem

społeczności goliardów jest się całe życie. Dowiedziałem się przypadkiem, że rzeźba opuściła strzeżony magazyn muzeum i postanowiłem wykorzystać okazję, żeby spłacić wiekowy dług wobec florentczyków. Zakończyć raz na zawsze konflikt między naszymi Goliardiami...

– I?

– No i ktoś mnie uprzedził. Rzeźba zniknęła z wystawy razem z waszą znajomą. Potem odnalazła się w rękach tego Trovato. Dowiedziałem się o tym z internetu. To był dla mnie najlepszy moment. Miałem ją już na oku, kiedy się pojawiliście – westchnął. – Ale wiem też, że ją odzyskaliście... I mam dla was pewną propozycję.

– Jaka?

– W zamian za rzeźbę pomogę wam złapać ludzi z Bractwa Śmierci. Już dawno powinni siedzieć.

– Bractwa Śmierci? – Dłanie nazwa nie kojarzyła się z niczym dobrym. – Więc jednak wiesz, kim są ludzie, którzy porwali Sarę Rossi?

– Nie byłbym taki pewien, że porwali. Ale tak, dowiedziałem się o nich sporo. Jestem stąd, więc znam to miasto jak własną kieszeń. A chodząc za wami i za rzeźbą, sporo się dowiedziałem. Potrafię świetnie śledzić ekscele... proszę pani! Ludzie mają zbyt wysoko zadarte nosy, żeby mnie w ogóle zauważać. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Di! – odezwał się nagle słuchający rozmowy Giacomo. – Służby przeczesują dzielnicę, zaraz tu będą. Jak chcesz zrobić deal z tym żartownisiem, to czas najwyższy się związać albo przyjdą po niego antyterrorysty. Decyduj!

Dziewczyna nie musiała się długo namyślać. Schowała telefon, podniosła z ziemi klatkę i wskazała na schody wymownym gestem. Karzeł stanął, otrząpawszy sobie spodnie i podszedł do Diany.

– Panie przodem.

Przewróciła oczami i weszła do sieni.

Kelipot

Pomimo wczesnej godziny apartament przy Strada Maggiore 14 rozbrzmiewał dochodzącymi z zewnątrz dźwiękami. Zacinający ukośnie deszcz wściekle atakował pojedyncze szyby w starych wysokich oknach. Cynowe rynny bulgotały wodą, która obficie spływała z czerwonych dachówek. Po zamienionej w rwący potok ulicy, trąbiąc na siebie bez powodu, przemykały rozpędzone samochody. Raz na jakiś czas wszelkie hałasy zagłuszały syreny przejeżdżających wozów straży pożarnej lub policji. Miasto nie otrząsnęło się jeszcze po niedawnym alarmie antyterrorystycznym. Czasy na świecie były niespokojne, więc tego typu zagrożenia traktowano niezwykle poważnie.

Diana uznała, że postawiony w stan pełnej gotowości posterunek karabinierów przy via Galliera nie był obecnie najlepszym miejscem na kolejne zebranie spiskowców „triumwiratu” i postanowiła zorganizować je u siebie w domu.

Prócz bujającego się ze znudzoną miną na krześle Giacoma i Davida, którego niestrzyżona od tygodni broda i wojskowe spodnie cargo upodobały do szykującego się do akcji komandosa, w zebraniu uczestniczył jeszcze jeden, niecodzienny gość. Nic sobie nie robiąc z pogardliwych spojrzeń rzucanych przez siedzącego po przeciwnej stronie stołu porucznika, Antonio Gamberini vel Tonino Pierwszy pstrykał palcami w metalową odznakę przyczepioną do swojej nieodłącznej szpiczastej czapki i gapił się na stojącą na środku stołu rzeźbę głowy.

Ubrana w dres Diana podeszła do siedzących przy stole mężczyzn i rozdała im z tacy małe filiżanki. Zapach aromatycznego espresso rozszedł się po pomieszczeniu. Davide wypił kawę jednym haustem i zatopił zęby w słodkim pączku.

– Czyli mamy rzeźbę, ale nic z nią nie możemy zrobić? – zapytał, przeżuując.

– Na to wygląda – potwierdziła Diana. – Mój wydział twierdzi, że skoro przedmiot się odnalazł, to sprawa jest zamknięta. A poddać go ekspertyzie nie można, bo to prywatna własność. Zresztą i tak nie byłoby na to kasy. Kazali mi zwrócić rzeźbę. To samo poradziła Frida.

– Ona też tu przyjdzie? – Giacomo ożywił się niespodziewanie.

– A nie pamiętasz, jak mówiła, że nie chce mieć nic wspólnego z tą głową? – odpowiedziała pytaniem na pytanie dziewczyna.

Porucznik mruknął coś pod nosem i wrócił do bujania się na krześle.

– *Bene, bene, bene*, sprawa jest zatem oczywista, mości państwo – zabrał energicznie głos Tonino. – Rzeźba powinna trafić w ręce prawowitych właścicieli. Jako *Consul Pristinus* i legalny reprezentant posiadaczy praw, *ergo* bolońskich goliardów, występuję o zwrot mienia, respektując warunki umowy zawartej między mną a tu oto obecną eeeee... przedstawicielką organów.

– Sam jesteś organ. Organek raczej – parsknął Giacomo. Davide kaszlnął, powstrzymując śmiech.

– Wolnego, kolego! – Diana usiadła na kuchennym zydelku i skarciła wzrokiem goliarda. – Po pierwsze nie zawarłam z tobą jeszcze żadnej umowy. Sprowadziłam cię tu, żeby moi przyjaciele mogli wysłuchać, co masz nam do zaoferowania. Jeśli podejmiemy jakąś decyzję, to razem.

– Tja... – Porucznik spojrział na niego spod oka. – Mamy tu taki trójkącik, rozumiesz?

– Triumwirat! – poprawiła go Diana.

– O! Zacnie! – skomentował Tonino, parząc na nich z podziwem.

– Nieistotne! – Diana nie pozwoliła mu dojść do głosu. – Pomijając kwestię umowy, jest jeszcze jeden problem. Niezależnie od tego, czy twoja opowieść o głowie jest prawdą czy kolejnym wyglupem, nie możemy ci jej oddać, bo należy do Muzeum Żydowskiego z Ferrary. I tam bezwzględnie musi wrócić. Myślałam, że to już jest dla ciebie jasne!

– I tam wróci – zapewnił Tonino z chytrym uśmieszkiem. – Czy już wspominalem, jakich mamy magików od wykonywania kopii na uniwerku? Wystarczy, że odnowię moje stare kontakty i...

– Zrobisz kopię kopii? – zapytał Davide, któremu Diana zdążyła już streścić historię opowiedzianą przez Karła.

– Owszem, mój panie. – Goliard uklonił się w jego stronę. – W ten sposób nie dokonamy nawet żadnego oszustwa. I to kopia. – Położył na stole otwartą dłoń lewej ręki. – I tamto kopia! – Powtórzył gest prawą dłonią. – Dla muzeum nie będzie różnicy.

– Zostawmy to na razie – zdecydowała Diana. – Zanim podejmiemy decyzję, opowiedz nam, co wiesz o tym Bractwie, o którym wspomniałeś na wieży.

– To nie jest korzystny interes, wasza miłość. – Mężczyzna wyszczerzył w jej stronę żółte i krzywe zęby. – Mam sprzedać skórę bez żadnych gwarancji, że odzyskam rzeźbę? – Spojrzał na nią z przekorą.

W pokoju rozległo się głośne szurnięcie nóżek od krzesła.

Giacomo stanął za karłem i położył mu wielkie jak paletki do ping-ponga dłonie na wątlých ramionach.

– Pozwól, że ci coś powiem o twojej skórze, mój mały przyjacielu – powiedział lodowatym głosem. – Jedyne, co chroni ją przed wrzuceniem do zimnej celi z kilkoma większymi ode mnie facetami, jest anielsko dobre serce Diany. Dla ciebie – pani kapitan Diany. Więc jeśli nie przestaniesz robić heheszków i szantażować nas jakimiś umowami, trafisz tam w czasie, jaki mój motocykl potrzebuje na to, żeby cię tam dowieźć.

– Nie możecie tego zrobić! – krzyknął płacźliwie Tonino. – Opowiem wszystkim o waszym triumwiracie!

Diana poczerwieniała na twarzy.

– Słuchaj, pokurczu. Na cztery osoby w tym pokoju, dwie... trzy – poprawiła się, zerkając na Davida – mają odznaki, które są warte więcej niż blaszki na twojej śmiesznej czapce.

– Jeszcze do ciebie nie dotarło, że nie masz wyjścia? – wtrącił się Davide, gładząc się po brodzie. – Zaprowadzisz nas do tych ludzi, a my może, powtarzam – może, zgodzimy się na oddanie ci rzeźby i to tylko wtedy, gdy odnajdziemy naszych przyjaciół. Bo tu wcale nie chodzi o jakąś sfałszowaną głowę. Gra toczy się o życie osób, które w przeciwieństwie do ciebie są nam bliskie. Teraz rozumiesz?

Karzeł skulił się i zapadł w sobie.

– Trzech na jednego? Nie wstyd wam? – zapytał zrezygnowanym głosem.

– Nie – odparł beztrósko Giacomo i wrócił na miejsce.

Dianie zrobiło się przykro. Od samego początku swojej zawodowej kariery towarzyszyło jej poczucie, że stoi po właściwej stronie. Z tego powodu nigdy nie patyczkowała się z przestłuchiwanymi. Miała jednak świadomość, że w tej chwili nie znajdowali się na posterunku, a to, co robili, nie było do końca legalne. Na dodatek wzrost goliarda wywoływał w niej sprzeczne emocje, nad którymi nie potrafiła zapanować.

– Tonino... – Po raz pierwszy odezwała się do mężczyzny po imieniu. – Nie robimy tego wszystkiego dla zabawy, dla medali ani dla pieniędzy. Zgodziliśmy się już na naginanie prawa w słusznej sprawie. Jeśli więc nam pomożesz, nagniemy je również dla ciebie.

Mężczyzna łypnął na nią spod długiej czapki.

– Via degli Dei – powiedział.

– Co takiego?

– Droga Bogów. Antyczny szlak łączący Bolonię z Florencją. Tam bym zaczął szukać – powiedział.

– Gdzie to jest? I dlaczego akurat tam?! – zapytał energicznie Davide.

– Z wielu powodów. Przez zbocza Apenin, na południe od Bolonii, przechodził najstarszy i najważniejszy szlak handlowy wychodzący z miasta. Ta sama droga była także głównym traktem, po którym przemieszczały się rzymskie legiony. W miejscu, gdzie zaczynał się szlak, zbudowano mnóstwo ciekawych obiektów: akwedukty, podziemne cysterny, magazyny, łaźnie. Wszystko to jest tam do dziś, zakopane i zapomniane i świetnie nadające się na dyskretną kryjówkę. Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego można podejrzewać, że właśnie tam mieści się obóz, którego szukacie. – Poprawił się na leżącej na krześle poduszce, dzięki której mógł dosięgać stołu. – Tak jak już mówiłem Dia... pani kapitan Dianie, mam powody przypuszczać, że za zaginięciami waszych przyjaciół stoją ludzie z Bractwa Śmierci. A tak się składa, że Bractwo to przez wieki opiekowało się leżącym na trasie Drogi Bogów sanktuarium, z którego, jak słyszałem, porwano jednego z was. – Zerknął w stronę Davida. – I jest jeszcze coś. – Zmarszczył brwi. – Widziałem księgarza, jak...

Dalsze słowa goliarda zagłuszyła syrena przejeżdżających ulicą radiowozów. Diana podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Samochody na wojskowych tablicach rejestracyjnych skręciły za rogiem.

„Gdyby tylko wiedzieli, że ten, którego szukają, siedzi u mnie i pije moją kawę...” – pomyślała. Odbyła daleką drogę od niesplamionej żadnym odstępstwem od reguł pozycji, jaką zajmowała na posterunku w Ferrarze. Z ich trójki chyba tylko Giacomo pozostawał wciąż niezmiennie sobą. Ale on reguły łamał zawodowo. Jako tajniak często musiał zachowywać się tak, jak ci, których rozpracowywał. Przez chwilę przemknęła jej przez głowę absurdalna myśl: „a co, jeśli on z czyjegoś rozkazu rozpracowuje nas samych?”.

– Opowiedz nam wszystkim jeszcze raz o tym Bractwie – powiedziała, odwracając się od okna.

Tonino zdjął czapkę, demaskując przed wszystkimi swoją łysinę. Zanurzył rękę w nakryciu głowy i wyjął z niego mocno sfatygowaną czarną kartkę papieru.

– Zaczniemy od tej ulotki. – Rozprostował ją krótkimi palcami.

– O! – Poręcznik się zainteresował. – Znamy to! Massimo nam to pokazywał! – Spojrzała na Dianę.

Dziewczyna wzięła do ręki kartkę i poczuwszy pod palcami wilgoć, o mało jej nie upuściła. Ze źle skrywanym wyrazem obrzydzenia odłożyła ją na stół.

– Tak, to jest zaproszenie do księgarni Nanni – potwierdziła, patrząc na stylizowany krzyż z pejczami wyrastający z przypominającej piracką banderę czaszki. – Już zdążyliśmy zrozumieć, że ta księgarnia ma coś wspólnego z przestępcami.

– Bo te obrazki nie za bardzo pasują do sprzedaży książek, no nie? – zapytał karzeł, uśmiechając się tajemniczo. – Ale chyba nie do końca połapaliście się, z czym i z kim macie do czynienia... Ale po kolei.

Tonino nalał sobie wody z karafki i łapczywie wypił.

– Zanim zwędziłem ten papierek staruszkowi z księgarni i zacząłem studiować te symbole, trafiłem tam zupełnie z innego powodu. Śledząc rzeźbę. I waszą przyjaciółkę Sarę.

– Sara była w tej księgarni? – Davide wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Kiedy? Była sama czy ktoś ją prowadził?! – zadawał jedno pytanie za drugim.

– Sama. Jeśli nie liczyć rzeźby, z którą tam poszła i bez której wróciła. Ale to dopiero początek dziwnych odwiedzin. Po tym jak tam poszła, zacząłem pilnie obserwować to miejsce. I wyobraźcie sobie, że widziałem tam wszystkich waszych zaginionych znajomych.

– Tak, wiemy, że Massimo i Aurora poszli tam razem – zauważył Davide.

– Razem? – Karzeł się zaśmiał. – Ależ oni się tam pojawiali osobno. I to wielokrotnie. Najpierw ta dziewczyna, a potem jej facet. O tym też wiedzieliście?

Spojrzeli po sobie. Dziennikarz wzruszył ramionami.

– To się nawet układa w całość. Przecież Massimo mnie im wystawił. Jeśli księgarnia była rodzajem kryjówki tych ludzi, to nie dziwię się, że tam przychodził. A potem pewnie wciągnął w to swoją dziewczynę...

– Albo ona jego – uzupełnił jego domysły Giacomo.

– Czy wyście na głowy poupadali? – podniosła głos Diana. – Byliście ze mną w jego domu. Jeśli ten człowiek udawał żal po zaginięciu Aurory, to zasługuje na pięć statuetek Oskara i to w jednym rozdaniu!

– Podwoiłbym tę stawkę – dodał Tonino. – Ja bym mu i z dziesięć dał za scenę pod księgarnią!

– Jaką znowu scenę? – Davide pokręcił głową z niedowierzaniem. – Masz dla nas jeszcze jakieś rewelacje?

– Jeśli atak hysterii można nazwać rewelacją, to tak – przytaknął karzeł. – To było chyba najdziwniejsze zdarzenie, jakim byłem świadkiem podczas obser-

wacji księgarni. Zdarzyło się to jakoś pod koniec grudnia, zaraz po Bożym Narodzeniu. Trovato przyszedł tam sam, ale przed wejściem spotkał jakiegoś chudego mężczyznę. Pogadał z nim chwilę i nie uwierzycie... Tamten jegomość zdjął włosy! To znaczy perukę. – Goliard zaśmiał się cienko. – Ale to jeszcze nic! Jak ten człowiek to zrobił, to w Trovato jakby piorun strzelił. Myślałem, że pod siebie narobi! Za przeproszeniem, pani kapitan – dodał, patrząc na Dianę. – Zaczął się cały trząść! A tamten wziął go za ramię jak jakąś kukielkę i wciągnął do księgarni. Tak długo tam siedzieli, że musiałem sobie pójść i... A cóż to się jaśnie państwu stało? – przerwał opowiadanie, widząc porozumiewawcze spojrzenia, jakie zaczęli wymieniać między sobą jego słuchacze.

– Jak wyglądał tamten facet?! – naskoczyła na niego Diana.

– I jakie miał włosy pod tą peruką?! – dołączył do niej równie podekscytowany Davide.

– Tak jak rzekłem, mężczyzna był nad wyraz szczupły. I ubrany w stylu tej wizytówki. – Wskazał na leżące wciąż na stole zaproszenie. – Cały na czarno, łącznie z peruką. A jak ją już zdjął, to się okazało, że miał pod nią włosy zupełnie innego koloru – zawiesił głos, celowo budując napięcie.

– Słuchaj no, powiesz wreszcie, czy... – Giacomo zrobił groźną minę i zamarkował zamiar wstania od stołu.

– Włosy były siwe! Wyglądał jak szary gołąb! – dokończył szybko karzeł. – Jako żywo się nie dziwię, że nosił perukę. Taki przystojny młody mężczyzna, a włosy miał jak...

– Szary gołąb...? Przyszło wam do głowy to, co mnie? – Diana zignorowała goliarda, który nie przestawał komentować wyglądu mężczyzny, i zwróciła się do przyjaciół.

– Znaczy się co? – Giacomo najwyraźniej nie odbierał na tych samych falach.

– Ten dziwny chłopiec z szarymi włosami z opowiadania Massima o przytulku. Powtarzał ciągle jego przydomek. „Szary Cień” – odpowiedział mu Davide. – Myślisz, że to mógł być on? – zwrócił się do dziewczyny.

– To by wiele tłumaczyło – odparła z namysłem. – A przynajmniej to, że tak nagle nas wykiwał. Jeśli Massimo spotkał człowieka, którego się obawiał już w dzieciństwie, to ktoś taki z łatwością mógłby go zastraszyć i zmanipulować. Byliśmy przecież świadkami ataku paniki Massima, dokładnie wtedy, kiedy nam o nim opowiadał. On miał na jego punkcie jakiś rodzaj obsesji.

– A! Teraz pamiętam! – Giacomo się ucieszył. – Chociaż myślałem, że ten cały „Cień” to były jakieś jego zwidy po tabletkach! No popatrz, czyli ten gość jednak istnieje! I na dodatek ma coś wspólnego z tą bandą porywaczy!

– Właśnie! – Diana ponownie zainteresowała się goliardem. – Nie opowiedział nam jeszcze o tym Bractwie. Dlaczego sądzisz, że porywacze są jego członkami?

– Ach, jasnie państwo! Przecież macie to przed sobą! – krzyknął karzeł, ucieszony z faktu, że znów znalazł się w centrum zainteresowania. – Na ulotce! – dodał. – Toż to herb Bractwa Śmierci! W każdym szczególe identyczny! I to nie wszystko. – Zeskoczył z krzesła i zaczął chodzić przed nimi jak aktor po scenie. – W miejscu, w którym obecnie znajduje się księgarnia Nanni, znajdowały się niegdyś drzwi wejściowe do największego szpitala średniowiecznej Bolonii. Nosił on nazwę – zawiesił głos – Szpitala Śmierci! Przejście, w którym księgarnia wystawia swoje książki do dziś, jest nazywane przez starych mieszkańców miasta „portykami śmierci”. Natomiast przy wejściu do portyków znajduje się czynna do dziś apteka, w której Bractwo mieszało sekretne ziołowe mieszanki.

Na dźwięk słów o ziołowych mieszankach Davide przypomniał sobie o wynikach badań, które zrobiono mu po ucieczce z obozu. Spojrzał na Dianę, która po kiwała milcząco głową.

– No i ładnie, pięknie, ale czym to całe Bractwo się zajmowało? Kogo zabijali? – zainteresował się konkretny jak zawsze Giacomo.

– Zabijali?! – Tonino wydawał się niemal zgorzony. – Ależ drodzy państwo! Oni pomagali, a nie mordowali! To była bardzo zacna organizacja. Święta bym powiedział! Nieśli pocieszenie skazanym, opiekowali się nieuleczalnie chorymi. – Wylizywał na palcach. – Nawet grzechy tych chorych ludzi chcieli na swoich barakach unieść! Dlatego w ich herbie są pejcze, bo chodzili i się biczowali, walcząc o zbawienie swoich umierających podopiecznych. Byli tak bardzo szanowani, że Kościół i mieszczanie oddali im w opiekę Czarną Madonnę z sanktuarium San Luca. Niech sobie waćpaństwo wyobrażą... – Zatoczył ręką półokrąg i ściszył głos do teatralnego szeptu. – ...setkę braci w czarnych habitach z wymalowanymi na twarzy białymi krzyżami schodzącą ze wzgórze ze świecami i biczami w rękach...

– Dobra, dobra, ty nas tu nie czaruj, bo nie mamy na to czasu! – zachnęła się Diana.

– Białymi krzyżami? – Giacomo nieoczekiwanie dał się ponieść wyobraźni.

– Tak! – Tonino ucieszył się z zainteresowania. – Oni się tak malowali, prowadząc skazańca na śmierć. Szli z nim i szeptali mu do ucha słowa pocieszenia...

– To nie ma sensu – westchnęła Diana. – Dobroczytna organizacja, która zajęła się nagle przestępczym procederem... Donikąd nas to nie prowadzi – powie-

działa, psując atmosferę z zaangażowaniem budowaną przez goliarda. – A już na pewno nie do głowy.

Oczy wszystkich mimowolnie zwróciły się w stronę stojącej pomiędzy nimi rzeźby.

– Z jednej strony mamy ludzi, którzy mieliby być niby dobrzy, ale nie wiadomo dlaczego porywają ludzi. Z drugiej mamy skradzioną przez nich kopię rzeźby Modiglianiego, na której widnieją jakieś magiczne hebrajskie symbole... Pamiętajcie, do jakiego wniosku doszliśmy z Fridą? Że głowa może być czymś w rodzaju epitafium? Takim jak wiersz o Aelii? Ale co do cholery miałyby łączyć to Bractwo z rzeźbą?

– Śmierć... – odpowiedział głucho Davide

– I to, co jest po niej – uzupełnił Tonino.

Przez chwilę słychać było tylko walczące zaciekle z szybami krople deszczu.

– Miałam już różne podejrzenia – powiedziała z namysłem dziewczyna. – Udało mi się nawet przeświecić tę rzeźbę. Wiem, że jest w środku pusta. To zapewne efekt odlewu. Ale nie mogę zrobić nic więcej – westchnęła z żalem. – Nie pozwolą mi, choć chętnie dowierciłabym się do środka. Może tam jest coś, czego nie widać na rentgenie... Jakiś list? Wskazówka? Coś cennego, na czym zależy tamtym ludziom?

Giacomo podniósł się z miejsca i wziął ostrożnie rzeźbę do rąk. Obejrzał ją ze wszystkich stron, po czym podszedł z nią do okna, jakby chciał się jej przyjrzeć w lepszym świetle.

– Mówisz, że nic nie możesz zrobić, bo ci nie pozwalają? – zapytał Diany. – Ja to rozumiem oczywiście. – Pokiwał głową. – Nikt nie chce brać odpowiedzialności za nie swoją własność i tak dalej. No, a że właścicielem jest żydowskie muzeum, to już tym bardziej. Taaak... – powiedział, przeciągając głoski. – Ej, mały, czy ty nie mówiłeś, że twoi koledzy to potrafią robić z gipsu cuda? – zwrócił się nagle do goliarda.

– Z gipsu, z kamienia, z wosku, różnie – zaczął wylizywać dumny z siebie karzeł.

– To doskonale! – przerwał mu bezceremonialnie porucznik. – Bo tak się składa, że nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności rzeźba w drodze do muzeum uległa wypadkowi...

Mówiąc to, podniósł rzeźbę na wyciągniętych ramionach najwyżej, jak tylko potrafił.

Towarzystwo zebrane w pokoju zamarło przerażone. Kiedy ręce Giacoma opuszczały się w dół, z ust świadków mającej za chwilę nastąpić tragedii wyrwało się gromkie i przeciągłe „nieeeeeee!!!”.

Wypuszczona z dłoni porucznika głowa z impetem zderzyła się z marmurową podłogą. Wbrew obawom zgromadzonych osób nie roztrzaskała się na tysiąc kawałków. Solidne uderzenie spowodowało tylko jedną małą szkodę.

Koniuszek podłużnego, przypominającego element afrykańskiej maski nosa odłamał się i potoczył pod dyndające z krzesła nogi oniemiałego ze zgrozy go-liarda. Z powstałej na skutek uszkodzenia dziury na czarny marmur posadzki zaczął się wysypywać z rzeźby szary, przypominający popiół proszek.

Tajemnica Neptuna

– Przysięgam, że widziałem, jak ten stary tu schodził! – Tonino mocował się z ciężką żeliwną pokrywą umieszczoną pomiędzy płytami chodnikowymi u stóp fontanny Neptuna.

Przyglądający się jego zmaganiom Giacomo, Davide i Diana nie wyglądali na przekonanych. Grupa wyrostków, która także obserwowwała scenę, opierając się plecami o balustradę fontanny, komentowała coś między sobą i co chwilę wybuchła głośnym śmiechem.

– *Ragazzi*, nie powinniście być przypadkiem w szkole? – Diana straciła w końcu cierpliwość.

– A niby dlaczego? – odparł jeden z nastolatków.

– To wolny kraj! – dodał buńczucznie drugi.

– Tak? – odpowiedziała Diana, wyciągając odznakę. – Dla was zaraz może nie być!

Wyrostki czmychnęły niczym stado spłoszonych wróbli. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Nerwy przyjaciół były napięte do granic możliwości. Nie rozśmieszała ich nawet dziecięca bejsbolówka, na którą, po usilnych namowach Diany, Tonino zgodził się zamienić przyciągającą uwagę przechodniów czapkę z odznakami.

Tego poranka, zanim stawili się na spotkanie z goliardem, Diana przekazała im smutną wiadomość. Potwierdziły się ich najgorsze obawy. Proszek, który wyspał się z rzeźby, okazał się prochami Sary Rossi. Po przeprowadzeniu badań odesłano je rodzinie.

Stojąc na zimnym wietrze przy fontannie, każde z nich przeżywało tę informację na swój sposób. Niewyspana Diana drżała z zimna i emocji. Zarośnięty i każdego dnia bardziej zaniedbany Davide przestępował z nogi na nogę, jakby nie mógł się doczekać, kiedy towarzysze zwolnią go z obowiązku asystowania bezproduktywnym wysiłkom goliarda próbującego podważyć pokrywę przynie-

sionym ze sobą łomem. Dziennikarz już od świtu powinien był chodzić po górach i podejmować kolejną próbę odszukania szlaku do obozu. Teraz, jeszcze bardziej niż wcześniej, był gotów przeczesać każdy milimetr terenu od Bolonii do Florencji. Rosła w nim fala gniewu, jakiego nie zdarzyło mu się odczuwać nigdy wcześniej.

Z całej trójki tylko Giacomo jak zwykle nie zdradzał jakichkolwiek emocji. Znając go na wylot Diana rozpoznawała w nim jednak bezbłędnie oznaki rosnącej frustracji. Doprowadzony do takiego stanu porucznik stawał się nieobliczalny.

Sytuacja wymykała się Dianie spod kontroli. Po otrzymaniu wyników badań DNA Sary ich ukrywane przed przełożonymi śledztwo zaczynało powoli nabierać oficjalnego biegu. Wiedziała, że prędzej czy później zostanie odsunięta od obowiązków i postawiona przed wewnętrzną komisją. W najlepszym wypadku groziło jej wydalenie ze służby. W najgorszym czekała ją odsiadka za niesubordynację i zatajanie dowodów przestępstwa. Mieli już bardzo niewiele czasu na samodzielne odnalezienie Massima, Montanariego i Aurory. Potem musieliby zdać się na powolne śledztwo prowadzone przez niezmotywowanych i przeciążonych obowiązkami funkcjonariuszy z bolońskiego wydziału kryminalnego. Ich zaginięni znajomi mogli tego nie dożyć.

Giacomo rzucił niedopałek papierosa na ziemię i odepchnął goliarda od pokryw. Schylił się i z całej siły pociągnął za masywną rączkę zamocowaną na jej środku. Kłapa uniosła się o centymetr i opadła na miejsce, wydając głuchy metaliczny odgłos.

– Możemy tak tu stukać, pukać i ciągnąć, a to i tak nie puści. Tam w środku jest jakiś zamek albo zasuw – zawyrokował porucznik. – Po co my to w ogóle próbujemy otworzyć, możesz nam jeszcze raz łaskawie wyjaśnić? – zwrócił się do goliarda.

Tonino, sapiąc z wysiłku, podszedł do fontanny, oparł ciężki łom o balustradę i usiadł na marmurowym stopniu. Gdyby nie czerwona dziecięca czapeczka, ze swoim nietypowym wyglądem i wzrostem mógłby się wtopić w otaczający nogi Neptuna dwór króla mórz złożony z sikających wodą delfinów, amorków i syren.

– Dokładnie tutaj zniknął mi ten starszy jegomość z księgarni. Wtedy widziałem go ostatni raz w mieście. Jak się księgarnia Nanni ponownie otwarła, to nowy sprzedawca powiedział mi, że nikt taki nigdy tam nie pracował. Zabawny człowiek! Goliarda chciał nabrać. – Zaśmiał się nerwowo. – A ten księgarz tamtego dnia sobie tu podszedł i puff – zniknął. Śledziłem go z daleka, więc nie widziałem dobrze, ale on musiał jakoś otworzyć tę kłapę i tu się schować. To był Nowy Rok i na placu było pełno ludzi. Zastaliali mi trochę...

– Chcesz powiedzieć, że on przy tych wszystkich ludziach obecnych na placu podszedł do fontanny i nie wzbudzając niczyich podejrzeń, otworzył tę klapę i się pod nią schował? – odezwał się milczący dotąd Davide. Jego dziennikarski fach był podobny do zawodu detektywa. Był wyczulony na braki logicznych wytłumaczeń w ciągach wydarzeń, które weryfikował lub opisywał.

Jakby na potwierdzenie jego wątpliwości krążący od jakiegoś czasu wokół fontanny starszy pan zbliżył się do nich i stanął obok z założonymi do tyłu rękami. Nie mieli ochoty kontynuować rozmowy w jego obecności. Zapanowała niezręczna cisza, zagłuszana jedynie hałasem aut przejeżdżających po przylegającej do placu ulicy.

– A państwo to czegoś tutaj szukają? – zapytał staruszek z silnym bolońskim akcentem w głosie.

– Tak, proszę pana, prowadzimy czynności. – Diana próbowała go zbyć.

– Aaaa. Czynności. Państwo z archeologii na pewno. – Starszy pan się ucieszył. – *Signooooora!* – powiedział, przeciągając głoski. – Ja to bym wiele mógł państwu poopowiadać. Jakżeśmy się tu w czasie wojny ukrywali przed angielskimi bombami!

– Gdzie?! Pod tą klapą? – Davide miał ochotę chwycić emeryta za rękę, żeby im nie uciekł. Instynktownie czuł, że trafiła im się kopalnia bezcennych informacji.

– *Sòccia!* – Dziadek okazał swój entuzjazm za pomocą typowego lokalnego zawołania, będącego w połowie przekleństwem, a w połowie sposobem na wyrażenie sympatii. – Dokładnie tutaj, pod Gigantem! Z tym, że go wtedy nie było... – Wzruszył ramionami.

– Kogo nie było? – włączyła się Diana.

– No Neptuna! – Emeryt wskazał fontannę brodą. – Przenieśli go i zabezpieczyli, a postument przykryli deskami i workami z piaskiem. A myśmy w jakąś setkę osób pod tym wszystkim siedzieli. Kilka rodzin nas było z okolicznych kamienic...

– Pod deskami siedzieliście? – Davide coraz mniej z tego rozumiał.

– *Ma va là!* Pod jakimi deskami? Pod ziemią siedzieliśmy! Pod postumentem. Taki sierżant nam pokazał to schronienie. Taki dobry człowiek, mimo, że w czarnej koszuli chodził. No wiecie. – Spojrzał na nich porozumiewawczo. – Faszystą był. Zginął, jak któregoś dnia wyszedł na słomkę. Bomba akurat obok spadła. I po człowieku – westchnął.

– Słomkę?! – zdziwił się tym razem Giacomo.

– Papierosa – wyjaśniła mu szybko Diana. – Więc mówi pan, że tam był schron? A wie pan jak tam się wchodziło?

– *Macché!* A gdzie tam schron! Tunele, *signora!* To były długie korytarze. Wyglądały na bardzo stare. Na pewno nie zbudowali ich faszyści. A jak się do nich dostać, to ja nie pamiętam. Dzieckiem byłem. Jedno wejście było tu, a drugie podobno w Salabora. – Wskazał na stojący obok fontanny pałac mieszczący miejską bibliotekę. – I jeszcze coś w San Petronio było. W naszej bazylice. Albo pod nią. Coś tam starsi mówili, ale wie pani, ja to już stary *umarell* jestem, pamięć mnie zawodzi... – zakończył z żalem.

Przyjaciele spojrzeli po sobie. Nie musieli wypowiadać nawet na głos słowa „góry”, które wymienił staruszek. Davide chuchał nerwowo w posiniąle z zimna dłonie i nie mógł się doczekać, kiedy starszy mężczyzna się oddali. Był gotów na wszystko, byle dostać się pod ziemię. Uwierzył, że tunele doprowadzą go do obozu. Przyszło mu nawet do głowy, że mogliby użyć środków wybuchowych do otwarcia kłapy. Nie zdążył rozwinąć tej myśli, gdy siedzący pod fontanną Tonino niespodziewanie zabrał głos:

– Teraz pamiętam! On tam też był! W bazylice.

– Kto? – Obrócili się w jego stronę niemal jednocześnie.

– Księgarz. Malaguti. Jak go w ten Nowy Rok po raz ostatni widziałem, to zanim przyszedł pod Neptuna, wszedł wpierw do bazyliki. Myślałem, że udał się tam na mszę. To by nawet pasowało, bo Bractwo Śmierci to przecież byli dewoci. Ale żadnej mszy nie było. W ogóle nikogo tam nie było, musiałem się chować, żeby mnie nie zobaczył. Zapomniałem o tym, bo zaraz potem mi zniknął przy tej kłapie i to mi bardziej utkwilo w pamięci. Ale to nie wszystko. Przypomniała mi się jeszcze jedna dziwna rzecz. Właściwie dwie. *Primo*, że on wyszedł z księgarni ubrany w taką pomarańczową kamizelkę, jaką noszą drogowcy.

– No i już wiemy, dlaczego jak dłużał przy tej kłapie, to się go nikt nie czepiał.

– Giacomo pokiwał ze zrozumieniem głową.

– A *secondo* – kontynuował Tonino – to, że on niósł ze sobą taką... – Zawahał się. – ...jak się to nazywa... Przetyczkę!

– Co?! – zdziwili się wszyscy, łącznie z towarzyszącym im wciąż emerytem.

– Takie narzędzie. Kijek z taką czaszą z gumy. *Lautus cloacam*. Jakby to ładnie powiedzieć... Przetyczka do nieczystości... No przepychaczka do gównien! – wyjął wreszcie.

– Ty na pewno skończyłeś inżynierię? – wyrwało się Dianie.

– Mały, siedzimy tu bez sensu od godziny, a ty nam dopiero teraz mówisz, że ubrany w oczojebną kamizelkę księgarz jakby nigdy nic poszedł z przepychaczką w rękę do bazyliki?! – skomentował dobitnie Giacomo.

Piętnaście minut później scena spod Neptuna powtórzyła się w centralnej nawie bazyliki San Petronio. Trójka przyjaciół patrzyła z rosnącym zniecierpliwieniem na goliarda, który jak gończy pies, z nosem przy ziemi, wypatrywał czegoś na marmurowej posadzce.

W szary i powszedni dzień zapełniony zazwyczaj zwiedzającymi olbrzymich rozmiarów kościoł był niemal pusty. Siedzący w kącie kustosz ucinał sobie właśnie przedpołudniową drzemkę, co umożliwiało im oglądanie tego miejsca bez wzbudzania zainteresowania. Wciąż jednak nie wiedzieli, po co księgarz w tak dziwnym stroju i z tak nietypowym sprzętem pojawił się w bazylice.

– *Misericordia!* – Tonino ze skruszoną miną prosił o wybaczenie. – Ja naprawdę dobrze go nie widziałem. Tam się musiałem schować! – Pokazał stojącą po przeciwległej stronie świątyni grubą kolumnę podtrzymującą strzeliste gotyckie sklepienie. – Wiem tylko, że się tu kręcił, koło Cassiniego.

– A co to takiego w ogóle jest? – zapytał Giacomo, przeżuwając gumę, która musiała mu zastąpić upragnionego papierosa.

– O! To mój ulubiony temat. Bo ja naprawdę mam dyplom inżyniera. – Spojrzał z ukosa na Dianę. – A południk Cassiniego jest chlubą mojego miasta. Taka precyzyjna robota na siedemnasty wiek to jest, proszę jaśnie państwa, unikalny na skalę światową majstersztyk! – zapiał z zachwytem. – Nic dziwnego, że kometę na cześć naszego astronoma nazwali!

– Dobra, dobra, ale do czego to służy? – ponaglił go Giacomo.

– A widzicie tę dziurę w suficie? – Wskazał ręką niewielki, ale dobrze widoczny otwór w sklepieniu. – To jest tak zwane *foro gnomico*, dziura w murze o bardzo precyzyjnym wymiarze i umiejscowieniu, która projektuje obraz słońca na posadzce bazyliki.

– Znaczy pada przez ten otwór promień słońca? – Porucznik się ucieszył. Jak w filmie z Indianą Jonesem? I on otwiera tę kłapę? Zmyślne!

– Ekscelencjo! – Tonino wysłał mu karcące spojrzenie. – Po pierwsze nie promień, tylko obraz słońca. Odwrócony do góry nogami, jak w *camera obscura*. Nieważne... – dodał, widząc niezrozumienie malujące się na twarzach słuchaczy. – Nie chodzi o ten obraz, tylko o to, co on wskazuje. Bo po drugie – na pewno niczego nie otwiera! Za to porusza się wzdłuż tej linii w podłodze. – Przykucnął przy biegnącej ukośnie przez niemal całą długość lewej nawy szczelinie wyżłobionej w białym marmurze i zabezpieczonej mosiężną listwą.

– To, co wasze zacne oczy widzą, to południk, po którym porusza się lustrzane odbicie słońca. Oczywiście, jeśli nie ma chmur. – Spojrzał odruchowo w stronę otworu w sklepieniu. – Jeśli pogoda jest sprzyjająca, kształt słońca pojawia się na południku codziennie o godzinie dwunastej. Każdego dnia w innym miejscu. Każdego dnia średnica tej słonecznej plamy ma też inny rozmiar, co dowodzi tego, że orbita, po jakiej ziemia obraca się wokół słońca, nie jest okręgiem, lecz elipsą. Jak więc wielmożni państwo widzą, ten nieprawdopodobnie precyzyjny instrument astronomiczny miał wiele zastosowań. Służył do dokładnego wyznaczenia południa, kontrolowania kalendarza słonecznego i obliczana długości ziemskiej orbity.

– A te numerki i rysunek obok linii? – dociekał dalej Giacomo.

– Ach... to taki dodatek. – Goliard wzruszył ramionami. – Liczby oprócz tego, że służyły do dokonywania poważnych obliczeń, takich jak wysokość słońca w danym dniu, pomagały też wyznaczyć dokładną porę odmawiania zdrowasiek. Kontrreformacja... – westchnął. – A rysunki to nic innego, jak znaki zodiaku. Astrologia była kiedyś jedną z szanowanych nauk. Astrologi wydawali nawet własny comiesięczny raport na zlecenie bolońskich władz. Przewidywali w nim właściwy moment na zasiewy, zbiory i na podejmowanie politycznych decyzji. *Quod est inferius, est sicut quod est superius* – to co na dole, jest takie samo jak na górze, moi państwo! Mądrzy ludzie patrzyli w gwiazdy i wiedzieli, co zdarzy się na ziemi...

Diana spojrzała na Davida. Ten skinął głową. Gdzieś już słyszeli podobny cyt.

– Wtedy też było słońce? – zapytał dziennikarz.

Tonino skrzywił się boleśnie, jakby wyrwano go z głębokiego snu.

– Co takiego?

– Pytam, czy kiedy przyszedł tu Malaguti, było słonecznie?

– A czy eminencja widziała kiedyś w naszym regionie słońce w styczniu? – Tonino zaśmiał się z przekorą.

– Pokaż, gdzie dokładnie stał – rozkazał zupełnie nierozbawiony żartem Davide.

– Już mówiłem... – Karzeł przewrócił oczami. – Nie widziałem dobrze. Ale jaś tak obok tej kolumny. Gdzieś tutaj. – Stał przy południku.

Davide zbliżył się do niego i kucnął, patrząc na posadzkę. Dotknął białej płyty z wrytym na niej symbolem znaku zodiaku i napisem IANUARI. Marmurowa tablica poruszyła się lekko pod naciskiem jego palców, jakby była źle umocowana albo krzywa. Podniósł wzrok i skierował go na Dianę.

– Wodnik...

– Fontanna... – odpowiedziała mu dziewczyna.

– To jakiś szyfr? – włączył się karzeł.

– Tego szukaliście?! – Echo odbiło donośny głos porucznika, który wychylał się zza zakończonej krzyżem jasnej kolumny stojącej pomiędzy kaplicami i wymachiwał przepychaczką do klozetów.

Zamiast zainteresować się znaleziskiem, jak na komendę obrócili się w stronę drzemiącego w kącie kustosa. Otyły mężczyzna, lekko przebudzony hałasem wywołanym przez Giacomę, otworzył półprzytomne oczy i machając ręką, jakby odganiał się od muchy, rzucił w ich stronę:

– *Silenzio!*

Wypowiedziawszy to słowo, skrzyżował ręce na piersiach, oparł głowę o mur i ponownie zapadł w drzemkę.

Diana odetchnęła z ulgą. Nie miała ochoty po raz kolejny wymachiwać odznaką i wymyślać bezsensownych tłumaczeń.

W tym czasie Davide był już obok porucznika. Bez słowa wyrwał z jego rąk przepychaczkę i podbiegł z nią do płyty ze znakiem Wodnika. Przysawka wypuściła głośno powietrze, kiedy przycisnął ją do marmuru. Pociągnął mocno za przymocowany do niej kijek. Płyta była zbyt ciężka, aby unieść ją całkowicie za pomocą tak prymitywnego narzędzia. Udało mu się jednak podnieść ją na tyle, aby w powstałą w ten sposób wąską szparę wsunąć palce. Naprężając się z wysiłku, odchylił płytę i postawił ją w pionie.

Cała czwórka pochyliła się z zaciekawieniem nad ziejącym pod nią otworem.

Wbrew temu co mieli nadzieję tam zobaczyć, pod płytą nie znajdowało się ciekawego. Otwór był dość płytki, a przez jego środek przechodziła wąska, pokryta kurzem rura z okrągłym mosiężnym zaworem. Instalacja wyglądała na bardzo starą. Wciąż była to jednak tylko zwykła rura.

– Może to odcina wodę płynącą do fontanny Neptuna? – zastanowił się Davide.
– Być może trzeba najpierw wypompować wodę, żeby pod nią wejść?

– Nie ma co się zastanawiać – odparł Giacomo, sięgając dłonią w stronę zaworu.

Mosiężne kółko dało się przekręcić jedynie o pół obrotu. Porucznik przez chwilę mocował się z zaworem, po czym cofnął rękę zrezygnowany. Jego zmagania nie przyniosły żadnych widocznych efektów.

Nagle panującą w pustej bazylice ciszę zakłócił wydobywający się gdzieś spod podłogi przeciągły syk. Mosiężna rura zaczęła wibrować z taką siłą, przez

chwilę myśleli, że wypychany ogromnym ciśnieniem strumień wody wybuchnie prosto w ich kierunku. Nic takiego się jednak nie stało. Syk ucichł tak szybko, jak się pojawił. Rura przestała drżeć. Mieli wrażenie, jakby pod ich nogami przejechał właśnie wielki pociąg towarowy. Spojrzeli po sobie.

– No i? – zaciekawiał się goliard.

– No i gdzieś ta woda przeszła. Idziemy zobaczyć. Albo wyłączyliśmy Neptuna, albo jakimś biskupowi złote rury w łazience wywaliło – zażartował porucznik.

* * *

Kiedy wybiegli ze świątyni i stanęli na opadających w stronę placu stopniach, ich oczy skierowały się ku odległej od nich o jakieś sto metrów fontannie.

– Czyli dupa. – Giacomo skomentował to, co wszyscy widzieli. Z piersi syren i pysków delfinów wypływały wciąż obfite strumienie wody.

– Czekaj! – Diana chwyciła go za ramię.

Grupa wyrostków, którą nie tak dawno temu odegnała od fontanny, wróciła w to samo miejsce. Nastolatki sprzeczali się o coś, gestykulując żywo i przepychając się między sobą. Nagle z grupki oddzieliło się dwóch najwyższych chłopców. Podeszli do żeliwnej pokrywy i ciągnąc razem za przymocowany do niej uchwyt, unieśli ją do góry.

Diana westchnęła i po raz kolejny wyciągnęła z kurtki odznakę.

– Biegnijmy, zanim tam wpadną i zrobią sobie krzywdę.

Święty Łukasz

Davide wziął do ręki małą karteczkę przyczepioną łańcuszkiem do jednego z kilkunastu mosiężnych zaworów.

– „Lewy cycek zachód” – przeczytał na głos. Uśmiechnął się pod nosem i spojrział na Tonina, który stał przy wmurowanej w ceglana ścianę pamiątkowej tablicy i w świetle swojego telefonu próbował przetłumaczyć wyryte na niej łacińskie inskrypcje.

– Że co? – zapytał goliard, wyrwany z zamyślenia. – A, to! Stoisz waćpan dokładnie pod Neptunem. A te zawory sterują pewnie wodotryskami fontanny. – Domyślił się.

Davide skierował flesz komórki w górę. W bladym świetle LED-ów zobaczył, że rury odchodzące od zaworów rzeczywiście prowadziły w tamtym kierunku. Wysoko nad nim, oparta na potężnej żelaznej belce, wyłaniała się z ciemności wykonana z brązu masywna konstrukcja fontanny.

Odeszli już kilka metrów od wjazdu i prowadzącej do niego metalowej drabiny. Po krótkiej dyskusji przeprowadzonej kilka minut wcześniej, do podziemi zeszli jedynie szczupły i zwinny Davide oraz goliard, który najlepiej z nich wszystkich orientował się w historii i topografii Bolonii. Porucznik z Dianą mieli asekurować ich z powierzchni.

Komórka zawibrowała dziennikarzowi w ręce. Przyłożył ją do ucha i usłyszał zdenerwowany głos dziewczyny.

– Nic nam nie jest, Di – powiedział do słuchawki uspokajającym tonem. – Tutaj nie ma ani kropli wody. Sucho i czysto. Widać, że ktoś dba o to miejsce. Pewnie przychodzą tu technicy od fontanny, bo pełno tu rur i kabli. Nikogo tu nie ma, ale jest pewna komplikacja. To ani trochę nie wygląda na schron. Raczej na bardzo stary tunel. Okazuje się, że emeryt miał rację. A Tonino też sobie coś przypomniał. Zastanawiamy się więc właśnie, czy iść dalej. Dobra, dam ci go, niech ci sam powie. – Podał telefon towarzyszowi.

– Wasza wysokość. – Drobną sylwetką goliarda drgnęła w półukłonie, co pomimo panującego półmroku zobaczył dziennikarz. – Na studiach opowiadano nam coś o jakimś podziemnym akwedukcie, ale wtedy mało mnie to interesowało. A teraz, kiedy tu wleźliśmy, zaczynam wierzyć, że to miejsce naprawdę istnieje. Starzy wykładowcy twierdzili, że do miasta przed setkami lat sprowadzano wodę z gór. No właśnie, z gór! No i jeśli ten księgarz znał to przejście, to była dla niego idealna droga ucieczki. Nawet jeśli drogi wyjazdowe z miasta byłyby obstawione policją po porwaniu pana Davida, to on się mógł tędy niezauważony przez nikogo wydostać. Te podziemia mogą prowadzić nawet prosto do obozu Bractwa Śmierci! No dobrze, bandytów. Że co proszę? – Odsunął słuchawkę od ucha i szepnął w stronę dziennikarza:

– Pani Diana mówi, że skoro się wydostał, to może i wrócić i że możemy go tu spotkać...

– Daj mi ją. – Davide wyrwał mu telefon z ręki.

– Di, nic nam nie będzie. I nie, niech Giaco tutaj nie schodzi. Tu jest strasznie ciasno, a wy przydacie się nam bardziej na górze. Tylko że... – Zawahał się. – Jak pójdziemy dalej, to prawie na pewno urwie nam się łączność. Ustalmy więc, że jeśli nie damy znaku życia za pół... za godzinę, to wzywacie strażaków. Na tyle powinno nam wystarczyć baterii i światła w komórkach. Dobra, nie ma co tracić czasu, pa. – Rozłączył się, żeby nie słyszeć protestów dziewczyny.

– No to prowadź, wodzu! – powiedział do goliarda. – Tylko gdzie? Bo ja widzę, że tunel idzie w dwie strony.

– Przyszliśmy stamtąd. – Tonino obrócił się do tyłu. – Tam jest fontanna i biblioteka Salabora. Emeryt nam powiedział, że tam było drugie wejście, więc pewnie powinniśmy iść w przeciwnym kierunku. A poza tym jest jeszcze to. – Oświetlił fragment muru.

W białym kółku światła Davide zauważył wyłobiony w starej cegle lekko zarty symbol zodiakalnego Wodnika.

– Taki sam jak na posadzce bazyliki. Dobra! Czas start! – Zerknął na godzinę wyświetloną na ekranie telefonu i ruszył przed siebie.

– Myślałem, że ja mam iść pierwszy! – zaprotestował goliard.

– Żebyś mi gdzieś utonął? Jestem wyższy, będę torował drogę. Tam, gdzie ja przejdę, ty się na pewno wciśniesz – odparł dziennikarz, trzymając się starej żeliwnej rury.

Tunel miał około półtora metra szerokości. Część przestrzeni zajmowała biegnąca wzdłuż jednej ze ścian podmurówka przypominająca półkę, o którą opierała się rura. Szerokość przejścia nie stanowiła jednak żadnego utrudnienia.

Dużo gorzej rzecz miała się z wysokością. Pomimo że szedł mocno schylony, Davide po raz kolejny boleśnie otarł się czubkiem głowy o cegły wystające z półkolistego sklepienia. Zaklął i stanął w miejscu. Jak w slapstickowej komedii, twarz idącego za nim o pół kroku karła wylądowała pomiędzy jego wypiętymi pośladkami.

– No wie waćpan! – oburzył się Tonino – To ja tu jestem od głupich żartów!

Davide ostrożnie obrócił się do tyłu.

– Nie gadaj tyle – powiedział i ściągnął mu czapkę. Zadowolony z własnego pomysłu, wcisnął ją sobie na poranioną głowę, odwrócił się i zanim goliard zdążył zaprotestować, wznowił marsz. Pomijając ból w plecach, kolejne kilkaset metrów przeszedł w niemal komfortowych warunkach.

W świetle z telefonu migwały mu wymalowane i wydrapane na ścianach cyfry i napisy wywodzące się z różnych epok. Niektóre pochodziły z czasów wojennych i oznaczały prawdopodobnie sektory schronu. Inne przypominały współczesne znaki stawiane przez geodetów. W pewnym momencie wydało mu się, że minął kolejny wizerunek Wodnika.

Wygodny marsz skończył się nieoczekiwanie, kiedy doszli do czegoś w rodzaju nowoczesnej przepompowni. Żeliwna rura, której się trzymał, zniknęła w gąszczu współczesnych rurek i elektrozaworów. Tuż obok wypatrzył niski i wąski otwór w murze. Schylił się jeszcze bardziej i dotykając ramionami ścian, wcisnął się w dziurę. W tym miejscu przez sklepienie przebiegały rury i pęki zaizolowanych kabli. Musieli znajdować się pod jakąś magistralą lub budynkiem. Davide nie miał innego wyjścia, jak kucnąć i przejść w tej niewygodnej pozycji pod przeszkodami.

– Wszystko dobrze, mały? – rzucił do tyłu.

– Właśnie się zrobiłem duży – usłyszał za sobą zasapany głos.

Szczęśliwie dla nich po kilku metrach korytarz wyraźnie się powiększył. Davide wyprostował się i przeciągnął. Poświęcił na ścianę i zauważył betonową wylewkę. Z jakiegoś powodu ktoś wzmocnił strop. Nagle poczuli lekkie wibracje i daleki mechaniczny hałas dochodzący gdzieś z góry.

– Ulica – powiedział do siebie Davide. Spojrzał na zegarek. Minęło dwadzieścia minut. Przyspieszył kroku. Zaczęli prawie biec.

Po kilkudziesięciu metrach zauważyli drabinę prowadzącą do żelaznej klapy w suficie. Hałas dochodzący z ulicy był w tym miejscu szczególnie duży. Słyszeli nawet głosy przechodzących nad ich głowami ludzi.

– Może by tak wyjść i zobaczyć, gdzie jesteśmy? Albo przynajmniej zadzwonić do wielmożnych towarzyszy? – zapytał Tonino.

Davide wyczuł w jego głosie prośbę. Domyślił się, że goliard zaczynał odczuwać trudy podziemnej wędrówki. Intuicja podpowiadała mu jednak, że byli na właściwym tropie. Nic nie mogło go już powstrzymać od osiągnięcia celu.

– Nie mamy czasu. Księgarz na pewno nie wyszedł stąd w środku miasta. Idziemy dalej – zakomenderował. Słyszalny już z daleka szum wody nie zapowiadał niczego dobrego.

Wzmocniony betonem szeroki korytarz skończył się po kilkunastu kolejnych metrach niewielkim wodospadem. Woda wypływała pod dużym ciśnieniem ze szczeliny w sklepieniu i z loskotem wpadała do ledwo widocznej za rogiem dalszej części tunelu. Nie mieli czasu roztrząsać, czy woda była tu odprowadzana celowo czy na skutek awarii. Mogli być tylko wdzięczni losowi, że nie był to wyciek kanalizacji, a korytarz nie wyglądał na zatopiony. Davide schował komórkę, skulił ramiona i przeskoczył przez lejący się z sufitu strumień najszybciej, jak mógł. Mimo tego woda naląła mu się za kołnierz. Ściągnął z głowy przemoczoną bejsbolówkę i rzucił ją na ziemię. Zza wodnej zasłony wyskoczył Tonino z kurtką zaciągniętą na głowę. Z miną męczennika spojrział na leżącą na podłodze czapkę, a potem na przemoczonego Davida.

Korytarz w tym miejscu wyglądał zupełnie inaczej. Łuk sklepienia zrobił się ostrzejszy, dzięki czemu wąski na metr tunel był przynajmniej wysoki. Cegły ścian oblepione były białą pobłyskującą substancją. Davide przeciągnął po niej paznokciem. Bez trudu wyźłobił głęboką rysę.

– Wapno – oznajmił. – Wiesz, co to znaczy? – Oświecił twarz goliarda.

– Niechże mnie wasza wysokość oświeci. Może wodę? – odpowiedział z ironią w głosie.

– To miejsce bywa podtapiane. A ostatnio bez przerwy padało. Dziś na szczęście nie, ale...

– Idziemy tak długo, aż napotkamy głęboką wodę albo kolejny wodospad. Po tem wracamy – oznajmił karzeł.

„Ty wracasz” – pomyślał Davide i bez słowa ruszył do przodu.

Woda zachlupotała mu pod stopami. Była czysta i na szczęście sięgała mu za ledwie do kostek. Nie zmieniało to faktu, że byli już prawie całkowicie przemoczeni. Przyspieszył kroku, wzbudzając fale w płynącym mu pod nogami potoku.

Prosty dotąd tunel co rusz zmieniał swój kierunek i kształt. Przechodzili przez odcinki, w których mogło się zmieścić pięć osób idących w szeregu, by za zakretem wpaść w szczelinę, którą trzeba było pokonywać bokiem. Ostre gotyckie sklepienia zamieniały się w łukowe i na odwrót. Zrobiło się głębiej. W pewnym momencie woda sięgnęła Davidowi do kolan. Brnąc przez nią, powodowali ha-

łas, który po pewnym czasie zaczął ich ogłuszać do tego stopnia, że za kolejnym zakrętem Davide doznał halucynacji słuchowych.

Zatrzymał się. Kiedy Tonino stanął obok, dziennikarz nastawił uszu.

– Słyszysz to, co ja? – zapytał cicho.

Po chwili milczenia goliard odezwał się niepewnie.

– Chóry anielskie?

Z nieustalonego kierunku dochodził do nich posępny monotony śpiew. Davide poświęcił wokół siebie. Tunel w tym miejscu przypominał niewielkie pomieszczenie. Nad ich głowami widniało żebrowe sklepienie z jakimiś na wpół zartartymi łacińskimi napisami i rysunkami. Odwrócił się do towarzysza, który stał w wodzie do kostek i drżał z zimna.

– Może to kościół?

Twarz goliarda pojaśniała.

– Jeśli szliśmy w stronę gór i przeszliśmy tyle metrów, ile sobie wyliczyłem, to może być San Michele.

– Co to takiego?

– Bardzo stary klasztor. Średniowieczny albo i starszy. Ale co najważniejsze, on jest już poza miastem. I na zboczu wzgórza.

– To znaczy, że możemy być blisko wyjścia. – W Davida wstąpiła nadzieja.

Ruszyli dalej. Za kolejnym zakrętem wody zaczęło wyraźnie ubywać. Ostatecznego dowodu na potwierdzenie tezy goliarda dostarczył im tunel, który nieoczekiwanie zaczął piąć się w górę.

Przebrnęli przez podtopioną salę, która sądząc z napisów na ścianach, służyła w czasie wojny za schron i za którą, jak podejrzewali, czekała na nich ostatnia część korytarza prowadząca do wyjścia.

Kiedy doszli do pnących się w górę, pokrytych wapiennymi zaciekami schodów, przystanęli zmęczeni.

– Jeśli ten starzec pokonał tę trasę bez przystanku, to byłbym zaszczycony, mogąc pogratulować mu kondycji – oznajmił wycieńczonym głosem goliard.

Davide uciszył go gestem. Z daleka dobiegł ich kobiecy głos. Nie słyszeli wyraźnie słów, a jedynie przytłumione echo.

– No i jesteśmy przy wyjściu. Nie wiadomo, kto tam na nas czeka, więc teraz po cichu, jasne? – zwrócił się do towarzysza. Odchylił przemoczoną kurtkę i odpiął kaburę. Oczy goliarda zrobiły się okrągłe.

– Faj. Ty też tę kieszonkową śmierć nosisz? – wyszeptał z obrzydzeniem. – Myślałem, żeś jest waćpan skrybą!

– Sam już nie wiem, kim jestem... – powiedział cicho Davide i zaczął piąć się ostrożnie po oślizłych schodach.

Pusty korytarz na górze do złudzenia przypominał tunel, z którego wyszli, jednak nie musieli go już oświetlać telefonami. Sztuczne żółte światło wpadało ze szczeliny w suficie oraz z za widocznego w oddali zakrętu. Najciszej, jak potrafili, podeszli do szczeliny, która z bliska okazała się niewielkim otworem. Otwór zapewne był niegdyś większy i miał kształt idealnego okręgu, ale spływająca nim przez wieki woda utworzyła w tym miejscu misterną wapienną formę przypominającą stalaktyty. Ze znajdującej się nad nimi kondygnacji przedostawało się tędy nie tylko światło, ale i głos, który słyszeli teraz głośno i wyraźnie.

– Drodzy państwo – przemawiała do kogoś kobieta – Bagni di Mario, czyli Łaźnie Mariusza to nazwa nadana temu odrestaurowanemu niedawno rezerwurowi w dziewiętnastym wieku. Nawiązywała ona do ustnej tradycji mówiącej o tym, że w tym miejscu – a mówimy o okolicach rzymskiego traktu zwanego Via degli Dei – znajdowały się kiedyś łaźnie termalne należące do konsula Mariusza Kajusa. W źródłach historycznych brak rzetelnych dowodów na poparcie tej tezy. Jedno jest jednak pewne. Cysterna Valverde, bo tak brzmi oficjalna nazwa struktury, w której wnętrzu się znajdujemy, powstała w drugiej połowie szesnastego wieku z inicjatywy papieża Piusa Czwartego, a jej głównym przeznaczeniem było zbieranie i dostarczanie wody do dwóch bolońskich fontann: Starej Fontanny oraz fontanny Neptuna...

Davide i Tonino spojrzeli po sobie. Na ich oświetlonych padającym z góry blaskiem twarzach odmalowało się zdziwienie. Spodziewali się raczej spotkania z przestępcami niż z przewodniczką oprowadzającą turystów.

– Oktagonalna forma tego pomieszczenia – kontynuowała swoją wypowiedź kobieta – poza niezaprzeczalnym walorem architektonicznym, miała też na celu umożliwienie skupienia w jednym miejscu wszystkich odnóg tuneli, które sprowadzały wodę spływającą z gór i filtrując ją przez ziemię i kamienie, doprowadzały ją do tego, umieszczonego w centralnej części podłogi cysterny otworu zwanego *oculusem*.

W otworze nad nimi pojawiła się ładna kobieca twarz. Błyskawicznie cofnęła się o krok, kryjąc się w mroku. Davide wyciągnął przed siebie rękę, wymacał głowę goliarda i pochylił się do niego.

– Wychodzimy – szepnął mu do ucha.

– Ale tam są ludzie! – zaprotestował karzeł.

– I co? Aresztują nas za pobyt w muzeum? Nie mamy już czasu. – Poświecił mu w twarz telefonem. – Za pięć minut Diana zadzwoni po pomoc, a tu wciąż nie

ma zasięgu. Przecież to twoje hobby, nie? Straszenie ludzi. Zbieraj się, robimy show. – Schował komórkę, otrzepał pobielone wapnem ramię i ruszył energicznie w stronę światła na końcu korytarza. Usłyszał za sobą drobne kroki goliarda i uśmiechnął się do siebie.

Żółty reflektor oświetlający wewnątrz cysterny oślepił ich na chwilę, kiedy wyszli z tunelu i stanęli na murowanym podeście otaczającym *oculus*. Oczy grupy około dwudziestu osób zgromadzonych w pomieszczeniu momentalnie skierowały się na nich. Atrakcyjna przewodniczka, za której plecami niespodziewanie się pojawili, zauważyła reakcję swoich słuchaczy i odwróciła się w ich kierunku.

– *O mio Dio!* – Podskoczyła wystraszona. – A skąd wyście się tu wzięli?!

– *Buongiorno* – przywitał się Davide, odgarniając mokre i ubrudzone kawałkami wapna i zmurszałych cegieł włosy. – My z Bolonii – odpowiedział, starając się nadać swojemu głosowi obojętny ton.

– Dzień dobry! – Karzeł wyłonił się zza jego pleców. Strugi wody wylewające mu się z butów popłynęły w kierunku otworu w podłodze. Spojrzał na przerażoną twarz przewodniczki i osłupiałe twarze turystów. Nie mógł dłużej wytrzymać tej presji.

– Tatusiu, chcę do domu, możemy już iść? – powiedział głębkim barytonem, wsuwając jednocześnie rękę w dłoń dziennikarza.

– Synku, mówiłem ci, żebyś był grzeczny. Przeprós państwa i idziemy! – Davide podjął grę.

– Przepuraaaszam! – Goliard uklonił się nisko, ukazując wszystkim swoją okazałą łysinę.

Zaczęli przepychać się przez grupę turystów, którzy usuwali się w popłochu przed ich zmoczonymi i śmierdzącymi pleśnią okryciami. Kiedy dotarli do przeciwległej strony pomieszczenia i zaczęli wspinać się po schodach, Davide obrócił się za siebie.

Cysterna rzeczywiście była architektonicznym i inżynierskim dziełem sztuki. Prócz korytarza, z którego wyszli, zauważył jeszcze trzy inne, ułożone wokół *oculusa* niczym palce dłoni. Spojrzał we wpatrzone w niego olbrzymie brązowe oczy oniemiałej przewodniczki i zanim zniknął za załomem schodów, puścił do niej oko.

Wyszli na zewnątrz wciąż rozbawieni sytuacją, którą sprowokowali. Śmiech zastygł Davidowi na ustach, gdy przypomniał sobie o Dianie.

Rozejrzał się wokół siebie. Stali na terenie czegoś w rodzaju tarasowego ogrodu. Znajdująca się za ich plecami cysterna była z zewnątrz zupełnie niewidoczna i przypominała kopiec ziemi ze skromnym piwnicznym wejściem. Powy-

żej nich, przy szosie pnącej się serpentyną po wzgórzu, stał rząd okazałych willi. Davide zupełnie nie to miał nadzieję znaleźć po wyjściu z tunelu. Przygryzł usta i wybrał numer do karabinierki. Dziewczyna zaczęła krzyczeć do słuchawki, dając upust uldze i nagromadzonemu obawom.

– Cii.... już dobrze, *amore!* Nic nam nie jest, poza tym, że trochę zimno – uspokoił ją, szczerkając zębami.

Pod ziemią było mokro i nieprzyjemnie, ale panowała tam dość znośna temperatura. Dopiero teraz zaczęli odczuwać skutki przemoczenia.

– Słuchaj, wyślę ci zaraz współrzędne. Przyjedźcie tu, zanim zamarzniemy. Nie... nic tu nie ma. Totalne pudło. – Nie krył rozczarowania. – Poczekaj tylko... – przerwał, wpatrując się w punkt w oddali. – Zaraz oddzwonię! – powiedział do słuchawki i przerwał połączenie.

– Mały, stój tu i się nie ruszaj – krzyknął do goliarda i zbiegł ze zbocza w stronę metalowej furtki oddzielającej ogród od wąskiej szosy. Droga była pusta. Przeszedł na drugą stronę i zatrzymał się obok niewielkiej kapliczki, która stała na skrzyżowaniu szosy z kamienistą, niknącą w gęstym lesie dróżką.

Za przybrudzoną szybką, przed którą paliły się dwa znicze, zobaczył obrazek przedstawiający świętego opartego o łeb cielaka. Pod ramką ze świątkiem widniał wykaligrafowany ręcznie złoty napis: SAN LUCA.

– Święty Łukasz – przeczytał na głos.

Drżącymi dłońmi wyjął z kurtki telefon.

– Diana... Ja tu byłem – powiedział po chwili do słuchawki. – Poznaję to miejsce. Znalazłem tę pieprzoną drogę!

Nie zważając na podmokły teren, usiadł pod kapliczką i oparł na kolanach ciężką ze zmęczenia głowę.

Teczka

Objuczona ciężkim kartonem Diana stała zwrócona plecami do masywnych drzwi wejściowych posterunku karabinierów i patrzyła pustym wzrokiem przed siebie. Czekający na nią w podcieniach po przeciwnej stronie ulicy Davide poma-chał energicznie w jej kierunku. Nie drgnęła.

Rozejrzał się na boki i przebiegł przez drogę.

– *Ciao*, Di! – zawołał, zbliżając się do niej. – I jak, kiedy ruszamy na akcję?

– Nie ruszamy. Wyrzucili mnie – powiedziała grobowym głosem.

– Że jak?! Z posterunku? – Spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie, *cazzo*, ze służby!!! – Z jej oczu spłynęły dwie duże łzy.

– Ale jak to?... – Słowa dziewczyny wydawały mu się absurdalnym żartem. – Jak cię wyrzucili? Za co?!

– Za zatajanie dowodów, niesubordynację i jeszcze kilka paragrafów. Weź to! – Wcisnęła mu do rąk karton. Ugiął się pod jego ciężarem.

– A co z Montanarim, z Aurorą? Nie będą ich uwalniać?!

– Będą. To akurat udało się załatwić. Kosztem mojego zwolnienia. – Otarła łzy i wzięła się w garść. – Jutro o siódmej będzie tam naprędce zorganizowana ekipa. Wywiadowcy już rozpoznają teren. Wolałabym tego sama pilnować, bo znając komendanta, wątpię, żeby się do tego przyłożyli. Ale nic nie poradzę. Zadzwoń do Giacomu, to może cię zabierze. Mnie tam już nie będzie – dodała i zaczęła iść przed siebie.

– Poczekaj, Di! – dogonił ją. – Wyjaśnij mi, co się w ogóle stało. Proszę! – Spojrzał na nią błagalnie.

– Nie ma tu czego wyjaśniać. Chociaż mam tutaj coś ważnego. Zatrzymaj się! – Zaczęła szukać czegoś w kartonie, który ścisnął Davide. Spod sterty rzeczy wyjęła błękitną teczkę.

– Resztę możesz wyrzucić. Połóż tutaj. – Wskazała mu murek oddzielający jezdnię od podcieni.

– No coś ty, ktoś to ukradnie!

– Stare kubki i makulaturę? – Roześmiała się zimno. – Nie zależy mi na tym. Zabierz mnie gdzieś. Nie chcę wracać do domu – poprosiła.

Davide odłożył karton i zbliżył się do niej nieśmiało. Diana była wojowniczką. Wiedział, że potrzebowała jego bliskości, chociaż za nic by się do tego nie przyznała. Wyciągnął ramiona i objął ją delikatnie. Pozwoliła się dotknąć, ale nie odwzajemniła czułości. Wciąż tkwiła w fazie walki i buntu. Wziął ją pod ramię i poprowadził w głąb ulicy.

Zatrzymali się w podcieniach, niedaleko wejścia do Muzeum Średniowiecza przy via Manzoni. Zimowa aura nie zniechęcała przechodniów do siadania w przykawiarnianych ogródkach.

Wybrali stolik przy emitującym przyjemne ciepło gazowym „grzybku” i zamówili *vin brulé*. Davide ścisnął mocno zimną dłoń Diany i spojrzał w jej zaczerwienione od łez oczy.

– A teraz powiedz mi, jak się nazywa ten kutas?

– Kto?

– Bezmózgi fiut, który cię zwolnił.

– A co to za różnica? – prychnęła. – Zresztą zadziałał regulaminowo. To jest wojsko, a tam nie ma miejsca na samowolkę. Na wiele rzeczy patrzy się przez palce, ale nie wolno omijać łańcucha dowodzenia. Jestem wściekła, ale na jego miejscu postąpiłabym tak samo.

– Ty? Jesteś tego pewna? – Zmrużył oczy.

– A co? Masz jakieś wątpliwości? Nie zapominaj, że dowodziłam główną kolumną w Ferrarze. Krótko, bo krótko, ale jednak. I ja też podejmowałam trudne decyzje.

– A wcześniej stanęłaś na rękach, żeby uratować przed zwolnieniem Giacomą, na którym ciążyły znacznie cięższe zarzuty.

– Wtedy nie ja dowodziłam. – Wzruszyła ramionami.

– Ale twój szef, kapitan Cimelli, stanął po twojej stronie, tak? Dał szansę świetnemu agentowi, który zbłądził, ale bez którego dziesiątki poważnych przestępców nigdy nie dosięgłaby ręka sprawiedliwości. Oni by chodzili po ulicach i dalej zabijali, sprzedawali narkotyki, wykorzystywali kobiety...

– No i co z tego? – przerwała mu. – Dziękuję ci, że mnie wspierasz, ale nie rozumieję do czego zmierzasz.

– Do tego, że miarka się przebrała – powiedział poważnie. – Nie zapominaj, że wciąż jestem dziennikarzem. Może i prowincjonalnym, ale lokalne władze wciąż liczą się z opiniami przedstawianymi w mojej gazecie. Nie zareagowałem, jak należy, kiedy dowiedziałem się o twojej dymisji w Ferrarze. Chcę cię za to przeprosić. Byłem wtedy w trochę innym świecie z powodu... wiesz kogo. – Zerknął na Dianę z ukosa, jakby obawiał się jej reakcji na wspomnienie Olivii. – Tym razem jednak będzie inaczej. Nie puszczę płazem twojego zwolnienia. Świat dowie się o twoich zasługach, a korpus cię przeprosi, obiecuję ci to – dokończył poważnym tonem.

– Davide... – Uśmiechnęła się blado. – Masz złote serce, ale wciąż nie rozumiesz, jak kręci się ten świat. A ja chwilowo nie chcę słyszeć o korpusie. Ale chcę dokończyć naszą ostatnią misję. – Odsunęła szklankę z grzańcem Davida i położyła na stole teczkę, którą wcześniej wyjęła z kartonu.

– Pracowaliśmy nad tym z Giacomem od jakiegoś czasu. Udało nam się zgromadzić informacje na temat człowieka w kitlu, który uciekł nam w szpitalu Maggiore. On rzeczywiście jest lekarzem, anestezjologiem. Pracuje tam na onkologii w niepełnym wymiarze godzin, bo ma też swoją prywatną praktykę w zupełnie innej specjalizacji – geriatrici. Tylko że w szpitalu nazywa się Marco Malaguti, a praktykę prowadzi jako Thomaso Guarini – zawiesiła głos. – Mówi ci coś to drugie nazwisko?

– A powinno?

Diana wyciągnęła z kieszeni czarny notes. Wertowała przez chwilę kartki, po czym podsunęła notes Davidowi.

– O, tutaj. – Wskazała palcem. – Opowiadanie Massima o Przytułku Matki Boskiej Różanej. Tu zapisałam nazwisko chłopca zwanego Szarym Cieniem.

Dziennikarz pochylił się nad kartką

– Guarini! – przeczytał na głos.

– Dokładnie. Thomas Guarini. Szary Cień. Typ, którego Tonino widział z Massimem pod księgarnią. On, anestezjolog Malaguti i geriatra Guarini to ta sama osoba. Potwierdziła to też analiza komputerowa porównująca zdjęcia oraz nasze działania operacyjne. Ale to nie wszystko. Pamiętasz księdza z opowiadania Massima, który rzekomo pomógł uciec Szaremu Cieniowi z przytułku? Don Camillo... Trudno było go znaleźć. Ale to, że kościelne archiwa są utrzymane lepiej niż państwowe, to dla nas nie nowość. – Puściła do niego oko.

W miarę jak opowiadała, trauma związana z upokorzeniem, jakie przed chwilą przeżyła, ustępowała miejsca rosnącemu entuzjazmowi.

– Dzięki księgom parafialnym namierzyliśmy tego księdza. Niestety człowiek już nie żyje. Umarł na raka jakieś dziesięć lat temu. A na nazwisko miał... – zawiesiła teatralnie głos – Malaguti!

– Kolejny Malaguti! – Davide o mało nie wywrócił grzanego wina, podskakując na krześle.

– Tak! Don Camillo Malaguti to jego rodzony brat.

– Czyli ten Szary Cień to jakiś ich wychowanek? – Davide próbował dokończyć układankę.

– Nie wiemy dokładnie, ale mamy podejrzenia, że jest synem nieżyjącego księdza. W tamtych czasach to była częsta praktyka. Duchowni podrzucali nieślubne dzieci pod wymyślonymi nazwiskami do przytułków, żeby nikt się nie dowiedział. Tyle że z małym Thomasem było coś nie tak. Jakieś dzieci zginęły w niewyjaśnionych okolicznościach, a mały Thomas był pierwszym podejrzanym. No i widocznie ksiądz się wystraszył. Nie chciał, żeby ktoś zaczął się nim interesować, bo wtedy prawda o jego pochodzeniu mogłaby wyjść na jaw. Poprosił więc brata, żeby się nim zajął. Ubaldo i Don Camillo pochodzili z bardzo starej bogatej bolońskiej rodziny. O takich się mówi, że są „dziedzicznie obciążeni majątkiem”. Okazało się, że kamienica, w której znajduje się księgarnia Nanni, należy do Malagutich. I to od dawna. Przodkowie księgarza wykupili ją od Bractwa Śmierci, kiedy ta organizacja połączyła się z Bractwem Życia i przeniosła poza mury Bolonii, zakładając pierwszą wielką klinikę.

– Niech zgaśnie. – Dziennikarz się zaśmiał. – Szpital Maggiore?

– Nareszcie jesteś dawnym Davidem! – Diana po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się szeroko.

– No dobrze, to mamy Malagutich w komplecie – odpowiedział. – Ale czego właściwie chciał ten Szary Cień ode mnie w szpitalu? – Dziennikarz podniósł wysoko brew, co z niewiadomych przyczyn spowodowało przyspieszone bicie serca jego towarzyszkii. Przynęła bliżej swoje krzesło i położyła mu dłoń na kolanie.

– Davide, chyba ciągle nie rozumiesz, jak bardzo niebezpieczny jest ten człowiek – powiedziała z przejęciem. – A ma z tobą na pieńku, bo wszedłeś mu w drogę. Gonileś go, a potem bezczelnie wyrwałeś się z rąk rodzinnej organizacji, dla której pracuje. W dodatku zabrałeś mu coś, na czym mu zależy... Rzuciłeś mu wyzwanie.

Dziennikarz zastanowił się przez chwilę.

– Myślisz, że ten akrobata z wieży to też on? Lekarz, który morduje dzieci, kobiety i starych Żydów, porywa, kradnie i wspina się po piorunochronach? Na-

prawdę uważasz, że jedna osoba może dokonać tego wszystkiego? I jeszcze przy-
szedł mnie dobić? – Spojrzał na Dianę z niedowierzaniem.

– Dobić, ponownie uprowadzić albo zacząć wywierać jakąś presję. To wszystko
pasuje do rysu psychologicznego psychopaty. To nieprzewidywalny człowiek
o wielkiej sile oddziaływania. Wiemy już, jak jego widok podziałał na Massima.
To by też tłumaczyło, dlaczego on cię zdradził. Szary Cień ma na niego olbrzymi
wpływ i z łatwością mógł go zastraszyć. Najgorsze jest to, że omamił nie tylko
Massima.

– A kogo jeszcze? – Davida rozpraszała dłoń Diany, która w międzyczasie prze-
mieściła się na środek jego uda.

– Wszystko jest w tej teczce. Przeczytasz ją później. Teraz musisz zrobić dla
mnie jedną ważną rzecz.

– Co takiego? – Davide poprawił się na krześle, gotów do wykonania każdego
zadania.

– Przelecieć mnie – powiedziała, przesuwając dłoń wyżej.

Szturm

Davide nie znał takiej Diany. Skrupulatna, oschła i niedostępna w ciągu dnia była przykładem kobiety, która przez całe życie musiała udowodniać wychowanym w koszarach mężczyznom, że jest twardsza od nich. Kiedy przychodziła noc, kamienna maska, którą nosiła, opadała, a ona sama zamieniała się w delikatną i uległą swojemu wybrankowi kochankę.

Tym razem było inaczej. Nagromadzone w dziewczynie napięcie, ciężar upokorzeń i gorycz kłesk pokonały chroniący jej psychikę mur i rozlały się po wszystkich zakamarkach zmęczonej ciąglą walką duszy. Zwierzęca cielesność wydawała się jedyną drogą ujścia dla całego zła, które ją ogarnęło, a Davide był jedynym mężczyzną, którego wrażliwość i umiejętność obchodzenia się z jej ciałem mogła przynieść jej ulgę.

Ślepo wykonywał wszelkie jej polecenia. Zlizywał lejące z jej oczu łzy, by po chwili ssać jej nabrzmiące sutki i blokując nadgarstki, brutalnie zagłębiać się w jej ciało, gdy krzyczała w ekstazie „mocniej”, „jeszcze mocniej!”. Rozkoszował się jej jękami i widokiem przymrużonych oczu. Przyciskał ją do siebie mocno, aby każdym milimetrem skóry poczuć jej drżące w niekontrolowanych spazmach ciało, kiedy osiągała kolejny orgazm. Wylewał w nią i na nią strumienie gorącego nasienia. Nie byli nawet kochankami. Stawali się powoli jednością, połączonym we wspólnym przeżywaniu rozkoszy organizmem.

Obudził się z bólem głowy. Usiadł na skraju łóżka. Piekły go rozdrapane do krwi plecy. Rzucił okiem na podnoszące się w spokojnym oddechu smagłe plecy Diany i uśmiechnął się. Ten widok nie miał ceny. Pochylił się i pocałował ją w łopatkę. Najciszej, jak tylko potrafił, zebrał z podłogi swoją bieliznę i omijając najmocniej skrzypiące klepki parkietu, poczłapał do łazienki. Po drodze zgarnął ze stołu komórkę i spojrzął na ekran.

Włosy zjeżyły mu się na głowie. Miał pięć nieodebranych połączeń od Giacomina. Za piętnaście minut miał być poza miastem. Nie mógł krzyczeć, aby nie

obudzić Dianę, ale w jego mózgu rozbrzmiało głośne i przeciągłe: caaaaazzo-ooooooo!.

Pięć minut później nieumyty i nieogolony zbiegał po schodach. Mieszkanie w centrum miasta miało tyle plusów, co i minusów. Jego pachnąca nowością droga alfa nie mogła tu parkować i stała bezużyteczna w garażu komendy. Musiał poradzić sobie w inny sposób.

Kiedy stanął przed bramą kamienicy, dostrzegł nadjeżdżającego ulicą białego fiata ze znacznikiem „taxi”. Bez zastanowienia przeskoczył przez niski murek i wtargnął na środek jezdni. Pisk opon złał się ze wściekłym rykiem kilkunastu klaksonów, ale osiągnął swój cel. Maskę fiata zatrzymała się kilka centymetrów od jego nóg.

Taksówkarz, nie zważając na siąpiący lekko deszcz, otworzył okienko i wymachując rękami, wypuścił z siebie misterną wiązkę neapolitańskich przekleństw. Davide wyjął odznakę i zamachał nią taksówkarzowi przed nosem. Mamroczący pod nosem i bynajmniej nieudobruchany południowiec zgodził się łaskawie na kurs. Davide, nie słuchając jego narzekania, opadł na siedzenie pasażera i przymknął oczy.

Kiedy dojechali na miejsce, z trudem powstrzymywał wymioty. Nieprzespana noc i kręta górską drogą pokonana w tempie godnym wyścigowego toru w pobliskiej Monzy doprowadziły organizm Davida do granicy wytrzymałości. Wcisnął banknot w rękę taksówkarza i wytoczył się wprost pod nogi karabiniera, który w kuloodpornej kamizelce i z półautomatyczną bronią przewieszoną przez szyję pilnował prowizorycznego posterunku ustawionego na skraju szosy.

Davide pokazał mu odznakę. Strażnik obrzucił go nieufnym spojrzeniem i sięgnął po krótkofalówkę. Po szybkiej wymianie zdań, ze źle ukrywanym obrzydzeniem wymalowanym na twarzy, przepuścił dziennikarza dalej.

Leśny trakt za kapliczką ze Świętym Łukaszem blokowało kilkanaście pojazdów w barwach karabinierów. Wokół nich krzątało się około dwudziestu mundurowych, którzy kompletowali sprzęt i najwyraźniej szykowali się do akcji. Jedyny nieumundurowany funkcjonariusz, z olbrzymią kaburą przytroczoną elastycznymi paskami do dżinsów, stał z dala od grupy i chroniąc się przed deszczem pod wąskim daszkiem kapliczki, palił spokojnie papierosa.

– Giaco! – zawołał Davide ucieszony widokiem przyjaciela.

Porucznik obrócił się w jego stronę i splunął przez zęby.

– *Fanculo*, młody! – przywitał go przekleństwem. – Z trudem załatwiłem ci tu wejściówkę, a ty nawet telefonu nie odbierasz?! Jak ty w ogóle wyglądasz? – Spojrzał na niego i zacisnął szczękę. Nie miał najmniejszych wątpliwości, z kim

dziennikarz spędził ostatnią noc. – Biegaj do mojego wozu. – Wskazał zaparkowanego na poboczu jeepa. – W bagażniku znajdziesz dla siebie gadżety. Jak nie wrócisz za pięć minut przygotowany, jak należy, to ruszamy bez ciebie – zakomenderował i odwrócił się plecami.

Davide posłusznie podszedł do samochodu i otworzył bagażnik. Giacomo nie należał do pedantów. Wśród pogiętych puszek i butelek po piwie leżała kamizelka kuloodporna z napisem PRESS oraz pozbawiony przyłbicy lekki czarny kask. Dziennikarz przełożył sobie przez głowę ciężką kamizelkę i po chwili szamotaniny z paskami zrezygnował z jej zamocowania. Zamiast tego uruchomił kamerę w komórce i włożył ją sobie do ciasnej kieszeni na piersiach w taki sposób, aby wystający z niej obiektyw mógł uwiecznić całą akcję. Wcisnął przyciasny hełm na głowę i podbiegł do porucznika, który stał już na końcu ustawiających się w formację, uzbrojonych po zęby szturmowców.

Giacomo obejrzał go krytycznym wzrokiem i troskliwym gestem zapiął mu kamizelkę.

– Gdzie klamka? – zapytał.

Davide poczerwieniał jak uczeń wezwany do tablicy i spuścił wzrok.

– Spieszyłem się...

– Kurwa! Znowu! – skwitował krótko porucznik. – Spierdalaj za moje plecy – zakomenderował. – Jak się stamtąd wychylisz, wyślę cię na kopach z tej góry, tak że zatrzymasz się dopiero koło Neptuna. Rozumiesz?

Skruszony dziennikarz skinął głową. Giacomo obrócił się do niego, chwycił go za kurtkę i przyciągnął do siebie z siłą rosłego niedźwiedzia.

– Davide, to nie są, kurwa, żarty, rozumiesz? Już nawet nie chodzi o to, że wywalą mnie z roboty tak jak Dianę. Ale ona mi jaja urwie, jak ci się coś stanie. Obiecuj, że nie będziesz się wychylać – poprosił podejrzanie miękkim głosem. Davide przysięgłby, że w oczach porucznika na moment pojawiło się wzruszenie. Chwycił go za ramię i uściśnął je mocno.

– Daję słowo – powiedział poważnie.

Dalszą rozmowę przerwały im komendy powtarzane cicho wzdłuż dwóch ustawionych gęsiego szeregow funkcyjariuszów. Dziennikarz po chwili obserwacji doszedł do wniosku, że pod kapliczką zgromadziły się drużyny karabinierów z co najmniej dwóch miast. Linia ustawiona po prawej stronie ścieżki, na końcu której stali wraz z Giacomem, składała się z mundurowych pochodzących w większości z komendy głównej w Ferrarze. Rozpoznał kilka znajomych twarzy, łącznie ze stojącym na przedzie kolumny dowódcą, porucznikiem Mantovanim. Po przeciwnej stronie ścieżki stali karabinierzy z Bolonii odróżniający się od

reszty małymi krzyżami Świętego Jerzego naszytymi na rękawach kurtek. Na ich czele stał młodziutki, na oko dwudziestopięcioletni funkcjonariusz, który, jak podejrzewał Davide, dopiero co ukończył szkołę oficerską w Modenie. Młodzieniec odłożył krótkofalówkę, wyszedł na środek ścieżki, odwrócił się do podkomendnych i gestem wydał rozkaz „naprzód”.

Szeregi ruszyły brzegami ścieżki, która zaczęła piąć się ostro w górę. Pomimo zacinającego deszczu, przenikającej wilgoci i zawiewającego wiatru, odzianemu w kamizelkę z kevlaru Davidowi po kilku krokach zrobiło się gorąco. Usłyszał dochodzące z czoła kolumny posapywanie mężczyzn, którzy nieśli ze sobą ciężkie tarcze i zakończone hakami drabiny.

Po półgodzinnym marszu młody porucznik zatrzymał obie kolumny. Gestem przywołał do siebie operatora niewielkiego drona, który od początku marszu unosił się nad ich głowami. Reszta karabinierów zamarła w przykłęku. Dron z cichym szelestem zniknął za załosem ścieżki. Dowódca wskazał na mężczyzn niosących drabiny i szczypcę do rozcinania ogrodzeń i kazał im ruszyć naprzód. Oczekiwanie trwało jeszcze około dziesięciu minut, po których młody porucznik wziął do ust metalowy gwizdek i nabrał tchu. Przenikliwy dźwięk przeciął powietrze, płosząc ptactwo zaszyte w zaroślach.

Davide nie podejrzewał nawet, że grupa zmęczonych marszem i objuconych ciężkim ekwipunkiem mężczyzn może z taką lekkością i impetem ruszyć do przodu. Pochyleni lekko ku ziemi szturmowcy w kilka sekund dopadli otwartego przez zwiadowców ogrodzenia. Minęli skrępowanego plastikowym paskiem i zakneblowanego mężczyznę, który pilnował bramy. Weszli na otwartą przestrzeń, gdzie obie drużyny rozwinęły się w tyralierę i schowały się za pierwszymi budynkami w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

Davide ostrożnie się wyprostował i rozejrzał dookoła. Poczłł rodzaj ulgi na widok budynków, które go otaczały. Wszystko było takie, jak zapamiętał. Oznaczało to, że narkotyki, którymi go nafaszerowano, nie zaburzyły całkowicie jego percepcji. Nie wymyślił sobie tego miejsca. Na samym szczycie wzgórza stała wielka willa. Pod nią wznosiły się zabudowania gospodarcze i małe chatki. Z miejsca, gdzie stał, widział nawet barak, w którym go więziono. Po lewej stronie, przy ścieżce prowadzącej w stronę baraku, stała szklarnia i dziwaczny magazyn, w którym schował się przed ucieczką. Brakowało tylko jednego.

– Tu nikogo nie ma! – powiedział cicho do porucznika.

Giacomo potwierdził skinieniem głowy.

– Coś jest nie tak. Wiedzą, że tu jesteśmy. Uciekli albo coś nam szykują.

Z lewego skrzydła na ścieżkę wyszedł młody dowódca. Nawet nie próbował się kryć. Prawdopodobnie uwierzył w to, że obóz był opustoszały. Schowany za kamienną studnię porucznik Mantovani gestami próbował zmusić go do ukłęknięcia. Młody dowódca wzruszył pogardliwie ramionami.

– Pusto, panowie! – powiedział tak głośno, że stojący najdalej od niego Davide usłyszał go wyraźnie.

– Cynk był do bani – dodał i zatoczył krąg ramieniem. – Dla świętego spokoju sprawdzimy te szczurze nory i możemy wracać do...

Gdy wypowiadał te słowa, zza rogu najbliższego budynku za jego plecami wynurzył się zwalasty, ubrany w taktyczną kamizelkę ochroniarz. Z podłużnego przedmiotu, który trzymał w dłoniach, wypelzły dwa długie płomienie. Rozległ się potężny huk i głowa młodego porucznika zniknęła. Pozbawione jej ciało stało jeszcze przez ułamek sekundy, po którym zwało się na ziemię jak worek ziemniaków.

– Lupara!!! – krzyknął blady jak ściana Giacomo i wycelował swój olbrzymi pistolet desert eagle w róg domu, za którym schował się strzelec.

Davide znał tę nazwę tylko z opowiadań. W najgorszych snach nie przyszło mu do głowy, że zobaczy efekty działania lupary – używanego przez żołnierzy mafii obrzyna, którego pociski zawierały malutkie kulki śrutu połączone metalowym drutem. Tak zaimprovizowany ładunek rozszarpywał na strzępy ciała ofiar.

Nawet na szkolonych do walki szturmowcach ten okrutny i niespodziewany rodzaj śmierci zrobił piorunujące wrażenie. Lewe skrzydło, złożone z podkomendnych zabitego dowódcy, pierzchło i ukryło się w bruzdach. Karabinierzy z Ferrary wbili wzrok w swojego dowódcę. Mantovani zawahał się tylko przez sekundę. Gestami wydał rozkaz rozciągnięcia skrzydeł i okrążenia chaty, zza której padł śmiertelny strzał. Sam z dwoma przybocznymi położył się na ziemi i rozpoczął zaporowy ostrzał z krótkolufowej beretty M12.

Krótkie serie, po maksymalnie trzy strzały, odłupywały kawałki cegieł z muru, za którym ukrył się ochroniarz, podczas gdy karabinierzy z Ferrary i niektórzy podkomendni zabitego porucznika, którym udało się opanować szok, zaczęły szturmować budynek. Davide dostrzegł ciemną sylwetkę znikającą za następnym w szeregu domem.

– Uciekł im. I na pewno nie jest sam – stwierdził Giacomo i obrócił się do dziennikarza. – Młody, masz się stąd nie ruszać, okej?! – krzyknął z przejęciem wypisanym na twarzy.

Davide skinął głową. Porucznik, pochylając się nisko, zawrócił do ogrodzenia i pobiegł wzdłuż niego w kierunku szklarni. Dziennikarz domyślił się, dlaczego tam się skierował. Szklarnia stała na wzniesieniu. Osiągając ten „przyczółek”, zyskiwało się widok na całą ścieżkę i większość stojących wzdłuż niej budynków. Słabym punktem tej pozycji były jednak szklane ściany, które nie zapewniały żadnej ochrony.

W tym czasie karabinierzy przeszukiwali już pierwszą chatę. Davide usłyszał okrzyki „czysto!”. Tyraliera ruszyła dalej. Dziennikarz, łamiąc daną przyjacielowi obietnicę, poszedł w ich ślady.

Szturmowcy podeszli do następnego rzędu zabudowań. Wyżej znajdowały się już tylko szklarnia, domek z szopą oraz stojący niemal pod samą willą barak, z którego uciekł Davide.

Porucznik Mantovani odczepił od kamizelki taktyczny granat hukowy, który zamierzał wrzucić przez uchylone okno pierwszej z brzegu chaty. Podniósł się z kolan i podchodził już do budynku, gdy jeden z ubezpieczających go podkomendnych krzyknął:

– Kontakt!

Karabinierzy padli na ziemię i wycelowali lufy swoich karabinków w ścieżkę. Mantovani przywarł plecami do ściany chaty i ostrożnie wyjrzał zza węgła.

Z domku przy szopie wyszedł na środek ścieżki starszy mężczyzna. Jego uniesione wysoko ręce drżały ze strachu lub starczej niemocy. Davide rozpoznał starszego pana, który o mało nie nakrył go w szopie podczas ucieczki. Już wcześniej domyślił się, że był nim Ugo Malaguti. Jeśli księgarz naprawdę był przywódcą Bractwa, to pojawiała się właśnie nadzieja na to, że szturm zakończy się bez kolejnych ofiar.

– Panowie, *basta!* Nie strzelajcie już! – powiedział starzec słabym, niemal płaczącym głosem. – Na miłość boską, tam są chorzy i bezbronni ludzie! – Wskazał ręką na budynek, za którym chował się Mantovani, i postąpił krok w jego kierunku.

– Stój!!! Stać! Zatrzymaj się! – rozległy się ostre komendy karabinierów. Mantovani, widząc, co się dzieje, rzucił do swoich ludzi krótkie „nie strzelać!”, a następnie zwrócił się w stronę starca:

– Niech pan zostanie tam, gdzie pan stoi! Gdzie ten drugi?!

– Jaki drugi? – Malaguti znieruchomiał z niezdecydowanym wyrazem twarzy.

– Ten *figlio di puttana* z luparą! – odpowiedział wściekle porucznik.

– Panowie, miejcie litość, on tego nie chciał... Wtargnęliście tu, wystraszyli się, on tylko chciał chronić tych ludzi. – Malaguti próbował usprawiedliwić swojego

podwładnego.

– A chuj mnie to obchodzi! – przerwał mu bezceremonialnie Mantovani. – Pytam, gdzie on jest?! Ma natychmiast wyleźć z nory, zrozumiano? Natychmiast!!! – wrzasnął tak głośno, że echo rozniosło się po całym zboczcu.

Księgarz zerknął za siebie i nie opuszczając rąk, wykonał gest głową. Drzwi szopy się otworzyły i stanął w nich skruszony ochroniarz z rękami wyciągniętymi na boki. Obrzyn, którym pozbawił głowy dowódcę karabinierów z Bolonii, zwisał przyczepiony do jednego z nadgarstków na skórzanym pasku.

– Rzuć to w moim kierunku! Już! – Głos porucznika znów był pozbawiony cienia emocji. Odzyskiwał kontrolę nad sytuacją i odhaczał kolejne punkty podręcznika z procedurami.

Ochroniarz posłusznie rozbijał luparę na pasku i wypuścił ją przed siebie. Strzelba nieszczęśliwie wylądowała tuż przy stopach starszego mężczyzny.

– *Cazzo!* – zaklął głośno porucznik. Jego ludzie zamarli w gotowości do strzału.

Malaguti zrozumiał zaniepokojenie karabinierów i uśmiechnął się blade.

– Panowie, ja nie umiem nawet strzelać! To nie mnie się musicie bać, tylko... – Odwrócił głowę w stronę willi i padł na ziemię jak rażony piorunem.

Huk wystrzału dotarł do nich z niewielkim opóźnieniem.

– Snajper! – ryknął Mantovani do swoich ludzi. – Kryć się!!!

Davide, który obserwował zajście chroniony ścianą domku gospodarczego stojącego nieco niżej, nie miał dobrego widoku na ścieżkę, ale doskonale widział stamtąd willę. Pomiędzy marmurowymi kolumnkami podtrzymującymi balustradę szerokiego balkonu dostrzegł ciemną sylwetkę mężczyzny. Dziennikarz miał doskonały wzrok i o ile nie zwodziła go wzmocniona zimową szarugą gra światła i cieni, mógłby przysiąc, że przyczajony na balkonie strzelec miał gęste szare włosy.

– Ej, poruczniku! – zawołał w stronę dowódcy. – Mantovani!!! – krzyknął głośnie i od razu pożałował.

Poczuł na twarzy silny podmuch powietrza. Ze znajdującej się kilka metrów poniżej niego studni posypały się kamienne odłamki.

– *Porca puttana!* – Davide skulił się przerażony za ścianą. Niewiele brakowało.

– Mantovani! Snajper na balkonie! Willa! Willa, słyszysz?! Na drugiej! – krzyknął z całych sił, nie wychylając się już ani na milimetr zza ściany.

W ciszy, jaka zapanowała po jego okrzyku, usłyszał metaliczny chrzęst ekwipunku i ciche kroki szturmowców. Mantovani odebrał jego wiadomość i przemieszczał swoich ludzi na dogodniejsze pozycje. Porucznik był profesjonalistą.

Dziennikarz mógł odetchnąć z ulgą. Nie pozostawało mu już nic innego jak poczekać, aż karabinierzy opanują sytuację.

Przypomniawszy sobie o przyjacielu. Przeszedł ostrożnie na drugą stronę domu i spojrzawszy w stronę szklarni. Zobaczył Giacoma w najdziwniejszej akcji, jaką mógł sobie wyobrazić. Balansując niepewnie na jednej nodze wspartej o sporych rozmiarów metalową beczkę, porucznik próbował wdrapać się na dach szklarni. Wszystko po to, aby zająć jak najbardziej dogodną pozycję. Davide pamiętała niebezpieczne dźwięki wydawane przez szkło, kiedy sam wspinał się na szklarnię, aby uciec za ogrodzenie. Sumując dużo większą masę porucznika z jego lękiem wysokości, Davide oceniał, że jego przyjaciel wystawiał się na zbyt wielkie ryzyko. Tym bardziej że mógłby zauważyć go snajper.

Wychylił się zza rogu i pomachał ręką w jego stronę. Giacomo, zajęty swoimi akrobacjami, nie zwracał na niego uwagi. Wychylił się jeszcze bardziej i zauważył leżące na ścieżce zwłoki Malagutiego. Ani śladu po karabinierach, luparze i ochroniarzu. Davide miał nadzieję, że szturmowcy związali go i wrzucili do szopy albo chociaż zabrali ze sobą.

Ułożył sobie w głowie plan. Krótkimi skokami, od osłony do osłony, mógł dostać się do szopy, skąd było już tylko kilka kroków do szklarni. Rosło w nim coraz większe poczucie niepokoju. Instynkt nakazywał mu ściągnąć przyjaciela z niebezpiecznej pozycji.

Naprężył mięśnie i przygotował się do skoku, kiedy usłyszał brzęk tłuczonej butelki i przerażający krzyk mężczyzny dochodzący gdzieś z okolic szczytu wzgórza. Nie bacząc dłużej na niebezpieczeństwo, wybiegł na ścieżkę. Na wprost siebie, na szczycie wzgórza, zobaczył biegnącego na oślep, płonącego karabiniera z grupy szturmowej. Ktoś z willi lub innego budynku musiał rzucić w niego koktajlem Mołotowa. Jeden ze schowanych w rowie szturmowców wybiegł na ścieżkę i podciął płonącemu koledze nogi. Kiedy ten, wijąc się z bólu, padł na ziemię, inni koledzy zaczęli zasypywać go ziemią. To był jednak dopiero początek piekła. Z balkonu willi poleciały następne butelki. Z różnych kierunków rozległy się pojedyncze strzały.

Jeden z gaszących kolegę karabinierów upadł na ścieżkę i znieruchomiał.

Trafiony butelką budynek, obok którego stał Davide, zajął się ogniem. Dziennikarz przypomniał sobie rozpaczliwą prośbę Malagutiego.

A jeśli nie kłamał i w budynku rzeczywiście byli jacyś chorzy?

Nie było czasu do namysłu. Nacisnął klamkę i uderzył barkiem w drzwi płonącego baraku. Wąski korytarzyk zapęlniał się już dymem. Otworzył drzwi pierwszej salki. Za drzwiami znajdowało się pomieszczenie przypominające szpitalną

izolatkę. Na łóżku, podpięta do kroplówki, leżała wątła postać. Davide podbiegł do niej z nadzieją. Niestety nie była to Aurora. Zdjął woreczek z kroplówką z wiszaka, wziął go w zęby i najdelikatniej, jak mógł, uniósł chude ciało wraz kołdrą do góry.

– Cichutko... wszystko będzie dobrze – wyszeptał w stronę zmaltretowanej kobiecej twarzy, która spojrzała na niego przez ułamek sekundy i jęknęła cicho. Uważając na jej głowę i kuląc się przed świstającymi ze wszystkich stron kulami, wyniósł ją poza budynek, zszedł kilkanaście metrów i delikatnie położył kobietę na suchej trawie pod osłoną zabudowania gospodarczego. Zawiesił kroplówkę na krzaku i zawrócił do płonącego pomieszczenia. Za każdym razem bardziej zmęczony powtórzył tę trasę jeszcze dwa razy z kolejnymi pacjentami. Ostatnim okazał się mały chłopiec, na oko dziesięcioletni. Wraz z nim, oprócz kołdry, zgarnął z łóżka pluszowego misia. Róg pokoju, w którym znajdował się chłopiec, palił się już żywym i kopącym na czarno ogniem. Kaszłąc tak, jakby miał wypłuć własne płuca, stanął w drzwiach baraku i znieruchomiał. Po drugiej stronie ścieżki, obok otwartych na oścież wrót szopy, które zasłoniły sobą widok na stojącą z tyłu szklarnię, stał wielki ochroniarz z luparą wycelowaną w Davida.

Dziennikarz przełknął smakującą palonym węglem ślinę.

– Ty... To przez ciebie to wszystko!!! – Ochroniarz mierzył go nienawistnym spojrzeniem.

– Spokojnie! Nie strzelaj – powiedział blady jak ściana Davide. – Pozwól chociaż, że go położę. – Wskazał brodą na nieprzytomnego chłopca, którego tulił w ramionach.

Wpatrując się w oczy ochroniarza, podszedł kilka kroków do przodu, aby znaleźć się jak najdalej od płonącego budynku. Przyklęknął i złożył bezwładne ciało chłopca do rowu obok ścieżki. W tych warunkach mógł tylko zabezpieczyć go przed zabłąkanymi kulami. Opatulił chłopca kołdrą i położył mu na piersiach misia. Zdawał sobie sprawę, że są to może ostatnie czynności, jakie wykona w życiu. Ochroniarz nie spuszczał go z oczu.

– No już, dość tego. Wstawaj! – zakomenderował i potrząsnął obrzynem.

Davide wiedział, że gdy tylko wstanie, mężczyzna pociągnie za spust. Miał już tylko jedną jedyną szansę. Z przyklęku lepiej się skacze. Miał to przećwiczone. Kiedyś skutecznie rzucił się na bandytę z tej właśnie pozycji. Różnica polegała tylko na tym, że tamten nie był uzbrojony. Mimo wszystko postanowił spróbować. Nie miał już nic do stracenia. Lupara zadawała na szczęście szybką śmierć. Napiął się i zacisnął szczęki.

Ochroniarz domyślił się jego intencji. Jego palec wskazujący opadł na spust. Davide zapamiętał odległość i zamknął oczy. Był gotowy. Skoczył.

Rozległ się potworny huk. Dziennikarz poczuł, że leci w przeciwnym kierunku niż ten, w który się rzucił. Twarz zapiekła go, jakby wbiło się w nią tysiąc igieł. Poczul na niej coś mokrego.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył czerwone niebo. W uszach słyszał przeciągły gwizd, przez który przebijały się jakieś okrzyki. Podniósł dłoń do góry. Skoro ją podniósł, to ją miał, i to była dobra wiadomość. Przetarł oczy zasmarowane jakąś czerwoną mazią. Z przerażeniem zobaczył na palcach krew i jakąś mięsną masę. W panice uniósł się na łokciach. Dwa kroki przed nim leżał ochroniarz, a właściwie to, co z niego zostało. W drzwiach szopy ziała olbrzymia dziura, przez którą zobaczył machającego w jego kierunku i drącego się na całe gardło Giacomina z olbrzymim, dymiącym jeszcze pistoletem w dłoni. Porucznik zaryzykował niebawala wręcz strzał przez drzwi stodoły. Tylko najpotężniejszy półcalowy kaliber desert eagle mógł dokonać tego cudu – przebić solidne drewniane drzwi i powalić rosnącego mężczyznę. To jego resztki wraz z drewnianymi drzazgami wylądowały na twarzy dziennikarza.

– Davide!!! Davide, kurwa, wstawaaaaj! – krzyczał w jego stronę porucznik, który niezdarnie próbował zejść z dachu szklarni.

Dziennikarz dopiero po chwili zobaczył wokół siebie małe obłoczki kurzu unoszące się ze ścieżki. Wciąż był pod ostrzałem.

Krzyzcząc z bólu i przerażenia, stanął na nogi. Chwiejąc się, zerknął na śpiącego w rowie chłopca. Wyglądało na to, że był tam bezpieczny. Teraz musiał pomyśleć o sobie i pomóc przyjacielowi. Ruszył przed siebie. Kopnął drzwi szopy i wpadł na ścieżkę prowadzącą do szklarni. Giacomo był wciąż na dachu. Na widok Davida na jego twarzy odmalowała się mieszanka ulgi, radości i wściekłości.

– Czy ja ci nie mówiłem, żebyś się trzymał z tyłu?! – krzyknął do niego. – Ale skoro tu jesteś, to rusz tu łaskawie dupę i... – nie dokończył, gdyż przez pagórek przetoczyła się kanonada broni automatycznej. Davide czmychnął do rowu jak spłoszony zając. Giacomo przywarł do dachu. Dymki wystrzałów omiotły szopę, rosnące przy niej rachityczne krzaki i wciąż przesuwając się w stronę szklarni, dosięgły pierwszych szyb. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Szyby rozwalone kulami znajdowały się na samym dole. Ostrzał nie dosięgnął wyższej kondygnacji, nad którą wisiał trzymający się kurczowo spoin porucznik, jednak osłabiona konstrukcja szklarni nie wytrzymała obciążenia i kolejne płyty szyb zaczęły załamywać się i zapadać jak karty walącego się domku z karty.

Davide usłyszał własny krzyk.

– Neeeeeeee! – wrzeszczał, patrząc jak Giacomo niknie wśród eksplodujących i lecących wraz z nim w dół szyb.

Nawet się nie spostrzegł, jak i kiedy znalazł się na miejscu katastrofy. Błyskawicznie podniósł dwie ciężkie ramy i wśród kawałków potłuczonego szkła z ulgą zobaczył zakrwawioną, ale uśmiechniętą twarz porucznika.

– Ja pierdołę, młody... zawsze wiedziałem, że wysokość mnie zabije – powiedział słabym głosem.

– Nic... nic cię nie zabije, ty twardy idioto – wysapał Davide, próbując nabrać tchu. – Miałeś szczęście, że założyłeś kamizelkę!

Padł na kolana i jak szalony zaczął odgarniać resztki szkła z ciała porucznika. Kiedy przesunął dłoń, aby oczyścić twarz przyjaciela z krwi, jego rękaw o coś zahaczył. Przyjrzał się temu bliżej i jego serce się zatrzymało.

Z odsłoniętej szyi porucznika wystawał olbrzymi, zakończony szpikulcem płat szkła.

Giacomo spojrział Davidowi w oczy.

– Niespo... dzianka – powiedział i zachłysnął się własną krwią, która buchnęła mu z ust.

– Nie, nie, nie, nie, nie!!! – Davide tracił nad sobą panowanie. Chwyił porucznika za rękę i wykonał gest, jakby chciał go szarpnąć i postawić na nogi. Kiedy uświadomił sobie bezsens swojego postępowania, podniósł głowę i zaczął wrzeszczeć.

– Lekarz! Sanitariusz! Na pomoc! Szybko!!! *Cazzooooooooo!!!* – Jego rozpaczliwy krzyk przeszedł w skowyt.

Gasnące oczy porucznika śledziły jego bezproduktywne starania. Kiedy dziennikarz opadł z sił, wzrok przyjaciela był już szklisty i nieobecny.

Davidem wstrząsnął szloch. Oparł dłonie na nieruchomej piersi karabiniera.

– Giaco! Co ja powiem Dianie? Co ja mam, kurwa, powiedzieć Dianie?!!

Na zakrwawionym czole martwego porucznika przysiadł biały motyl. Dziennikarz odgonił go i zobaczył następnego, a później kolejnego. Wokół niego fruwało i przysiadało na szczątkach szklarni setki, tysiące białych motyli.

Skrzydlate owady jak na komendę wzbily się nagle do góry. Biały wibrujący obłok zatoczył koło i pofrunął w stronę widocznej w oddali willi.

Davide poczuł, jak tężeją w nim wszystkie mięśnie.

– Szary Cień – wycharczał z nienawiścią.

Zacisnął poprzecinaną szkłem dłoń na zimnej rękojeści pistoletu porucznika. Oparł długą lufę o ziemię, wsparł się na niej jak na lasce i pokonując ból promie-

niujący z każdej części jego obolałego ciała, stanął na nogi. Wbił lodowate spojrzenie w wilę i nie zważając na padające wciąż tu i tam pojedyncze strzały, ruszył powoli przed siebie.

Willa

Pierwszy strzał, który oddał, o mało nie wyłamał mu nadgarstków. Giacomo nigdy nie pozwolił mu strzelać ze swojego pistoletu, więc odrzut, jaki spowodowała eksplozja potężnego pocisku desert eagle, był dla Davida prawdziwym zaskoczeniem.

Dla jego przeciwnika również.

Schowany za metalowymi drzwiami wejściowymi willi osobisty ochroniarz Szarego Cienia zdziwił się z kilku powodów naraz. Młody, utyłany w krwi i błocie mężczyzna, który podchodził do willi, nie zachowywał się tak, jak karabinierzy, których szturm udało się odeprzeć po krwawej i zajadłej walce. Młodzieniec parł naprzód, w ogóle się nie kryjąc, i zachowywał się, jakby kule się go nie miały. Ochroniarz po bezskutecznym i o dziwo niecelnym ogniu zaporowym przywarł do uchylonych drzwi, szukając za nimi ochrony.

To było jego ostatnie zaskoczenie, gdyż chwilę potem leżał przeszyty odłamkami pancernych drzwi, za którymi się schronił. Kula kalibru 50 nie zdołała wprawdzie przebić grubej blachy, z jakiej zostały wykonane, ale spowodowała efekt podobny do tego, jaki następuje w pancernych pojazdach po eksplozji pocisku kumulacyjnego. Na skutek przyjęcia potężnej energii metalowe drzazgi oderwały się od wewnętrznej powierzchni drzwi i poraniły ochroniarza, który wijąc się z bólu, patrzył teraz, jak młody mężczyzna wchodzi do pomieszczenia, przekracza leżące blisko wejścia pozbawione oka zwłoki porucznika Mantovaniego, mija jego samego i niezmiennie tym samym, powolnym i beznamiętnym krokiem podąża w głąb korytarza.

Ochroniarz z wysiłkiem sięgnął po krótkofalówkę i wyrzucił do niej:

– *Dottor Guarini! Mi dispiace...* Jeden się przedarł! Powtarzam...

Nacisnął guzik odbioru. Odpowiedział mu jedynie szum.

„Buongiorno dniowi, który budzi się, i budzi także mnie!” – wesołym głosem Pavarottiego śpiewała winda, która niespiesznie wwoziła Davida na pierwsze i jedyne piętro budynku.

Spojrzał na siebie w lustrze i zobaczył obcego człowieka z pistoletem. Winda zrobiła „blink” i zatrzymała się. Drzwi bezszelestnie się rozsunęły. Obcy człowiek z lustra uniósł broń i wkroczył na wyścielany czarną wykładziną korytarz.

Jak na tak okazała się, korytarz był niespodziewanie krótki i zupełnie pusty. Wielki naścienny zegar w złotej oprawie z głośnym „tik, tak” odmierzał bezdusznie mijające sekundy. Davide nacisnął klamkę pierwszych z trojga drzwi. Otworzył je i zaraz zamknął. Nie był zainteresowany wizytą w łazience.

Za drugimi drzwiami znajdowało się niewielkie, urządzone z przepychem studio. Wycelował w stojący za biurkiem, obrócony tyłem fotel. Zbliżył się do niego powoli, przysięgając sobie w myślach, że jeśli zobaczy tam sprawcę śmierci swoich przyjaciół, nie zawaha się nacisnąć spustu, choćby widok rozbryzgującego się na ścianie mózgu miał go prześladować do końca życia.

Wstrzymał oddech i kopnął fotel, który zatoczył pełen obrót. Siedzisko było puste.

Davide zaklął i wrócił na korytarz.

Trzecie drzwi były zamknięte na klucz.

Cofnął się o kilka kroków. Nauczony wcześniejszym doświadczeniem ścisnął dłońmi kolbę pistoletu najsilniej, jak mógł, i rozszerzył łokcie. Wycelował w zamek i nacisnął spust. Ogłuszający huk o mało nie rozerwał mu bębenków, a mimo tego zdołał usłyszeć dochodzący zza drzwi przerażony okrzyk męczyzny. Serce zabiło mu mocniej. Nie opuszczając broni, wpadł do pokoju jak bomba.

Pomieszczenie było zadymione gazami prochowymi. Wycelował w leżącą na łóżku sylwetkę i opuścił palec na spust.

– Davide! Davide, to ja, nie strzelaj! – Usłyszał jak przez watę.

Z łóżka patrzyła na niego przerażona i wychudzona twarz Massima Trovato.

– Cześć, zdrajco – przywitał go Davide, uśmiechając się krzywo. – Więc to tu się ukryłeś!

– To nie tak! Mylisz się!!! – Głos Massima był rozpaczliwy. – Zresztą zabij mnie, jak musisz, ale nie tutaj, bo możesz zranić Aurorę!

Dopiero teraz zauważył drobną postać skuloną na sąsiednim łóżku. Dziewczyna przypominała szkielet. Chyba tylko maszyny, do których była podpięta różnokolorowymi rurkami, utrzymywały ją wciąż przy życiu.

– Jej już niewiele zostało – powiedział Massimo grobowym tonem. – A ja chcę odejść wraz z nią, rozumiesz?! Tak zdecydowałem. Będziesz miał swoją satysfakcję! – Spojrzał mu prosto w oczy. – Ale wiedz, że zdradziłem cię tylko po to, żeby móc jej do końca towarzyszyć. Ona jest śmiertelnie chora. Dlatego tu trafiła. Tak jak inni, jak Sara. Oni chcieli tylko odejść z godnością, bo państwo im tego odmawiało, a na ich choroby nie ma żadnego lekarstwa.

– Gówno prawda – przerwał mu bezceremonialnie dziennikarz, siadając ciężko na zydelku stojącym w rogu pomieszczenia.

– Jakie gówno? Jak możesz?! – oburzył się Massimo, podnosząc się z trudem na poduszce.

– Wszystko to jest gówno prawda – powtórzył Davide, wrzeszcząc ramionami. – Nikt tu nie jest chory, a już na pewno nie Aurora. On was wszystkich wrobił. Ten pieprzony psychol z peruką i siwymi włosami. Twój Szary Cień...

– Więc już o nim wiesz...? – Massimo opuścił lekko wzrok. – Ale on się zmienił, on jest teraz lekarzem... A to, co ty mówisz, to jakieś piramidalne bzdury! Skąd ty to wzięłeś, człowieku?! Przecież wszyscy tutaj mają wyroki śmierci! Widziałem wyniki ze szpitala! On sam mi je pokazał... – W miarę jak mówił, emocjonował się coraz bardziej. – Według ciebie oni to symulują?! – Wskazała na Aurorę, która patrzyła na nich półprzymkniętymi oczami. – Jak możesz być taki bezduszny?

– Teriak – powiedział Davide zmęczonym głosem.

– Co?

– Taki narkotyk. Mnie też nim faszrowali. A wyniki ze szpitala są na sto procent sfałszowane. A przynajmniej znaczna ich część. U karabinierów jest już na to gruba teczka. Gdyby nie to, w ogóle by się tu nie pofatygowali. Szkoda tylko, że kilku czołgów ze sobą nie wzięli... – westchnął. – Nieważne, dowiecie się później. Będziecie żyli – i ty, i Aurora, zapewniam cię. Tylko się nie odłączajcie teraz od tych rurek. Niech to zrobią lekarze, jak tu w końcu przyjadą i dogrzebią się do was w tej... – Nie znajdował właściwego słowa. – ...trupiarni – dokończył i pokonując ból, wstał powoli z krzesła.

– Miał gumowce? – zapytał Massima, który z wyrazem niedowierzania wymalowanym na twarzy patrzył to na niego, to na Aurorę.

– Co takiego? – Mężczyzna był kompletnie zdezorientowany. Trawił jeszcze poprzednie słowa dziennikarza.

– Czy ten twój Mendele miał na sobie gumowce, kiedy go ostatni raz widziałeś. – Davide wyjaśnił pytanie.

– Tutaj wszyscy zawsze noszą gumowce... – odpowiedział niepewnie. – Czekaj!
– Chwycił za rękaw stojącego już w drzwiach Davida. Sięgnął do szafki przy łóżku i wyciągnął z niego pękaty notes z kolorową, pomalowaną mazakami okładką.

– Znalazłem to wczoraj w tej szafce. To chyba należało do Sary – powiedział, wciskając mu kajet do ręki.

Davide odłożył pistolet na szafkę i drżącymi rękami podniósł notes w stronę światła. Otworzył go i na pierwszej stronie zobaczył swoje własne zdjęcie z dzieciństwa. Siedział na nim na huśtawce obok małej, na oko sześciolatniej dziewczynki z kucykami. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Mój polski narzeczony”. Nie pamiętał w ogóle Sary z dzieciństwa i nie miał pojęcia, że aż tak długo się znali. Przetarł zażawione oczy brudną ręką i wrócił do wertowania pamiętnika. Zapisy w nim trwały nieprzerwanie od dzieciństwa dziewczyny, aż do jej śmierci.

Odetchnął ciężko ze wzruszenia i chciał już zamknąć książeczkę, gdy wyleciało z niej na podłogę niewielkie, pożółkłe czarnobiałe zdjęcie. Schylił się po nie i podszedł z nim do okna. Kiedy na nie spojrzął, w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co i kogo przedstawia.

Mężczyzna o twarzy filmowego amanta z początku wieku siedział za stołem w śmiesznej szpiczastej czapce z frędzelkami i kleił ciasto. Nie, nie kleił ciasta.

Davide podszedł do bielusieńkiego ręcznika zwisającego z haczyka na ścianie i przetarł nim twarz. Spojrzął jeszcze raz na zdjęcie. Mężczyzna bez cienia wątpliwości rzeźbił, a to, co rzeźbił, wydało się Davidowi bardzo znajome.

– Głowa... – powiedział do siebie.

Po chwili zaczął się śmiać. Najpierw cicho, sucho i sztucznie. Potem coraz głośniej i bez opanowania.

– Anonimowy artysta! – Zachłysnął się własną śliną. – Ha, ha, ha! Dobrze! Ha, ha, ha, ha! – Śmiał się, krztusząc się i kaszląc.

Przystojny mężczyzna na zdjęciu także szeroko się uśmiechał. W widocznym za jego plecami oknie dumnie pozowały do zdjęcia dwie bolońskie wieże. Wszelkie wątpliwości rozwiewał starannie wykaligrafowany, choć lekko zatarty napis umieszczony w prawym dolnym rogu fotografii:

„Bologna 1916. Amedeo [nieczytelne]gliani”.

Davide opanował się i wsunął zdjęcie do pamiętnika. Zerknął na leżącą na szafce broń i spoważniał. Podniósł pistolet i na jego miejsce położył pamiętnik.

– Przypilnuj tego dla mnie. Jak oka w głowie. Ten pamiętnik jest cenniejszy, niż myślisz – powiedział do Massima.

Mężczyzna skinął głową.

– Jeszcze jedno! – Dziennikarz, sycząc z bólu, próbował poranionymi dłońmi wyciągnąć coś z poszatkowanej odłamkami drewna i szkła kamizelki z napisem PRESS. W końcu wydobył stamtąd telefon i spojrzał na niego zadowolony. Kamera była w całości. Ekran był potłuczony tylko w jednym z rogów, ale działał. Rzucił go na opatulone kołdrą nogi Massima.

– Nie wiem, czy ktoś tam na dole przeżył i zdążył wezwać pomoc – oznajmił. – Lepiej sam zadzwoń na alarmowy. I niech sprowadzą karetki. Dużo karetek. I to szybko – dodał i zniknął za drzwiami.

Wyścig z czasem

Widok z balkonu przylegającego do pustego gabinetu lekarza nie napawał Davida optymizmem.

Dopiero stąd można było zobaczyć przerażające skutki nieudanego szturmowania karabinierów.

Nieruchome ciała poległych funkcjonariuszy leżały w różnych miejscach posesji, przemieszane z ubranymi w czarne kamizelki zwłokami ludzi, którzy próbowali ich powstrzymać. Dwa z dziesięciu baraków, których doliczył się dziennikarz, płonęły żywym ogniem.

Nie wszyscy jednak zginęli.

Obóz nie był tak opustoszały, jak sądzili, kiedy wkraczali do niego przez główną bramę. Z ocalałych zabudowań wysypywali się na zewnątrz ubrani w piżamy ludzie. Dwóch mężczyzn w kombinezonach wynosiło na polanę łóżka z nieprzytomnymi dziećmi. Jakiś osobnik w kitlu przypominającym lekarski podchodził od jednego do drugiego, sprawdzając ich stan. Ogolone na tyso kobiety w białych ubraniach pochylały się nad leżącymi nieruchomo ciałami. Obok jednego z płonących budynków Davide wypatrzył dwóch karabinierów, którzy opatrywali się nawzajem.

Brakowało tylko osoby, która była odpowiedzialna za tę masakrę. Szary Cień musiał być już daleko. Ale Davide znał drogę jego ucieczki i wciąż miał szansę go dogonić.

Otrząsnął się i spojrzał w dół. Zejście z balkonu wydawało się dziecinną igraszka. Uważając, żeby nie przewrócić się na łuskach, które wały się po podłodze, ściągnął z siebie ciężką kamizelkę kuloodporną i rzucił ją na balkon. W ślad za nią poleciał zdjęty z głowy kask. Z ulgą przecesał palcami swoje gęste włosy. Na szczęście nie zgubił odznaki karabinierów, która wciąż zwisała mu z łańcuszka przewieszzonego przez szyję. Tam, gdzie się udawał, mogła mu się

jeszcze przydać. Wcisnął olbrzymi pistolet za pasek od spodni, zakrył go kurtką i przełożył nogę przez balustradę.

Skok na znajdujący się poniżej garaż skończył się małą wywrotką, po której szybko się pozbierał. Otrzeptał spodnie, ominął zwłoki karabiniera zabitego celnym strzałem w głowę podczas próby podejścia pod balkon i zeskoczył z garażu. Jego drzwi były otwarte na oścież. Ktoś odjechał stąd sporych rozmiarów samochodem, co można było wywnioskować po śladach wyżłobionych w błocie przy podjeździe.

Na szczęście w przestronnym pomieszczeniu pozostały jeszcze inne środki transportu. Przykryty derką śnieżny ślizgacz był zupełnie bezużyteczny. Do wyboru zostawały zablozony mountain bike oraz błyszczący nowością motocykl enduro.

Davide podszedł do motocykla i zlustrował go uważnie. Miał mnóstwo szczęścia – kluczyki tkwiły w stacyjce. Dotknął kierownicy i westchnął. Obrócił się na pięcie i zdjął ze stojaka rower. Pochodził z Ferrary, „miasta rowerów”. Jazda na rowerze była dla niego jak chodzenie, czego nie mógł powiedzieć o motocyklach. Chciał się zemścić, a nie zginąć na drzewie.

Wskoczył na siodełko i stanął na pedałach. Miał już zamiar ruszać, gdy przypomniało mu się coś ważnego. Tego dnia stracił jednego przyjaciela. Musiał mieć pewność, że innemu nic nie groziło.

Przejechał się alejką, zaglądając w okna mijanych domków. Większość była już pusta. Jakaś kobieta schowała się przed nim w popłochu.

Zatrzymał się przed barakiem, w którym niegdyś go więziono. Oparł rower o ścianę i wszedł do środka. Wewnętrzne drzwi były zamknięte na klucz. To wyjaśniało, dlaczego nikt nie uwolnił mieszkańca znajdującej się za drzwiami celi. Jedyny klucz tkwił zapewne w kieszeni martwego ochroniarza. Davide kucnął i przyłożył oko do dziurki w zamku. Chwilę trwało, zanim jego źrenica przyzwyczaiła się do zmiany oświetlenia. Wytężając wzrok, dostrzegł postać leżącą na łóżku. Uśmiechnął się pod nosem. Montanari spał jak dziecko. Narkotyki, którymi go faszrowano, miały ten pozytywny skutek, że ochroniły go przed szokiem związanym ze strzelaniną.

Davide wstał i odetchnął. Teraz był gotów do ostatniego starcia.

Z obozu wyjechał przez nikogo niezatrzymywany. Po drodze zanotował z ulgą, że dwie kobiety podawały wodę chłopcu, którego wyniósł z płonącego baraku.

Droga przez las nie była już taka łatwa. Rozmoknięta i śliska ścieżka spowodowała, że o mały włos nie stracił panowania nad rowerem.

Kiedy wypatrzył z daleka kapliczkę oraz zaparkowane obok niej wozy karabinierów, zatrzymał się i porzucił rower. Szary Cień udowodnił, że był dobrym i pozbawionym skrupułów strzelcem, a skrzyżowanie nadawało się doskonale na zasadzkę.

Kryjąc się za rosnącymi przy ścieżce krzakami, zbliżył się do jej krawędzi. Przypomniał mu się stójkowy, który zatrzymał go na drodze tego ranka. Ogarnęły go złe przecucia.

Rozglądając się uważnie na boki, wychylił się na drogę. Tak jak się obawiał, makabrycznie wykręcone ciało funkcjonariusza spoczywało nieruchomo na asfalcie. Spod jego potarganej i pobrudzonej błotem kurtki sączyła się strużka krwi.

Nieco niżej dymiły się dwa samochody, które całkowicie zablokowały wąską szosę. Jednym z nich był samochód zabitego strażnika, a drugim wklonowany w niego terenowy mitsubishi pajero z otwartymi drzwiami. Było jasne, że uciekający przestępca najpierw rozjechał próbującego zatrzymać go karabiniera, a następnie podjął bezskuteczną próbę staranowania jego pojazdu, który zagrażał mu drogę. Oznaczało to, że ucieczka samochodem mu się nie powiodła. Szary Cień miał do dyspozycji jeszcze jedną, alternatywną trasę – zapewniającą schronienie przed nieuchronną oblawą, ale niełatwą do przejścia i w konsekwencji powolną.

Davide popatrzył na znajdujące się po przeciwnej stronie drogi wejście do tunelu, którym niedawno przyszedł tu spod fontanny Neptuna. Nie zamierzał wchodzić tam ponownie. Miał jeszcze szansę znaleźć się w centrum Bolonii przed mężczyzną, którego gonił, choć szansa ta malała z każdą sekundą.

Jeszcze raz zerknął na pojazdy blokujące drogę i zaklął. Zjeżdżając z obozu, miał nadzieję użyć samochodu Giacoma, aby dojechać nim do Bolonii. Niestety nie było szans na pokonanie niespodziewanej przeszkody. Żałował teraz, że mimo wszystko nie wybrał motocykla.

Wrócił biegiem po rower i wyciągnął go z krzaków. Podjechał do roztrzaskanych samochodów i przeprowadził swój pojazd przez rów na drugą stronę. Przed sobą miał czystą drogę do samego centrum. Przez większość trasy nie musiał nawet pedałować. Znajdował się przecież na zboczu wzgórza.

Droga do rogatek miasta przebiegła szybko i prawie bez przeszkód, jeśli nie liczyć unikniętego o włos zderzenia z rozpędzonym wozem pancernym iveco. Widząc wynurzający się zza zakrętu masywny kształt opancerzonego transportera karabinierów, Davide w ostatniej chwili zjechał z drogi i przycupnął na podjeździe prowadzącym do bogatej, otoczonej zielenią willi, jakich mnóstwo znajdo-

wało się w tej okolicy. Za uzbrojonym w ciężki karabin maszynowy Browninga wozem jechało kilka wojskowych karettek. Cały konwój zamykało kilkanaście aut należących do różnych służb.

Gdyby tylko mieli takie wsparcie od samego początku, Giacomo mógłby wciąż żyć.

Davide odprowadził pojazdy smutnym wzrokiem i wsiadł z powrotem na rower.

Anioł śmierci

Bolonia przywitała zmęczonego pedałowaniem dziennikarza korkami i pogorszeniem pogody.

Prowadząca najkrótszą drogą do centrum wąska i zatłoczona via d'Azeglio nie była wymarzonym miejscem do jazdy na rowerze. Spychany przez poruszające się szybko pojazdy Davide, co rusz był zmuszany do zatrzymywania się i chowania za zaparkowanymi wzdłuż ulicy samochodami. Kiedy z mijającego go w pełnym pędzie skutera usłyszał okrzyk: „przesuń się, *coglione!*” i poczuł jak brudna woda ze wzburzonej kołami jednoślada kałuży osiada na jego ubraniach, definitywnie zrezygnował z jazdy ulicą. Wciągnął rower pod znajdujący się nieco wyżej od powierzchni jezdni portyk i nie zważając na gniewne pomruki idących podcieniami pieszych, dojechał chodnikiem aż do samego centrum.

Zatrzymał się przy Neptunie i ze zmęczenia o mało nie przewrócił się na ziemię. Czarne platy zaczęły latać mu przed oczami. Był wycieńczony.

Nieprzespana noc, a przede wszystkim dramatyczne wydarzenia dzisiejszego poranka oraz nieludzki wręcz wysiłek fizyczny, do jakiego zmusił swoje ciało, odcisnęły na nim mordercze piętno. Rzucił rower na ziemię, nie zadając sobie nawet trudu, aby go o coś oprzeć. Brudny i mokry, opadł ciężko na schody fontanny i podparł głowę na poranionych ramionach.

Zdawał sobie sprawę, że wyglądał gorzej niż niejeden kloszard. Kątem oka zauważył dwóch policjantów, którzy zbliżali się do niego z groźnymi minami. Spiorunował ich wzrokiem i rozszerzył ramiona, aby mogli dojrzeć odznakę. Policjanci zatrzymali się w pół kroku i mrucząc pod nosem coś nieprzychylnego, oddalili się w stronę bazyliki. Dziennikarz wbił wzrok w żeliwną klapę prowadzącą do podziemi i pomyślał o zastygłych oczach Giacomina. Z trudem powstrzymał szloch, który targnął jego umęczonym ciałem.

– Jeszcze nie czas – powiedział do siebie. – Jeszcze jeden wysiłek.

Zacisnął zęby i dotknął zimnej kolby pistoletu, który wpijał mu się w pachwinę. Właściwie to dobrze, że nie miał przy sobie telefonu. I tak nie miałby odwagi powiedzieć Dianie o śmierci ich najbliższego przyjaciela. Istniało też ryzyko, że mogłaby próbować odwieść go od tego, co zamierzał zrobić. Miał już na sumieniu jedno ludzkie życie, ale wtedy przyczynił się do czyjejs śmierci w nie do końca zamierzony sposób. Dziś był zdecydowany, żeby zabić. Chciał widzieć mózg Szarego Cienia rozsmarowany na posadzce u stóp Giganta. I niewiele go obchodził wymiar kary, jaka nieuchronnie czekała go za ten czyn. Każdy fragment jego ciała przenikało tylko jedno pragnienie – chęć okrutnej zemsty.

Tknięty nagłym uczuciem niepokoju podniósł wzrok i rozejrzał się wokół.

Deszczowa pogoda skutecznie zniechęciła turystów przed zwiedzaniem bolońskiego rynku. Nie oznaczało to jednak, że plac był pusty. Trwał typowy powszedni dzień w stolicy regionu. Tu i tam przechodzili elegancko ubrani mężczyźni i kobiety z przytkniętymi do uszu telefonami. Do dziennikarza dochodziły strzępki ich rozmów. „Optymalizacja”, „wyraźny spadek wartości portfela” i „mam przyjemność zaprosić czcigodnego senatora na kolację”, to były sprawy zaprzatające ludzi, którzy przemykali wokół niczym zjawy. Pieniądze i polityka. Wielkomiejska limfa, którą żywiła się ta wielka aglomeracja. Zupełnie inną scenerię tworzyli studenci przycupnięci na wilgotnych od deszczu schodach pod wznoszącą się obok fontanny biblioteką Salaborsa. Ubrani w modne dresy, paląc ostentacyjnie papierosy, żartowali głośno ze wszystkich i wszystkiego, jakby na przekór powadze nobliwego miasta. Davide był przekonany, że była to tylko poza. Ci młodzi ludzie doskonale wiedzieli, że prędzej czy później czekał ich ten sam los przyspawanych do służbowych komórek zjaw.

Wciąż nie potrafił określić źródła swojego irracjonalnego niepokoju, który narastał w nim z każdą minutą. Przyszło mu do głowy, że być może zbyt pośpiesznie i nazbyt naiwnie ocenił zamiary Szarego Cienia.

Rozglądając się nerwowo wokół siebie, uległ nagle dziwnemu złudzeniu. Wydawało mu się, że pośród zgromadzonych pod biblioteką studentów mignęła mu na chwilę znajoma kobieca twarz. Był zmęczony i podatny na przywidzenia, ale tych pięknych rysów i okalających je blond włosów nie mógłby pomylić z niczym i z nikim innym. Zerwał się na równe nogi i wyciągnął szyję.

W tym samym momencie wokół niego zrobiło się tłoczno.

Niezwykle liczna i hałaśliwa szkolna wycieczka, która pojawiła się nie wiadomo skąd, otoczyła szczerlnie fontannę i zasłoniła mu widok. Jedna z chroniących się pod szerokimi parasolami nauczycielek wyciągnęła przenośny megafon i ryknęła mu wprost do ucha:

– Fontanna Neptuna, owoc współpracy rzeźbiarza Giambologni i architekta Tommaso Lauretiego, została ukończona w tysiąc pięćset sześćdziesiątym szóstym roku, aby upamiętnić pontyfikat papieża Piusa Czwartego...

Davide zirytowanym ruchem odsunął nauczycielkę i zaczął przeciskać się przez tłumek młodzieży. Wokół uczniów gromadził się kolejny krąg przypadkowych przechodniów, których przyciągnął wzmocniony megafonem głos nauczycielki. Dziennikarz stanął na palcach i przytknął dłoń do ust.

– Olivia! Oliviaaaa! – W jego głosie pojawiła się nuta desperacji.

Rozglądał się we wszystkich kierunkach, ale nie zobaczył więcej blond fryzury. Zrezygnowany obracał się właśnie, aby wrócić na swój posterunek, gdy jego wzrok napotkał wpatrujące się w niego ciemne oczy mężczyzny stojącego na stopniach biblioteki.

Szary Cień, który dopiero co wyszedł z Salabora, najwyraźniej również go rozpoznał, bo gwałtownie odwrócił twarz i spiesznym krokiem skierował się w stronę przejścia pod stojącym po drugiej stronie fontanny Pałacem del Podestà.

Davide zaklął pod nosem. Zupełnie zapomniał o drugim wyjściu z tuneli, które znajdowało się pod biblioteką. Zaczął się nerwowo przedzierać przez rosnący tłumek gapiów.

– *Piano! Piano*, młodzieńcze! – upomniął go starszy pan, którego niechcący potrącił łokciem.

Dziennikarz rozpaczliwie walczył ze stłoczonymi ludźmi. Przez chwilę czuł się jak w sennym koszmarze, w którym śpiącemu wydaje się, że wpadł w gęste bagno.

Kiedy wreszcie przedarł się na pusty plac za plecami tłumu, po mężczyźnie, którego ścigał, nie było już śladu. Pozostawała jedynie nadzieja, że nie zmienił kierunku, w którym podążał.

Upewnił się, że nie zgubił pistoletu, i ciężkim truchtem podbiegł w stronę Sklepienia Władcy.

Wytyczone pod Wieżą Arenga i słynne z turystycznych przewodników przejście pomiędzy Pałacem del Podestà a Pałacem Króla Enzo było zaskakująco puste.

Przed wejściem, zasłaniając światło bramy swoimi szerokimi plecami, stało dwóch rosyłych mężczyzn. Zwaliści i przesadnie umięśnieni, niemal śmieszni ze swoimi zbędnymi przy deszczowej pogodzie słonecznymi okularami, wyglądali jak dwa greckie posągi strzegące wejścia do jaskini pełnej skarbów. Podchodząc

do nich, dziennikarz był niemal pewien, że odbije się od ich wystających torsów i polecą do tyłu jak mała kauczukowa piłeczka.

O dziwo, mężczyźni rozstąpili się przed nim i bez słowa pozwolili mu przejść.

Pod wysokimi krzyżowymi sklepieniami rozchodzącej się w czterech kierunkach bramy panował półmrok. Davide zmrużył oczy. Zbliżając się do środkowej części przejścia, zauważył ruch po swojej prawej stronie. Pobiegł w tamtym kierunku z całą energią, na jaką było go jeszcze stać. Skręcił w prawo, wpadł do przedsionka, który kończył się wyjściem w kierunku bazyliki, i zatrzymał się jak wryty, uderzony w nos czymś butem.

Oczy zaszczyły mu łzami. Oparł się plecami o ścianę i spodziewając się następnego uderzenia, zasłonił rękoma twarz.

Drugi cios nie nastąpił. Otworzył oczy.

Choć wydawało się to absurdalne, zablocony but, który go uderzył, wciąż znajdował się przed jego twarzą. Podniósł wzrok wyżej i mimowolnie krzyknął.

Z wmurowanych w sufit drewnianych belek zwisała cienka linka. Jej drugi koniec ścisnął ciasną pętlą nienaturalnie rozciągniętą szyję Szarego Cienia, który z wybaluszonymi oczami i wywalonym na wierzch językiem, podrygiwał lekko w ostatnich sekundach agonii.

Zaskoczony przerażającym widokiem dziennikarz skulił się pod ścianą. Naturalny ludzki odruch nakazywał mu wstać i udzielić pomocy konającemu. Przeciwna mu wewnętrzna siła wlewała w jego serce rodzaj okrutnej satysfakcji. Chciał tylko siedzieć i napawać się upiornym końcem mordercy z uspokajającą świadomością, że był to los, na który tamten w pełni zasłużył.

– Davide. – Usłyszał tuż obok siebie głos Olivii.

Obrócił się gwałtownie. W przedsionku, oprócz niego i kołyszącego się na linie trupa, nie było nikogo. Nieco dalej, u wylotu bramy, zobaczył dwóch umięśnionych mężczyzn uderzająco podobnych do tych, których spotkał przy wejściu. Nie było z nimi jednak Olivii.

Zaczął już podejrzewać, że detoks, któremu został poddany w szpitalu, nie był tak skuteczny, jak mu powiedziano, gdy znajomy głos ponownie zabrzmiał w jego uchu.

– Davide, dość tego mazania się, mam bardzo mało czasu! Wstawaj!

Zerwał się na nogi i obejrzał za siebie.

Po drugiej stronie przejścia ujrzał opartą o kolumnę smukłą sylwetkę kobiety, której nie widział od ponad roku. Kobiety, która była miłością jego życia. Jego poprzedniego życia.

Podszedł do niej z sercem bijącym tak mocno, jakby chciało wyrwać mu się z piersi.

Ubrana w elegancki i drogi czarny płaszcz wyszła mu naprzeciw. Wysokie, ozdobione małymi brylancikami szpilki zastukały o posadzkę. Wyciągnęła ręce w jego kierunku. Mankiety jej płaszczka powędrowały do góry, odsłaniając małe gwiazdki wytatuowane na jednym z jej nadgarstków. Nie widział ich nigdy wcześniej. Dziwne uczucie obcości ukuło go w serce.

– Wróciłaś... – Z trudem zdołał wydobyć głos z zaciśniętego gardła.

– Tylko na chwilę – powiedziała cicho i nie zważając na brudne i mokre łachmany Davida, przytuliła go mocno.

Jej zapach się nie zmienił. Obezwładniło go ciepło bijące z jej ciała. Łzy popłynęły mu z oczu. Przekroczył granicę własnej wytrzymałości. Schodząca z niego adrenalina przestała już wystarczać, aby dać odpór zmęczeniu i nabrzmiałej rzece okrucieństw i strat, jakie dotknęły go tego dnia. Dał się porwać żalowi i słodko-gorzkiemu uczuciu, jakie towarzyszy niespodziewanej bliskości dawno niewidzianej ukochanej osoby.

Przełknął ślinę, odsunął się lekko od Olivii i spojrzał w jej ogromne, błękitne niczym letnie niebo, oczy.

– Dlaczego...?

– Musiałam – odpowiedziała mu tak samo wzruszona.

– Musiałaś ode mnie odejść czy go zabić?

– Obie te rzeczy – odpowiedziała. Jej uścisk zelżał. – Wiem, że mi tego nigdy nie wybaczysz.

– Rzuciłaś mnie – powiedział z wyrzutem, nie odrywając od niej wzroku.

– Nie rzuciłam. Uwolniłam. Nie mogliśmy być razem. I ty o tym dobrze wiesz, ukochany.

Przyjrzał się jej pięknej twarzy. Szukał na niej śladów fałszu. Bardzo chciał je tam znaleźć. Nienawiść była o wiele łatwiejszą emocją niż niemożliwa do zaspokojenia miłość.

– Jest mi przykro, że to się musiało tak skończyć – powiedziała, opuszczając wzrok. – Mimo tego zawsze, na zawsze będę twoim aniołem. – Wspięła się na palcach i musnęła jego usta. Smakowała maliną jak dawniej.

– Chyba śmierci – skwitował sucho, zerkając kątem oka za siebie.

– To było konieczne – powiedziała z przekonaniem.

– Dlaczego?

– Żebyś ty nie musiał tego robić.

Chciał zaprotestować, ale za jej plecami pojawił się jeden z pilnujących wejść mężczyzn.

– Musimy już iść, *signora* – powiedział do niej z dziwnym, obco brzmiącym akcentem.

Olivia rzuciła Davidowi przepelnione żalem i tęsknotą spojrzenie.

Gdzieś z tyłu rozległ się przeciągły, przeraźliwy krzyk. Odruchowo odwrócił się i zobaczył kobietę stojącą tuż pod zwisającymi z sufitu zwłokami Szarego Cienia. Najwyraźniej ochroniarze Olivii opuścili swój posterunek albo nie byli w stanie dłużej zatrzymać przechodniów. Za kobietą rósł szybko tłumek rozemcjonowanych gapiów. Ktoś dał się w niebogłosy:

– *Polizia!!!!*

Davide odwrócił się z powrotem do Olivii.

W korytarzu nie było nikogo.

Dziewczyna odeszła tak szybko, jak się pojawiła, pozostawiając po sobie zapach perfum i słodki smak malin na jego języku. Instynktownie chciał ją zawołać, ale wiedział, że i tak nie miałyby to żadnego sensu.

Otarł łzy brzegiem rękawa. Czuł się jak ostatni z rodu stuletni starzec, któremu nie pozostał już nikt bliski. Niezupełnie nikt.

Musiał się zmierzyć ze smutną prawdą, jaką był winien Dianie. Postawił chwiejny krok i ruszył w stronę światła po drugiej stronie bramy.

Pożegnanie

Davide wspinał się po stromych schodach komisariatu przy via Galliera. W ciągu ostatniego miesiąca bywał tu częstym gościem i to nie do końca z własnej woli.

Katastrofalny rozmiar strat poniesionych przez służby podczas szturm na obóz w górach nie pozostał bez echa. Bilans był tragiczny. Dziewięciu zabitych karabinierów i jedenastu rannych, w tym pięciu ciężko. Do tego dochodziły również liczne ofiary po stronie obrońców obozu.

Przez kilka tygodni Bolonia gościła ogromną liczbę ekip telewizyjnych i dziennikarzy z całego kraju. Wszyscy uczestnicy tamtych wydarzeń poddawani byli niekończącym się przesłuchaniom przez różne rządowe, prokuratorskie i wewnętrzne komisje.

Davide znalazł się w samym środku tej burzy i o ile z niebywałą zręcznością udawało mu się unikać kamer, nie mógł uchylić się od uczestnictwa w przesłuchaniach. Początkowo groziło mu nawet, że stanie w szeregu oskarżonych, ale wiszące nad nim czarne chmury szybko rozwiął niezwykle zdolny adwokat, opłacony i przysłany mu do pomocy przez anonimowego darczyńcę.

Odtąd dziennikarz odpowiadał już wyłącznie w charakterze świadka, a pod koniec śledztwa sprawy przybrały tak niespodziewany obrót, że Davide z potencjalnego współsprawcy stał się bohaterem nominowanym do wysokiego odznaczenia przez prezydenta Republiki.

Zmierzał właśnie w kierunku biura pułkownika Alberta Carusa, który jakimś cudem nie został zdymisjonowany pomimo ewidentnej odpowiedzialności za błędy popełnione podczas przygotowania tragicznej w skutkach akcji.

Poprawił wielką pustą torbę zwisającą mu z ramienia i nie fatygując się pukał, otworzył drzwi do pokoju komendanta.

– *Dottore!* – przywitał go jowialnie starszy jegomość z neapolitańskim akcentem. – Niech pan siada. – Zaprosił go zamaszystym gestem ramienia ozdobionego epoletem pełnym gwiazdek i szlaczków.

– Jak się pan ma? – zapytał uprzejmie, kiedy dziennikarz zajmował miejsce na twardym krześle nie różniącym się niczym od zydelka w pokoju przesłuchań.

– A dziękuję, *colonello*, nie narzekam. Mięśnie nóg mam silne jak nigdy dotąd. Wie pan, to od tego chodzenia na przesłuchania. – Davide zabłysnął bielą swoich równych zębów. Była to jedna z niewielu pamiątek, jakie odziedziczył po swojej zmarłej przedwcześnie matce.

– Ależ, drogi panie. – Pułkownikowi nie drgnęła nawet powieka, choć nie mógł nie dosłyszeć złośliwej ironii. – No chyba rozumie pan, że te wszystkie, nazwijmy to rozmowy, były konieczne ze względów proceduralnych. Doskonale wiem, że mógł się pan poczuć nieco urażony, choć, na Boga, nie mogę pojąć, dlaczego zablokował pan przekazanie prochów porucznika Massiniego do uroczystego pochówku poległych, którą to smutną okoliczność mieliśmy okazję celebrować w ubiegłym tygodniu. Niestety bez pana i bez prochów naszego bohatera. Zarówno ja, jak i komendant posterunku w Ferrarze byliśmy naprawdę zaskoczeni pana decyzją... – Pokiwał ciężko głową.

– Moją decyzją? – Uśmiech zniknął z ust dziennikarza. – To nie była moja decyzja. To było wypełnienie ostatniej woli Giaco... porucznika Massiniego, którą odnaleźliśmy, porządkując jego apartament. Porucznik zażyczył sobie w niej eee... – Przez chwilę szukał właściwego zwrotu. – Innego rodzaju pochówku. Ale à propos komendanta z Ferrary. Czy może mi pan odpowiedzieć na jedno nurtujące mnie pytanie? Bo wie pan, od dłuższego czasu zżera mnie ciekawość...

– Ależ oczywiście. – Pułkownik uśmiechnął się szeroko. – Wszystko, czego tylko sobie pan zażyczy!

– Doskonale. A zatem, jak to się u licha stało... – Davide przechylił się przez biurko i zajął wprost w ciemnobrązowe oczy komendanta. – ...że z taką łatwością przyszło wam zdegradować i zwolnić oddaną służbie kapitan Dianę Leone, podczas gdy pan i szanowny komendant z Ferrary, odpowiedzialni za dyktando przygotowanie i zabezpieczenie ataku na obóz, wciąż pozostajecie na swoich stanowiskach?! – zakończył na wydechu i opadł ciężko na krzesło.

Pułkownik spurpurowiał na twarzy. Spojrzał na leżący przed nim dokument z nazwiskiem Davida i prezydencką pieczęcią i z trudem opanował wybuch gniewu.

– Drogi panie. – Odchrząknął. – Nie zamierzam na pewno tłumaczyć panu założeń związanych z decyzjami, kompetencjami oraz niewątpliwymi zasługami oddanymi przez głównodowodzących posterunkami w regionie, wliczając w to moją skromną osobę – dodał z dumą. – Jednak jako naszego oficjalnego współpracownika chciałem pana poinformować, że oficjalne śledztwo w tej sprawie

już się zakończyło, a komisje nie stwierdziły jakichkolwiek uchybień z mojej strony, ze strony komendanta z Ferrary czy ze strony prowadzących szturm poległych oficerów. Wręcz przeciwnie, doceniono nasze walory dowódcze i przedstawiono nas oraz szanownego pana do wysokich odznaczeń państwowych. To prawdziwy honor, z którego powinien pan być dumny! – zakończył z pompą.

– Pękam z dumy, że mogłem uczestniczyć w tej rzezi. – Usta Davida zacisnęły się w wąską kreskę. – I owszem, obilo mi się o uszy, że komisja nie była w stanie w pełni ocenić przebiegu szturm, ponieważ dziwnym trafem kamery przypięte do kamizelek funkcjonariuszy okazały się niesprawne...

– Uległy uszkodzeniu podczas działań operacyjnych – poprawił go pułkownik karzącym tonem. – Proszę zrozumieć... to było konieczne... dla dobra korpusu – dodał już łagodniej, mrugając porozumiewawczo okiem.

– Tak, dla dobra korpusu – przytaknął mu Davide. – W nawiązaniu do pana słów oraz niniejszych faktów ja też chciałbym pana o czymś poinformować.

Wygrzebał z torby służbowy pistolet oraz odznakę współpracownika i położył je z trzaskiem na biurku.

– Po pierwsze, niniejszym rezygnuję z funkcji współpracownika. – Przysunął zgiętą na pół kartkę w stronę pułkownika. – Jednocześnie informuję pana, że dysponuję nagraniem z telefonu, na którym minuta po minucie zarejestrowany jest ten nieszczęsny szturm i nic, podkreślam nic, nie może pan z tym zrobić, ponieważ chroni mnie od tej chwili prawo prasowe – dodał z naciskiem, widząc, że komendant zaczyna się nerwowo wiercić. – Nagranie to zostało już powielone i znajduje się w redakcji, w posiadaniu mojego, uwolnionego z rąk przestępców współnika, który, dzięki Bogu, odzyskał już pełnię władz umysłowych. Zapewniam pana, że redaktor Montanari ma plecy szersze od pańskich i jest osobą, która kilkoma telefonami jest w stanie odpawać pana od tego fotela. – Spojrzał gotującemu się ze złości komendantowi prosto w oczy.

– Nie musi się jednak to stać. Powiedzmy, że mając na uwadze moją krótką współpracę z korpusem, byłbym skłonny odstąpić od upublicznienia posiadanych przeze mnie informacji. W zamian żądam jednak przywrócenia do służby kapitan Diany Leone. I to nie na jakimś podrzędnym stanowisku. Proszę postawić pani kapitan wybór posterunku, którego chciałaby być komendantem.

– Komen... No chyba ci się w głowie pomieszało, gówniarzu! – wybuchnął pułkownik, wstając gwałtownie z fotela.

Davide powtórzył jego gest i zbliżył swoje zimne niebieskie oczy do nabrzmiałej złością twarzy karabiniera.

– Pomieszalo? – zapytał lodowatym głosem – Oj, chyba nie. Raczej mi się tam wszystko ładnie poukładało. I myślę, że zrobi pan dokładnie tak, jak powiedziałem. „Dla dobra korpusu!” – dodał, przedrzeźniając głos pułkownika. – Ach, zapomniałem powiedzieć, że tę rozmowę też nagrałem. A teraz żegnam. Do niezobaczenia. – Odwrócił się na pięcie i skierował się w stronę drzwi.

– Ale jak to? Zaraz, momencik, chwileczkę! – Błagalny głos komendanta sprawił, że zatrzymał się w pół kroku. – A odznaczenie?

Davide obrócił się i zobaczył pułkownika trzymającego w ręce małe czarne pudełeczko. Podeszedł z powrotem do biurka i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

– Dobra, daj pan – powiedział zmęczonym głosem.

– Jak to „daj”? – Komendant wyglądał na coraz bardziej zdezorientowanego. – Przecież musi pan podpisać, no i musimy ustalić szczegóły ceremonii...

– A daaaawaj to! – Davide bezceremonialnie wyszarpnął mu pudełko z ręki i zostawiając za sobą kompletnie zaskoczonego dowódcę, wyszedł z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

Zszedł schodami piętro niżej i ostrożnie rozejrzał się po pustym korytarzu. Podeszedł do drzwi, za którymi znajdowało się dawne biuro Diany, wyjął z kieszeni plastikową kartę z chipem i przyłożył ją do zamka. Rozejrzał się jeszcze raz, nacisnął klamkę i wszedł do pomieszczenia.

Roxy Bar

Bolonia niespiesznie witała leniwy niedzielny poranek. Zmęczone wielkomiej-
skim życiem rodziny budziły się powoli za szczelnie pozamykanymi okiennicami
wiekowych kamienic. Kochankowie przewracali się na boki wtuleni w swoje wy-
czerpane i zaspokojone ciała. Po pustawych ulicach snuły się nieliczne grupki
wracających do domów trzeźwiejących młodych ludzi oraz emerytów, którzy
bardziej od snu cenili sobie czas, jaki im jeszcze pozostał. Kilkoro japońskich tu-
rystów zmierzających w pośpiechu w stronę dworca hałasowało kółkami walizek,
które podskakiwały na łączeniach marmurowych płyt pod portykami.

Gdzieś w oddali biły kościelne dzwony.

Davide przeszedł na drugą stronę placu della Mercanzia i zerkając na maja-
cące u wylotu ulicy Dwie Wieże, skręcił w stronę podwórka skrytego w podcie-
niach. Wchodząc pomiędzy masywne kolumny z selenitu, o mało nie zderzył się
z trojgiem rozszechotanych dziewcząt, które odprowadziły go rozmarzonymi
spojrzeniami.

Ubrany w modną skórzaną kurtkę, z bujnymi włosami, w których tonęły nasu-
nięte na czubek głowy ray-bany, roztaczał wokół siebie szarmancki urok nie-
grzecznego chłopca. Bez brody, która porastała jego twarz przez ostatnie tygo-
dnie, wyglądał o dobre dziesięć lat młodziej. Jedynym dysonansem w jego niena-
gannym wizerunku była wypchana i poplamiona materiałowa torba, która wpi-
jała mu się boleśnie w ramię.

W zadaszonym szkle i pokrytym marmurową posadzką podwórku zebrało
się więcej ludzi, niż było ich o tej porze na wszystkich okolicznych ulicach.

Kelnerzy mieszczącego się tu Roxy Baru uwijali się jak w ukropie, roznosząc
kawę i rogaliki wśród stojących w podwórzu stolików.

Davide dostrzegł z daleka swoich przyjaciół siedzących obok wielkiej donicz-
kowej palmy. Pomachał w ich kierunku. Frida, która zobaczyła go pierwsza, ski-
nęła majestatycznie głową. Siedzący obok niej Tonino zdjął czapkę i odmachał

mu energicznie. Z jeszcze większym entuzjazmem powitali go Massimo i Aurora, którzy zerwali się z krzesel i rzucili mu się na szyję, kiedy dotarł do stolika. Uściskał się z nimi i usiadł obok ubranej na czarno Diany. Dziewczyna spojrzała na niego z czułością.

– Masz? – zapytała.

– Tak. – Mrugnął do niej okiem i ostrożnie położył ciężką torbę na podłodze.

– Zamówiłam ci rogalika, tak jak lubisz – odpowiedziała.

Ujął jej dłoń, podniósł ją sobie do ust i pocałował delikatnie.

– Uuuuuuuu! *Ragazzi!!! Kiss challenge!* – Tonino zaśmiał się głośno. – Można? – Chwycił dłoń Fridy, która wyrwała mu się z niesmaczona.

– Cudownie! – skwitowała Aurora, ocierając ukradkiem łzy, które popłynęły jej z oczu. – Kocham was – powiedziała z emocją w głosie. – Oboje was kochamy. – Spojrzała na Massima i przytuliła się do jego ręki.

– Tak... To jest ten tego... – zająknął się ten ostatni. – Jesteśmy wam niewymownie wdzięczni. Dzięki wam żyjemy.

Jego szeroka dłoń spoczęła na ramieniu Davida.

– Jestem twoim dłużnikiem. Nigdy ci nie zapomnę, że uratowałeś Bambi – powiedział z wyraźnym wzruszeniem.

– Maaaax! – upomniała go uczulona na swoje przezwisko Aurora.

– Każdy w tym towarzystwie coś komuś zawdzięcza, czyż nie? – oschłym tonem skwitowała Frida, sięgając do torebki po srebrną papierośnicę.

– Oczywiście yyyy... – Massimo poczuł się w obowiązku uhonorowania wkładu antykwariuszki. – Pani także jesteśmy wdzięczni. Za wszystkie cenne informacje. Gdybyśmy jeszcze tylko wzięli do serca ostrzeżenie, żeby nie iść do tego księgarza...

– Który wcale nie był taki okropny, jak nam się wszystkim wydawało – wszedł mu w słowo Davide.

– Ej no, jak to? Przecież to był herszt tych cholernych wielbicieli śmierci! Wystarczająco długo im deptałem po piętach, żeby... – Goliardowi przerwało pojawienie się kelnera z tacą.

W czasie, gdy rozkładane były talerzyki i filiżanki, Davide pochylił się nad torbą i wyjął z niej gruby zeszyt z pokolorowaną mazakami okładką. Kiedy ubrany w białą marynarkę *cameriere* odszedł od ich stolika, dziennikarz zabrał ponownie głos.

– Dzięki świadectwu osób, które znajdowały się w obozie... – Zerknął na Massima i Aurorę. – ...ale przede wszystkim dzięki zapiskom, jakie do ostatnich

chwil życia prowadziła Sara Rossi, odtworzyliśmy z Dianą historię ostatnich lat działalności Bractwa Śmierci. I muszę wam powiedzieć, że poza pewnego rodzaju dewiacją, która doprowadziła do ostatnich tragicznych wydarzeń, nie dopatryliśmy się w działaniach Ubalda Malagutiego niczego nagannego. Przynajmniej w sensie etycznym, bo przepisami prawa, to oni się nigdy nie przejmowali.

Otworzył dziennik Sary i kartkując go, opowiadał dalej.

– Sara była wielbicielką sztuki i historii. O Bractwie Śmierci wiedziała od dawna. Jeszcze zanim stwierdzono u niej przerażającą śmiertelną chorobę – fibrodysplazję, zwaną też chorobą Munchmeyera. Dotknięty tą niezwykle rzadką genetyczną chorobą człowiek zamienia się w mumię za życia. Jego tkanka miękka kostnieje, co skutkuje powolną i niezwykle bolesną śmiercią. – Davide kątem oka zauważył, że Aurora schowała twarz w dłoniach. Jej ramiona zadrgały lekko, jakby nie potrafiła powstrzymać płaczu.

– Biedna Sara bardziej od śmierci – kontynuował Davide – bała się bólu i deformacji, która dotknęła ją już w dzieciństwie, ponieważ miała postępującą skoliozę. Zwróciła się więc do Ubalda Malagutiego, którego wcześniej poznała, o pomoc. I tu przechodzimy do meritum działalności Bractwa. Jak już zapewne wiecie... – Spojrzał na Fridę i goliarda. – ...to średniowieczne stowarzyszenie od początków swojego istnienia zajmowało się niesieniem ulgi skazanym na śmierć oraz śmiertelnie chorym. Zainspirowany ich historią Ubaldo Malaguti jakieś trzydzieści lat temu postanowił kontynuować tę misję, pomagając umierającym w ich ostatniej drodze. Ale nie tylko. Otóż dzięki dostępowi do starych dokumentów, wszedł w posiadanie receptury najstarszego znanego ludzkości leku, będącego, jak twierdzono, panaceum na każdą chorobę. Lek ten nazywał się teriak i składał się...

– ...z ponad sześćdziesięciu ziół i substancji, w tym z jadu żmii i opium – wtrąciła się Frida.

– Dokładnie tak! – potwierdził Davide. – Pod koniec szesnastego wieku uczeni z Uniwersytetu Bolońskiego z pomocą alchemików odtworzyli jego skład oraz ściśle tajny, znany tylko nielicznym, sposób przyrządzania, po czym powierzyli zadanie jego produkcji członkom Bractwa Śmierci.

– Na terenie Archiginnasio co roku odbywało się ceremonialne mieszanie leku, sprzedawanego potem w aptece, która do dnia dzisiejszego znajduje się obok księgarni, gdzie urzędował nasz księgarz – dokończyła antykwariuszka wszystkimiedzącym tonem.

– No właśnie! – Davide robił, co mógł, aby dokończyć wypowiedź bez dalszego przerywania. – Oba te lokale należały kiedyś do Bractwa i do Szpitala Śmierci,

który znajdował się w tamtym miejscu. Staremu Malagutiemu udało się wyprodukować ponownie teriak, który zaczął podawać swoim pacjentom i... nie zgadniecie. – Popatrzyl po przyjaciolach.

– No chyba nie zgadniemy! – odparł goliard, spoglądając z coraz większym uwielbieniem na elegancką antykwariuszkę, która siedziała obok i nie zwracała na niego uwagi.

– Ten lek zaczął działać! – oznajmił Davide. Nie znam się na medycynie, ale w teczkach znalezionych w obozie odnotowano sześćdziesięcioprocentowy wskaźnik wyleczeń z śmiertelnych, nierokujących żadnych nadziei chorób. I to tak działało przez wiele lat. Aż do momentu...

– Aż do momentu, kiedy pojawił się tam Szary Cień. – Tym razem Massimo wtrącił się do powieści, przeżuując słowa jak gorzki liść piołunu.

Zapadła cisza przerywana tylko siorbaniem i mlaskaniem. Davide zerknął z zalem na swojego rogalika, którego nie zdążył nawet ugryźć.

– Chcesz o nim powiedzieć? – zapytał go dziennikarz. Massimo pokręcił przecząco głową.

– Okej. – Davide uszanował jego decyzję. – Wiedźcie tylko, że Szary Cień vel Marco Malaguti, vel Tomaso Guarini, to był bardzo pokręcony typ z silnie zaznaczonym rysem psychopaty. Oddany na wychowanie Ubaldiemu Malagutiemu, który nie szczędził grosza na jego medyczną edukację, pewnego dnia został dopuszczony przez starego do pomocy przy pacjentach Bractwa. I to był w zasadzie początek końca tej nie do końca legalnej, ale pożytecznej inicjatywy. Szary Cień uwielbiał bowiem manipulować ludźmi. A jeszcze bardziej lubił ich mordować... – Davide nie wytrzymał i wbił szybko zęby w rogalik. Popił zimnym cappuccino i oczyścił językiem zęby z klejącej nutelli.

– Wskaźnik... przepraszam. – Przelknął i zaczął jeszcze raz. – Wskaźnik umiERALNOŚCI w zorganizowanym przez starego Malagutiego obozie w górach był niezwykle niski. Pacjenci, kiedy tylko dochodzili do siebie, odzyskiwali siły, pracując w ogrodzie oraz przy hodowli jedwabników. – Zaciął się, walcząc z obrazem pokrytego krwią i szarymi motylami Giacoma, który wyświetlił mu się w głowie. Po raz pierwszy odczuł wdzięczność do Fridy, która znów wtrąciła się do jego opowiadania.

– A to jest bardzo ciekawe! – Antykwariuszka wreszcie wykrzesła z siebie trochę entuzjazmu. – Ten Malaguti chyba rzeczywiście był kontynuatorem tradycji. Bo Bolonia na tym właśnie wyrosła! Nie na uniwersytecie czy ziołach, ale na jedwabiu! Na tym robiono tu największe pieniądze!

– A księgarz to doskonale wiedział i potrafił wykorzystać. – Davidowi udało się opanować chwilowe rozkojarzenie. – Jedwab jest drogi również dzisiaj, a Bractwo potrzebowało pieniędzy na utrzymanie – mówił dalej. – Niestety Szary Cień postanowił zniszczyć całą tę sielankę. A raczej polepszyć wydajność obozu według jego pokręconej chorej logiki. W tajemnicy przed starym zaczął robić to w sposób potworny i systemowy. Po pierwsze zatrudnił się w szpitalu na wydziale onkologii.

– W ten sposób odkryliśmy jego tożsamość. – Diana pokiwała głową.

– Jedną z wielu – uzupełnił Davide. – Bo Szary Cień potrzebował wielu źródeł, z których mógłby zbierać osłabionych i podatnych na jego perswazję pacjentów. Ale prawdziwi chorzy w pewnym momencie przestali mu wystarczać. Zrobił więc dwie kolejne straszne rzeczy. Po pierwsze zmodyfikował skład teriaku, dodając do niego heroinę i śmiertelnie trujące substancje.

– W naszej krwi stwierdzono ślady arszeniku – powiedział Massimo, zaciskając z wściekłością zęby.

– A po drugie – dodał Davide – zaczął fałszować karty pacjentów w szpitalach, aby zyskać jak najwięcej chętnych na „terapię”.

– Więc Sara nie była chora? – zapytała nieoczekiwanie Frida.

– Trudno powiedzieć. – Davide pokręcił głową. – Choć trafiła do obozu dzięki staremu Malagutiemu, to Szary Cień i tak ją wykorzystał i ostatecznie pozbawił życia. Nie wiadomo więc, na ile jej wyniki zostały sfalszowane. Wiemy jednak na pewno, że rak trzustki Aurory był całkowicie zmyślony.

– *Bastardo!* – wyrwało się goliardowi – To ile osób ten perfido wysłał na tamten świat? A ja myślałem, że to był tylko złodziejasek – westchnął ciężko.

– Oceniamy, że mógł zabić nawet trzydzieści osób – odpowiedziała smutno Diana.

– Zabić i okraść – dodał Davide – bo, i tu wisienka na jego makabrycznym torcie, ten człowiek wymyślił też sposób na podniesienie zysków obozu.

– Tak, heroina nie jest za darmo – skwitował Tonino, prychnąwszy z pogardą.

– Nie jest – zgodziła się z nim Diana. – Odkąd śmiertelność znacząco wzrosła, Ubaldo Malaguti miał coraz większy problem z grzebaniem zmarłych. Jego działalność była nielegalna, nie mógł przecież powierzyć ich miejskim grabarzom. Szary Cień zmanipulował go tak jak innych. Przekonał go do zakupu małego krematorium, a pacjentów namówił na przynoszenie przedmiotów, które miały się stać ich urnami i zostać wystawione w specjalnym mauzoleum.

– W szopie, w zwykłej szopie! Byłem w niej – sprostował Davide. – Bo i nie o mauzoleum chodziło, tylko o to, żeby przekonać ludzi, aby przynosili jak naj-

cenniejsze przedmioty nadające się na tę niby „urnę”.

– No i niektórzy przynosili. – Frida pokiwała głową.

– *Filius canis!* – zaklął po łacinie Tonino. – To stąd wzięła się tam ta głowa?

– Dokładnie tak – potwierdził Davide. – Sara początkowo dała się uwieść ezoterycznej paplaninie Szarego Cienia. On dokładnie wiedział, jak ją podejść. Wierzyła mu prawie do końca... Kiedy go rozszyfrowała i domyśliła się wszystkiego, było już za późno. Umierała już, prawdopodobnie na skutek zabójczej kuracji zmodyfikowanym teriakiem. Była otumaniona, ale zdążyła jeszcze dorysować na rzeźbie znaki, mające wskazywać na demoniczny charakter doktora i tego miejsca.

– Wiedziałam, że symbolu Thaumielia nie mógł postawić tam Modigliani!!! – Frida się ucieszyła. – Podobnie jak nawiązania do Aelii.

– Mam powody, żeby przypuszczać, że inicjały Aelii były jednak żartem artysty. – Davide uśmiechnął się tajemniczo.

– Jaśnie państwo, o czym wy w ogóle konfabulujecie, przecież ta rzeźba to jest zwykły... – Tonino zaczął się śmiać, ale umilkł zaskoczony sugestywnym spojrzeniem, jakim świdrował go Davide.

– Czyli całe to zamieszanie z głową... – zwrócił się do dziennikarza Massimo.

– ...wpłatało ciebie i Aurorę w tę okropną historię, tylko dlatego, że Szary Cień za wszelką cenę musiał odzyskać głowę, którą mój przyjaciel Montanari wyniósł z obozu. Głowa była dla Szarego Cienia cenna, a oprócz tego zawierała prochy Sary, które mogły ujawnić jego kryminalny proceder.

– Wszystko to było więc splotem fatalnych zbiegów okoliczności! – Wzruszony Massimo obrócił się do pobladłej od emocji Aurory i przycisnął ją mocno do siebie. – Boże, jak to dobrze, że wyszliśmy z tego cało!

– Nie wszyscy... – powiedziała Diana ponuro.

Davide spojrzał w jej posmutniałe oczy i zapytał:

– Chcesz zaczynać?

Skinęła głową.

Dziennikarz podniósł rękę i przywołał gestem kelnera. Kiedy złożył zamówienie, *cameriere* spojrzał odruchowo na zegarek.

– Sześć razy whisky z lodem... *signore?* – zapytał, unosząc brwi ze zdziwienia.

– Zgadza się. – Uśmiechnął się do kelnera. – To jakiś problem?

– Żaden problem... *signore.* – Kelner uklonił się lekko i oddalił się od stolika, mrużąc coś pod nosem.

Davide zdawał sobie sprawę, że w rażąco sposób naruszył kulinarną etykietę, która w szczytującej się najlepszą kuchnią świata Bolonii była uważana za świętą. Najmocniejszym alkoholem zamawianym o tak wczesnej porze dnia była odrobina grappy lub anyżowej sambuki dolewanej do kawy.

Dziennikarz miał jednak ważny powód, aby złamać niepisane zasady. Kiedy nie tający swojego zdegustowania kelner rozdał im szklanki wypełnione bursztynowym płynem, wstał i z uroczystą miną oznajmił przyjaciołom:

– Kochani... – zaczął i głos mu się załamał. Nabrał powietrza i zaczął jeszcze raz.

– *Ragazzi*. Nie lubię tak pompatycznych przemówień, a ci, za których wznoszę ten toast, nie znosili ich jeszcze bardziej. Chcę tylko powiedzieć, że gdyby Giacomo żył, na pewno chciałby być tu dzisiaj z nami. Sara wysłałaby nam zapewne pozdrowienia z jakiejś zakurzonej biblioteki. – Uśmiechnął się blade.

– Za nich... – Podniósł do góry szklankę i wychylił ją jednym haustem.

Siedzący przy stoliku powtórzyli jego gest. Tylko Frida podniosła szklankę i odstawiła ją ze wstrętem. Niezręczną ciszę, jaka zapanowała po toaście, prze-rwał dźwięczny głos Aurory, która zaczęła śpiewać:

– „W końcu odnajdziemy się jak *rock stars*, by napić się whisky w Roxy Bar”.

– „...a może na spotkaniu nie będzie nas, każdy zgubiony w gąszczu swych spraw” – dokończyli chórem, wzbudzając zainteresowanie grupy Amerykanów siedzących przy stoliku obok.

Turyści zdziwiliby się jeszcze bardziej, gdyby mogli dostrzec Davida schowanego za rozłożystą palmą. Pochylony nisko, wsypywał właśnie szary proszek do wykopanego wcześniej w doniczce dołka. Przysypał dziurę ziemią, wyjął z kieszeni order ozdobiony trójkolorową wstążką i zawiązał go mocno na pniu palmy.

– Do zobaczenia za rok, Giaco – powiedział w kierunku doniczki i poklepał ją czule.

W stronę słońca

Intensywne światło odbijające się od Dwóch Wież było tak ostre, że Davide opuścił ray-bany na nos. Po długiej, szarej i wilgotnej zimie słońce po raz pierwszy pojawiło się na czystym i błękitnym niebie. Wiosna zbliżała się wielkimi krokami. Włochy znów upodabniały się do swojego pocztówkowego wizerunku.

Stojąca obok Diana odprowadziła wzrokiem Massima i Aurorę, którzy oddalali się w kierunku parkingu przy via Indipendenza. Dziewczyna, podskakując radośnie, ciągnęła swojego partnera w kierunku sklepowych wystaw. Diana uśmiechnęła się do siebie. Nagle poczuła delikatne szarpnięcie.

– Lepiej popatrz tam! – powiedział Davide, wskazując uliczkę prowadzącą do bazyliki Santo Stefano.

Dziewczyna podążyła wzrokiem za jego ręką i otworzyła ze zdziwienia usta.

Idąca środkiem pasażu Frida trzymała dłoń na ramieniu próbującego dorównać jej kroku Tonina. Ciężka płócienna torba, którą zostawił mu Davide, odbijała się od jego łydek. Nagle antykwariuszka przystanąła i coś do niego powiedziała. Odebrała od niego torbę i zarzuciła ją sobie na ramię. Goliard wystawił otwartą dłoń. Frida podała mu swoją. Trzymając się za ręce zniknęli za łagodnie wyginającym się zakretem drogi.

Davide i Diana wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Kto by pomyślał, jaśnie pani! – Davide zaśmiał się głośno.

– A Ty? Mówiłeś, że wyjeżdżasz... To prawda? – Diana zwróciła się w jego stronę. W jej głosie zabrzmiała wyraźnie wyczuwalna nuta żalu.

– Tak. Nic mnie tu już nie trzyma. – Wykonał nieokreślony gest. – Na karabiniery się nie nadaję. Montanari z każdym dniem wraca do zdrowia, więc redakcja w Ferrarze jest w dobrych rękach. A ja mam nowy pomysł na życie zupełnie gdzie indziej.

– Rozumiem... – Spuściła wzrok. – W takim razie pozwól, że cię chociaż odprowadzę – powiedziała smutno, odwracając od niego głowę.

– Nie musisz, bo jesteśmy na miejscu – oznajmił wesoło Davide, naciskając pilota, którego wyciągnął z kieszeni.

Po drugiej stronie ulicy rozległo się głośnie „bip, bip”. Diana podniosła wzrok i wypuściła z wrażenia powietrze. Przy krawędzi drogi, zaparkowana na awaryjnych światłach stała czerwona dwumiejscowa alfa romeo spider. Przechodnie omijali ją, zapuszczając zaciekawione spojrzenia do wnętrza kabrioletu.

– To twój stary samochód?! – Dziewczyna nie mogła uwierzyć. – Myślałam, że skasowałeś go w wypadku! A twoja nowiutka giulia? Gdzie ona?! – wyrzucała z siebie pytania, podbiegając do auta.

– Sprzedałem, a odzyskane pieniądze zainwestowałem w remont – odpowiedział, uśmiechając się szeroko. – Wiesz... po prostu zadałem sobie pytanie, po co mi taka wielka i droga gablotka. I tak jeździłem nią sam. A poza tym chyba czas wrócić do tego, co się kochało najbardziej. – Spojrzał na nią przeciągle.

– To jak, wsiądziesz? – powiedział, otwierając przed nią drzwiczki pasażera.

Diana stanęła, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Jej mieszkanie znajdowało się kilkanaście metrów dalej.

– Davide, co ty mi proponujesz?

– Żebyś przestała się zastanawiać i wsiadła. Mamy jeszcze mnóstwo rzeczy do omówienia po drodze – powiedział, patrząc jej czule w oczy.

Jej podbródek zaczął drżeć. Najpierw prawie niezauważalnie, potem coraz wyraźniej. Nie mógł zobaczyć reszty zmian zachodzących na jej twarzy, bo rzuciła mu się na szyję i przywarła do niego, ściskając go mocno.

Wplótł dłoń w jej włosy i wyszeptał cicho:

– Teraz będzie już tylko dobrze.

KONIEC